

Burgess Gemma

Dziewczyny z Nowego Jorku



DEDYKACJA

Dla Ciebie

Rozdział 1

Nigdy nie bzykaj się z bratem współlokatorki. To prosta acz niezawodna zasada. A ja ją złamałam zeszłej nocy. Dwa razy. Ups.

Przynajmniej impreza była rewelacyjna. Spróbuję użyć tej wymówki, kiedy Julia będzie wściekła. Pewnie jej dom wygląda, jakby przeszedł przez niego huragan. Jestem tego pewna.

W ogóle mnie to nie dziwi. Lubię imprezy, jestem niezła w ich urządzaniu, a do tego wczoraj był 26 sierpnia. A w ten dzień zawsze piję, by zapomnieć. W tym roku upiłam się na umór jak jeszcze nigdy.

Mój nagi tyłek cały czas ociera się o ścianę, gdy próbuję się odsunąć od Mike'a. Też tego nie znosicie? Czy etykieta przypadkowych spotkań na jedną noc nie wymaga, by leżał zwrócony w drugą stronę? Chciałabym, by Mike sobie po prostu poszedł, żebym nie musiała z nim rozmawiać.

Zastanawiam się, co by na to powiedziała jego siostra Madeleine, gdyby dowiedziała się o tym. Zapewne zignorowałaby mnie, czyli zrobiła to, co ostatnio robi przez cały czas. Wolałabym, by Julia nie proponowała jej, aby się tu wprowadzała.

Julia, moja najlepsza kumpela ze studiów, odziedziczyła ten dom po śmierci ciotki. Więc poprosiła mnie i Madeleine oraz

swoją młodszą siostrę Coco, byśmy się do niej wprowadziły. A potem potrzebowałyśmy jeszcze piątej osoby, więc zaproponowałam moją przyjaciółkę Angie. Tworzymy ciekawą zbieraninę: Coco jest typem Zosi Gosposi, Angie uwielbia modę, Julia jest bardzo inteligentna i ambitna, a Madeleine jest cholernie sztywna. A ja? Ja... no cóż, nie można przecież opisać samej siebie, prawda? Powiedzmy, że ja wciąż jestem w fazie tworzenia.

Wprowadziłyśmy się trzy tygodnie temu. To typowy nowojorski budynek z czerwono-brunatnego piaskowca, nazwany Rookhaven, na Union Street w Carroll Gardens, na Brooklynie, w Nowym Jorku. Żadna z nas nigdy wcześniej nie mieszkała w Nowym Jorku.

Carroll Gardens to ciekawa mieszanka starszych ludzi, którzy prawdopodobnie mieszkali tu od zawsze, młodych ludzi z wyższym wykształceniem takich jak my, których - powiedzmy sobie szczerze - nie stać na mieszkanie na Manhattanie, i grupy hipsterskich par z małymi dziećmi. Odczuwa się tu prawdziwą atmosferę małego miasteczka z tymi wszystkimi wiekowymi, tradycyjnymi włoskimi piekarniami i restauracjami znajdującymi się obok stylowych małych barów. Lubię małe stylowe bary.

Bardzo podoba mi się też mój pokój. Mieszkałam w bardzo wielu pokojach - 27., jeśli policzymy każdą zmianę pokoju w internacie i na studiach - ale nigdy nie mieszkałam w pokoju takim jak ten. Wysoki sufit, okna z widokiem na schody wejściowe, szafy całe w lustrach. No dobrze, lustra są pożółkłe, a na tapecie widnieje wyblakły wzór pąków róż, jak w starych filmach. Ale to w niczym nie przeszkadza. Jakby tak właśnie miało być.

Tak mniej więcej wygląda całe Rookhaven. Gdybym chciała być subtelna, określiłabym jego wystrój jako „klasyczny” i „z drugiej ręki”. Stary i sfatygowany. Po prostu cieszę się, że jestem w Nowym Jorku, z dala od moich rodziców, w najbar-

dziej ekscytującym mieście świata, mając pracę w agencji PR SoHo. W końcu zaczynam żyć.

Czy mogę być z wami szczerą? Nie powinnam była przespać się z Mikem. Szczególnie, że sprawy między mną i Madeleine już i tak są wystarczająco skomplikowane. Przygodny seks wychodzi tylko wtedy, gdy się go uprawia z kimś, kogo już się więcej nie spotka. Ale, jak już mówiłam, było to 26 sierpnia (w dniu zwanym również jako Dzień Pamięci Eddiego czy też w tak zwanym dniu: Nigdy więcej). A 26 sierpnia może zdarzyć się najgorsze.

Co to za cholerny dźwięczący odgłos?

- To chyba dzwonek do drzwi.

O rany! Mike! Obudził się! Obok mnie. Zerkam na niego spomiędzy rzęs. Tak jak Madeleine jest niesamowicie przystojny. To chyba te ich chińsko-irlandzkie geny. Niezła mieszanka.

-Yhm... ktoś inny otworzy - szepczę. Czuję, że mój oddech przypomina opary z otwartego grobu. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Bo wcale mi na Mike'u nie zależy. Chociaż zeszłej nocy... eh. Chryste! Muszę przestać o tym myśleć. Ale zaraz! I co z tego? Może ten cały seks nie był dobrym pomysłem. Ale nie ma powodu, by wzniecać w sobie to beznadziejnie purytańskie poczucie winy po jednorazowej przygodzie. Jestem przecież feministką.

Znowu słysząc dźwięk dzwonka do drzwi.

- Pia... chodź no tu, ty szalony kociaku — mówi Mike, wsuwając pode mnie swoje ramię.

- Może lepiej otworzę, może to coś ważnego! — mówię nagle ożywiona, wyslizgując się z jego objęć i spadając z hukiem na ciemnozielony dywan.

Wiję się jak piskorz, ubierając majtki i próbuję wyglądać na wyluzowaną i spokojną, gdy zakładam pierwszą koszulkę, która pojawia się w zasięgu mojego wzroku. Kiedyś należała do Smitha, faceta, z którym chodziłam (to znaczy, z którym

kilka razy spałam) na studiach. Na jej plecach widnieje napis: „Na widok cheerleaderek hamuję... OSTRO”.

Zakładam moje ulubione dżinsowe szorty i kapcie z Elmo i wpycham komórkę do kieszeni.

- Cieszę się, że hamujesz, gdy widzisz cheerleaderki - mówi Mike. — To zagrożony gatunek.

- Yhym, no tak, absolutnie! - odpowiadam i zatrząskuję za sobą drzwi, przerywając rozmowę.

Mike! Chryste! To jakiś koszmar!

Zamykam oczy, starając się przypomnieć sobie, co się wydarzyło ubiegłej nocy. Martwi mnie to, że przychodzi mi to z takim trudem. Nudziło mi się po tym, jak Thompson (ten głupek, z którym chodziłam, to znaczy spałam) zignorował mojego SMS-a: *Hola. Chojracka impreza. Przynieś szlugi, jeśli możesz....* Niezły tekst, prawda? Ironiczne użycie niemodnego slangu, trzykropek zamiast żalosego uśmiechniętego emotikona itd.). A ja trudno znoszę odrzucenie. Szczególnie 26 sierpnia.

Więc piłam więcej. I więcej. A potem jeszcze więcej.

Pamiętam, że tańczyłam. Na stole? Owszem, tak. Tyle pamiętam... I chyba wykonywałam ruchy w stylu tańca-aerobiku z lat osiemdziesiątych. Krok grapevine. Tak, na pewno grapevine. W każdym razie dobrze się bawiłam. Zwykle niewiele mnie obchodzi, gdy się dobrze bawię.

A Mike robił pompki na jednej ręce, co wychodziło mu naprawdę fatalnie, i rozśmieszał mnie, a potem potknęłam się i sama nie wiem, jak jego usta znalazły się na moich. Ponieważ uwielbiam się całować, naprawdę uwielbiam, a on jest w tym całkiem niezły, a do tego byłam pijana, zasugerowałam, byśmy poszli do mojego pokoju. I wtedy... o Boże.

Nic tak nie dręczy jak kac i poczucie winy.

Komuś, kto stoi u drzwi, musi naprawdę zależeć na tym, by wejść do naszego mieszkania. Ding!!! Dong!!! Ding!!! Dong!!! Ding!!! Dong!!!

- Chwileczkę! - wykrzykuje, starając się przejść między butelkami i niedopałkami porozrzucanymi na schodach.

Mam nadzieję, że to nie gliny. Nie sądzę, żeby na imprezie były narkotyki, ale tego nigdy nie wiadomo. Kiedyś w mojej drugiej szkole z internatem myślałam, że mój chłopak Jack cierpiał na nerwicę natręctw i to dlatego właśnie usypywał cienkie małe linie z talku kosmetycznego, ale jak się okazało... Zaraz.

Wróćmy do koszmaru.

Otwieram drzwi i oddycham z ulgą.

To tylko bardzo stary człowiek. Jego twarz wygląda jak długi rodzynek ze szpiczastymi uszami elfa, umieszczony na czubku wysokiego i szczupłego ciała.

- Moja panno, gdzie jest twój ojciec? - mówi ten człowiek z bardzo silnym brooklyńskim akcentem.

- W Zurychu - odpowiadam, a potem dodaję - proszę pana. (A mówią, że nie szanuję starszych.)

- Czy jesteś krewną Julii?

- Ja pierdo... to znaczy, ja pierdykam, nie.

- No cóż, na to wygląda. Nie przypuszczam, żeby Pete ożenił się ponownie, a ty na pewno jesteś połową z innego małżeństwa.

No co ty nie powiesz?

- Jestem pełnowartościową osobą, a nie jakąś połową. Moja mama jest Hinduską, a mój ojciec jest Szwajcarem. Proszę przyjść później.

Próbuję zamknąć drzwi, ale on je blokuje.

- Muszę porozmawiać z panną Russotti.

- Z którą? Są ich dwie. Starsza panna Russotti, znana też jako Julia, i młodsza panna Russotti, zwana Coco.

- Z tą, która jest odpowiedzialna za zorganizowanie bardzo głośnego przyjęcia, które trwało do piątej nad ranem, i przez które sufit w mojej kuchni jest absolutnie zrujnowany.

Zatkało mnie. Pewnie mieszka na parterze pod nami. Zaczynam gorączkowo myśleć. Jak mogę to naprawić?

- Och, bardzo przepraszam, ja zapłacę za ten sufit, proszę pana, ja...
- Czyli rozumiem, że nie było tu wtedy żadnych rodziców?
- O ile sobie przypominam moja współlokatorka Madeleine ma doświadczenie w opiece nad dziećmi, czy to się liczy?

- Nie bądź taka mądra.
- Jeszcze nigdy nikt nie powiedział mi, że jestem mądra - mówię,, okręcając palec kosmykiem włosów, próbując go trochę rozśmieszyć. Nikt nie może się długo bocyć, gdy się go rozśmieszy, to fakt.

Jego twarz lekko się rozjaśnia, a potem znów zachmurza, tak jakby zmarszczki utrudniały mu zmianę mimiki.

- Po prostu zawołaj Julię.
- Tak, proszę pana. Czy zechce pan poczekać w środku?
- Jeśli sądzisz, że chciałbym zobaczyć, jak ten dom wygląda dziś rano, to się grubo mylisz.

- Powiedział pan mylisz czy myślisz?
- Mylisz.
- Już idę po Julię.

Wbiegam po schodach, przeskakując pozostałości po imprezie i pukam do drzwi sypialni Julii.

- Juluś? - zerkam do środka.
Ani śladu Julii, jest tam tylko Angie i jakiś wysoki facet, angielski lord, którego poznała w Londynie w Cartier Polo (nie, nie żartuję). O ile pamiętam, widziałam ich jak się zabawiali w pralni po zakończeniu gry w „prawda czy wyzwanie”, którą Angie nazywa „wyzwanie albo wypad z gry”. O kurczę, mam nadzieję, że nie pieprzyli się na pralce. Jest w niej moje pranie. Ciągle zapominam, żeby je wyciągnąć, a od leżenia znów ma dziwny zapach, więc muszę je ponownie prać. Oj, przepraszam. Zmieniam temat.

- Angie! Do diabła, obudź się!
Potrząsam nią, ale słychać tylko, jak cicho chrapie i chowa się głębiej w pościeli. Wygląda jak upadły anioł z poważnym

uzależnieniem od konturówki do oczu. I po prostu nie da się jej dobudzić po całonocnej imprezie.

Julia się wścieknie, gdy się o tym wszystkim dowie. Między nią a Angie jeszcze nie nawiązała się tak zwana nić porozumienia. Moja wina: namówiłam Julię, by pozwoliła Angie wprowadzić się, zanim w ogóle ją poznała. Rodzice Angie załatwili jej pracę asystentki jakiejś fotografki jedzenia w Chelsea i musiała gdzieś mieszkać. A Angie jest, jakby na to nie patrzeć, moją najlepszą przyjaciółką od chwili moich narodzin. (Dosłownie. Nasze mamy poznały się na oddziale położniczym.)

Wtedy weszła Julia i powiedziała: „To jakaś nora, ale jest retro, więc może być”, i zapaliła papierosa. Julia nie była zachwycona tym zachowaniem.

-Angie! Wstawaj. Do diabła. No już.

- Pia? — spogląda na mnie spomiędzy swoich długich platynowych włosów.

- Musiałam spać tutaj, bo w moim łóżku ktoś zorganizował sobie trójkącik.

- O fuj... - odpowiadam z grymasem, wyciągając Angie z łóżka. - Pomóż mi. Totalna załamka.

- Już tak cholernie nie dramatyzuj. Hugh, stary, pobudka! Hugh podnosi się za nią, wciąż się chwiejąc. Ma bardzo elegancki brytyjski akcent.

- Niesamowita impreza - mówi jak brytyjska królowa. Jest bardzo przystojny jak młody książę William z gęstszą czupryną.

Gdy tylko lord wychodzi, Angie oblizuje, a następnie wacha swoją dłoń, by sprawdzić swój poranny oddech.

- No tak, dość ohydny. Co się stało mała?

- Wszystko. Musimy znaleźć Julię.

- Kumam. Angie jest nadal ubrana w krótką wyjściową sukienkę, którą miała na sobie zeszłej nocy i wsuwa na nogi parę śniegowców z szafy Julii. — Masz na szyi malinkę.

- A niech to! Kto jeszcze robi malinki!?! - chwytam podkład Julii, by ją zatuszować. Uh, dlaczego wybrała ten odcień? Zupełnie do niej nie pasuje. Przepraszam, taka mała dygresja.

Idziemy na górę. Angie patrzy intensywnie na zamknięte drzwi do swojej sypialni. - O Boże, ja nie znoszę trójkątów. Absolutnie. To się robi wyłącznie dla szpanu.

Angie uśmiecha się złośliwie, a następnie otwiera drzwi jednym wykopem w stylu karate.

- Koniec przedstawienia panienki! Wypieprzać z mojego domu.

Dwie dziewczyny, których w życiu nie widziałam, i wysoki brunet, którego ledwo rozpoznaję ze studiów, przechadzają się po pokoju Angie.

- Pia, skarbie! - mówi ten facet, zakładając koszulę. - Całą noc cię szukałem. Pamiętasz tę imprezę na pierwszym roku? Trochę Vicodinu, odrobina teaquilli...

Wzdrygam się. Teraz go pamiętam.

- Wynocha - mówi ostro Angie. - Ale to już.

- Sucz - woła ten facet, schodząc po schodach.

- Naskocz mi! - odkrzykuje Angie i wchodzi do pokoju. - Kurwa! Będę musiała spalić tę pościel - mamrocze do siebie Angie.

Słyszę skrzypienie zawiasów. To Madeleine, właśnie wyszła z łazienki w nieskazitelnie białym szlafroku, z włosami zwiniętymi w idealny turban z ręcznika.

- Dzień dobry! - mówię, uśmiechając się najniewinniej, jak potrafię.

Madeleine idzie cicho do swojego pokoju i zatrzaskuje drzwi. Typowe. Dobrze, że nie dodałam, że „a tak przy okazji, twój brat leży nagi w moim pokoju”.

Z trudem pokonuję ostatni bieg schodów, w końcu docieram do pokoju Coco na strychu i pukam. Julia musi tu być. To ostatni pokój.

- To ja... - mówię, powoli otwierając drzwi.

Julia siedzi na łóżku, wciąż ma na sobie to samo ubranie co zeszłej nocy, ale mimo to wygląda, jak zawsze, nienagannie, a obok niej Coco, schyla się nad plastikowym wiaderkiem tak, że widać tylko jej krótkie blond włosy i, o Chryste!, ona wymiotuje.

- Coco! - wołam. - Czy jest ci niedobrze?

- Brawo Sherlocku - mówi Julia.

- Wszystko w porządku! - głos Coco odbija się stłumionym echem w wiaderku. - W porządku. O Boże, niedobrze, mi...

- słycać głośne odgłosy wymiotowania. - O mamó! To jest zielone! Och Julia, to jest zielone, czy to bardzo źle?

- To żółć - odpowiada Julia, masując plecy Coco i mierząc mnie gniewnym wzrokiem. Wściekła, a przy tym pełna siostrzanej miłości, wszystko to jednocześnie.

- Muszę porozmawiać z Pią. Postaraj się powstrzymać wymioty, dobrze? - Ma głęboki pewny siebie głos, szczególnie ostatnio. Tak jakby w momencie ukończenia studiów zdecydowała, że teraz nadeszła pora, by za wszelką cenę zachowywała się jak dorosła.

- Może schudnę - z wiaderka słycać głos Coco.

Zamykam drzwi do pokoju Coco i idę za Julią w stronę maleńkiego występu na szczycie schodów. Jest mi niedobrze. Nienawidzę konfrontacji.

- Przepraszam - mówię od razu. - Pewnie jesteś zła z powodu tej imprezy.

- Mówiłaś, że to będzie mała parapetówka - przerywa mi Julia. - A wyglądało to jak karnawał w Rio tylko bez kostiumów.

Nienawidzę, gdy ktoś mnie upomina. Przecież wiem, że nawaliłam. I nie zrobiłam tego specjalnie. Nigdy nie wiem, co powiedzieć, więc po prostu gapię się w przestrzeń i czekam, aż się to wszystko skończy.

- Mówiłam, żadnych szalonych imprez. Taka była umowa, gdy się wprowadzałyśmy.

Boże, Julia potrafi wzbudzić respekt, gdy tylko zechce.

- Co ty do cholery sobie wyobrażałaś, Pia?

- Po prostu tak, hmm..., wyszło... - odpowiadam, zagryzając wargę. - I za to też przepraszam, hmm..., przed drzwiami stoi starszy facet. Powiedział, że mu się sufit zawalił. Ja za to zapłacę! Mam pieniądze.

- Vic? - mówi Julia z niepokojem w głosie. - Przysięgam na Boga, Pia, nie będę mogła z tobą mieszkać, jeśli będziesz się tak, kurwa, zachowywać przez cały czas. Mówię serio!

Wyrzuci mnie z Rookhaven?

- Już nie będę! - krzyczę. - Przepraszam! Nie denerwuj się tak!

- Zaczynij sprzątać! - krzyczy, pędząc na dół po schodach.

Wyrzuci mnie. Myślałam, że w końcu mam swoje miejsce, które nie jest tymczasowym lokum, i w którym nie będę musiała zakładać kłapek pod prysznic. Ale po raz kolejny sama sobie zgotowałam ten los. Albo nawarzyłam piwa. Nieważne.

Wracam do pokoju Coco.

- Czy coś ci przynieść, skarbie? Miałam gdzieś Gastrolit...

- Nie... - odpowiada chrypliwym głosem Coco, uśmiechając się do mnie anielsko znad poduszki. - Dobrze się wczoraj bawiłam. Byłaś przezabawna.

- O, no cóż, to dobrze.

Co takiego u diabła robiłam?

Na podłodze Coco leżą setki książek. Wydaje mi się, że zazwyczaj są na półkach w salonie. Są stare i podarte. Wśród nich tytuły, takie jak *What Katy Did Susan Coolidge* i *Are You There God? It's Me, Margaret* Judy Blume. Pamiętam, że uwielbiałam *What Katy Did*. Druga część, *What Katy Did at School*, była jednym z powodów, dla których sądziłam, że szkoła z internatem będzie super. Głupia książka.

- Dlaczego one tu leżą? - pytam.

- Nie chciałam, by ktoś, no wiesz, zniszczył je podczas imprezy - mówi Coco. - Więc wybrałam wszystkie te, które najbardziej lubiła moja mama i przyniosłam je tu na górę.

- Musiało ci to trochę zająć - stwierdzam.

- Za każdym razem, gdy szłam po kolejną partię, wypijałam setkę... -
Coco znów zaczyna wymiotować.

- Hej laseczki - mówi Angie, przechadzając się z niezapalonym papierosem w kąciku ust.

- To dla ciebie, Panienko Coco.

Jakimś cudem Angie znalazła lodowato zimną puszkę coli.

- O rany, dzięki! Zwykle pijam dietetyczną colę, ale...

- Uwierz mi, ta będzie dla ciebie o wiele lepsza. No dobrze dzieci, mam już oficjalnie dość tego poimprezowego bajzlu. Sprzątamy.

W tym momencie dzwoni mój telefon. Numer zastrzeżony.

- Tak słucham?

- Pia, tu Benny Mansi.

Benny Mansi jest prezesem agencji PR, w której pracuję. Moi rodzice znają się z jego rodziną i w czerwcu załatwili mi rozmowę o pracę, którą zaczęłam w zeszłym tygodniu. Dlaczego dzwoni do mnie w niedzielę? Czy to normalne? Może to jakaś pilna sprawa związana z PR-em!

Przybieram profesjonalny ton..

- Witam! Co się stało?

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ktoś zamieścił na Fa-cebooku twoje zdjęcie, jak tańczysz toples na stole i pijesz butelkę rumu Captain Morgan?

ŁUP. Czuję się tak, jakbym dostała w twarz lewym sierpowym.

- Yyym, ja...

- Pia, musimy cię zwolnić przed zakończeniem okresu próbnego.

ŁUP. Kolejny cios.

- Wyrzuca mnie pan z pracy za to, że zorganizowałam imprezę?

- Firma Captain Morgan jest jednym z naszych największych klientów - mówi Benny. - Jako nasz pracownik repre-

zentujesz agencję. Na Facebooku twoimi znajomymi są również współpracownicy z mojej firmy. Zdjęcie było podpisane, oni je widzieli. Przyklaskuję twojemu towarzyskiemu podejściu do relacji w biurze, ale takie zachowanie jest po prostu... Jest nieprofesjonalne i całkowicie niedopuszczalne, Pia.

- Wiem.

Z przerażenia oblewa mnie strumień zimnego potu i jest mi niedobrze, gapię się na poźólkę, świecące w ciemności gwiazdy na spadzistym suficie w pokoju Coco. Już od bardzo dawna nie świecą w ciemności... O Boże, on nie może mnie zwolnić. Nie może mnie zwolnić po jednym tygodniu.

- Bardzo przepraszam, Benny. Cisza.

- Czy... czy powiedziałaś mojemu, yyym, tacie? Wzdycha.

- Dziś rano wysłałem mu maila. Nie napisałem, dlaczego cię zwalniamy.

Nie mówię nic, a jego głos łagodnieje.

- Widzisz Pia, to trudna sprawa. Kilka miesięcy temu zwolniliśmy wielu pracowników. Więc to, że zatrudniliśmy cię tylko dlatego, że jesteś córką znajomego, nie spodobało się kilku osobom, a do tego to zdjęcie... Naprawdę nie mogę nic zrobić. Przykro mi.

Rozłącza się.

Czuję na sobie wzrok Coco i Angie, ale nie mogę nic powiedzieć.

Straciłam pracę. I prawdopodobnie zostanę też wyrzucona z mojego domu. Po tygodniu mieszkania w Nowym Jorku.

Mój telefon znowu dzwoni. To moi rodzice. Przez kilka sekund gapię się na ekran telefonu, wiem, co usłyszę po drugiej stronie, wiem, co mnie czeka...

Zastanawiam się, czy Coco miałaby coś przeciwko temu, bym pożyczyła od niej wiaderko do wymiotowania.

Muszę być sama podczas tego, co ma się za chwilę wydarzyć, więc wracam na klatkę schodową i siadam. Słyszę jak Madeleine puszcza w swoim pokoju, na piętrze poniżej, jakąś niepokojącą muzykę, mieszającą się z dźwiękami rozmowy Julii, która stoi przy drzwiach frontowych na jeszcze niższym piętrze i stara się udobruchać zrzedzającego Vica.

I wtedy odbieram i staram się brzmieć jak dobra córka.

- Cześć tatusiu!

- Czyli już straciłaś pracę. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Nie mogę wydobyć z siebie ani jednego słowa. Tak mi się czasem zdarza. Dokładnie wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebuję. Zamiast głosu wydobywam z siebie cichutki piszczący dźwięk.

- Głośniej! - warczy mój ojciec. Pomimo tego, że mieszka w Stanach od dwudziestu lat ciągle ma nieco przerażający szwajcarski akcent.

- Prze... przepraszam, znajdę sobie inną pracę, naprawdę...

- Pia, tak się na tobie zawiedliśmy! - moja mama włącza się do rozmowy z drugiego telefonu. Ma mocny hinduski akcent, który pojawia się tylko wtedy, gdy jest zdenerwowana. Tak jak teraz.

- Chciałaś spędzić wakacje z Angie, więc za nie zapłaciliśmy. Chciałaś pracować, więc załatwiliśmy ci pracę. Powiedziałaś, że masz idealne miejsce do mieszkania, więc uzgodniliśmy, że pomożemy ci opłacać czynsz, choć o ile wiem, Brooklyn z pewnością nie jest idealnym miejscem do życia. Przynajmniej nie był, gdy tam ostatnio byłam.

- Nie masz żadnego szacunku dla pracy! Jesteś rozpieszczoną imprezowiczką! Czy znowu bierzesz narkotyki?

Przez lata doszli do perfekcji w naprzemiennym potępianiu mnie. W braniu mnie w krzyżowy ogień zarzutów.

- Szacunek dla pracy. Twoja matka ma rację. Nie potrafisz nawet utrzymać się w pracy... cóż. Coś ci opowiem.

Opuszczam głowę na kolana. Moi rodzice stosują mieszankę, która zabija moją pewność siebie: to ich wysokie standardy w połączeniu z niskimi oczekiwaniami wobec mnie.

A do tego tak potrafią wszystko przeinaczyć, że wygląda to jeszcze gorzej niż jest naprawdę. Powiedzieli mi, że jeśli będę miała dobre oceny, to zapłacą za moje wakacje, i że nigdy sama nie znajdę pracy, i sami zaproponowali mi kieszonkowe, więc. to chyba oczywiste, że je przyjąłem! Kto by nie przyjął?

- ... i tak właśnie poznałem twojego ojca, a potem się pobraliśmy i urodziłaś się ty, a potem żyliśmy - co mówisz? - długo i szczęśliwie...

Tak, akurat. Moi rodzice prawie ze sobą nie rozmawiają. Ich rozrywką jest praca (tato) i spotkania towarzyskie (mama). Poznali się w Nowym Jorku, gdzie się urodziłem, potem przeprowadzili się do Singapuru, Londynu, Tokio, Zurychu... Nim skończyłem dwanaście lat, chodziłem do międzynarodowych szkół amerykańskich, a potem zaczęli mnie wysyłać do szkoły z internatem. To znaczy, szkół z internatem.

- Pia, życie zaczyna się od pracy. Myślisz, że zawsze będziemy płacić za twoje błędy, że życie to ciągłe imprezy. Wiemy, że nigdy nie osiągniesz w pracy czegoś wielkiego, ale dzięki pracy...

- Człowiek ma powód, by rano wstawać!

- I tylko dzięki niej poznasz wartość pieniądza. Rozumiesz choć trochę, co chcemy ci wytłumaczyć?

Potakuję głupawo, gapiąc się na ścianę obok, na bardzo starą tapetę w paki róż. Na dole ściany tapeta zaczęła się od-klejać i zwijać jak wiórki po zastruganym ołówku. To pocieszający widok.

- Pia! — krzyczy moja matka. — Dlaczego jesteś nastawiona tak negatywnie? Dlaczego nas nie słuchasz? Czy mamy jeszcze raz połączyć się przez Skype'a?

- Nie, nie, nie mogę, mój Skype nie działa - odpowiadam szybko. Nie mogę znieść rozmowy przez Skype'a z moimi rodzicami. To tak cholernie intensywne.

- Wstrzymujemy twoje kieszonkowe, ze skutkiem natychmiastowym. Żadnych pieniędzy na czynsz, żadnej karty kredytowej na nagłe wypadki. Radź sobie sama.

- Co? A... ale przecież znalezienie kolejnej pracy trochę mi zajmie! - jąkam się spanikowana.

- Cóż, Bank Mamy i Taty będzie zamknięty, dopóki nie wrócisz i nie zamieszkaż z nami w Zurychu i nie zaczniesz tu pracować. Taka jest umowa.

- Nie ma mowy! - wiem, że brzmi to histerycznie, ale nic na to nie poradzę. - Tu są moi przyjaciele! Tu jest moje życie!

- Chcemy, żebyś była bezpieczna - mówi moja matka odrobinę łagodniejszym głosem.

Nagle do oczu napływają mi łzy.

- Martwimy się. A wygląda na to, że jesteś bezpieczna tylko wtedy, gdy jesteś z nami.

- Ja jestem bezpieczna.

- I chcemy, żebyś była szczęśliwa - dodaje.

- Ja jestem szczęśliwa! - głos mi się załamuje.

Ojciec mi przerywa: — Taka jest umowa. Za dokładnie dwa miesiące lecimy na wakacje w Palm Beach, będziemy przejeżdżać przez Nowy Jork. Jeśli do tego czasu nie zdobędziesz dobrze płatnej pracy, zabieramy cię z powrotem do Zurychu. Tam będziesz odcięta od wszystkiego, co ma negatywny wpływ na ciebie. Tak będzie dla ciebie najlepiej.

Nie mogę powstrzymać łez. Wiem, że popełniłam kilka błędów, ale Chryste!, przecież próbowałam je naprawić. Uczyłam się, dostałam się na świetną uczelnię... Oni nigdy nie są zadowoleni.

Jak to jest, że tylko oni potrafią sprawić, bym czuła się tak podle?

- No dobrze, zrozumiałam - mówię. - Muszę lecieć.

Rozłączam się i przez kilka sekund wpatruję się w odklejony i zwinięty skrawek tapety w pąki róż. Potem, prawie bez zastanowienia, oblizuję palec wskazujący i próbuję go wygładzić, tak by przylegał idealnie płasko do ściany. Ale on natychmiast zwija się z powrotem.

Jedną imprezą zniszczyłam swoje życie w Nowym Jorku. Zanim się jeszcze w ogóle zaczęło.

Rozdział 2

Gdy po chwili Julia wraca na górę, czerwona z wściekłości, ściska mnie w żołądku. Nienawidzę się kłócić. A ona jest w tym naprawdę dobra. Powinna była zostać prawnikiem.

- Zniszczyłaś sufit naszego sąsiada - warczy. - Zniszczyłaś. Dziś rano na głowę jego siostry spadł kawałek gipsu. Ona ma osiemdziesiąt, kurna, sześć lat, Pia!

- Czy coś się jej stało? O mój Boże, nie mogę wyrazić, jak...

- Nie, nic — odpowiada Julia. — To był tylko maleńki kawałek. Ale Vic jest wkurzony.

- Zapłacę za naprawę, obiecuję! - mówię ja. - Mam jakieś tysiąc sześćset dolarów. Mogę mu oddać całość.

To wszystko, co mam, i to ostatnie pieniądze od moich rodziców, ale muszę przekonać Julię, by mnie nie wyrzucała. - Przepraszam, Julia, nie sądziłam, że to wszystko tak się skończy.

- Co ty sobie... O czym ty w ogóle myślałaś?

- Po prostu... Myślałam, że będzie miło, że wszyscy się będą dobrze bawić... - nie mogę się przyznać, że piłam tylko dlatego, że to był 26 sierpnia. Nigdy nie rozmawiam o Eddie'm. Tylko Angie zna tę historię, tylko Angie widziała mnie w tamten dzień. - Poważnie, Juluś, nie chciałam zrobić nic złego... nie chciałam zniszczyć sufitu tego starszego faceta, to znaczy Vica.

- Vic i Marie są tu od zawsze. Na długo przed moim urodzeniem, czy urodzeniem mojej mamy — mówi Julia. — Są jak rodzina, rozumiesz?

Nagle wszystko staje się jasne. Jej mama tu dorastała. Tu zmarła na raka piersi jakieś osiem lat temu. Od tamtego czasu jej tato jest pogrążony w cichej żałobie. Potem zmarła jej ciotka Jo, więc jak sądzę Vic i Marie oraz Rookhaven, są ostatnią nitką łączącą ją z mamą. Nic dziwnego, że jest wobec nich taka czuła.

- Naprawię zniszczoną podłogę - mówię, starając się chwycić dłoń Julii. Nie opiera się, co biorę za dobry znak. - I kupię im kwiaty na przeprosiny. Jeszcze dziś. I nie pozwolę, by temu miejscu jeszcze kiedyś przydarzyło się coś złego. Obiecuję.

Julia bierze głęboki oddech i opiera się o ścianę, zamykając oczy. Wygląda na wyczerpaną, a przyczyną nie jest wyłącznie impreza. Jej praca - stażystki w banku inwestycyjnym - zaczyna się o szóstej rano codziennie, a Julia wraca po siódmej. To pierwszy etap jej planu zawojowania świata. Jest tak wyczerpana, że właściwie wygląda, jakby posiwiiała. I nawet nie ma kaca.

- A tak w ogóle to nieźle się wczoraj bawiłam.

- Co? - pytam.

Otwiera jedno oko, uśmiecha się delikatnie. - To była świetna impreza. Dobrze się bawiłam. Do momentu, aż Coco zaczęła robić striptiz w kuchni.

Zasłaniam usta ręką. - No coś ty.

- Wniosłam ją tu na górę. Tylko nic jej nie mów. Nic nie pamięta. Myślę, że tak będzie lepiej.

- Tak, wiem - mówię. - Tak samo jak ty nigdy nie pokazałaś wszystkim ludziom w barze swoich majtek podczas weekendu majowego.

- Dokładnie. Cholera, szkoda że nie miałam wtedy na sobie stringów.

Uśmiechamy się do siebie przez sekundę na to wspomnienie. Taką właśnie Julię znam i uwielbiam. Dziewczynę, która ciężko pracuje i potrafi też ostro zabalować. I dziewczynę, która zawsze chce wszystko robić tak jak należy. Ale jeszcze nie mogę jej powiedzieć, co się stało z moją pracą i rodzicami. Muszę to przetrwać (czyli na razie udawać, że się nie wydarzyło).

-Ale zaraz, zaraz - Julia przygląda mi się badawczo. - Włosy w nieładzie. Podkrążone oczy. I skóra podrażniona czymś zarostem. Pipi, miałaś wczoraj niezłą nockę! - wykrzykuje.

- Nie miałam! I nie nazywaj mnie Pipi!

- Czy już się pogodziłyśmy? - pyta słodkim głosem Angie, wyglądając z pokoju Coco. Okręca jedną nagą nogę wokół drzwi, przesuwając stopę, obutą w zimowe obuwie, w górę i w dół jak striptizerka kochająca meteorologię. - Czy znów się przyjaźnimy?

- To moje kozaki - mówi Julia. - Dlaczego je założyłaś?

- Chyba nie planujesz rychłego wyjazdu na narty? Angie mija nas dumnym krokiem, schodząc ze schodów. - Mamy sierpień. Oddam je w idealnym stanie, gdy tylko dom zostanie uprzątnięty po imprezie, dobrze, mamusiu?

Julia przewraca oczami i zbiega na dół. - Zaczynij sprzątać. Angie wyciąga środkowy palec w stronę Julii.

- Tak wygląda prawdziwa dojrzałość, Angie.

- Możesz mnie pocałować w moją dojrzałość.

- Jestem głodna.

- Zawsze jesteś głodna. Bierzmy się do roboty, sprzątajmy. Dziwnym trafem, kac i chichotanie z Angie poprawiają mi

humor i pomagają stłumić mój niepokój spowodowany strachem o to, co ja teraz zrobię. Angie przez cały czas wydaje z siebie delikatne jęki przerażenia na widok kolejnych poimprezowych pozostałości i wkrótce obie dostajemy ataku śmiechu.

- W moim własnym mieszkaniu nie będzie żadnych dywanów — odpowiadam. - Dywany aż się same proszą o kłopoty.

- Czy ktoś zgubił buta? I dlaczego zaprosiłyśmy na naszą imprezę kogoś, kto nosi mokasyny?

- Czy to czerwone wino czy krew? Nie. Czekaj. To sos pomidorowy. Dziwne.

- Stara, chcesz mi opowiedzieć, skąd masz tę malinkę? Spoglądam na Angie i z zakłopotaniem gryzę palec wskazujący.

- Bzykałaś się? Ty mała kokietko...

- Z jej bratem - szepczę, wskazując na drzwi pokoju Madeleine. - To takie małe ups.

Ups to nasze słowo oznaczające pijacki wybryk.

- Ale czy to ups typu: pocałowałam niewłaściwego faceta, czy ups pod tytułem: potknęłam się, a jego penis wylądował w moich ustach?

Wybucham śmiechem. Nikt nie ma tak ostrego języka jak Angie. Wygląda jak maleńki anioł bożonarodzeniowy, a zachowuje się jak żeglarz, który zażył Viagrę.

- A może to było takie ups, że ups on mnie tam liże i...

- Tu już przesadziłaś!

- Przepraszam.

- Nie mów Julii, bo musiałyby powiedzieć Maddy, i byłaby wielka afera.

- Oczywiście kochanie - mówi rewelacyjnie, imitując brytyjski akcent swojej matki. — Byłaś wczoraj zalana w trupa.

- Wczoraj był 26 sierpnia. To Międzynarodowy Dzień Gdy Pia Zalewa się w Trupa, pamiętasz? Zalać się i zapomnieć.

Cisza.

- Oj, kochana, przepraszam. Zupełnie zapomniałam. Eddie. Nie mogę zebrać się w sobie, by na nią spojrzeć. Tego dnia

widziała mnie tylko Angie, tylko Angie wie, jak było ze mną źle. Zawsze mówi, że dramatyzuję, ale wie też, że tamta rozpacz była prawdziwa. Takiego załamania nie da się zagrać.

- Nie chcę o tym gadać - mówię. Angie nie przestaje sprzątać.

- Na drzewo z nim, Pia. Dobra? Na drzewo z nim! Minęły cztery lata!
- kiwam głową, szorując tak zamasyście, jak tylko potrafię. Minęły cztery lata od naszego zerwania. I naprawdę powinnam dać sobie już z tym spokój. I wtedy, dzięki Bogu, Angie zmienia temat.

- A ja zamierzam wyprowadzić się do LA po wakacjach - mówi. - Tak naprawdę Brooklyn nie jest dla mnie, wiesz?

Ta wiadomość sprawia, że czuję jeszcze większy smutek, ale nie ma sensu walczyć z Angie. Ona robi, co chce. Zamiast tego z całych sił czyszczę schodek po schodku, plama po plamie. Udaje nam się posprzątać całą górę. Angie włącza jakąś muzykę i sprzątamy przy dźwiękach The Ramones, które idealnie pasują do poimprezowego klimatu. Słyszę jak Julia i Coco wyrzucają w kuchni puste butelki i co jakiś czas piszczą, natykając się na nieprzyjemne pozostałości imprezy. Dobry Boże, proszę, tylko nie narkotyki i zużyte kondomy. Proszę, oszczędź mi tego...

- O której skończyła się impreza? - pytam Angie.

- Około piątej. Z Lordem Hugh odprowadziliśmy ostatnich gości, gdy zaczynało świtać.

- On się wydaje taki... lordowy.

- Jest bardzo lordowy - przytakuje Angie. - Wie też jak obchodzić się z pralką.

- Załadowaliście bęben... — milknę i uśmiecham się do niej - do pełna?

- Tylko do połowy. Ale włączyliśmy płukanie. Bardzo dokładne... O popatrz. Połowa skręta. Jak miło.

Wchodzimy na pierwsze piętro i pomagamy Julii i Coco dokończyć sprzątanie kuchni, co zasadniczo oznacza umycie wszystkiego. Nic się tak nie lepi jak czterdziestoletnie linoleum.

- To dopiero była harówka - mówi Julia, pocierając czoło przedramieniem. - Pralnia jest zalana. To dlatego zapadł się sufit Vica.

- Naprawię to - mówię ponownie.

- Oj tak, wiem.

- Wymyłam łazienki - mówi lodowaty głos. Spoglądam w górę i widzę Madeleine trzymającą mopa i wiaderko. - Były absolutnie odrażające.

- Dzięki, Mumu - mówi Julia. Madeleine przewraca oczami w reakcji na przezwisko, którego użyła Julia. Twierdzi, że go nie znosi. Przeciska się obok mnie w stronę zlewu, w geście sympatii ciągnie Julię za kucyka. Jest taka miła pod tą zimną i sztywną fasadą, tylko nie wobec mnie. Już nie.

No dobrze, oto w skrócie historia o Madeleine i o mnie: kiedyś się przyjaźniłyśmy. Byłyśmy naprawdę dobrymi przyjaciółkami. Właściwie, na pierwszym roku studiów Madeleine, Julia i ja byłyśmy nierozłączne. Bardzo się od siebie różnimy, ale jednocześnie coś między nami... grało, na zasadzie przyciągających się przeciwieństw.

I wtedy, nagle, pod koniec pierwszego roku, Madeleine po raz pierwszy w życiu strasznie się upiła. Ni stąd, ni zowąd powiedziała, że mnie nienawidzi. Trzymałam jej włosy, by mogła swobodnie wymiotować, a ona powtarzała w kółko: „Nienawidzę cię. Nienawidzę cię, Pia, nienawidzę cię”. Potem zasnęła. Następnego dnia, próbowałam z nią pogadać, ale zamknęła się w sobie i od tamtej pory prowadzimy ze sobą zimną wojnę. A teraz jej brat leży nagi w moim łóżku.

Hmm.

A tak między nami, nie wprowadziłabym się tutaj, gdybym wiedziała, że Madeleine też tu zamieszka. Julia prawdopodobnie miała nadzieję, że się pogodzimy, że wszystkie zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami i będziemy sobie pożyczać ciuchy i tym podobne. Nie sądzę, by to się mogło udać. Choćby dlatego, że Julia jest teraz zajęta swoją własną małą zimną wojną z Angie.

Godzinę później, w całym Rookhaven poza kaczem nie ma widocznych pozostałości po imprezie.

- Doskonale - mówi Julia i uśmiecha się, rozglądając się po salonie.
- Daj spokój, staruszek Rookhaven nie był doskonały już za rządów Eisenhowera — mówi Angie.
- Nie nazywaj tego domu staruszką — odparowuje Julia. - Jeśli tak ci się tu nie podoba, zawsze możesz się wyprowadzić.
- A kto mówi, że mi się nie podoba? - odpowiada Angie.
- Mnie się tu podoba tak jak jest - mówię.
- A ja go uwielbiam. I uwielbiam Brooklyn. Jestem prawdziwą dziewczyną z Brooklynu - Angie uśmiecha się do nas wszystkich słodko.
- Czy możemy coś zjeść? Proszę! - mówię, by odwrócić ich uwagę od rozpoczynającej się kłótni.
- Umieram z głodu.
- Zrobię francuskie tosty! - to Coco. Próbuje wmusić w nas pyszne domowe jedzenie, odkąd się tu wprowadziłyśmy. - Wszyscy do kuchni!
- Będę za minutkę - mówię w odpowiedzi. Czas załatwić sprawę. Wicie z kim.
- Hej - Mike przeciąga się. Ledwo otworzył oczy. Wygląda o wiele lepiej, gdy jest gładko ogolony i ma na sobie wyprasowaną koszulę. - Gdzie byłaś? Chcesz się poprzytulać?
- Wybucham śmiechem. - Poprzytulać?
- Wszyscy teraz tak robią. No chodź...
- Zakładam swoje okulary słoneczne i biorę głęboki oddech.
- Mike, twoja siostra mnie zabije, jeśli się o tym wszystkim dowie, może po prostu... Udawajmy, że to się nie wydarzyło, dobrze?
- Dobra. W porządku. Jak chcesz.
- O rany, potrafi być naprawdę niemiły, gdy coś idzie nie po jego myśli.
- Mówię poważnie. Ona i bez tego mnie nie lubi.
- Naprawdę?

-Tak...

Nagle dochodzi do mnie, że opowiadanie Mike'owi o tym, jaką zdzirą jest jego siostra, nie jest najlepszym pomysłem.

- Ale, wiesz. Pewnie po prostu sama sobie coś ubzdurałam.

- Maddy trudno rozgryźć - mówi. - Zawsze trzyma dystans. Nawet przy mnie, a jesteśmy przecież rodziną. Myślę, że to tylko brak pewności siebie.

Staram., się nie przewracać oczami. Mam dość tego, że wszyscy uzasadniają wszystko brakiem pewności siebie. Nie można tym tłumaczyć wszystkiego.

- Nieważne. Jesteśmy wszystkie w kuchni. Poczekaj 10 minut i będziesz mógł wyjść niezauważony.

- A może po prostu wyjdę oknem i zjadę po rynnie?

- Byłoby cudownie! Naprawdę mógłbyś? — mówię tylko po to, by zobaczyć jak zareaguje. - Żartowałam. Cześć.

Dzięki Bogu już po wszystkim. Mam ważniejsze rzeczy na głowie. Jak choćby to, że jestem bezrobotna, spłukana i odcięta od tak zwanego Banku Mamy i Taty (gdzie odsetki spłaca się poczuciem winy!). A do tego grozi mi, że będę musiała opuścić Nowy Jork za dokładnie osiem tygodni.

Jeśli kuchnia może wyglądać na babciną, to ta właśnie taka jest. Ogromna, ale też przytulna, jak kuchnie z seriali z lat sześćdziesiątych. To taka kuchnia, w której zawsze pieką się ciasta, ciastka i ciasteczka. Wiecie, prawda? Moja matka nigdy niczego nie piekła.

Gdy tak siedzimy wokół kuchennego stołu, słuchając Lionela Richie i jedząc fantastyczne francuskie tosty z bekonem, które przyrządziła Coco, w końcu wyznaję im wszystko. O zdjęciu na Facebooku, o pracy i nawet o moich rodzicach.

- W skrócie: zniszczyłam Rookhaven, jestem bezrobotna, nigdzie nie znajdę pracy i nie mam kasy - mówię ze smutkiem, bawiąc się jedzeniem na moim talerzu. - Nie wiem, co robić.

Kto traci pracę po pierwszym tygodniu? Nic mi nie wychodzi... Jeśli nie znajdę nowej roboty, moi rodzice zmuszą mnie, bym zamieszkała z nimi.

- Nie możesz się na to zgodzić! - W jakiś sposób Angie udaje się wyglądać super, nawet gdy mówi z ustami pełnymi bekonu. - Nie przeżyłabyś tego! Twój rodzice nie mogą tobą rządzić.

- Oj, uwierz mi, mogą! - odpowiadam. - Nigdy się im nie postawiłam. Po prostu robię, co mi karzą, a potem ich unikam.

- Brzmi zdrowo - mówi Julia.

Wzruszam ramionami. Czy ktokolwiek ma zdrowe relacje z rodzicami?

- Nie mogę uwierzyć, że cię zwolnili! - mówi Coco. - To musiało być okropne. - Nachyliła się nad stołem, by mnie przytulić. Już drugi raz tego samego dnia muszę się mocno starać, żeby się nie rozplakać. Naprawdę chciałabym częściej płakać, kiedy ludzie są dla mnie mili, niż wtedy gdy są okropni.

- Yhm - mówi Madeleine. - Kto by pomyślał, że tańczenie toples na imprezie może mieć takie konsekwencje?

- Miałam na sobie stanik!

- Pia, to był przezroczysty stanik.

- Przestań Maddy - Julia nakłada sobie kolejny kawałek francuskiego tosta na talerz. Nie słyszę, by mówiła coś o tym, że będę musiała się wyprowadzić.

- Słuchaj, mam mnóstwo kasy, nie dam ci umrzeć z głodu... czy z pragnienia - Angie bierze palcami kawałek chrupiącego bekonu i macza go w syropie klonowym, a potem ścisza głos. - I wydaje mi się, że zalanie pralni to była nasza, to znaczy moja wina. Dołożę się do naprawy.

- Ja też ci mogę pożyczyć - mówi szybko Julia ze swoim ambicjonalnym podejściem do życia.

- Nie wariujcie! - nie mogę przyjąć jałmużny. Nie przyjmę. — Gdybym tak bardzo potrzebowała pieniędzy, to bym poszła do banku, wzięła pożyczkę.

- Oszalałaś? Weźmiesz pożyczkę? Miałabyś odsetki nie z tej ziemi, a pożyczka stawałaby się coraz większa i nigdy byś jej nie dała rady spłacić! Nie masz zdolności kredytowej! To by ci zniszczyło życie! - O kurczę, Julia naprawdę się przejęła tym pomysłem wzięcia pożyczki.

- No dobra, Jezu, nie pójde do banku - odpowiadam. - Poza tym, tak naprawdę nie o to chodzi. Rzecz w tym, że potrzebuję pracy i po prostu nie mam pojęcia, co mogłabym robić.

- Co studiowałaś? - pyta Coco.

- Historię sztuki.

- Jesteś historykiem... sztuki? Przy stole słycać chóralny chichot.

- Tak, wybrałam bardzo niepraktyczny kierunek. Nie, nie wiem dlaczego.

- Pewnie dlatego, że nieźle się nazywało - mówi Angie, pokazując mi swój najlepszy uśmiech typu: jestem taka pomocna.

Unoszę brew w odpowiedzi, dając jej znać, że nie pomaga.

- Wyobrażam sobie, że mogłabyś pracować w czasopiśmie o modzie - mówi Coco, zeskakując z krzesła. - Komu jeszcze kawy?

- Ja poproszę! - wołają Julia i Angie jednocześnie, posyłając sobie gniewne spojrzenia.

- Nie jestem dobra w pisaniu - odpowiadam. - Poza tym, wszystko wyglądałoby jak w filmie *Diabeł ubiera się u Prądy*. A przez modelki czułabym się beznadziejnie.

- Poza tym bardzo trudno jest dostać pracę w jakimkolwiek miejscu, które jest związane z modą - mówi Angie. Przez sekundę zastanawiam się, czy wie to z własnego doświadczenia. Zanim zdążę zapytać, podnosi telefon, by przeczytać SMS-a.

-Ale ja muszę zarabiać teraz - mówię. I, dodaję w myślach, im ciekawsza praca, tym gorsze wynagrodzenie. Moje wynagrodzenie za pracę w agencji PR - która nie jest przecież

aż tak ciekawa w porównaniu z na przykład z pracą związaną z modą, czy w telewizji, czy w czymś podobnym — wynosiło 35 tysięcy dolarów na rok. Jeśli je podzielić na dwanaście miesięcy i odjąć rachunki za czynsz i media, zostaje około 25 dolarów na dzień. Nie oszukujmy się, jedna wizyta u kosmetyczki w Nowym Jorku to minimum 150 dolarów. Jak przetrwać z takim wynagrodzeniem, by starczyło na jedzenie, nie mówiąc już o życiu towarzyskim?

Julii włącza się teraz tryb „ja ci pomogę”.

- Zróbmy listę twoich umiejętności i doświadczeń. Co robiłaś w tej agencji PR w zeszłym tygodniu?

Przypominam sobie.

- Udawałam, że nie piszę przez cały czas maili do swoich znajomych, uczestniczyłam w zebraniach, które dotyczyły rzeczy, o których nie miałam bladego pojęcia i obsesyjnie patrzyłam na zegarek... Przysięgam, że prawie zasnęłam przy moim biurku jakieś dwadzieścia razy.

Wszyscy (poza Madeleine) śmieją się, chociaż, szczerze mówiąc, było to dość smutne.

Czy właśnie to mam robić przez resztę życia?

- Jeśli potrzebujesz szybkiej gotówki, idź do pracy tam, gdzie ją dostaniesz, dziewczyno - mówi Julia. - Zostań kelnerką, barmanką.

Mrugam powiekami, patrząc na nią.

- Miałabym pracować fizycznie?

Madeleine parska szyderczym stłumionym śmiechem. Ignoruję ją. Przecież to miał być żart. Tak jakby.

- Z takim nastawieniem księżniczki masz przechłapanie - mówi Julia.

- Ja chcę dostać jakąś prawdziwą pracę. Taką, która zrobi wrażenie na moich rodzicach, a to oznacza jakąś pracę biurową. Taką, w której będę miała oficjalny adres mailowy.

- Więc wyślij swój życiorys do agencji pośredniczących w zatrudnieniu osób w branży PR na Manhattanie - mówi

Julia. - Potem olśnij ich tym, jaka jesteś błyskotliwa i inteligentna, i wspaniała. Każda agencja PR na Manhattanie będzie szczęśliwa, mogąc cię zatrudnić! - No dobra.

Czasem dobrze jest mieć apodyktyczną najlepszą przyjaciółkę. To bardzo ułatwia podejmowanie decyzji.

Rozdział 3

- Pia Keller?

Wstaję z uśmiechem, który ma mówić: „Witaj!-jestem-bardzo - odpowiednią- kandydatką-na - to - stanowisko”, wyćwiczonym podczas moich czternastu dotychczasowych rozmów o pracę.

Bridget, konsultantka, która z trudem zgodziła się, by „porozmawiać o prawdopodobieństwie” mojego zatrudnienia, uśmiecha się niewyraźnie i podaje mi dłoń wiotką jak martwa ryba. Moja mama ocenia kobiety po butach, a ja w ciągu minionego tygodnia, nauczyłam się oceniać je po uścisku dłoni. Słaby uścisk raczej nie wróży niczego dobrego.

Podążam za Bridget, która wychodzi z recepcji, idzie wzdłuż wąskiego korytarza do maleńkiego pokoju konferencyjnego. Przez sekundę myślę o tym, by odwrócić się i wyjść. Wiem dokładnie, co się zaraz wydarzy i z trudem zmuszam się, by przejść przez to wszystko jeszcze raz.

Ale potrzebuję pracy. Naprawa sufitu Vica kosztowała ponad dwa tysiące dwieście dolarów, które zapłaciłam na połowę z Angie. Nalegała, chociaż nie jestem pewna, czy to ona i Lord Hugh zalali podłogę; hydraulik powiedział, że odpływ był zatkany niedopałkami. Ostatnie dziesięć dni pochłonęły pozostałe pięćset dolarów. Wydałam je na jedzenie, metro, tampony

i szampon - no wiecie, na życie. To równie bolesne jak oczywiste, że Nowy Jork jest drogim miastem. W tej dokładnie sekundzie mam przy sobie jedynie osiem dolarów. I zero pieniędzy na koncie. Absolutne zero.

Nie mam wyboru, nie mogę stąd wyjść.

- Usiądź proszę - Bridget wyciąga z kieszeni małą butelkę płynu dezynfekującego i wciera kilka kropel w dłonie. - Opowiedz mi Q sobie.

- No cóż - próbuję wyglądać na dziewczynę pewną siebie, a nie na splukaną desperatkę. - Yyy, mam na imię Pia Keller, mam dwadzieścia dwa lata i ukończyłam historię sztuki na Uniwersytecie Browna.

- Dlaczego wybrałaś historię sztuki?

- Fascynuje mnie sposób, w jaki sztuka odzwierciedla społeczno-polityczny klimat, w jakim została stworzona - odpowiadam. Brzmi nieźle, prawda? - Niestety kierunek ten nie przygotowuje do zbyt wielu zawodów, chyba że chce się być historykiem sztuki! - uśmiecham się. Ona nie. One nigdy się nie śmieją. Nie powinnam już więcej o tym wspominać.

- A jakie odbyłaś praktyki...?

- Hm, moi rodzice mieszkają w Europie, a jesteśmy ze sobą bardzo związani, dlatego wakacje spędzałam z nimi, co niestety nie dawało wielu okazji do odbycia praktyk.

Jak się zapewne domyślacie, to nie jest do końca prawda. Po prostu nigdy nie wiedziałam, jaki rodzaj stażu by mi odpowiadał, a Angie zawsze miała zaplanowane super wakacje, więc zamiast szukać praktyk, spędzałam ten czas z nią.

- I teraz chcesz pracować w firmie PR. Dlaczego?

- Uwielbiam public relations! Lubię tworzyć informacje i za pomocą odpowiednich środków przekazu budować wizerunek firmy, lubię... - przerywam, próbując przypomnieć sobie jeszcze raz, dlaczego podobałaby mi się praca w PR. Brzmi nieźle i poza tym nie wiem, co innego mogłabym robić. - Chcę pomagać firmom, to znaczy, markom, budować

ich odpowiednią rozpoznawalność i organizować eventy, o których będzie głośno, i które wywrą pozytywny wpływ na społeczeństwo.

Oh, Pia. Ty skończona kretynko. To było żałosne.

- Mój problem wygląda tak, Pia - Bridget składa ręce, jakby się modliła. - Jesteś bardzo młoda. Nie masz niezbędnych kwalifikacji. Brak ci doświadczenia. Nie masz żadnych umiejętności. Zasadniczo nie da się ciebie zatrudnić.

-Uhm...

- Dlaczego jakakolwiek firma miałyby płacić ci miesięczne wynagrodzenie, jeśli nie możesz jej pomóc w zwiększeniu zysków? Nie wspominając już o tym, ile czasu i zachodu straciłaby na twoje szkolenie. A przecież w żaden sposób nikt nie jest w stanie stwierdzić, czy to będzie dobra inwestycja.

Wyciąga ręce do przodu, z dłońmi zwróconymi do góry, jakby sprawdzała, czy będzie padało.

- Nie ma doświadczenia. Nie ma pracy.

Każda rozmowa o pracę, którą do tej pory przeszłam, kończyła się właśnie w tym miejscu.

-Ale jak mam zdobyć doświadczenie, nie mając pracy! - W moim głosie słychać źle skrywane tony paniki. - Co mam zrobić?

Widzę, jak uśmiecha się zadowolona z siebie. Czy zauważyliście, że niektórzy ludzie nigdy nie przegapią okazji, by powiedzieć innym, w jak głębokim są gównie?

- To trudny rynek. Tak jest wszędzie, w reklamie, marketingu, w mediach cyfrowych... Pracę dostają tylko najlepsi i najbystrzejsi.

- Czyli nie ja - mówię, licząc na jej uśmiech. Nieuśmiechnięta Bridget wstaje.

- Zanim wyjdiesz, mamy tu taki zwyczaj, że nagrywamy na video krótką charakterystykę kandydatów, niezależnie od tego, jak bardzo są nieobiecujący.

- Jacy...? - Nieobiecujący? A to suka.

- Krótka charakterystyka. Cztery sekundy - mówi, prowadząc mnie do biura opartego na otwartym planie. Klaszcze w ręce, by zwrócić uwagę swoich kolegów i koleżanek z pracy.

- Słuchajcie! To jest Pia. Dave, zrób nagranie!

Jakiś facet ze zbyt dużą ilością żelu we włosach kieruje na mnie obiektyw kamery cyfrowej.

- Kim jesteś? I czego szukasz?

Cała sala ludzi gapi się na mnie, ich twarze są znudzone lub obojętne, a mnie zalewa fala przerażenia.

Nienawidzę występów publicznych. Nawet gdy już coś mówię, nienawidzę siebie za to, że jestem tak beznadziejna. To tak, jakbym stała tuż obok i przez cały czas mówiła do siebie „jesteś straszną kretynką”.

Nie mogę.

- Jedziesz! - mówi Dave.

- Mam na imię - zaczynam i mój głos załamuje się i znika. W głowie jeszcze dźwięczy mi głos Dave'a. „Kim jestem? I czego szukam?”

- Głośniej! - krzyczy Bridget.

Szybko odchrząkuję i zaczynam raz jeszcze, mamrocząc i mówiąc szybciej niż normalnie.

- Nazywam się Pia Keller. Mam dwadzieścia dwa lata. Wszyscy na mnie patrzą, wszyscy pewnie myślą o tym, jaka jestem głupia. Chcę wyglądać na osobę inteligentną, chcę, by mnie zapamiętali. O Boże!... Co za presja.

- I szukam pracy... To znaczy takiego zajęcia... które... Yy, bym pokochała.

Jak mogłaś powiedzieć coś tak głupiego, Pia.

- Tego właśnie... tego właśnie... ja... No tak. Zamknij się.

Dave rozsiada się w krześle, a na jego twarzy pojawia się grymas dezaprobaty, którego, jak zapewne sądzi, nie zauważę. Na moment zapada śmiertelna cisza. Wstydę się tak, że aż czuję ból.

Chwilę potem wszyscy wracają do swoich laptopów. Mnie już nie widzą, zapomnieli, byłam nieważnym przerywnikiem w ich dniu pracy. Kolejna durna absolwentka, która nie potrafi sklecić jednego zdania.

Przed wejściem do windy, próbuję się uśmiechnąć, ściskając wiotką dłoń Bridget.

Nigdy nie dostanę pracy.

Nigdy nie zarobię żadnych pieniędzy. Nie będę mogła zapłacić za czynsz w Rookhaven, nie żeby to miało jakieś znaczenie, bo przecież moi rodzice i tak przyjadą po mnie i zmuszą mnie, bym zamieszkała z nimi w Zurychu. Żebym podjęła się jakiejś nudnej jak flaki z olejem pracy. Będę samotna, zawsze, do końca życia.

W chwili gdy zamykają się drzwi windy, nagle czuję, jakby dookoła mnie było coraz mniej powietrza. Opieram się o ścianę windy, próbując wziąć oddech. „O Boże, proszę, nie, tylko nie atak paniki, nie teraz...”.

I wtedy coś szarpie mnie za żołądek, a w twarzy czuję mrowienie i wiem dokładnie, co się stanie za około trzy sekundy.

Zwymiotuję.

Wciskam wszystkie guziki i winda zatrzymuje się z szarpnięciem na piątym piętrze, a ja wybiegam z obłędem w oczach, wypatrując drzwi do toalety. „Gdzie one są, do cholery, zaraz się porzygam, wiem o tym, wiem...”.

Ułamek sekundy później padam na kolana, podpierając się rękoma i wymiotuję do pustego kosza na parasole, który stoi przed drzwiami do jakiegoś biura. Ten kwaśny, wodnisty strumień wymiocin jest poza moją kontrolą i gdy się kończy, wycieram usta w rękaw marynarki i opieram czoło o ścianę, oddychając z ulgą.

No cóż, witajcie nudności wywołane stresem. Znów się spotykamy.

Przynajmniej nie był to pełnoobjawowy atak paniki. Nie miałam ich od kilku lat, nie było żadnego naprawdę znaczącego od czasu, tak, zgadliście, od 26 sierpnia.

Spoglądam w dół na kosz, do którego zwymiotowałam. Nie mogę tu tego zostawić, by ktoś inny musiał to posprzątać, prawda? To ohydne.

Pięć minut później wychodzę z budynku na ulice Broadwayu z największą pewnością siebie, na jaką mnie w tej chwili stać, niosąc skradziony kosz na parasole pełen moich wymiocin.

No cóż. Kolejne spotkanie zakończone niewiarygodnym sukcesem.

Brawa dla mnie. Tak trzymać.

Tak jak zawsze, gdy jestem na Manhattanie, spoglądam w górę, pomiędzy budynki sięgające nieba. Czy wspominałam już, że uwielbiam duże miasta, a najbardziej Nowy Jork?

Naprawdę uwielbiam. Ludzi, ruch uliczny, zgiełk, bary, restauracje, tę niedającą się opisać, ale zapamiętywaną przez wszystkich wrzawę... Uwielbiam tę świadomość, że tu zawsze i wszędzie coś się dzieje.

Tutaj się urodziłam, ale wyjechaliśmy, gdy byłam mała. Więc nigdy nie miałam szansy nazywać Nowego Jorku swoim miastem, tak jak ludzie, którzy się tu wychowali. Żadnego miasta nie mogę nazwać swoim własnym, bo nigdy nigdzie nie zagrzałam miejsca.

Idę wzdłuż Broadwayu, patrząc na ludzi, którzy mijają mnie w pośpiechu, wyglądają na pewnych siebie i bardzo zajętych. Jak udało im się dotrzeć tu, gdzie są dzisiaj? Co mają takiego, czego ja nie mam? Dlaczego wszyscy wydają się tak spokojnie wchodzić w dorosłość? A ja czuję tylko panikę, serce mi wali na myśl, że nie potrafię tego, co innym przychodzi tak łatwo... Może nigdy nie uda mi się ułożyć życia tak jak chcę, prawdziwego życia. Nigdy. Może powinnam się skupić na tym, czego pragnę, rozmyślam, wyrzucając skradziony kosz pełen wymiocin do kubła na śmieci. Pozytywna wizualizacja, prawda?

Chcę ciężko pracować, kochać swoją pracę i dobrze sobie w niej radzić. Naprawdę chcę. Chcę zarabiać swoje własne pie-

niądze. Chcę mieć swój własny dom (obowiązkowo z osobną garderobą), którego nikt mi nie będzie mógł zabrać i moich przyjaciół na zawsze. Aha, i chcę umawiać się na randki z super przystojnymi facetami, i jeszcze kiedyś wyjść za mąż i mieć dzieci i tak dalej.

Jak mam do tego wszystkiego dojść, zaczynając od miejsca, w którym teraz jestem? Jestem bezrobotna, spłukana i poplamiona wymiocinami.

Chciałabym móc wcisnąć przycisk szybkiego przewijania do przodu.

Wzdycham głęboko i zaczynam swój długi spacer z powrotem na Brooklyn. Nie stać mnie na taksówkę, a na metro jest za gorąco. Zaraz po dotarciu do Canal Street czuję, jak na stopach robią mi się odciski, więc kupuję parę japoniek za trzy dolary. Swoje szpilki przewieszam przez pasek torebki. Mam już teraz tylko pięć dolarów. Co mogę kupić za pięć dolarów? Kilka mrożonych galaretek z alkoholem? To tyle. I nic więcej. Potem zaczyna mi burczeć w brzuchu, więc wydaję moje absolutnie ostatnie pieniądze na jogurt Fage i batonik Luna. Nie ma sensu kupować ciastka. Puste kalorie nie poprawią tego dnia.

Gdy przechodzę przez Brooklyn Bridge, mając po jednej stronie Manhattan, a po drugiej Brooklyn, postanawiam, co następuje. Nie mam żadnych pieniędzy. Nie mam żadnej przyszłości.

Po prostu zadzwonię do rodziców i powiem im, że wyprowadzam się już teraz.

Dlaczego czuję się z tą decyzją tak beznadziejnie? Bo wiem, że moje miejsce jest tu.

Gdy idę przez długi pas zieleni, dookoła jakiegoś starego pomnika, widzę bezdomną kobietę. Jest stara, ma siwe włosy, jest przygarbiona i pomimo upału, ma na sobie mnóstwo brudnych zimowych płaszczy, a do stóp przywiązane pudełka kar-

tonowe. Może powinnam oddać jej moje sandały. Jestem już prawie w domu, dlaczego by nie przejść pozostałej drogi na bosaka?

Napotykam jej wzrok i uśmiecham się do niej. I przez sekundę mam wrażenie, że też się do mnie uśmiechnie. I wtedy otwiera usta.

- Hej, ty! - krzyczy w moją stronę. - Wracaj do domu! Nie chcemy cię tutaj!

Natychmiast odwracam wzrok i idę dalej, ale po chwili ukradkiem oglądam się za siebie. Zaczęła iść w moim kierunku. Przyspieszam i słyszę, jak zanosi się śmiechem.

- Idę za tobą, idę! Uciekaj. Więc zaczynam biec.

Tak szybko jak tylko mogę.

Ale nie wiem, dokąd biegnę. Cholera, gdzie ja jestem? Skręcam w pierwszą ulicę w lewo. Och, błagam, niech się tu znajdą jacyś ludzie. Nie wiem, gdzie idę. Jeszcze jeden zakręt i - są! Ludzie! Zawsze czuję się bezpiecznie w tłumie. Próbuję biec wzdłuż Court Street i wtedy jakaś kobieta przepycha się obok mnie, dźgając mnie boleśnie łokciem w pierś. Wydaję stłumiony krzyk, zaczynam płakać bez opamiętania i przestaję biec. Po moich policzkach spływają łzy jak grochy, niespokojnie łapię oddech i czuję, jakbym miała czkawkę. Trochę dlatego, że biegłam, a trochę dlatego, że jestem przerażona i zdesperowana, że właśnie spaliłam moją kolejną rozmowę o pracę i nie wiem, co dalej.

Czuję się tak, jakbym była na krawędzi przepaści. Mam odwrócić się i wrócić tam, skąd przyszłam czy skoczyć i zobaczyć, co się stanie?

I wtedy obok mnie zatrzymuje się taksówka.

Z taksówki wysiada mężczyzna w garniturze. Jest tak oszałamiająco przystojny, że nagle zapominam o swoim smutku. Opalony, ma ciemne włosy, najgłębsze błękitne oczy, jakie widziałam... I piękne brwi (takie, że zaczynam zastanawiać się,

czy czegoś z nimi nie robi, by były tak wyjątkowe...). Nic na to nie mogę poradzić. I gapię się.

I staje się rzecz dziwna. Jak gdyby wyczuwając mój wzrok, mężczyzna również przystaje, odwraca głowę, a nasze oczy się spotykają. Serce wali mi tak mocno, że kładę na nim swoją dłoń, prawie automatycznie. Cholera, może mam atak serca.

On uśmiecha się do mnie powoli, swobodnie, a ja odwzajemniam jego uśmiech, myśląc: „Jesteś idealny”. Mam przedziwne uczucie déjà vu, przekonanie, że już go spotkałam, autentyczne uczucie, że go znam.

Tak, wiem, beznadziejnie jest myśleć w ten sposób.

- Cześć - mówi, a jego głos załamuje się w połowie słowa. Brzmi to tak dziwnie, że oboje wybuchamy śmiechem. I wtedy, jedna z moich szpilek spada mi z torebki na chodnik.

Mężczyzna natychmiast schyla się, podnosi ją i wciąż jeszcze klęcząc, podaje mi zgubę. Jak jakiś cholerny ksiązę z bajki.

Gdybym umiała opowiedziałabym jakiś żart o Kopciuszku. Ale zamiast tego pochylam się, biorę od niego but, a usta mam wciąż otwarte w głupim zadziwieniu.

Ksiązę z bajki marszczy brwi i otwiera usta, by coś powiedzieć i wtedy właśnie słyszę:

- Czy możesz pomóc mi wysiąść? Na litość boską, człowieku! — wykrzykuje kobiecy głos z brytyjskim akcentem. I bum, czar pryska. Mężczyzna momentalnie odwraca się i rusza z odsieczą jakiejś brunetce, która wygląda tak samo rewelacyjnie jak on. W obcisłych dżinsach, na obcasach, jedwabnej bluzce, trzyma naręcze chust i toreb z zakupami, w tym nonszalanckim londyńskim stylu. Dziewczyna. On ma dziewczynę.

Gdy ją widzę, spuszczam głowę i odchodzę, nie zatrzymując się, by zobaczyć, czy on się za mną obejrzy. Słyszę jej głos odbijający się echem wzdłuż ulicy, gdy wchodzi do Sweet Melissa Pâtisserie:

-1 ja mówię, dlaczego, wiesz? I - ooch! Gofry! Cudnie! - a on powiedział, słuchaj, kochanie, przecież zawsze wiedziałaś, że tak będzie.

I po chwili już ich nie ma. Idealny mężczyzna... i jego idealna dziewczyna. Nadal czuję przyływ endorfin po tym, jak się do niego uśmiechnęłam, czy to nie dziwne? Pewnie tak. Nie mówiąc już o hysterii sprzed kilku minut, której rozmiar był absolutnie niewspółmierny do przyczyn.

Potem spoglądam na swoje odbicie w witrynie sklepu i wydaję z siebie jęk rozpaczony: wyglądam jak poplamiony wymiocinami maskaron z rozmazanym tuszem do rzęs. Uh. Dlaczego spotykam fajnych facetów tylko wtedy, gdy wyglądam koszmarnie?

Tak czy siak, nie jestem gotowa do stałego związku. Nie zaczęłam niczego poważnego od czasu tej całej beznadziejnej historii z Eddie'm. Nawet moje przelotne znajomości też raczej nie należą do najłatwiejszych. (Jeśli wiecie, o co mi... Ach, nieważne.) Od tamtej niedzieli zignorowałam trzy wiadomości i dwa telefony od Mike'a. Dobrze, że przynajmniej Madeleine się o tym nie dowiedziała. Jeszcze.

- O proszę, a kogóż ja widzę, Mała Pani Mądralińska - słyszę jakiś głos. Spoglądam w górę. To Vic, facet pomarszczony ze starości jak rodzynek. Ten, który mieszka pod nami.

- Hej! To znaczy, dobry wieczór! Panie... yhm...

- Vittorio Bartolo - podpowiada z dumą w głosie. - Mów mi Vic.

- Jestem Pia... Pia Keller. I jeszcze raz przepraszam za to, co się stało z pańskim sufitem.

Nie widziałam go od tamtego pamiętnego poranka - Julia wkroczyła jako pośrednik. - Czy już wszystko, yyy, w porządku?

- Wszystko idealnie. Dziękuję. Uśmiecha się i wszystkie te wyraźne bruzdy, które zauważyłam w ubiegły niedzielny poranek, znów przemieszczają się na jego twarzy. Nagle odnoszę wrażenie, że cała ta sytuacja go nieźle rozbawiła.

- Przepraszam, że nazwałem cię połową. Nie chciałem cię urazić.
- Przepraszam, przyjęte. Jak się czuje pańska siostra?
- Marine ma się dobrze — mówi. - Jest teraz ze swoimi wnukami w New Jersey. Połowę tygodnia spędza z nimi, drugą połowę ze mną. To sprawia, że czuje się potrzebna. No dobrze, czy powiesz mi, dlaczego sapiasz i prychnasz, jakby ci się osuwał grunt pod nogami? Oj, przepraszam. Źle dobrałem słowa.
- Ha - odpowiadam. Niezły z niego kawalarz, prawda? — Yym, muszę znaleźć pracę. Muszę zarobić pieniądze.
- Witaj w Nowym Jorku - odpowiada mi uprzejmie. - Nie ma, o co płakać. Po prostu zacznij coś robić. Najlepsze przed tobą.
- Ale jeśli nie znajdę pracy? Moje życie w Nowym Jorku skończy się, zanim się w ogóle zaczęło.
- Nie chcę się wtrącać, ale według mnie, na tym świecie godziwe pieniądze zarabiają tylko przedsiębiorcy - mówi Vic. - Wymyśl pomysł na biznes, rozkręć go, a potem sprzedaj.
- To zabrzmiało, jakby miało być całkiem proste... Oprócz tego fragmentu o sprzedaży. I o rozkręcaniu. A i jeszcze oprócz wymyślenia pomysłu na biznes.
- Vic wybucha świszczącym śmiechem. Przez sekundę obawiam się, że pęknie mu płuco.
- Właściwie, to kiedy miałam czternaście lat, próbowałam rozkręcić jeden biznes - mówię, przypominając sobie wszystko. - Robiłam jedyne w swoim rodzaju podarte dżinsowe szorty z używanych dżinsów, które kupowałam za grosze na Ebayu i sprzedawałam jako jedyne w swoim rodzaju szorty vintage na Etsy.
- Nie rozumiem ani jednego słowa.
- Tak wiem, nikt nie rozumiał. Nie były aż takie super. Sprzedałam około połowę towaru - wzdycham, przypominając sobie dziesiątki zniszczonych ścinków, które przez kilka miesięcy wypadały ze wszystkich szuflad w moim pokoju. Angie

miała mi pomóc w ostatecznym ozdabianiu szortów - ma talent do takich rzeczy - ale mnie wystawiła do wiatru. - A kiedy miałam jedenaście lat, próbowałam otworzyć klub. Spędzaliśmy wakacje na południu Francji, a ja miałam pomysł, by zorganizować zajęcia dla młodszych dzieci, które też tam były... Coś w stylu organizacji przyjęć. Ale rodzice tych dzieci nie wierzyli, że jestem wystarczająco odpowiedzialna, by się opiekować tymi maluchami. ;więc, sam rozumiesz, pomysł się nie przyjął.

- No cóż, wygląda na to, że byłby to świetny biznes. Uśmiechamy się do siebie przez sekundę.

- Głodna? - mówi, wskazując na Court Street. - Bar Esposito and Sons. Najlepsze kulki ryżowe w okolicy. Możemy pogadać o twoich perspektywach zawodowych w drodze powrotnej.

Bar Esposito wygląda tak, jakby ktoś specjalnie udekorował go w stylu zapyziałej spelunki, a przed wejściem postawił groteskowego wieprzka ubranego w fartuch rzeźnika.

- O rany - mówię. - Niezły klimat.

- Są tu od 1922 roku - mówi Vic.

Gdy wchodzimy, wszyscy w Esposito's wykrzykują „Vic!”.

- Nie byle jaka gwiazda - mówię do siebie pod nosem.

- Wolę określenie: lokalna osobowość - odbija piłeczkę. Vic zamawia cztery ryżowe kulki z wieprzowiną, włoską kanapkę i kawałek lasagne.

- Już się robi szefie - rzuca w odpowiedzi facet za ladą. - Marie wyjechała, co? A jak tam twój cholesterol?

- Tylko spróbuj o tym pisać mojej siostrze... Uśmiecham się do siebie, spoglądając na wszystkie talerze

z jedzeniem ustawione za szybą przy ladzie. To pewnie ukryta słabość Vica.

Facet za ladą zwraca się do mnie:

- A co dla ciebie Miss Pakistanu? Jakies życzenia?

- Miss Pakistanu? - powtarzam jego słowa.

- Przepraszam. Miss Świata, czy tak lepiej?

Czy to nie bezczelne zwracać się do kogoś, podkreślając kolor jego skóry? Ale pewnie nazwałby mnie Miss Szwecji, gdybym była blondynką. Tak to sobie tłumaczę.

Sprzedawca niecierpliwi się.

- To jak? Czy coś ci podać, skarbie?

Czuję się, jakbym była u kogoś w domu i odmawiała jedzenia, które przygotowano specjalnie dla mnie. Ale nie mam już żadnych pieniędzy. Ani grosza.

- Yyy, nie, ja...

- Jesteś znajomą Vica?

- Tak - odpowiadam w tej samej chwili, w której Vic mówi: - Sąsiadką.

- A więc, jesteś szczęściarą. Vic nie da ci zrobić krzywdy. O tu, proszę bardzo, skarbie. Na koszt firmy.

Kilka minut później wychodzimy z baru, a ja zajadam kulkę ryżową wielkości grejpfruta.

- Świetny lokal - mówię, biorąc gryzą. - O rany, to jest przepyszne!

- Jest najlepsze. A teraz uważaj. Mój bratanek Angelo ma restaurację przy Smith Street. Nazywa się Bartolo's. Mój brat założył ją pięćdziesiąt lat temu.

- Naprawdę? - mówię z nadzieją w głosie.

- Dostaniesz tam pracę. To prawdziwa lokalna restauracja. Ludzie dają tam też dobre napiwki. Jeśli odprowadzisz mnie tam teraz, to cię przedstawię - mówi.

- O rany, dziękuję bardzo!

Kelnerka! Mogę być kelnerką! Teraz moje założenie sprzed dziesięciu dni, że praca fizyczna jest wykluczona, wypada głupio.

- Nie przyniesie ci to fortuny, ale lepsze to niż siedzenie na tyłku i narzekanie. O ile tylko nie boisz się odrobiny ciężkiej pracy.

- Nie! To znaczy, tak, nie boję się, to znaczy... Dziękuję. Nie boję się ciężkiej pracy! Byłoby super!

Idziemy powoli wzdłuż Union Street, mijamy Rookhaven, w kierunku Smith Street, rozkoszując się pięknem wieczoru.

- A jak ci się mieszka? Już się zaaklimatyzowałaś?

- Uhm, dobrze.

Nie jestem pewna, o co mu chodzi. Nigdy się nie aklimatyzuję. Po prostu śpię w jakimś miejscu przez jakiś czas, a potem życie się zmienia i śpię gdzie indziej.

Omiatani wzrokiem brooklyńskie budynki z cegieł wokół mnie, drzewa pnące się wysoko w stronę niebieskiego nieba nad naszymi głowami. Każdy dom, każdy podest ze schodami, każde okno są podobne do innych, a jednak wyjątkowe, naznaczone indywidualnymi zmianami dokonanymi przez minionych i obecnych właścicieli... Tak jakby każdy, kto tu kiedykolwiek mieszkał, zostawił po sobie swój ślad.

- Union Street jest taka piękna - mówię. - Wydaje się być udomowiona w bardzo rzadko spotykany sposób. Każdy budynek jest czyimś domem.

Vic potakuje. - Ma swój szczególny charakter. Dlatego nigdy się stąd nie wyprowadziłem, nawet wtedy gdy nie była to zbyt ciekawa dzielnica, mówię ci... Moi rodzice przyjechali tu z małego miasteczka Pazzollo we Włoszech w 1922 roku. Wielu ludzi przybyło tu z Pazzollo, nawet jest ulica nazwana na naszą cześć.

- Naprawdę? Pańscy rodzice przyjechali tu aż z Włoch? - mówię zaskoczona, gdy skręcamy w ulicę Smith i idziemy dalej. - Dokładnie tu, do Carroll Gardens?

Krzywi się. - Nie Carroll Gardens. To South Brooklyn, to zawsze był South Brooklyn. Nie Carroll Gardens, nie Cobble Hill, nie BoCoCa.

- Tak jest, proszę pana.

-Moi rodzice przybyli na Ellis Island w 1927 roku, gdy mieli zaledwie 21 lat. To była ich podróż poślubna... Na początku mieszkali na Lower East Side, ale dość szybko się stamtąd wyprowadzili. W końcu mój ojciec kupił Rookhaven razem

z bratem. Dwie rodziny, po pięcioro dzieci w każdej, wyobrażasz sobie? W tym domu?

- Niewiarygodne. A potem co się stało?

- Cóż, mój ojciec zginął we Francji w 1944 roku.

- Och, tak mi przykro... - odpowiadam szybko.

- Wszystko w porządku, to było dawno temu. - Vic uśmiecha się do mnie przez zmarszczki. - Jego brat przeprowadził się do Jersey. A moja mama i jej siostra przekształciły ten dom w pensjonat. Mieliśmy lokatorów, w większości byłych żołnierzy.

- O rany.

Myślę o tym, kto mieszkał w moim pokoju. Dziwne, że przez dekady, czy może nawet stulecia, do Nowego Jorku przyjeżdżali ludzie, by zacząć swoje życie tak jak my. Tak jakby nic się nie zmieniło, przynajmniej nieznacznie.

Przystajemy przy Sackett Street, a Vic wskazuje na jeszcze jeden idylliczny rząd budynków z cegieł, gdzie kiedyś mieszkali jego kuzyni i znajomi.

- A moja pierwsza dziewczyna mieszkała tutaj... - Vic wskazuje na budynek z cegieł z wysokimi wykuszowymi oknami, przed którym rosną krzewy różane.

- Piękne róże - stwierdzam.

- Podarowałem jej ten krzew w prezencie na naszej drugiej randce.

- Niezły ruch! I co się stało? Zerwaliście?

- Poślubiłem ją. Już nie żyje.

Próbuję wymyślić coś, co mogłabym powiedzieć, ale nie mogę, więc zamiast tego po prostu wkładam mu rękę pod pachę. Jego ramię wydaje się być o wiele silniejsze niż wygląda. Musiał być potężnym mężczyzną, gdy był młody.

- No i jesteście! - mówi minutę później. Stoimy przed pokrytą kamieniem restauracją z szyldem, na którym widnieje napis Bartolo's wypisany okrągłą czcionką z lat pięćdziesiątych.

Fizyczna praco, nadchodzę.

Rozdział 4

Po trzech dniach pracy w restauracji bolą mnie plecy, mam pełno odcisków na stopach, w uszach dzwoni mi od dziecięcych wrzasków, a moje włosy pachną czosnkiem.

Ale zarabiam pieniądze.

I to właśnie muszę robić, by pozostać w Nowym Jorku z moimi przyjaciółmi i zacząć własne życie. Nie wiem, co będzie dalej, ale na chwilę obecną potrzebuję tej pracy, żeby przetrwać.

Wcześniej nawet by mi przez myśl nie przeszło zjeść coś w takiej knajpce jak Bartolo's. I wiecie co? Uwielbiam ją. Wszystko tutaj było zaprojektowane, zbudowane i urządzone przez brata Vica i jego samego bardzo dawno temu. W rezultacie podłoga jest nierówna i zniszczona, talerze i kubki są zbieraniną różnych zestawów naczyń kupionych w niepamiętnych czasach. Na tylnej ścianie znajduje się kiepski mural przedstawiający włoską idyllę, a w głośnikach przez cały czas słychać zapętlone piosenki Franka Sinatry, Tony'ego Bennetta i Perry'ego Como.

Ale ta restauracja ma w sobie tę samą lokalną gościnność, którą zauważyłam w barze Esposito's. Klienci nie przychodzą tu dlatego, że usłyszeli o niej w jakiejś reklamie, ani nie dlatego, że warto tu bywać ze snobizmu. Przychodzą, bo wiedzą, że mogą tu liczyć na dobre jedzenie i miłe przyjęcie.

- Pia! - Angelo wbiega do kuchni, gdzie plotkuję z jego kuzynami Ricky'm i Vinniem, kucharzami. — Dlaczego do diaska ciągle cię tu widzę? Idź na dwójkę!

- Przepraszam! - mówię, uśmiechając się najmilej, jak potrafię.

- Właśnie pomagała nam przyrządzić sałatkę z rukoli.

Vinnie uważa, że sałatka z rukoli jest przezabawna. Jest jedynym nowym daniem, które pojawiło się w karcie na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. W czasach kiedy wszystkie inne restauracje w Brooklynie od dawna hodują w swoich ogródkach ekologiczną sałatę.

Prawdę mówiąc, to opowiadali mi o Jonah, uroczym barmanie (wyobraźcie sobie faceta, który wygląda jak skrzyżowanie kowboja i surfera, jest super blondynem i super ciachem). Dziś wieczorem wypada nasza pierwsza zmiana razem i już wymieniliśmy kilka spojrzeń. Ale wyczuwam też jakieś vibracje między nim a jedną z kelnerek, Biancą (połączenie pankówki z hipsterką o szczurzej twarzy, z wygoloną częścią głowy - wiecie, typ, który nie lubi innych dziewczyn). Vinnie twierdzi, że nigdy nic się nie wydarzyło między Biancą i Jonah, ale Ricky uważa, że w zeszły weekend Bianca dobierała się do Jonah, choć on nie wykazał zainteresowania. (Przyrzekam na Boga, faceci to najgorsze plotkary. Uwielbiam to.)

Przy stoliku numer trzy bardzo atrakcyjna młoda mama i tata oraz ich dwoje dzieci kończą jeść pizzę. Mały chłopiec, który ma pewnie jakieś trzy lub cztery lata, o czymś opowiada.

- I wtedy, mamusiu? Mamusiu? Mamusiu? Mamusiu tam był taki duży pies i ten pies coś tam wachał — jest tak podekscytowany, że prawie nie może z siebie wydobyć słów. - I on potem zrobił kupkę! Malec piszczy i chichocząc, spada z krzesła. Śmieję się i schylam, by pomóc mu wstać.

- O, dziękujemy - mówią naraz rodzice. Oboje są ubrani jak z żurnala współczesnej mody Brooklynu. Jestem prawie

pewna, że jego dzinsy kosztują więcej niż zarobię dziś wieczorem, a jej zakiet to już na pewno.

- Gabe, nie opowiada się historyjek o kupie przy obiedzie - mówi atrakcyjna mama, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że właśnie powiedziałaś „historyjki o kupie” — mówi tata ściszym głosem. Po chwili zwraca się do małej dziewczynki. - Pia, skarbie, kiedy siedzimy przy stole, nie używamy iPada.

Dziewczynka marszczy czoło i ignoruje go.

- Czy ty nazywasz się Pia? - mówię do tej małej dziewczynki, która jest starsza od Gabe'a i ma dwa małe kucyki wyglądające jakby sama je sobie zrobiła. Potakuje nieśmiało.

- Ja też mam tak na imię! Jesteśmy prawie bliźniaczkami. Czy chciałabyś zobaczyć menu z deserami? - ściszę głos, by to, co mówię, brzmiało jak jakiś wielki sekret. Znow potakuje i odkłada iPada. Uwielbiam dzieci. Przez jakieś sześć do dziesięciu minut.

- O rany! Deser! - piszczy Gabe.

- Dziękuję - ich mama uśmiecha się do mnie, gdy zbieram talerze i podaję im menu z deserami dla dzieci. Nie może mieć więcej niż trzydzieści lat, zauważam zaskoczona. To znaczy, że córeczkę urodziła prawdopodobnie, gdy miała około dwadzieścia trzy lata. Będę miała tyle w przyszłym roku. Cholera. Mam coraz mniej czasu, by zostać młodą mamą.

- Piątka czeka - syczy Angelo, gdy zanoszę brudne naczynia do kuchni. - Podaj więcej paluszków chlebowych.

- Dziękuję ci nowa! - wykrzykuje jeden z mężczyzn przy piątce, jakiś brzuchaty facet z mocnym brooklyńskim akcentem, takim jak ma Vic.

- Ty już nie dostaniesz więcej chleba - rzuca kobieta siedząca obok niego. - Angelo! Temu tu nie podajemy za dużo węglowodanów!

- Ja tylko wykonuję rozkazy - odkrzykuje Angelo, przebiegając obok nas bez zatrzymywania się.

- To dlatego, że pamięta jak go wyratowałem spod pięści Conora Barry'ego w piątej klasie!

Połowa ludzi, którzy są tu dziś wieczorem, zdaje się znać Angela, Ricky'ego i Vinniego przez całe życie. Brooklyn jest największą wioską świata. W głośnikach zaczyna rozbrzmiewać numer *Papa Loves Mambo* Perry'ego Cosmo, a ja walczę ze sobą, by nie zacząć śpiewać razem z nim.

Uśmiecham się do stolika numer pięć:

- Czy mogę przyjąć zamówienie?

- Poprosimy o kielbaski z papryką, kurczaka Romano, spaghetti z podwójną ilością czosnku, dużą białą pizzę dla dzieci - proszę się nie martwić, Ricky będzie wiedział, o co mi chodzi. Poprosimy jeszcze jedną porcję chleba czosnkowego i proszę powiedzieć Vinniemu: dodatkowa szalwia i sól cebulowa.

- Już się robi - odpowiadam. Zamawia coś spoza menu w maleńkiej knajpce. Ma facet charakter.

- Chcę soku! - krzyczy piegowaty dzieciak obok niego.

- Ostatnim razem po soku zaczęłeś się ślinić i walić w stół - mówi facet od węglowodanów. - Nie.

- Źle reaguje na cukier! - wykrzykuje jego żona.

- Cukier to jego narkotyk — mówi facet od węglowodanów.

Staram się nie roześmiać (kelnerowanie to najlepszy sposób na obserwowania ludzi) i zapisuję wszystko w notesie. Uśmiecham się do nich, powtarzając zamówienie, a oni odpowiadają uśmiechem. Pędzę do kuchni przekazać zamówienie z głupawym uśmiechem przyklejonym ciągle do twarzy. Nigdy nie sądziłam, że kelnerowanie może być takie fajne. To coś jak impreza, na której poznajesz ludzi i jeszcze ci za to płacą.

- Proszę pani! Przepraszam, proszę pani? - odwracam się i widzę jakichś ludzi przy stoliku machających rękami, by mnie

przywołać. To nie mój stół, ale ich kelnerka, Bianca, właśnie zniknęła. Podbiegam do nich radośnie.

Dwóch mężczyzn, dwie kobiety, wszyscy po czterdziestce, ubrani w podkoszulki i za krótkie szorty. Wokół nich stoją torby z zakupami, które związali razem sznurówką. Chyba po to, by ktoś ich nie ukradł? To bez wątpienia turyści. Zatrzymali się w pobliskim hotelu, by uniknąć wyższych cen na Manhattanie. Natychmiast sztywnieję. W ciągu ostatnich kilku dni obsługiwałam cztery lub pięć podobnych stolików z turystami i za każdym razem traktowali mnie jak obywatelkę drugiej kategorii. Zgadnijcie dlaczego.

- Jak mogę...

- Menu! - mówi głośno mężczyzna w czapeczce z napisem „Pete's Gym”. Poci się niemiłosiernie od samej energii, której używa tylko po to, by egzystować. - Chcemy menu.

- Chcemy złożyć zamówienie - powoli mówi jego żona, zaniedbana blondynka z przypiętą do paska saszetką. Rysuje rękami w powietrzu wielki kwadrat.

- Menu! Głodni! - mówi Pete's Gym, jeszcze raz pokazując na swoje usta i udając, że coś żuje.

Uśmiecham się zwięźle, odwracam i podaję karty. Jeśli zakładają, że nie mówię po angielsku, to nie mam zamiaru wyprowadzać ich z błędu. Z uśmiechem wracam do kuchni, by odebrać pierwszą porcję pieczywa czosnkowego dla stolika numer pięć. Potem przynoszę desery do dwójki, gdzie Pia, ta mała dziewczynka, właśnie śpiewa piosenkę o błocie.

- Dzięki Pia! - wykrzykuje.

- Nie ma za co Pia! - odkrzykuję.

Wracam do stolika z turystami, ponieważ Bianci wciąż nie ma. Zamawiają, nadal pokrzykują i wymawiają słowa tak, jakbym była idiotką. Uśmiecham się tylko i notuję zamówienia.

Nie ma co się unosić.

I wtedy słyszę coś takiego:

- Jejuniu, ile ich w Nowym Jorku jest - szeptem saszetkowa. -Nie czułabym się tu bezpiecznie, naprawdę bym się nie czuła...

Myślę, że jestem z Bliskiego Wschodu, że jestem muzułmanką i stanowię zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Powinnam się już była do tego przyzwyczaić, ale moje serce zaczyna walić z wściekłości i zanim udaje mi się coś powiedzieć, z tropu zbija mnie Jonah, ten przystojny barman.

- Dobry wieczór państwu! Jestem Jonah i przybyłem tu, by pomóc państwu w wyborze trunków. Pan, proszę pana, wygląda, jakby był koneserem wina.

Teksański akcent Jonah sprawia, że przyjezdni czują się jak u siebie. - Mam rację?

- My nie pijemy — kobieta ze sztucznymi paznokciami uśmiecha się do Jonah, jakby był drugim wcieleniem Billy'ego Grahama.

- Cztery duże dietetyczne cole - mówi facet w czapeczce z Pete's Gym.

- Moja bez lodu - przerywa drugi facet, gapiąc się na moje cycki. Jezu, nie znoszę tego. - Próbują cię oszukać, dając mniej coli, a więcej lodu - dodaje nie do końca do siebie.

- Bez lodu w ogóle - mówi Największy Najgrubszy, mrugając do Wielbiciela Cycków.

- Proszę bardzo, proszę pana, i jeśli mi wolno coś dodać, to doskonały wybór - w tej chwili Jonah naprawdę używa swojego tekszańskiego uroku. - Aspartam jest wyborny o tej porze roku. W tej chwili podaję drinki za pośrednictwem państwa kelnerki...

Jonah łapie mnie w talii i odciąga od stolika.

- Gdzie u licha jest Angelo, gdy jest potrzebny?

- Oni mówili... oni byli - jąkam się z wściekłości, gdy dochodzimy do baru.

- Wiem. To znaczy, nie wiem, ale mogę sobie wyobrazić.

- Jak? - warczę. - Powiedz mi blondasku, jak często ktoś cię myli z szalonym terrorystą z Jihadu?

- Uspokój się, księżniczko - Jonah napełnia cztery szklanki dietetyczną colą. — To zwykli ignoranci. Bianca!

- Co jest? - odpowiada Bianca wracająca niespiesznym krokiem z zaplecza, a wraz z nią pojawia się wyraźny zapach papierosów. - Właśnie rozmawiałam z moim menedżerem.

- Z Cosmo? — pyta Jonah. - To lichwiarz. Nie rób z niego większego niż jest.

- Jest miły! - wykrzykuje Bianca, dając Jonah delikatnego kuksańca. Flirt dla początkujących.

- Zajmij się, proszę, swoim stolikiem - mówię przez zaciśnięte zęby.

- Wyluzuj — mówi Bianca, podnosząc tacę z napojami. Zerkam na Jonah. - A tak przy okazji, to mam na imię Pia.

Nie księżniczka.

- Wiem - odpowiada, posyłając mi bielszy niż biel uśmiech gwiazdora filmowego. - Ale księżniczka do ciebie pasuje.

Spoglądam w stronę tamtego stolika. Bianca podaje dietetyczne cole. Wszyscy przy stoliku nachylają się, wyraźnie coś do niej szepczą, zerkając na mnie ukradkiem.

Nie mogę oddychać, jest mi niedobrze, o cholera, chyba znów dostanę ataku paniki. O Boże, proszę, nie...

Bianca wraca w naszym kierunku, nie mówi ani słowa. - Co powiedzieli? - udaje mi się wykrztusić.

- Zignoruj ich.

- Powiedz mi, co powiedzieli.

Bianca wzdycha. - Zażyczyli sobie, bym się upewniła, że nie dotkniesz ich jedzenia. Zapomnij o tym, to nie jest jakaś wielka afera.

Patrzę na nią uważnie przez sekundę. Jak może tak mówić?

- Wcale nie. To zawsze jest wielka afera.

Bo musicie wiedzieć, że jestem przyzwyczajona do komentarzy, do tego, że ludzie myślą, że nie mówię po angielsku, do ciągłego pytania: „skąd jesteś?”. To denerwujące, ale tak już jest. Nie wyglądam tak jak inni. Rozumiem.

Ale tu chodzi o coś więcej. To jest rasizm. Gdy byłam młodsza, zachowanie takie jak to przerażało mnie i wywoływało u mnie mdłości. Potem mnie to wkurzało, ale udawałam, że tego nie słyszę i uciekałam.

Ale nie tym razem.

Mam za sobą kilka naprawdę fatalnych tygodni. To prawda, sama jestem sobie winna, ale robię, co mogę, by naprawić swoje życie. Nie muszę tego znosić. Ludzie mogą mnie oceniać na podstawie mojego doświadczenia, a raczej jego braku, albo tego, że zachowuję się jak księżniczka, albo że tracę rozsądek pod wpływem tequilli... Ale osądzanie mnie na podstawie koloru skóry. To nie jest w porządku. I tyle.

W głośnikach słyhać Sinatrę śpiewającego *Cali me... irresponsible* (*Nazwij mnie... lekkomyślnym*).

Zdejmuję swój mały biały fartuszek i kładę go na barze, spokojnym i wolnym krokiem podchodzę do ich stolika.

Pochyliłam się, kładę ręce na kolanach i zaczynam mówić moim najśłodszy głoŝem.

- Jestem Amerykanką, imbecyle. Urodziłam się w Nowym Jorku, mam amerykański paszport. Mam taki kolor skóry, bo mój ojciec jest Szwajcarem, a matka Hinduską. Hindusi nie są muzułmanami, tylko wyznawcami hinduizmu, a obie te religie są sobie całkowicie przeciwstawne. Ale niezależnie od tego, czy jestem muzułmanką, buddyjką, ortodoksyjną Greczynką, czy wyznawczynią kultu cholernej Myszki Miki, nadal mam prawo tu pracować bez wysłuchiwania waszych rasistowskich komentarzy. A co więcej, nie powinno to was zupełnie obchodzić, ponieważ to wolny kraj. A co do ciebie... - zwracam się do Wielbiciela Cyków. — Te tutaj nie zostały stworzone dla twojej przyjemności. Zabieraj z nich swoje brudne oczy. I wynoście się stąd do cholery.

Odsuwam się od stolika roztrzęsiona i zarumieniona od emocji.

Prawie bez słowa wychodzą, przebierając nogami tak szybko, jak pozwalają im na to ich tłuste uda.

O Chryste! Właśnie wyrzuciłam klientów. Nie wiem, gdzie jest Angelo, ale bez wątpienia usłyszy o wszystkim prędzej niż później. Mam przechlapane.

- Wszystko dobrze? - pyta Jonah, którego nagle zauważam za sobą. Ciekawe, jak długo już tam stoi.

- Nienawidzę konfrontacji - odpowiadam, mój głos nagle stał się słaby.

Jonah się śmieje, a jego potargane blond włosy opadają mu na oczy. - No cóż, Pia, nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale według mnie jesteś w niej wybitna.

Patrzy mi prosto w oczy. — Jeśli Angelo się dowie, to mam przechlapane. Będzie musiał mnie za to zwolnić. Do licha, sama bym się za to zwolniła.

- Ja też. I wisisz mi napiwek za to, że straciłam mój stół - mówi Bianca, przechodząc obok.

- O, Boże - mówię do siebie.

- No i co z tego - mówi Jonah ze swoim pocieszającym teksańskim urokiem. - To i tak chyba nie była twoja praca docelowa, prawda?

- Nie, ale jej potrzebuję. Mam problem z płynnością finansową.

- Witaj w klubie. Ja robię to tylko po to, by zapłacić za zajęcia z aktorstwa.

- Jesteś aktorem?

Każdy barman w Nowym Jorku jest aktorem. Chodzi o to, że nie potrafili znaleźć samolotu lecącego do Los Angeles.

- A do tego tańczę! - dopowiada, podchodząc tanecznym krokiem do baru.

I wtedy Angelo kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Pia, musimy porozmawiać. To Angelo.

- Przykro mi, ale będę musiał cię zwolnić.

- No co ty, serio? - mówi Jonah. - Nie możesz jej zwolnić za to, że domagała się swoich praw.

- Nie mam innego wyboru. Muszę utrzymywać dobre relacje z ich hotelem, by zapewnić sobie stałych klientów. Polecają nas wielu osobom...

Angelo składa ręce w zakłopotaniu. Jest naprawdę miłym człowiekiem. Widzę, że jest mu przykro.

- Zapłacę ci za dzisiaj, zatrzymaj napiwki. Nie chowaj do mnie urazy. Wzdycham głęboko i zamykam oczy. Jestem taka zmęczona.

-Uhm... Hej, Pia? - słyszę głos. Otwieram oczy. To ta atrakcyjna młoda mama ze stolika numer trzy.

- Hej - odpowiadam, próbując się uśmiechnąć. - W czym mogę pomóc? O Jezu, rachunek?

- Nie, nie martw się, zostawiliśmy pieniądze na rachunek, ale chciałam ci to dać osobiście - mówi, wsuwając mi w dłoń jakieś banknoty. - Chciałam ci też powiedzieć, że widzieliśmy i słyszeliśmy wszystko. Byłaś wspaniała. I *illegitimus non carborundum*, wiesz, o co chodzi.

- Dziękuję! Nie daj się draniom, tak? - Mój ojciec używa tego samego łacińskiego przysłowia, gdy czuje, że może sobie pofolgować. To jeden z naszych niewielu rodzinnych żartów.

- Dokładnie — odpowiada, śmiejąc się. — A tak przy okazji, jestem Lina.

-Pia.

- Wiem.

-A, och... tak.

Serdecznie potrząsa moją dłońią.

- No dobrze, cóż, trzymaj się.

Lina odwraca się i idzie w kierunku drzwi, gdzie czekają jej mąż i dzieci.

- Pa, pa, Pia! - wykrzykuje ta mała dziewczynka, machając do mnie zamasyście. Ja też do niej macham, a po ich wyjściu

patrzę na pieniądze w mojej dłoni. Dwieście dolarów! To, plus mój zarobek i napiwki z ostatnich trzech wieczorów daje mi prawie siedemset dolarów. Nieźle. Ale nie wystarczy na czynsz w tym miesiącu. Ani na rachunki. Ani, na, no wiecie, życie.

- No dobra księżniczko, mam pewien pomysł - mówi Jonah. - Po pierwsze, wypij to.

Podaje mi kieliszek.

- To gimjet. Moja specjalność.

Biorę łyka i prawie się dławię. To właściwie czysty dżin.

- A po drugie, mała, chodź ze mną jutro na moje sobotnie fuchy! Zobaczysz, że jest mnóstwo łatwych sposobów, by zarobić niezłą kasę na Brooklynie. Podzielę się z tobą zarobkiem po połowie.

Flirtuje ze mną. Widzę to, chociaż dżin już zdążył uderzyć mi do głowy.

- Co to za fuchy?

- To niespodzianka, księżniczko - odpowiada Jonah. - Chociaż powiem ci, że pierwsza fucha jest słodka jak miód i rojno tam jak w ulu. Po prostu dojeżdż do Williamsburga na 6 rano. No hej! Co masz do stracenia?

Ma rację. I jest uroczy. A ja potrzebuję tej kasy. Potrząsam jego dłonią. — Zgoda.

Wracam do domu, gdy jest jeszcze wcześnie. Coco, Madeleine i Julia są w kuchni, jak zwykle. W pewien sposób utarło się, że kuchnia jest naszym miejscem spotkań w Rookhaven. Tu jemy kolacje, gramy w karty, rozmawiamy. Całe nasze życie tutaj się toczy.

- Cześć... - pozdrawiam je skinieniem głowy, biorę czasopismo „Us”, które kupuje Coco, i siadam na kuchennej ławce. Czasem przebywanie w grupie bywa pocieszające, nawet jeśli nie chce ci się gadać.

Coco ostrożnie odmierza porcje mąki, wsypując ją do różowego półmiska, a na kuchence jest ronderek z risotto ze szparagami. Julia i Madeleine siedzą przy stole, obie są nadal ubra-

ne w swoje garsonki i piją wino. Zapewne, to część ich rytuału pod tytułem Jestem-Teraz-Taka-Dorośla. Tak przy okazji dodam, że nigdy wcześniej nie widziałam, by Julia piła alkohol. Wyglądają na kobiety eleganckie, z perspektywami, szczęśliwe i zatrudnione. Jesteśmy jak yin i yang.

- Hej, Pia, kochana! - Julia wraca do opowiadania swojej historii. - A oni mówią, że muszą to mieć przed końcem zmiany! A ja mówię, okay, nikt mi o tym nie powiedział, ale oczywiście, że to zrobię.

- I co?

- Załatwione.

Przybijają sobie piątkę z entuzjazmem, jakby pracowały na jakimś cholernym Wall Street.

- Jak tam w pracy Pipi? - pyta Julia, odwracając się do mnie. - Pozwolili ci wyjść dziś wcześniej?

- No - udaję bardzo zajętą czytaniem.

Julia wstaje, nakłada sobie kolejną miseczkę risotto i spogląda na Coco.

- Będą babeczki?

- Nie, cytrynowe ciasto szyfonowe. Angie powiedziała, że babeczki są już bardzo passe - mówi Coco.

- Czyli, że są modne i niemodne wyroby cukiernicze? - Julia śmieje się i krztusi odrobiną risotto.

- Przeżuwaj Jules - mówi Madeleine. - Powoli.

- Jestem zbyt głodna. Tak naprawdę to byłam głodna cały dzień. Jadłam prawie co dwie godziny od siódmej rano, kiedy usiadłam za biurkiem. Wstaję tylko po to, by iść do toalety albo do automatu z jedzeniem.

- Ja też. Zjadłam kanapkę z sałatką przy biurku, tak jak moja szefowa, a po południu musiałam zjeść coś słodkiego.

Myślę, że chyba trzeba jeść więcej białka na lunch. Ograniczyć spożycie węglowodanów, takich jak białe pieczywo. Kiedyś czytałam artykuł o tym, że sekretem szczupłej sylwetki jest ograniczenie słodczy, i z tego, co widzę po sobie, to prawda.

Uwielbiam jeść, ale ograniczam spożycie cukru. I nigdy przesadnie nie myślę o swojej wadze, chyba że dżinsy robią się trochę ciaśniejsze, wtedy po prostu jem więcej mięsa i mniej węglowodanów przez jakiś tydzień lub dwa. Jedyna osoba, jaką znam, która może jeść, co tylko zechce, bez ryzyka przybrania na wadze, to Angie. W rezultacie ona nie ma żadnych kompleksów, jeśli chodzi o sylwetkę. Gdybym jej tak bardzo nie kochała, to byłoby (trochę denerwujące).

- Ach, ten spadek glukozy! Po południu kupuję słodycze dla mojej ekipy. Słodycz oznacza miłość - mówi Julia. - Prawda, Coco?

Spoglądamy na Coco, która miesza składniki i nuci coś radośnie zamyślona.

- Jeszcze się w pracy z nikim nie zaprzyjaźniłam - mówi Madeleine.

- Na to potrzeba trochę czasu, kochana! - odpowiada Julia. - Ludzie, których poznaje się jako pierwszych, to i tak zazwyczaj frajerzy. Pamiętajcie, jak byłam stażystką w Morgan Stanley i zaprzyjaźniłam się z tą laską z Long Island? O tak, chodziłyśmy razem na lunch do baru Century 21 i w ogóle. Ale potem zrozumiałam, że ona jest nudna i ponieważ się z nią zadawałam, wszyscy myśleli, że też jestem nudziarą. Nastąpiła śmierć towarzyska wywołana złym doborem towarzystwa.

- No dobrze - mówi Madeleine pokornie.

- O nie! - wykrzykuje Coco. — Skończyło się nam masło. Wszyscy na nią patrzymy. Naprawdę się przejmuje tym pieczeniem.

- Już dobrze! Zaimprovizuję. Julia marszczy czoło.

- A tak przy okazji, zastanawiam się, dlaczego jestem jedyną osobą, która zauważyła brak papieru toaletowego i innych rzeczy potrzebnych w tym domu? Robimy zrzutkę na podstawowe artykuły, a Coco, ty musisz przestać gotować dla wszystkich, dopóki się nie dorzucą, dobrze?

- Ale mi to nie przeszkadza - mówi Coco.

- To nie o to chodzi — mówi Julia. - Rookhaven zamieszkuje kilka osób i wszystko musi być fair. Zgoda?

Pojawia się Angie gotowa do wyjścia na imprezę. Wygląda niewiarygodnie na dwudziestocentymetrowych obcasach i w długiej, białej jedwabnej sukni pokrytej plamami z czarnej farby. Suknia wygląda na drogą, Angie najprawdopodobniej wykradła ją swojej bywającej na wystawnych przyjęciach matce i zmieniła według swojego gustu. Angie ma po prostu taki styl.

- Cześć kociaki - mówi od niechcienia, szperając w swojej torebce, prawdopodobnie w poszukiwaniu papierosów.

- Jak ci minął dzień? - pyta Coco nieśmiało. - Wybitnie, pomijając tylko fragmenty związane z Suką.

Nigdy nie przypuszczałam, że przygotowanie sesji zdjęciowej jedzenia może być tak nudne, a mimo to stresujące.

Angie wkłada niezapalonego papierosa w kącik ust, a potem zaczyna wiązać włosy w kok. Suka jest oczywiście jej szefową. Podobno jest Holenderką i jest bardzo wymagająca.

- Ale to ja się będę śmiała ostatnia. Za każdym razem, gdy wysyłam mnie do Starbuck's po beztłuszczowe latte, zamawiam jej pełnotłuste.

Madeleine wzdycha. Coco miesza w rondelku.

- Może chcesz trochę risotto?

- Ach, panienko Coco, jesteś cudowna - mówi Angie, pochylając się i jedząc łyżką prosto z rondla.

- Wspaniale. Zjem może później, gdy wrócę do domu, kochanie, zjadłam dziś dużo sushi.

- Jesz tyle surowej ryby, jakbyś była jakimś cholernym delfinem — mówi Julia.

- A skąd masz na to kasę? - pyta Madeleine. - Dobre sushi kosztuje.

- Moja szefowa zamawia dla siebie, ale nigdy go nie je. Dlaczego miałyby się zmarnować?

Angie nalewa sobie wódkę z lodem, dodając soku z cytryny, która jest składnikiem ciasta Coco.

- Poza tym, podczas ostatniego semestru żyłam tylko o kremie czekoladowym i winie. Teraz próbuję nadgonić stracone wartości odżywcze.

- To nic, pewnego weekendu zjadłam wszystko, co było w menu w Taco Bell - mówi Julia. - I to dwa razy z rzędu.

O rany, ta to nie odpuści w żadnej konkurencji.

- To brzmi jak totalnie pozytywne wariactwo. No dobra, wybieram się na Manhattan na drinka z Lordem Hugh, jakby ktoś chciał jechać ze mną. Pia? Coś ty taka cicha?

Biorę głęboki oddech.

- Nie mogę. Wstaję jutro o 5.30 rano. Mam fuchę. Albo randkę. Nie wiem sama. I zwolnili mnie. Znowu.

Dziewczyny milkną zszokowane.

- Zwolnili cię w Bartolo's? Skarbie, wszystko w porządku?

- Pracujesz o 5.30 jutro rano? Kto do cholery pracuje o 5.30 w sobotę rano?

- Kto u licha randkuje o 5.30 w sobotę rano?

- Opowiedz nam wszystko i to już.

Rozdział 5

Świta. Jestem z Jonah na dachu budynku w Williamsburg. To miejsce naszej fuchy-randki. Czekał na mnie przed tym budynkiem z dwoma kubkami kawy na wynos, przywitał szerokim zaspanym uśmiechem i nie chciał powiedzieć, co będziemy za chwilę robić.

Przemknęło mi przez myśl, że może ma wobec mnie jakieś niecne plany, potem zauważyłam, że ma na sobie podkoszulek z Troskliwymi Misiami i bladoróżowe lniane szorty związane kawałkiem liny, i zdałam sobie sprawę, że ktoś, kto ubiera się jak hipsterski Huckleberry Finn, nie może być zły.

A teraz, gdy sączę swoją kawę - Chryste, uwielbiam kawę - nie mogę przestać patrzeć na rzekę płynącą przez Manhattan. Jest tak piękna we wczesno porannych promieniach słońca, wygląda jakby ją ktoś upiękaczył w Photoshopie.

Nie mogę zostawić Rookhaven, nie mogę wyjechać z Nowego Jorku. Za bardzo chcę tu mieszkać, a poza tym, odczuwam głód przygód, jakie tutaj na mnie czekają.

Tylko jeszcze nie wiem, co to będzie.

— Pięknie prawda? - mówi Jonah, dołączając do mnie podziwiającej miasto.

- Jest niewiarygodnie pięknie - odpowiadam.

- Czytałem gdzieś, że Kartezjusz twierdził, że wspaniałe miasto powinno „akumulować to, co jest możliwe” — mówi Jonah. - Powinno być miejscem, w którym może zdarzyć się wszystko. Gdzie nigdy nie wiadomo, co jeszcze się wydarzy.

- Piękne - odpowiadam.

- Obróć się i przywitaj się z dziewczętami. Dziewczętami?

Nagle, w ,rogu dachu widzę stojące trzy ule sięgające mi do bioder. Mrużę oczy od wschodzącego słońca i piszczę:

- Uwważaj! Pszczoły! - prawie wskakując w ramiona Jonah.

- Spokojnie myszko - wyciąga z torby kapelusz na safari pokryty siatką. - Chyba nie boisz się pszczoł, co? Jeśli masz cykora, to załóż kapelusz cykora.

Nie zakładam kapelusza cykora, chociaż tak naprawdę to boję się pszczoł.

- Nie, nie, dam radę. No to... co robimy?

- Zajmujemy się pszczelarstwem.

Kiwam głową, starając się wyglądać na wyluzowaną. Oczywiście, że tak. Jesteśmy w mieście Nowy Jork. Dlaczego nie mielibyśmy się zajmować pszczelarstwem?

- To są ule mojego kumpla, Raya, opiekuję się nimi - mówi Jonah, podnosząc jakieś metalowe urządzenie przypominające konewkę. - Prowadzi restaurację w centrum miasta. Jeśli się dziś sprawdzisz, będziesz mogła przejąć tę fuchę.

Pia Keller pszczelarką?

- Czyli będziemy... doić ul?

Jonah wybucha głośnym śmiechem. - Mówisz poważnie?

- Nie — dodaję szybko. Nienawidzę mówić głupot. - To znaczy... Co będziemy robić?

- Sprawdzimy ramki z miodem - odpowiada, rozpalając metalową konewkę. - To jest dymarka. Dym sprawia, że pszczoły są trochę jakby przytłumione, więc nie atakują, gdy się sprawdza ich siedzibę. Trzeba tylko poruszać się powoli i cicho.

I wtedy na moim ramieniu siada pszczoła, a ja z krzykiem biegnę na drugą stronę dachu.

- Ale teraz serio! Mała! - mówi Jonah. - Bo je wystraszysz!

- Przepraszam!

- Po prostu rób, co ci każe - mówi Jonah. Nasze oczy spotykają się na sekundę, a on unosi jedną brew. Ooo. Flirtujące spojrzenie. A więc jednak to jest randka. Ale czy Jonah podoba mi się w ten sposób? Chyba nie.

Nagle przypominam sobie tamtego faceta, którego zobaczyłam na Court Street, tego księcia z bajki z niesamowitymi brwiami i krzykliwą brytyjską dziewczyną... Uh! Dlaczego w ogóle o nim myślę? W końcu jest zajęty i już go nigdy więcej nie zobaczę. I przecież nie bawię się w związki.

A dlaczego?

A więc, miał na imię Eddie. I był moją pierwszą miłością. (Żenujące, wiem. Nie ma innego sposobu, by to powiedzieć.) Miałam szesnaście lat, gdy przybyłam do mojej trzeciej szkoły z internatem, miałam nerwicę frontową i byłam w oplakany stan po tym, jak wyrzucono mnie z dwóch poprzednich szkół, nie wspominając już o ciągłych kłótniach z rodzicami... Wtedy właśnie poznałam Eddiego. Gdy byliśmy razem, po raz pierwszy w życiu byłam spokojna. Po prostu, sama nie wiem, pasowaliśmy do siebie. Pomagał mi w nauce, dzięki niemu przestałam imprezować, sprawił, że moje życie wróciło na odpowiednie tory. A co więcej, sprawiał, że czułam się szczęśliwa, bezpieczna, czułam, że ktoś mnie rozumie... Jakby mnie uratował. Powiedział mi, że ja też go uratowałam - od nudnych dziewczyn z New England, wśród których dorastał, od niemożności śmiania się do łez, od duszącej popularności i samotności. Oczywiście to wszystko były bzdury. Jediną osobą, jaką możemy uratować, jesteśmy my sami.

Ale nieważne.

Na moment przed nadejściem pierwszego lata, które mieliśmy spędzić razem przed wyjazdem na studia (on do Berkeley,

ja do Brown), zerwał ze mną. Przez telefon! Powiedział dokładnie tak: „Pia, spójrzmy prawdzie w oczy. Jesteś nieprzewidywalna, nigdy nam nie wyjdzie. Robię to po prostu, zanim ty to zrobisz”.

Nawet teraz, na samą myśl o tym czuję się tak, jakby ktoś dał mi w twarz. Zerwał ze mną, ponieważ byłam zbyt zmienna, zbyt nieodpowiedzialna, niegodna zaufania. Zerwał ze mną przez to, jaką jestem... Czy przez to, jaka byłam w jego opinii, nieważne, a ponieważ znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny, to tak, jakby to było to samo, prawda?

Nigdy nie przypuszczałam, że mogę czuć aż taki ból. Na samo wspomnienie w moim gardle pojawia się ogromna, bolesna kula płaczu, wiecie, o czym mówię?

Mieszkałam wtedy z Angie w Bostonie i miałam największy w życiu atak wywołany stresem. Myślałam, że umieram. Nie mogłam oddychać, serce mi waliło jak szalone, wszystko dookoła wirowało, a w głowie miałam tylko jedną myśl: „To koniec, to koniec...”. Angie wbiegła kilka minut później, chociaż miałam wrażenie, że minęły godziny. Później powiedziała mi, że usłyszała dziwny odgłos wycia, a ja nawet nie pamiętam, że go z siebie wydałam.

Kolejnych kilka tygodni było... nie do opisania. Myślę, że gdy kończy się związek, jest trochę jakby ktoś umarł. Szalałam z rozpaczy.

Słuchanie zwierzeń nie jest w zwyczaju Angie, ale Boże, była wtedy wspaniała... Słuchała mnie, gdy piłam i narzekałam. Odgarniała mi włosy, gdy wymiotowałam i podawała mi chusteczki do otarcia łez. Przeprogamowała mojego iPoda, bym nie musiała słuchać piosenek, które przypominały mi o Eddie'm. Podnosiła mnie pod koniec każdego wieczoru, prowadziła do domu i kładła do łóżka. Była po prostu idealną przyjaciółką.

Potem zaczęłam studia i zdecydowałam, że już nigdy więcej nie będę o tym mówiła. To był jedyny sposób, by się pozbierać i udawać, że jestem szczęśliwą imprezową dziewczyną.

To cała historia o Eddie'm.

Właśnie dlatego zawsze jestem sama i zawieram jedynie przelotne znajomości. Dlaczego miałabym przechodzić przez taki zawód miłosny jeszcze raz?

Uh. Nie znoszę tego, że myślę o Eddie'm. Mój umysł ciągle do niego wraca, jak u ośmiolatka, który ma wypadającego zęba i ciągle go dotyka językiem.

Ale w przeciwieństwie do zęba, Eddie nigdy nie wypada mi z głowy.

Jonah podchodzi do mnie i szczypie mnie w nos, przerywając moją zadumę. - Chcesz zobaczyć te pszczołki, księżniczko?

Z dłońmi w wełnianych rękawicach, Jonah podnosi wieko ula i wyciąga w górę drewnianą tackę. Jest pokryta grubym plastrem miodu i powoli pełzającymi po niej otumanionymi pszczołami.

- Coś mi się zdaje, że je nieźle bzyknałeś - komentuję, uderzając rękami w uda zachwycona swoim własnym żartem.

- Jesteś prze... — poczekaj, poczekaj na to - ... zabawna... No dobrze, spójrz na ten plaster - mówi. - Ten jest pełen miodu... To prawie nie mieści mi się w głowie. Trzeba tylko dać pszczołom schronienie, a w zamian one tworzą najśłodszą rzecz na świecie.

- Jakie kwiaty jedzą? - pytam, próbując nie robić uników za każdym razem, gdy jakaś pszczoła przeleci obok. — Zapładniają. Czy coś tam. Pylą. Zapylają. Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak naprawdę to wszystkie kwiaty albo drzewa owocowe czy krzewy - odpowiada. - Po swój pyłek potrafią polecieć na odległość dwóch kilometrów, więc mogłyby dolecieć aż do Central Park. A dla leniwej pszczołki jest oczywiście Brooklyn Botanic Yards.

Obserwuję, jak jakaś grubiułka mała pszczoła wykonuje dwie idealne ósemki dookoła tłumy innych, ocierając się swoim włochatym, pulchnym, małym ciałkiem o swoich pobratymców, jakby lekko tańczyła.

- Są takie piękne z bliska - mówię ściszone głosem. - Takie zajęte i szczęśliwe. Takie pocieszne, prawda?

Zatrzymuję się, sądząc, że pewnie znów powiedziałam coś głupiego. Spoglądam na Jonah, ale on się nie śmieje. Zamiast tego pochyła się, by mnie pocałować, ale w ostatniej chwili coś we mnie mówi: nie, i odsuwam się od niego.

Dzięki Bogu Jonah przyjmuje to jak dorosły. - Uwielbiam zapach odrzucenia o poranku!

Śmieję się. - Przepraszam cię, stary. Ja po prostu nie...

- Nie ma za co przepraszać - przerywa mi. - Łatwo przyszło, łatwo poszło, brachu. Zabierajmy się do pracy.

Po paru godzinach wybierania miodu zdecydowałam, że pszczelarstwo jest zdecydowanie nie dla mnie. Jest zbyt niebezpieczne (albo ja jestem zbyt dużym cykorem, nieważne). Większość czasu spędziłam, biegając po dachu tam i z powrotem za każdym razem, gdy usiadła na mnie pszczoła. Teraz siedzimy w starym zdezelowanym samochodzie Jonah, słońce świeci, a na kolanach mam kosz ze słoikami miodu z ręcznie opisanymi nalepkami Kings County.

-*Baby you're a firework* — śpiewa Jonah razem z Katy Perry, której piosenka leci w radio.

- Czuję się tak rześko! Tak super jest coś zrobić! - mówię.

- Uwielbiam to!

- To jak to jest zazwyczaj w twoim życiu, księżniczko?

- pyta Jonah ze śmiechem. - Siedzisz sobie wygodnie, a niewolnicy podają ci do ust winogrona czy jak?

-Ach, pocałuj mnie gdzieś... A tak przy okazji ten samochód jest ohydny.

Jest pełen pustych opakowań po jedzeniu i śmierdzi jak niemyte stopy.

- To? To jeszcze nic. Powinnaś zobaczyć moje mieszkanie. Mieszkam z piątką facetów, to prawdziwy chlew. Wszyscy pozostali zawsze na coś chorują, ale ja nie!

Uśmiecha się z dumą.

- Mam żołądek bizona z Teksasu.

Fuj. Faceci w naszym wieku uwielbiają mieszkać w chlewie. Nie kumam tego.

- A jak łączysz te wszystkie fuchy z karierą aktorską?

- Nie nazwałbym tego karierą aktorską, mała. Jestem tu już sześć lat i nic wielkiego się nie wydarzyło. Nieźle się bawię. Czasem pomagam w zespole mojego kumpla, Little Ted. Czasem biorę lekcje aktorstwa, a przez resztę czasu się obijam.

- Nieźle - mówię, choć tak naprawdę sześć lat obijania się brzmi dość dołująco. - A w czym ostatnio grałeś?

- W kampanii reklamowej firmy Diesel - choć mówi to na luzie, wyraźnie widać, że jest z tego cholernie dumny.

- W reklamie telewizyjnej?

- Uh, nie. Internetowej.

- W kampanii internetowej? A czy to nie jest modeling?

- Nie, to był filmik. To była gra aktorska.

Wątpię („w tej scenie motywacją do działania są dzinsy!"), ale nieważne.

W tej chwili dzwoni mój telefon.

Przez sekundę gapię się na ekran telefonu, potem wciskam tryb wyciszony. To moi rodzice. Nie rozmawiałam z nimi od ostatniej katastrofy po pamiętnej imprezie i nie chcę zaczynać teraz.

Minutę później mój telefon wibruje. To wiadomość na sekretarce. Równie dobrze mogę to już mieć za sobą.

Mój tato zaczyna mówić jako pierwszy:

Ach, Pia, jest... 2:45 po południu w Zurychu, co znaczy, że w Nowym Jorku jest 8:45, pewnie jeszcze śpisz. - „Nie, nie śpię, pracuję" - myślę prowokująco. Dzwonimy, by ci powiedzieć, że będziemy w Nowym Jorku w październiku.

Moja matka wcina się z drugiego aparatu. / jeśli nie będziesz miała pracy, prawdziwej pracy, to wrócisz z nami do Zurychu, gdzie będziemy mogli mieć na ciebie oko!

Wtedy mój ojciec znów jej przerywa. *Zadzwonimy do ciebie jutro. Postaraj się nie spać i być trzeźwa. Klik.*

Wciskam przycisk „skasuj”, wyłączam telefon i wzdycham.

No cóż, wiem, że na świecie są tysiące dziewcząt w moim wieku, które są zupełnie niezależne od swoich rodziców, które potrafią zażądać, by się nie wtrącali i uciąć wszelkie kontakty... Ja tego nie chcę. Jakaś część mnie nadal ma nadzieję, że może pewnego dnia to dziwne ochłodzenie naszych relacji powstałe w ciągu ostatnich kilku lat się skończy. W końcu, to jedyni rodzice, jakich mam. Naprawdę chcę, by byli ze mnie dumni. Bardzo często mam wrażenie, że oni mnie nawet nie lubią.

Spoglądam przez okno zanurzona w myślach. Nagle promienie słoneczne wyglądają jakoś przygnębiająco. Kogo ja oszukuję? Przecież nie zrobię kariery, zbierając cholerny miód. Potrzebuję pracy, prawdziwej pracy... I to szybko.

- Dziś jest wyjątkowy dzień dla dziewczyn i chłopaków, którzy mają szczęście - mówi Jonah głosem spikera radiowego. - Dziś jest Festiwal Barów na kółkach na Brooklyn Fleamarket! I to tam właśnie Pio Keller będziesz pracowała! Znasz Brooklyn Flea?

- Oczywiście!

Tak naprawdę po raz pierwszy poszłam na Brooklyn Flea parę tygodni temu z Angie i Coco. To gigantyczna zbieranina stoisk pod namiotami, w których sprzedaje się wszystko, od antyków przez dzieła od projektantów, dzieła sztuki aż po - no cóż, jest tam po prostu bardzo dużo wszystkiego.

A potem milknę.

- Czekaj, a co to jest ten Festiwal Barów na kółkach?

- O rany, ty naprawdę jesteś tutaj nowa, prawda? - odpowiada. - Bary na kółkach to bary zainstalowane w ciężarówkach, które jeżdżą po mieście i sprzedają - i tu uwaga - jedzenie.

- No jasne - odpowiadam, rumieniąc się. - Coś jak ciężarówki sprzedające lody.

- Um... No tak, pewnie. Ale myśl szerzej - mówi Jonah, wjeżdżając na parking.

- Ciężarówki z kebabami - mówię, gdy wysiadamy z samochodu. - O, i chyba kiedyś widziałam ciężarówkę ze słodkimi babeczkami na Soho.

- Szerzej.

Idziemy wzdłuż ulicy w kierunku znaku, na którym widnieje napis „Festiwal Barów na kółkach w Brooklyn Flea” i wreszcie rozumiem, co miał na myśli, mówiąc, bym myślała szerzej. Przed nami stoją w rzędach, jedna obok drugiej, jak ogromne kolorowe i błyszczące zabawki: mobilne bary wszelkich możliwych rodzajów.

Gobble Cobblers, Mac'N'Cheese, Schnitzeldog, Lang Kwai Fried Dumplings, The Spelthouse, Mexineasy, The Artisan Cheesemakers, Everyone Hates Offal (ze sloganem reklamowym „Usmaż mi wątróbkę!”), The Queen's English Trifle Guild, Screamer Ice Cream, Mash And Stew In It, Simple Simon The Piemans, Macaroonatics...

- Zabawne mają nazwy - komentuję. - A jak przyrządzają to całe jedzenie w ciężarówkach?

- Zatrudniają elfy - odpowiada Jonah.

- Robię się głodna - dodaję, podnosząc wzrok na niego.

- Jeszcze chwilę, mała.

Klienci już cierpliwie czekają w kolejkach, by kupić coś do jedzenia przed długim dniem pracy na festiwalu. O rany, ludzie w tym mieście zrobią wszystko, by dobrze zjeść. Te ciężarówki muszą przynosić ich właścicielom kupę kasy.

Jonah przystaje przed ciemnozieloną ciężarówką z napisem wymalowanym z boku białymi literami: „A Meal Grows In Brooklyn”. Boczna markiza jest uniesiona, a pod nią krótkie menu wypisane odręcznie kredą na tablicy.

Śniadanie

Francuskie tosty z chleba z rodzynkami (z DUMBO) i serem ricotta (z Park Slope)

Boczek (z Mili Basin) z jajami sadzonymi (z Brooklyn Heights) z chlebem na zakwasie i masłem (z DUMBO)

Pączki na zakwasie (z DUMBO)

A WSZYSTKO to pochodzi z upraw regionalnych, nienaru-szających równowagi ekologicznej, produktów sezonowych, zwierząt z wolnego wybiegu, hodowanych w małych gospodarstwach ekologicznych!

- To ciężarówka Raya, brata Phila. Jego specjalnością jest pieczywo, ale prawie wszystko jest wyprodukowane, wyhodowane, sprawione lub uwędzone w tej dzielnicy¹... Kumasz?

- Prawdę mówiąc, to rodzyнки są z Kalifornii - mówi rudowłosy facet wychodzący zza ciężarówki. Jest jednym z tych agresywnie ironicznych trzydziestoparolatków z Brooklynu, którzy mają wąsy podkręcone do góry i noszą oldschoolowe kowbojskie koszule. Phil i Jonah wykonują krótką kombinację złożoną z uścisku dłoni i przytulenia się, i Jonah mnie przedstawia. Najwyraźniej Phil prowadzi ekologiczną piekarnię vel kafejkę w DUMBO, a obwoźnym barem jeździ w weekendy dla zabawy.

- Naprawdę wszystko pochodzi z upraw w Brooklynie? - pytam sceptycznie.

- Brooklyn jest pełen jedzenia, moja maleńka - Phil zagląda do koszyka. - O kurka, te pszczoły się nieźle uwijają! Uwielbiam, gdy mój brat ma dobre pomysły. Oczywiście, prawdopodobnie dlatego Ray jest bogatszy i odnosi więcej sukcesów.

- Ale nie ma takich wąsów jak ty - mówi Jonah. - Tęsknisz za brodą?

¹ **A Meal Grows In Brooklyn oznacza Posilek Rośnie na Brooklynie - przyp. tłum.**

- Nie za bardzo - odpowiada Phil, podkreślając swojego rudego wąsa. Ale nieważne! Zobaczmy... ser ricotta i tosty z chleba na zakwasie z miodem?

Podnosi głos.

- Lara? Kochanie? Czy mamy ricottę?

- Mamy - odpowiada żona Phila, atrakcyjna kobieta z włosami w nieładzie, która wyłania się z tyłu ciężarówki.

- Chleb na zakwasie z naszej ekologicznej piekarni w DUMBO, ręcznie wytwarzana ricotta od mojego znajomego z Fort Greene, miód z Williamsburga. Jedzenie z Brooklynu. Kumaszą?

- Kumam - potakuję.

- A jak tam jaja na bekonie, skarbie?

- Mamy mały problem - Lara śmieje się. - Zapomnieliśmy o jajach.

Mam wrażenie, że nie pierwszy raz o czymś zapomnieli.

- Kanapki z samym bekonem? - mówi Phil powątpiewająco. - Nuda. Ludzie, macie jakieś pomysły ?

- Bekon... yyy... z bekonem? — mówi Jonah.

-A może kanapki z bekonem i dżemem z chilli? - mówię.

To moja ulubiona kanapka. Eddie robił je kiedyś, gdy mieliśmy kaca na wakacjach, używał wtedy słodkiego sosu chilli prosto z butelki.

- Śniadanie mistrzów — mówił, wciągając mnie na kolana, bym je zjadła z nim, za każdym razem braliśmy kęsy raz on, raz ja. Potem wychodziliśmy na piernikowe latte, które tak naprawdę jest ohydne, przyrzekam na Boga. Eddie mówił, że smakuje jak Boże Narodzenie. Uh, przestań o nim myśleć.

- Tak! Uwielbiam kreatywne pomysły! No dobra, wy dwoje idźcie się rozejrzeć. Będę was potrzebował w południe.

Więc Jonah i ja spacerujemy po Brooklyn Flea, zjadając kanapki z ricottą i miodem.

- No to skąd ty jesteś księżniczko? - pyta Jonah z pełnymi ustami. - Ricky i Yinnie mi wszystko o tobie opowiedzieli, mó-

wili, że jesteś Europejką, ale ja myślałem, że jesteś Hinduską albo Pakistanką czy kimś w tym stylu. Kimś w tym stylu?

- Uh, urodziłam się w Stanach, ale dużo podróżowaliśmy, jeśli o to ci chodzi. - Mówię to, gdy mijamy stoisko z antycznymi lustrami, które wyglądałyby naprawdę wspaniale w przedpokoju w Rookhaven. Muszę tu wrócić, gdy będę miała pieniądze, jeśli kiedykolwiek będę je miała.

- Naprawdę? Ale to musiało być dziwne. Wyciągam swój zwyczajowy zestaw odpowiedzi:

- Szkoła to szkoła, nieważne gdzie jesteś. Są w niej klasy, po szkole wraca się autobusem do domu, odrabia lekcje...

- Nigdy nie chodziłaś do szkoły w Stanach?

- Chodziłam. Odkąd skończyłam dwanaście lat, chodziłam tu do szkoły z internatem... Właściwie to do trzech - podnoszę jakąś biżuterię zrobioną z części starej maszyny do pisania. - Super, spójrz na to!

- Trzech? Dziewczyno to naprawdę dziwne! A skąd są twoi rodzice?

Dziwne. Znowu. Jak ja w ogóle mam się kiedykolwiek poczuć, że jestem u siebie, gdy ludzie zawsze mi wytykają, że jestem inna?

- Moja mama pochodzi z Indii. Mój tato ze Szwajcarii, ale mieszkał w Stanach przez jakieś trzydzieści lat. Jest dużo starszy od mojej mamy.

- Dlatego masz zielone oczy? Po tacie?

- Chyba tak.

Moje oczy mają dziwny jodeitowy kolor. Gdy byłam nastolatką, wszyscy myśleli, że noszę szkła kontaktowe i musiałam niemal wydłubywać sobie gałki oczne, by udowodnić, że tak nie jest.

- Więc jak to jest? Mówisz trzema językami?

- Niestety nie.

- Czyli gdzie jest twój dom?

Walczę ze sobą, by nie zawyć ze złości.

- Gdziekolwiek położę swój kapelusz, skarbie.

To jedna z moich klasycznych odpowiedzi na to pytanie, na które odpowiedzi nie mam. Nie wiem, gdzie jest moje miejsce. Dlaczego to wszystkich aż tak interesuje? Czy myślą, że jak się tego dowiedzą, odkryją, kim naprawdę jestem?

- O rany, twoje życie jest dziwaczne.

- Yhmm.

Zaczynam przeglądać staromodne futra. Nigdy nie udaje mi się wytłumaczyć, jak to jest być mną. Tylko Eddie jako jedyny mnie rozumiał, a potem odtrącił.

Boże, ta rozmowa mnie dobija.

- Pewnie bardzo tęsknisz za rodzicami.

- Uh, no tak... - nigdy za nikim nie tęsknię, jestem przyzwyczajona do pożegnań. Ale ludzie myślą, że jeśli się tak mówi, to jest się zimnym i bez serca.

- I założę się, że byłaś jedną z najpopularniejszych dziewcząt we wszystkich szkołach.

- Jasne. Byłam prawdziwą gwiazdą.

No dobrze, może i kolegowałam się z bardziej popularnymi ludźmi w szkole, ale tak naprawdę nigdy nie byłam jedną z nich. To było niemożliwe. Te dziewczyny od urodzenia nosiły ubrania tych samych marek, tak samo rozjaśniały sobie włosy, wyjeżdżały do tych samych miejsc w Hamptons i Martha's Vineyard. Ja po prostu nie pasowałam: miałam inny kolor skóry, inaczej się ubierałam, wszystko we mnie było inne. Jedynym sposobem na przetrwanie było unikanie konfliktów, bym nie została wyrzutkiem, a to oznaczało, że musiałam zawsze wyglądać na szczęśliwą, niezależnie od okoliczności. I wtedy spotkałam spokojnego, wywarzonego Eddiego i bycie prawdziwie szczęśliwą było łatwe. Przez chwilę.

Jonah bierze kapelusz safari i przymierza. Niezłe muskuły. Przez sekundę wyobrażam sobie, jak liżę jego ramiona, jak leży na mnie w łóżku... Ciekawe czy to normalne fantazjować

o seksie z facetami, z którymi związek mnie nie interesuje. Julia powiedziałaaby, że nie. Angie, że tak.

- Znowu jestem głodny - mówi Jonah. - Kupimy hot doga na spółę? Z podwójną porcją ketchupu! Kiedyś założyłem się, że wypiję cztery litry ketchupu i wygrałem!

I *bach!* Moja seksualna fantazja na temat Jonah pry snęła jak bańka mydlana. W tej właśnie chwili jakieś osiem metrów od nas dostrzegam Angie, ubraną w maleńką niebieską sukienkę koktajlową, jak trzyma się ramienia jakiegoś starszego faceta wyglądającego na bogatego Europejczyka, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Sądząc po odrobinę za krótkich džinsach, to prawdopodobnie Francuz.

Ale właśnie w chwili, gdy mam zamiar do niej krzyknąć, by nas zauważyła, Angie uderza go dłonią w twarz. On ostro odpycha jej rękę i mówi coś wymijającego. Potem Angie odpycha go od siebie tak, że on aż robi krok w tył. Nie słyszę za bardzo, co Angie mówi, ale ostatnie słowo jest bardzo wyraźne, ponieważ wykrzykuje je z całych sił:

- Wypierdalaj.

Teraz wszyscy się na nich gapią.

- Niezła lalunia - komentuje Jonah.

Potem Angie obraca się i ucieka. Facet poprawia swoją przydługawą grzywkę i znika w tłumie.

- To moja najlepsza przyjaciółka... — mówię ściszym głosem.

Dlaczego Angie nie wspomniała mi nic o tym nowym facecie? Myślałam, że podoba jej się Hugh, ten angielski Lord. Kim u licha jest ten facet? Wyciągam telefon.

- No, chyba powinnaś do niej zadzwonić - mówi Jonah. -Nie...

Boże, mężczyźni to idioci. Gdyby Angie chciała, bym się dowiedziała o tym facecie, to by mi o nim powiedziała. Najwyraźniej nie chciała, więc muszę to uszanować. Ale mogę jej ułatwić sprawę, jeśli będzie mi chciała o nim powiedzieć teraz...

Piszę do Angie krótkiego SMS-a.

Hej laseczko. Co tam słyhać? Widzimy się później?

Sekundę później otrzymuję odpowiedź.

Może. Nie ma mnie teraz. Napijmy się wieczorem.

„Typowa Angie” - myślę sobie, idąc dalej z Jonah.

Gdybym zobaczyła Julię w trakcie kłótni z jakimś tajemniczym facetem, mogłabym z nią o tym porozmawiać bez owijania w bawełnę. Oczywiście to się raczej nigdy nie zdarzy. Ona nie bawi się w tajemnice. Ostatnim razem, gdy Jules umówiła się z jakimś facetem, pisała do mnie SMS-y podczas randki. Dosłownie.

Ale Angie taka nie jest. Kiedyś byłyśmy na wakacjach w Tajlandii z naszymi rodzicami. Miałyśmy po czternaście lat. Angie powiedziała mi, że idzie spać. Więc ja wymusnęłam się z parą barmanów z hotelu na wycieczkę po tamtejszych barach. Z nadejściem północy poszłam do toalety w jakiejś spelunie, usłyszałam łkanie i gdy zajrzałam do kabiny obok, zobaczyłam buty Angie. Siedziałam przed tą kabiną przez godzinę, błagając ją, by mi powiedziała, co się stało. Nie chciała i wciąż powtarzała, że mnie nie potrzebuje, że chce być sama. W końcu wyszłam stamtąd, a kolejnego ranka dowiedziałam się, że wymeldowała się z hotelu i wróciła do domu.

Nigdy nie dowiedziałam się, co się stało, a ona po tym wszystkim nie rozmawiała ze mną przez prawie rok. Jak teraz o tym myślę, to był ten sam rok, w którym wyrzucono mnie z mojej pierwszej szkoły z internatem. Potem, następnego lata zachowywała się tak, jakby wszystko było między nami w porządku, więc na to przystałam. Czasem przyjaźń jest bardziej skomplikowana niż jakikolwiek związek.

- Grosik za twoje myśli - mówi Jonah. Patrzą na niego i marszczą brwi.

- Przykro mi. Są warte dużo więcej.

Rozdział 6

Na Brooklyn Flea zbliża się pora lunchu, i podczas gdy Jonah stoi w kolejce po lody karmelowe z solą morską, ja opieram się o zdezelowaną starą ciężarówkę stojącą na brzegu placu targowego i obserwuję ludzi. Czy istnieje może jakiś obowiązek nakazujący mężczyznom z Brooklynu, w przedziale wiekowym od trzydziestu do czterdziestu lat, zapuścić brodę? Każdy sprzedawca płci męskiej ma tę samą ekstrawagancką ozdobę na twarzy. I wszyscy wyglądają na takich szczęśliwych.

Właśnie tego mi trzeba, muszę znaleźć pracę, dzięki której będę szczerze się uśmiechać.

O czym ja w ogóle mówię? Po prostu muszę znaleźć pracę.

- Hej, uważaj - mówi szorstki głos. Należy do starszej kobiety o długich siwych włosach zwiniętych w kok.

Obracam się i zaaferowana patrzę na ciężarówkę za mną. Dopiero teraz zauważam, że to ciężarówka z mobilnym barem, jest pomalowana na blad różowo i ma więcej lat ode mnie. Nie przypuszczałam, że mogę ją tak łatwo uszkodzić.

- Przepraszam, ja...

- Żartuję - kobieta uśmiecha się do mnie szeroko. - To Toto.

- Toto ciężarówka? Tak jak w piosence, Afryka?

- Właśnie tak albo *Orchestral Manoeuvres In The Dark* - odpowiada. -
Toto wydawało się być łatwiejszą nazwą. Jestem Francie.

- Pia - pochylam się, by uścisnąć jej dłoń. Bardzo mocny uścisk, zauważam.

- Masz przerwę? - pyta.

Wzrusza mnie to, że bierze mnie za kogoś, kto tu pracuje.

- Nie do końca... Czekam na znajomego. Ale bardzo mi się tu podoba. Wszyscy wydają się być tacy szczęśliwi. Szczególnie ludzie pracujący w obwoźnych barach.

- Nic dziwnego, te ciężarówki to nowość na rynku, a ich właściciele zbijają niezłe kokosy - mówi, sprawdzając pocztę na iPhone. Niesamowite. Moja matka myli pilota od telewizora z telefonem bezprzewodowym. iPhone przekracza jej możliwości.

- Naprawdę? - pytam. - Czy pani też tu pracuje?

- Nie. Próbuję ją sprzedać. Bezskutecznie - odpowiada Francie, wzdychając i poklepując ciężarówkę, tak jakby była jakimś psem.

- Dlaczego?

- Jest stara - Francie wzrusza ramionami. - Jest w pełni wyposażona, kiedyś sprzedawano w niej lody na Coney Island, ale nie ma tych wszystkich nowoczesnych dzwoneczków i gwizdków, które są teraz wymagane. I jej silnik też nie jest najmocniejszy.

- Biedna Toto - mówię współczująco, poklepując ciężarówkę. Jej farba jest jakby ciepła i ziarnista, w przeciwieństwie do super błyszczącego lakieru wszystkich innych ciężarówek. Podoba mi się też jej kształt. Nie mam pojęcia o ciężarówkach z mobilnymi barami czy jakichkolwiek innych pojazdach, ale Toto jest taka jakby... do przytulenia.

- Ile kosztuje? - pytam.

- Około dziewięć tysięcy dolarów, ale cena jest do uzgodnienia.. . Problem w tym, że nie chcę jej sprzedać komuś, kto jej nie pokocha.

Nagle myślę, że mogłabym pokochać tę ciężarówkę. Czy widzicie mnie za jej kierownicą? Jak sprzedaję jedzenie z jej bagażnika? Mogłabym to robić, wiem, że mogłabym... gdybym tylko umiała gotować.

Cholera.

- No dobrze, muszę lecieć, skarbie. Mam spotkanie w Battersby o piątej.

Otwiera drzwi ciężarówki, zwinnie do niej wsiada i odjeżdża, salutując mi na pożegnanie.

Pogrążona w myślach odwracam się i prawie wpadam na Jonah i Biancę, tę wredną krótkowłosą kelnerkę z Bartolo's.

- Spójrz, kogo spotkałem! — mówi Jonah radośnie z ustami pełnymi lodów. Pochyliła się, jakby chciał mi coś powiedzieć w sekrecie. - Bianca ma kaca.

- Świątowałam to, że nie będę już musiała odwiedzać tego cholernego lombardu na Pitkin - mówi Bianca. Mówi wyłącznie do Jonah. Klasyczne zachowanie wrednych lasek. - Cosmo dał mi moje pieniądze i moja ciężarówka już do mnie jedzie!

- On jest lichwiarzem. To jego pieniądze - mówi Jonah.

- Nieważne! Teraz są moje! - Bianca wybucha bardzo irytującym śmiechem.

- Cóż za niespodzianka, że cię tu widzę - mówię swoim najśłodszym głosem. Założę się, że wiedziała, że Jonah tu będzie.

Ignorując mnie, Bianca nachyliła się i wtyka swój język prosto w lody Jonah. To gest oznaczający objęcie w posiadanie, tak ewidentny, że walczę ze sobą, by jej nie zasalutować. Możesz robić cokolwiek chcesz, laluniu. On jest cały twój.

- Strasznie mi się podoba ta cała idea mobilnych barów, wiesz? - mówi Bianca, gdy wracamy w kierunku A Meal Grows In Brooklyn. Idzie po drugiej stronie Jonah, mówiąc na tyle cicho, żebym jej nie słyszała. - Podoba mi się to, jak uświadamiamy uciśnionym masom rzeczywistą wartość jedzenia, które prawdziwie odżywia ciało i duszę... Tak się cieszę, że otwieram

teraz swój własny bar mobilny z ciastami pieczonymi według autorskich przepisów.

Uciśnione masy? Autorskie przepisy?

- Dziewczyno, to będzie super! - mówi Jonah.

- Poważnie, Dzej. Może mobilne bary są początkiem czegoś większego, a te trutnie na Manhattanie przestaną teraz zatruwać Matkę Ziemię i zdadzą sobie sprawę, że jesteśmy tu po to, by uczynić świat lepszym miejscem do życia dla dzieci, naszych dzieci.

Parskam śmiechem. Czy ta laska mówi to wszystko na poważnie? Próbuję wymienić porozumiewawcze spojrzenie z Jonah - o przepraszam z „Dzejem” - ale widzę, że on jej przytakuje.

- Wiem, o co ci chodzi. Chodzi przede wszystkim o edukację, o to by nauczyć ludzi, że to, co jedzą, naprawdę może wiele zmienić.

- O to właśnie chodzi w obwoźnych barach! — wykrzykuje Bianca. - Musimy iść z duchem czasu, wpłynąć na kulturę popularną, zasiać korzenie trawy, z której wyrosną drzewa!

- Myślałam, że mobilne bary po prostu ułatwiają życie ludziom, którzy nie mają czasu ani pieniędzy, by usiąść w jakiejś cholernej restauracji podczas przerwy na lunch - mówię pod nosem, jakby do siebie. - I od kiedy to z trawy wyrastają drzewa?

Następuje cisza. - Przepraszam, że co? — mówi Bianca. Odchrząkuję.

- Moi znajomi, którzy pracują na Manhattanie, zawsze mówią, że nie mają czasu na lunch... A bar mobilny powinien im to ułatwić, prawda? To szybkie, tanie, dobre jedzenie.

- No cóż, to też racja - mówi Jonah.

- Załóżę się, że masz wielu znajomych na Manhattanie - mówi Bianca drwiąco.

- Oj tak, mam - uśmiecham się do niej sztucznie. O rany. Co za zdzira.

Dochodzimy do A Meal Grows In Brooklyn, a Phil wystawia głowę ze swojej ciężarówki.

- Potrzebujemy waszej pomocy! Wyprzedaliśmy już prawie całe nasze zapasy na lunch! - wykrzykuje, śmiejąc się troszkę histerycznie. - A nie ma nawet południa!

Lara biegnie w naszym kierunku. - Jonah, czy możesz mnie podwieźć do piekarni po więcej towaru? Nie zaplanowaliśmy tego za dobrze...

- Dobra i zadzwonię do Raya - mówi Jonah, marszcząc brwi w ten typowy dla każdego harcerza sposób mówiący „ja to naprawię”, tak jak robią to wszyscy mili faceci. Eddie też tak marszczył brwi.

- On na pewno będzie miał coś, co się przyda. Może moz-zarellę albo trochę tej genialnej miejscowej kiełbasy.

Wyciąga swój telefon.

- Pojadę z wami - dodaje Bianca natarczywie, wkłada mu rękę pod ramię i zadowolona z siebie odciąga go, patrząc na mnie.

- Pracujesz dziś wieczorem w Bartolo's? Mój kumpel ma koncert w Red Hook.

Jonah wyzwała ramię z jej uścisku.

- Pia! A ty? Jedziesz z nami?

- Miałabym zostawić obwoźny bar w potrzebie? Nie ma mowy! - odpowiadam i krzyczę do Phila: - Hej! Potrzebujesz pomocy w kuchni?

- No jasne! - odpowiada. — Wskakuj!

Przyznaję, że po prostu chciałam uciec od denerwującego gadania Bianci, a cztery godziny później mam wrażenie, że nigdy nie miałam takiej frajdy, robiąc coś, co nie wiązało się z alkoholem i/lub seksem.

Uwielbiam pracę w obwoźnym barze!

Jest tu wszystko, co uwielbiałam w Bartolo's - rozmowy z ludźmi, patrzenie, jak cieszą się dobrym jedzeniem - bez tych denerwujących obowiązków, jak na przykład bieganie między stolikami, podawanie rachunków czy zbieranie brudnych naczyń.

- Dlaczego nie zrobimy kanapek bez górnej części, no wiesz, tylko z dolną częścią bułki? - mówię do Phila, ponieważ widziałam, jak wiele osób, szczególnie kobiet, natychmiast wyrzucało górną część i zeskrobywało bardziej kaloryczne składniki, jak śmietana czy smażona cebula.

- Albo sałatkę? Albo żeby śmietana była opcją do wyboru?

- Ludzie tego nie kupią, Pia.

Zdaje się, że ruch popierający zachowanie równowagi ekologicznej nie obejmuje zachowania odpowiedniego rozmiaru twojego tyłka.

Nim wybija czwarta po południu, zamykamy wszystko, otwieramy zimne napoje i opieramy się o ciężarówkę, rozmawiając o tym, jak minął dzień. Uwielbiam czuć się częścią tej ekipy, nawet jeśli zawiera ona Zdzirę Biancę. Bianca i Jonah spędzili popołudnie, rozdając ulotki i darmowe przekąski z A Meal Grows In Brooklyn.

Phil daje mi sto dolarów i słoik miodu Kings County.

- O rany, dzięki, na pewno tyle? - mówię. - Przecież pracowałam tylko kilka godzin!

- Skarbie, zarobiłaś je, to twoje pieniądze — mówi Laura. - Bierz, jak dają.

Jonah i Phil rozmawiają o kupnie miejscowych gruszek, a Laura i Bianca o tym, jak nazwać nową ciężarówkę Bianci (o przepraszam, mobilną kawiarnię). Więc się wyłączam. Bardzo mi się tu dziś podobało i w ogóle, ale nie zapominajmy o najważniejszym: muszę znaleźć prawdziwą pracę. Gdy myślę o tym, jaka jestem spłukana i o tym, że nie mam pojęcia, jak zapłacić za czynsz w przyszłym miesiącu, nie mówiąc już o jedzeniu, jest mi niedobrze.

Moje rozmyślenia przerywa Phil, który wali w ciężarówkę dla podkreślenia wagi swoich słów.

- Co jest naprawdę zadziwiające to to, że ruch mobilnych barów w ciągu kilku lat odpowiedział na potrzeby wszystkich - mówi Phil. - Każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Nie chciałabym się kłócić, ale... To nieprawda.

- Wydaje mi się, że nie ma za wielu odmian kuchni różnych grup etnicznych - myśli głośno Laura. - Trudno by było zrobić brazylijskie chiaroscuro w barze mobilnym.

- Ktoś powinien założyć mobilny bar z jedzeniem z Teksasu - mówi Jonah z rozmarzeniem. - Mrożona herbata, stek w panierce smażony w głębokim tłuszczu, smażone ostrygi...

- Dlaczego ty go nie otworzysz? - pyta Phil.

- Bo to za dużo pracy jak dla mnie - Jonah śmieje się prostodusznie sam z siebie.

- Jest jeszcze miejsce dla mobilnego baru z ciastami pieczonymi według autorskich przepisów — mówi Bianca natarczywie.

Przewracam oczami i prawie parskam śmiechem. -A ty jak myślisz, Pia? - pyta Phil. Cholera. Nie sądziłam, że ktoś zwraca na mnie uwagę.

- A co ja o tym wiem? - odpowiadam. - Nie jestem specjalistką od... jedzenia. To znaczy nie jestem kucharzem czy szefem kuchni.

- Twoja opinia się liczy - mówi Lara. - Czasami ktoś z zewnątrz widzi dużo wyraźniej.

-A twoja kanapka z bekonem i chilli była najpopularniejszym składnikiem naszego dzisiejszego menu - dodaje Phil.

- No ej, chyba nie chcesz, żebym znowu wyciągnął kapelusz cykora - mówi Jonah.

- No dobrze - próbuję brzmieć jak ktoś, kto jest pewny siebie. - Uważam, że nie ma niczego dla ludzi, którzy nie chcą jeść tuczącego jedzenia pełnego soli i węglowodanów. Na przykład ktoś, kto pracuje w biurze i idzie na przerwę na lunch, nie chce jeść słodko-kwaśnego meksykańskiego burrito ze śmietaną i serem albo placka Charter, cokolwiek to jest.

- Kurczak z porem w kremowym sosie zapiekany w cieście - przerywa mi Phil.

- No właśnie! Sos i ciasto!? No nie no, przecież to już przesada! - dodaję, rozkręcając się. — Uwielbiam jedzenie,

uwielbiam jeść, ale nie chcę czegoś, co jest tuczące, i nie chcę kanapki, po której będzie mi się chciało spać, czy tłuszczu, po którym będzie mi się odbijało czosnkiem przez całe popołudnie. Z drugiej strony, nie chcę też jakiejś starej marnie wyglądającej sałatki z delikatesów, bo po dwudziestu minutach po jej zjedzeniu znów będę głodna.

- Laski też bekają? - pyta Jonah.

- Mówię poważnie! Chcę móc zjeść dużą świeżą chrupiącą sałatkę z mnóstwem białka, na przykład z tuńczyka lub duszonego kurczaka albo z gotowanymi jajkami, i chcę czuć mnóstwo smaków, takich jak imbir i czosnek i, yyy, sos z chili z limonką - milknę, mówienie o jedzeniu, tak jak robili to Jonah i Phil przez całe popołudnie, nie jest łatwe. - Z cykorią i migdałami i rzodkiewką, i z, yyy, awokado, i z chudym serem, i z taką ilością tłuszczu w sosie, by sałatka była smaczna...

- No cóż, życzę powodzenia w szukaniu ciężarówki z czymś takim - przerywa mi znów Phil. - Idź do baru sałatkowego. Albo do restauracji.

- Większość dziewczyn w moim wieku nie może sobie pozwolić na codzienne chodzenie do restauracji, a barów sałatkowych nie ma aż tak dużo... Chcemy obwoźnego baru ze świeżym jedzeniem, które jest smaczne, ale nie naładowane tłuszczem i kaloriami.

Milknę na sekundę, gdy moje małe ziarenko z pomysłem kiełkuje i rozwija się w kwiat.

- Chcemy Zgrabnych Oponek.

- Cóż, skarbie, dziewczyny w twoim wieku to małeńki odsetek populacji - mówi Phil.

Teraz już myślę głośno.

- Tak naprawdę to nie ma nic wspólnego z wiekiem. Takich kobiet jak ja są tysiące, nie, miliony. I założę się, że facetów też. Uwielbiam jeść, ale muszę dokonywać rozsądnych wyborów... Tu chodzi o równowagę, nie rozumiesz? Między jedzeniem,

które jest smaczne, a jedzeniem, które jest dobre dla zachowania figury.

Phil i Jonah wzruszają ramionami. Lara potakuje ze zrozumieniem. Bianca ogląda swoje paznokcie.

I wtedy podejmuję decyzję, które może całkowicie odmienić resztę mojego życia.

Zeskakuję z maski ciężarówki.

- Gdzie idziesz? - pyta mnie Jonah, gdy odchodzę zamaszystym krokiem.

Nie zatrzymując kroku, odkrzykuję przez ramię.

- Idę sobie kupić ciężarówkę z mobilnym barem.

Rozdział 7

- Przyszłam do Cosmo. Jestem, yyy, znajomą Bianci. Jeszcze nigdy nie byłam w lombardzie. Prosto z Brooklyn

Flea przyszłam na Pitkin Avenue. To miejsce wygląda zgodnie z moimi wyobrażeniami. Brudne okna, słabe oświetlenie - współczesny zakład lichwiarski. Ale jestem teraz w takiej sytuacji, że wydaje mi się, że to moja jedyna opcja. A do tego, jeśli Bianca z niego korzystała, to ja też mogę, prawda?

Facet z lombardu wygląda tak, jakby został wybrany w ramach castingu, ma wykałaczkę między zębami i wszystkie inne atrybuty zawodu - wyciąga telefon i wybiera numer.

- Cosmo? Jest interes. Nieee, to ci się spodoba.

Denerwuję się jak diabli, więc próbuję wyglądać tak, jakbym codziennie odwiedzała lombardy i udaję zainteresowanie zakupem smutnych małych pierścionków zaręczynowych ułożonych w rzędzie jak sierotki. Kilka minut później pojawia się Cosmo.

Ma na sobie dobrze skrojone spodnie i idealnie wyprasowaną koszulę, widać też, że dopiero co się ogolił. Nie jest przystojny, ale dość elegancki. Wiek nieokreślony, między trzydziestką a pięćdziesiątką. Wita się ze mną mocnym uściskiem dłoni, patrząc mi prosto w oczy i uśmiecha się, odsłaniając idealne białe zęby z bardzo różowymi, zdrowymi dziąsłami.

- Cosmo Ferris.

- Pia Keller.

- Niezmiernie mi miło. Może pójdziemy na zaplecze i porozmawiamy? - potrafi mówić ładną angielszczyzną z delikatnym brooklyńskim akcentem.

- Może zamiast tego chodźmy do baru - Cosmo wygląda na uczciwego, ale nie sądzę, by historie, które zaczynają się od „i poszła z nim na zaplecze lombardu”, zwykle kończyły się dobrze, mam rację?

Idziemy do baru obok i oboje zamawiamy po butelce wody niegazowanej. Próbuję wyglądać najbardziej profesjonalnie, jak to możliwe, biorąc pod uwagę, że mam na sobie dżinsowe szorty i prawdopodobnie pachnę jak A Meal Grows In Brooklyn. To spotkanie biznesowe.

- Muszę się porządnie nawodnić - mówi Cosmo. - Uwielbiam Smart Water, próbowałaś?

- Oj, tak, jest najlepsza - odpowiadam. Julia miała świra na punkcie Smart Water w zeszłym roku.

- Teraz piję tylko to. Biegam w triathlonie i mój trener mi ją zalecił. Naprawdę uzupełnia wszystkie potrzebne elektrolity.

Rany, lombardzista triathlonista. Trochę mniej mnie ściska w żołądku. Nawet wydaje mi się, że polubiłam tego gościa.

Gdy czekamy na wodę, Cosmo wita się z kilkoma osobami siedzącymi w barze. Najwyraźniej jest tu powszechnie szanowanym mieszkańcem. To dobry znak. Nie jest jakimś bossem świata przestępczego. Nie żebym potrafiła takiego kogoś rozpoznać, nawet gdybym się o niego potknęła.

- Cieszę się, że Bianca ci o mnie powiedziała - Cosmo uśmiecha się łagodnie. - To świetna dziewczyna. Ale przejdźmy do rzeczy. Jestem chłopakiem z Brooklynu, tu się urodziłem i wychowałem. Prowadzę dochodową firmę ochroniarską, to moja główna firma i źródło zarobków, i obecnie, odpukać, działa bez mojego większego udziału. Pożyczaniem pieniędzy zawodowo zajmuję się od jakichś czterech lat, od czasu gdy

sam miałem kłopot z uzyskaniem pożyczki z banku i zrozumiałem, że czasami dobrzy, uczciwi ludzie po prostu potrzebują odrobiny pomocy.

- To prawda - mówię, kiwając głową. Konstruuje zdania o wiele bardziej skomplikowane niż potrzeba. Ciekawe, czy sądzi, że dzięki temu wydaje się mądrzejszy. Chyba po prostu niektórzy tak mają.

- Udzielam ci pożyczki, ty zwracasz mi ją w cotygodniowych ratach, i okrąglą sumę pod koniec ustalonego okresu, i oczywiście jak zapewne się spodziewałaś, z rozsądną dziesięcioprocentową stawką odsetek. Moje odsetki są porównywalne czy nawet niższe od tych oferowanych przez banki, jestem przekonany, że taka rozsądna dziewczyna jak ty rozumie, że to wszystko jest bardzo proste.

- Yhym - z zawiłą gramatyką czy bez, wszystko jest jasne. A jego stawki są niższe niż w banku.

- Więc ile potrzebujesz?

- Tylko dziewięć tysięcy dolarów. - Otwieram firmę. Będę miała natychmiastowe zyski, więc spłata zadłużenia nie będzie problemem.

Mobilne bary to interes gotówkowy, co oznacza natychmiastowe dochody, prawda? A Meal Grows In Brooklyn zarobił dziś tysiące. A nie trzeba płacić czynszu, żadnych kosztów ogólnych poza samymi produktami i opłatą za parking w hangarze dla obwoźnych barów. To jedyny sposób, w jaki mogę zbudować firmę i rozpocząć karierę, zarobić pieniądze i zaimponować rodzicom. To krótkoterminowa pożyczka na długoterminowe rozwiązanie. Nagle, serce bije mi szybciej z podekscytowania. Naprawdę wprowadzę to wszystko w życie.

- Zaokrąglimy to do ładnych dziesięciu tysięcy - mówi Cosmo.

- Zgoda.

Wyciąga małą książkę wierzycieli i zaczyna ją wypisywać.

- Policzmy... Dziesięć tysięcy dolarów z tygodniową dziesięcioprocentową stawką odsetek to tysiąc dolarów do spłaty co tydzień, potem za sześć tygodni, będziesz mi dłużna tylko tych pierwszych dziesięć tysięcy dolarów. To bardzo proste.

- Super! - odpowiadam. Ta stawka procentowa wydaje się być ogromna, ale przecież, gdy codziennie będę zarabiała tysiące, to będzie pestka. Taki jest biznes.

Zaczyna mówić o możliwości przedłużenia pożyczki i jak wtedy zmienią się stawki odsetkowe. Ale jeśli nie zdobędę dziesięciu tysięcy na czas, po prostu sprzedam tę ciężarówkę przed końcem umowy i w ten sposób zwrócę mu pieniądze.

- Czyli mam ci przelewać pieniądze co tydzień?

- Nie, nie. Uprościmy cały proces - odpowiada. - Będę przychodził do twojego mieszkania i odbierał gotówkę co niedzielę o siódmej wieczorem, dobrze?

- Dobrze - odpowiadam. - Czyli... co teraz?

- Spisuję twoje dane, ty czytasz i podpisujesz umowę, ja daję ci gotówkę i to wszystko.

I to naprawdę jest takie proste.

Dwie godziny później, po krótkiej wizycie u Francie, stałam się dumną posiadaczką ciężarówki Toto.

Toto i ja wjeżdżamy na Union Street, gdy właśnie zachodzi słońce, a ja jestem w doskonałym humorze. Nie ma klimatyzacji, a radio samo przeskakuje po stacjach radiowych, które nadają w obrębie kilometra. Dziwnym trafem, w idealnym momencie słyhać piosenkę Turtlesów *Happy Together*. Śpiewam z radiem na cały głos.

Imagine me and you, I do... (Wyobraź sobie mnie i ciebie, ja to widzę...).

Gdy podjeżdżam pod Union Street, ogarnia mnie cudowne uczucie spokoju i zadowolenia. W powietrzu unosi się kwaśno-słodki zapach grilla, dzieci na rowerach pokrzykują w ten odrobinę za głośny sposób, jak to zwykle dzieci, a dwie małe

dziewczynki nawet grają w klasy. Ta niewiarygodna wręcz sielanka jest tylko trochę zagłuszana przez silnik Toto, który kaszle jak górnik, będący nałogowym palaczem.

Z wielkim trudem parkuję tyłem zaraz przed Rookhaven, spoglądam w górę i widzę jak Julia, Madeleine i Coco rozprawiają radośnie na naszym ganku, dzierżąc piwa i miskę z chipsami. Wychylam się przez okno, zsuwam okulary słoneczne na czubek nosa i krzyczę:

- Dzień doberek!

Julia spogląda na mnie, wydaje stłumiony okrzyk zdziwienia i upuszcza puszkę z piwem. Puszka z hukiem turla się po schodach na sam dół, wypływając pianę. Wyskakuję z ciężarówki, zatrzasnę drzwi za sobą i podnoszę puszkę.

- Po co-skąd-u diabła ją wzięłaś? - pyta Julia.

- Kupiłam ją - mówię, promieniejąc z radości. - Nazywa się Toto! - wszystkie obracamy się, by ją obejrzeć. Toto jest teraz nawet większa i bardziej zardzewiała, niż gdy ją dziś wcześniej oglądałam na Brooklyn Flea, a jej blad różowy kolor to skrzyżowanie różowego płynu borygo z prosiakiem.

- Czyż nie jest urocza?

Francie tak się ucieszyła, że chce ją kupić, że nie miała mi za złe, że nachodzę ją podczas randki w Battersby. Zaprowadziła mnie do swojego mieszkania tuż za rogiem, by od razu dać mi klucze i potrzebne dokumenty.

- Skąd wzięłaś pieniądze? - pyta Julia, podając mi swoje piwo. Zwykle nie piję piwa, ale tego wieczoru tego właśnie mi trzeba.

- Oddałam trochę biżuterii w zastaw - naprawdę nie mam ochoty słuchać złośliwych komentarzy Madeleine o wizycie u lichwiarza.

- Jest jak wielki metalowy pryszcz - mówi Madeleine dokładnie w tym momencie.

- Nie mów tak o Toto - odgryzam się. Ale nawet Madeleine nie może mi popsuć humoru.

- Słuchajcie! Otwieram mobilny bar o nazwie Zgrabne Oponki!

Julia otwiera usta ze zdziwienia.

- Co do cholery otwierasz?!

Opowiadam im w skrócie o moim dniu i pomyśle.

- Zaczę pomалу - tylko dwie sałatki z mnóstwem białka. Wszystko, co muszę zrobić, to przygotować jedzenie wieczorem i zacząć jeździć i sprzedawać je w ciągu dnia! Robiłam to dziś cały dzień, to takie proste! Co wy na to?

- Superzarabisty pomysł! - mówi Coco. - To najgenialniejszy pomysł, o jakim słyszałam!

- Gdzie będziesz kupowała składniki? — pyta Julia. - I przecież nie gotujesz.

- Na rynku albo w Trader Joe's - odpowiadam jej pogodnie. - A przecież potrafię zrobić kurczaka na grillu i sałatkę, nie jestem kretynką. Przecież to nie jest wyższa matematyka! Sałatki to nie jest gotowanie! Pewnie będę potrzebowała pomocy Coco, bo myślałam o przygotowaniu deseru o małej zawartości cukru. Coco?

Uśmiecham się z nadzieją do Coco, która klaszcze w dłonie z radości.

- No jasne!

- A jaki jest oczekiwany stopień ROI? — pyta Madeleine. Ignoruję ją i zapamiętuję, by sprawdzić później, co to jest ten ROI.

- A czy do tego nie musisz mieć jakiejś licencji czy pozwolenia? - pyta znów Julia. - I zarejestrować ciężarówkę?

Macham ręką.

- Bułka z masłem. Muszę wysłać do urzędu kilka dokumentów z moim nazwiskiem, bla bla bla. Ciężarówka jest już zarejestrowana jako Toto Lodziarnia, ja namaluję na niej nazwę Zgrabne Oponki. To tylko nazwa, a ja biorę pozwolenie w leasing od jego właścicielki, tak jak wszyscy.

Francie mnie z tym wszystkim zaznajomiła. Wygląda na to, że w nowojorskim systemie przyznawania licencji obwoźnym barom jest duża samowolka, co mi pasuje.

- A gdzie będziesz przygotowywała jedzenie?

- W naszej kuchni, do czasu aż uzbieram wystarczającą ilość pieniędzy, by wynajmować prawdziwe profesjonalne zaplecze kuchenne - odpowiadam.

Sama wiem, że tutaj będę musiała na razie nieco nagiąć zasady.

- W pralni mamy tę dużą zapasową lodówkę, w której nic nie ma. I zrobię wszystko, co trzeba, by zachować zasady higieny. Wiecie, rękawiczki, czyste noże i tym podobne... Jeśli, yyy, nie macie nic przeciwko temu dziewczyny?

- Oczywiście, że nie - mówi Julia. - Tylko chodzi o to, że... ty i mobilny bar...?

- To najbardziej absurdalny pomysł, o jakim słyszałam. Kto by od ciebie kupował? - mówi Madeleine.

Przez chwilę tracę animusz. Ma rację. Co ja sobie w ogóle wyobrażam?

- Ja! - mówi Coco. Stukam się z nią piwem i uśmiecham z wdzięcznością.

- Wiesz co, ja też - mówi Julia powoli. - To szaleństwo, ale bym kupowała. Czy przyjedziesz najpierw pod moje biuro?

- Idę pod prysznic — Madeleine wchodzi ciężko po schodach i zatrząskuje za sobą drzwi wejściowe.

- Kurczę, ona bierze prysznic jakieś trzy razy dziennie, to naprawdę dziwne - mówię. Julia patrzy na mnie wzrokiem, który mówi, bym się zamknęła.

- To jest dziwne! - dodaję tylko.

- A niech mnie, jeśli to nie nasze gołąbeczki z Rookhaven! Spoglądamy przed siebie i widzimy Vica i jego siostrę,

Marie, spacerujących powoli wzdłuż chodnika. Marie wygląda trochę jak Vic, ma tak samo duże spiczaste uszy i twarz pomiętą od zmarszczek jak stary list miłosny, ma puszyste

i jasnoróżowe włosy. Pasują do niej. Wygląda jak bardzo stara wróżka.

- Cześć wujku Vic! Cześć ciociu Marie! - wykrzykują chórem Julia i Coco głosikami pięciolatek.

- Spójrzcie na to! - mówi Vic. - Różowa ciężarówka! Oboje jedzą lody cytrynowe.

- To moja - mówię z dumą. - Nazywa się Toto! Zakładam swoją firmę! 'Obwoźny bar!

- Niemożliwe - mówi Marie. - Wygląda jak ta, która kiedyś sprzedawała lody cytrynowe na Coney Island.

- To ta sama ciężarówka! - wykrzykuję. - To znaczy, być może. Może. To była kiedyś ciężarówka z lodami.

- To ciężarówka ze wspaniałą przeszłością, skarbie - mówi Marie. - Och, uwielbialiśmy Coney Island, gdy byliśmy młodszy. Pamiętasz Vittorio? Gdy była taka pogoda jak dziś, jeździliśmy do Ravenhall! To dopiero był basen! Vic przepływał całą jego długość pod wodą tylko po to, by zaimponować Eleanor.

Vic nie reaguje na tę historię, tylko dalej zajada swojego loda. Ciekawe czy Eleanor była jego żoną? Tą, której podarował ten różany krzew, tą, która zmarła? Marie opowiada dalej, prawie na jednym wydechu.

- O, i potem szliśmy do Williams Candy. Mieli tam najlepszą na świecie karmelową kukurydzą. Wiesz co? To miejsce chyba nadal jest czynne. Vittorio, powinniśmy tam pojechać.

- Karmelowa kukurydza i sztuczna szczeka to rzeczywiście świetny pomysł - mówi Vic. A potem spogląda na mnie.

- Słyszałem, że zrobiłaś wczoraj w Bartolo's małą aferę. Czy to naprawdę było za ledwie wczoraj? Mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły wieki.

- O, Boże, tak, yyy, oj Vic, ta praca naprawdę mi się podobała, tak jak i restauracja - mówię uczciwie. - Przepraszam, wiem, że to ty mnie poleciłeś, a ja tak się odwdzięczam.

- Ricky i Vinnie opowiedzieli mi dziś wszystko w klubie.

- Angelo jest zbyt sztywny - przerywa Marie. — Zawsze był. Był sztywnym dzieciakiem. A jego matka to dopiero była sztywna kobieta. Taka spięta! Dziwię się, że w ogóle udało jej się go wypchnąć na świat.

- Marie - przerywa jej Vic ostrzegawczym tonem. Marie przewraca oczami z delikatnym uśmiechem i wraca do jedzenia lodów. On zwraca się w moją stronę i mówi coś zaskakującego:

- No cóż, brawo za to, że broniłaś swoich praw. A teraz masz kolejną pracę, co? Myślisz, że tym razem dasz radę popracować trochę dłużej?

- Tak - odpowiadam. - Obiecuję.

- Jak się masz ciociu Marie? - pyta Julia. - Jak podróż?

- Och, nie mogę narzekać. Coco, skarbie, pomożesz mi zejść po schodach? Położę się. Vittorio, ty też powinieneś odpocząć, słyszysz?

- Kto umarł i mianował cię szefem?

Gdy Coco pomaga Marie, Julia proponuje Vicowi piwo, ale on odmawia. Do zadowolenia wystarcza mu tylko to, że opiera się o podest schodów w świetle wieczornego słońca.

- Wyglądasz dokładnie tak samo jak twoja ciotka Jo, wiesz? - mówi do Julii. - A Coco wygląda dokładnie tak jak twoja matka.

- Wiem - mówi Julia. - Im jest starsza, tym bardziej mi ją przypomina. Nie sądzę, by o tym wiedziała.

Coco wybiega z mieszkania na poziomie ogrodu, przeskakuje po dwa schody na raz i wbiega do domu, trzaskając za sobą drzwiami i po kilku sekundach wychodzi z koszykiem domowych jagodowych sconesów.

- To ulubione Marie - mówi, zeskakując po schodach z powrotem do domu Vica i Marie.

- Tak, dokładnie jak twoja matka, zawsze coś piekła i wszystkim pomagała - mówi Vic.

- Była wspaniała - mówi Julia. Zapada cisza i nikt nic nie mówi.

- Cóż, lepiej pójde i spróbuję tego jagodowego cudeńka — mówi Vic. — Nie mogę pozwolić, by moja siostra sama wszystko zjadła. Wróce tu trochę później.

- Moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa są związane z Vickiem i Marie, jak siedzimy tu z nimi i z moją mamą podczas letnich wieczorów i oglądamy, jak biegnie życie - mówi Julia, trochę jakby do siebie.

- Naprawdę ich lubię - mówię.

- Ja też. Świadomość, że tu są, sprawia, że czuję się bezpiecznie... Tak jakby Rookhaven naprawdę należał do nich. Albo oni do Rookhaven.

- Czy Vic ma własne dzieci? - pytam. Julia kręci głową.

- Żadnych. Rodzina mojej mamy wprowadziła się tu w latach sześćdziesiątych. Vic wprowadził się zaraz potem, a Marie zamieszkała tu, gdy zmarł jej mąż. Są dla mnie jak rodzina.

Spogląda na mnie i uśmiecha się, ale jej oczy są smutne. Unoszę swoje piwo w jej stronę.

- Za przyjaciół, którzy są jak rodzina. Stukamy się i pijemy.

Godzinę później Coco znów siedzi z nami na schodach, a ja mam totalną głupawkę po piwie. Mam ciężarówkę! Zakładam firmę! Mam nową pracę!

Rozmawiamy o mężczyznach. Lub jak Coco ich nazywa: o chłopakach.

Opowiadam dziewczynom o Jonah. Werdykt: nie mój typ. Nawet na przelotną znajomość.

- Ty chcesz się zakochać - Coco kiwa głową, jakby się na tym znała.

- Nie ma mowy! - odpowiadam. - Ale fajnie by było lubić kogoś przez trochę dłuższy czas. I uprawiać seks.

- Błagam cię. Moja broszka nie widziała faceta od czternastu miesięcy - Julia robi smutne oczy biednego koteczka.

- Wolałabym, byś nie nazywała jej swoją broszką - odpowiadam.
- Dlaczego? Może powinnam nazywać ją moją pizdeczką, tak jak ty kiedyś?
- Hej. Nie obrażaj mojej pizdeczki. Moja pizdeczką nigdy mnie nie zawiodła - milknę.
- Właściwie to moja pizdeczką stale mnie zawodzi, ta mała sucz. Coco odchrząkuje.
- Myślę o tym, by zapisać się do jakiegoś klubu albo na jakieś zajęcia, by spotkać więcej facetów. Słyszałyście o Brooklyn Brainers? A w Union Hall jest tor do gry w kulki bocce.
- Faceci, którzy grają w kulki bocce, są albo w wieku Vica, albo najgorszymi typami hipsterów - mówi Julia.
- Uważam, że powinniśmy się nastawić na starszych mężczyzn - mówię. - Faceci w naszym wieku potrzebują jeszcze trochę czasu, by dorosnąć.
- Racja - mówi Julia. - A ja mam wrażenie, że faceci uważają mnie za dziwadło, bo jestem ambitna i zależy mi na sukcesie w pracy i w ogóle. Marszczy brwi, odrywając kawałek nalepki na butelce z piwem.
- Potrzebujesz tylko faceta, który jest miły, przystojny i inteligentny — odpowiadam. - A wygląda na to, że faceci mogą mieć zawsze tylko dwie z tych cech naraz.
- I musi być zabawny - dodaje Julia.
- I musi umieć się śmiać - dodaję. - A nie tylko mówić, że „to zabawne”, gdy powiem coś zabawnego.
- Potwierdzam. I nie może być ode mnie szczuplejszy i musi mieć ukończone studia.
- Coco obserwuje jak tworzymy listę cech idealnego mężczyzny, jakby była dzieckiem oglądającym mecz w tenisa.
- Gdzie znajdziemy facetów, którzy są starsi, wolni, mili, inteligentni, wykształceni, zabawni i przystojni? - pyta Julia.

-A w twoim biurze ich nie ma? - wyobrażam sobie, że miejsce pracy Julii jest jak mieszanka drugiej części filmu *Wall Street* i *American Psycho*.

- Ci wszyscy przypakowani faceci w garniturach...

- Nie - odpowiada Julia. - Przynajmniej żaden z facetów, którzy siedzą w pobliżu mojego biurka. To najgorszy rodzaj wy-luzowanych bajerantów. A spośród starszych żaden nawet ze mną nie rozmawia. Jakbym nie istniała.

- Pewnie to wbrew jakiejś polityce - sugeruje Coco. - Wiesz, może to przez ryzyko podejrzeń o molestowanie seksualne.

- Nie sądzę, większość z nich bzyka swoje sekretarki - odpowiada Julia, wzdychając. — Są obrzydliwi, nie chciałabym mieć romansu w biurze, tylko po prostu nienawidzę, gdy ktoś mnie ignoruje. Jak ja mam kogoś poznać?

- Na Smith Street jest szkoła salsy! - mówi Coco.

- Szkoła salsy? Za cholerę, nie - odpowiadam. - To proste. Idziesz do baru. Tam są mężczyźni. Nawiąż kontakt wzrokowy. Poczekaj dwadzieścia minut. I *voila*.

- Taa, jakby to było takie proste - mówi Julia, przewracając oczami. - Poza tym, skąd wiesz, kogo spotkasz? To może być totalny dupek!

- Świat jest pełen dupków - przytakuję. - Pytanie tylko, jak bardzo są przystojni.

Coco chichocze, a Julia przewraca oczami.

- Laseczki! - słyszymy czyjś głos. To Angie, ma czkawkę i troszkę się chwieje, stojąc na ganku.

- Byłam na Spring Lounge w SoHo, całe popołudnie z Lordem Hugh. Dyrinki były mossne.

- Czy zaczynacie coś na poważnie z wielmożnym panem Lordem?

Bardzo bym chciała zapytać o tę kłótnię z facetem na Brooklyn Flea, ale wiem, że przy wszystkich nigdy się nie wygada. Nawet gdy będziemy same, pewnie też nic nie powie.

-Ach, Hugh... Mój pan i zbawca - mówiąc to, Angie rzuca okiem na niebo. - Przepraszam, Panie Boże. Wiesz, że tylko żartu-uła! - Angie spada ze schodka. - Ups! Nie, nic się nie stało, wszystko dobrze, nie ma co oglądać, proszę się rozejść...

- O rany, ale jest zrobiona - mówi Julia. No ba.

- Chcę iść się zabawić! - krzyczy. - Przygotujcie się na niezłą jazdę! - zaczyna boksować się na niby, jej torebka przeskakuje to z przodu to z tyłu. - Ou, ou, ouuu. Pach, pach, bum.

Wstaję i biorę ją pod ramię, by zaprowadzić ją na górę. Julia też wstaje i bierze ją pod drugie.

- No chodź, imprezowiczko. Na górę.

- Ja nie jestem z takich, do cholery... - Angie zaczyna powoli wchodzić po schodach, mamrocząc do siebie. - Seks oralny to przywilej, nie prawo.

- Co? - mówimy z Julią równocześnie i wybuchamy histerycznym śmiechem.

- Zrobię jej jakieś tosty i gorącą herbatę - mówi Coco, idąc śpiesznie za nami.

-Ale jestem zajebicie głodna - mówi Angie wyraźnie. - Daj mi chleba, Scottie!

Po godzinie i pochłonięciu siedmiu maślanych tostów Angie zasypia. Muszę na nią uważać... Wyczuwam u niej chęć auto-destrukcji. Znam to. Miałam tak po rozstaniu z Eddie'm.

Siedzimy z Coco w kuchni i rozmawiamy o wypiekach, podczas gdy Julia i Madeleine oglądają jakiś film na podstawie powieści Nicholasa Sparksa (ja ich nie znoszę, po co ktoś miałby chcieć się popłakać na filmie? A tak przy okazji, dlaczego siedzą w domu w sobotę wieczór, skoro Jules dopiero co narzekała, że nie ma gdzie spotkać nowych mężczyzn? Ja siedzę w domu, ponieważ pracuję. To zupełnie inna sprawa. I, powiedzmy sobie szczerze, przezabawna).

Coco naprawdę zna się na rzeczy, jeśli chodzi o niskokaloryczne wypieki. Na przykład do ciasta proponuje użyć dyni z puszki albo soku jabłkowego, zamiast oleju czy masła. Uzgadniamy, że za wszelką cenę będziemy unikać syropu z kukurydzy o wysokiej zawartości fruktozy i sztucznych cukrów (większość z nich powoduje u mnie wzdęcia jak u młodych gwiazd na rehabilitacji). Coco sugeruje, żeby używać ekologicznego cukru z trzciny, syropu z agawy albo syropu klonowego.

- Brzmi idealnie. Jutro będę przyrządzała tylko dwie proste sałatki - mówię, planując na głos swój dzień. - Potem pozostanie mi już tylko pomalować ciężarówkę i ruszyć w drogę z samego rana w poniedziałek. Bułka z masłem!

- Bułka z masłem - powtarza po mnie Coco radośnie. Robię listę rzeczy, które muszę kupić jutro w Trader Joe's.

Cieszę się, że mam ten dodatkowy tysiąc, który mi został po zakupie ciężarówki, chyba będę go potrzebowała.

- To jest takie ekscytujące! — Coco jest tak pozytywną osobą, że czasami nie jestem pewna, czy tak naprawdę nie jest sarkastyczna.

- Naprawdę uważam, że twój pomysł na tą ciężarówkę jest absolutnie superrewelacyjny.

Bawi się grzbietem książki, którą właśnie czyta: *Rilla of Ingleside* Lucy Maund Montgomery, potem otwiera ją na pierwszej stronie, mimochodem gładząc wypisane na niej imię. Kim Lucalli. Jej mama. Lucalli to było jej panieńskie nazwisko.

- Dzięki, Coco - mówię. - Uważam, że twoje pomysły na niskokaloryczne ciastka też są absolutnie superrewelacyjne.

- I w ogóle się nie boisz, to takie... O rany — mówi, mrugając swoimi olbrzymimi niebieskimi oczami.

- Czasami się boję - przyznaję. - Ale próbuję zignorować ten strach w nadziei, że sobie pójdzie. Jestem też trochę podekscytowana. Dziś widziałam, jak dużo ludzi funkcjonuje w ten sposób. Jeśli oni potrafią, to ja też.

Naprawdę tak myślę... I za każdym razem, gdy się nad tym zastanawiam, czuję, jak moje serce skacze z radości. Zgrabne Oponki!
O tak!

- A co tam u ciebie koteczko? Jak praca?

Coco wzrusza ramionami. Nigdy nie mówi o przedszkolu, w którym pracuje. Próbuję innego tematu.

- Widujesz się z kimś? Ktoś ci się podoba?

- Tak! Yyy, jestem — głębokie westchnięcie - zakochana w moim najlepszym koledze, Ericu, od jakichś czterech lat. Wiem, że pewnego dnia będziemy razem, tak dobrze nam się rozmawia...

- Naprawdę? - dopytuję. Z mojego doświadczenia wiem, że dziewczyny, które twierdzą, że „wiem, że pewnego dnia będziemy razem”, zwykle mają trochę nie po kolei w głowie.

- Mieszkał na naszej ulicy, gdy chodziłam do szkoły średniej i gdy skasował swój samochód, codziennie podwoziłam go do szkoły i rozmawialiśmy godzinami... Jedyne problem w tym, że on mnie traktuje jak koleżankę, a ja nie jestem najlepsza, no wiesz, we flirtowaniu. I odkąd skończyliśmy szkołę średnią, trudno nam było utrzymać kontakt... - Coco znowu wzdycha.

- Przespał się z Emily, moją byłą najlepszą przyjaciółką podczas balu maturzystów.

- No coś ty — odpowiadam. — Ale sucz.

- Cholerna sucz - zgadza się Coco. - To nie była jego wina. Był pijany, a ona całkowicie go wykorzystała.

- Potknął się i wylądował w jej waginie, co? Coco chichocze wbrew sobie.

- Nie! Wolalabym, żeby tego nie zrobił, ale nie wiedział, jak bardzo mi się podoba... I nic nie mogę na to poradzić. I tak mi się podoba.

Ma trochę lepiej poukładane w głowie niż myślałam. To swoista ulga.

- Czy ty byłaś kiedyś zakochana?

- Nie - mówię automatycznie. — To znaczy, tak, ale... To nie ma znaczenia. Gdzie jest Erie dziś wieczorem? Może pójdziemy się z nim zobaczyć?

- O nie, jest na Yale — mówi z powagą. - Jak przejść od przyjacielskich SMS-ów do flirtujących?

- Bądź sarkastyczna. Bądź przemyślana. Faceci uwielbiają zaskakujące SMS-y. To jak... Odrobina umysłowej przepychanki.

Coco patrzy na mnie z udręczonym wzrokiem, stukając w swoją książkę palcami.

- To znaczy?

- Flirt to po prostu gra. To proste, to nic trudnego. Spójrz, pokażę ci.

Biorę swój telefon i zaczynam przeglądać numery. Na kim mogę poćwiczyć?

Thompsona ignoruję, nie żeby zdawał się to zauważać, Dave, nie, Jonah, na pewno nie, Matt H., nie, Matt W., nie... Mike.

Mike! Doskonale. Dzwonił i pisał do mnie jakieś szesnaście razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, a ja byłam po prostu zbyt zajęta i zestresowana, żeby mu odpowiedzieć. Jestem mu coś winna.

- No dobrze, więc oto co bym napisała, by zwrócić jego uwagę... - mówię, pisząc.

Ode mnie: *Co za tydzień. Nagradzam się Doritosami i piwem. Czy zamieniam się w faceta w średnim wieku?*

- O! To zabawne - mówi Coco. - Co to za Mike?

- A teraz czekamy na odpowiedź - wstaję, by nalać sobie szklankę wody i ignoruję jej pytanie. Gdy szklanka jest wypełniona do połowy, przychodzi odpowiedź.

- Ale szybki Bill! - Coco jest o wiele bardziej podekscytowana ode mnie.

Unoszę brwi ze zdziwienia, czytając SMS-a na głos. Od Mike'a: *Hmm, dowody niewystarczające. Czy zainwestowałaś ostatnio w porsche i/lub implanty włosów?*

Ukrywam swoje autentyczne zdziwienie. Niezły tekst. Nie spodziewałam się tego po nim.

- Powiedz mu, że kupiłaś ciężarówkę! - piszczy Coco.

- Zapytaj go, czy wie, jak się obsługuje drążek zmiany biegów.

- Kochanie, to zbyt dwuznaczne, mógłby źle zrozumieć... No dobrze, zwykle nie odpowiadałabym od razu, ale w celach edukacyjnych dziś tak zrobię. Może coś takiego.

Ode mnie: *Tak naprawdę to właśnie kupiłam różową ciężarówkę. Myślę, że pasuje do koloru moich oczu.*

Od Mike'a: *Chyba żartujesz. Muszę to zobaczyć...*

Ode mnie: *Jeśli dobrze rozegrasz karty, to może, ale tylko może, pewnego dnia pozwolę ci usiąść na miejscu dla pasażera.*

Od Mike'a: *O rany. Czy przekupstwo zadziała? Może zaproszenie na drinka ? Kiedy jesteś wolna ?*

- Widzisz? - mówię do Coco, odkładając telefon. - To proste. Teraz twoja kolej.

-Ale ty miałaś łatwiej. Widać, że już wcześniej cię lubił

— mówi Coco ponuro.

- Wcale nie - mówię stanowczo. Nie mogł, prawda? Przecież to była jednorazowa przygoda.

- A jaki był twój ostatni SMS do Erica?

-Yyy, zapytałam go, czy jego mama chciałaby trochę gwiazd betlejemskich na Boże Narodzenie — odpowiada Coco, przygryzając dolną wargę. — Nie kontaktowaliśmy się przez jakiś czas, więc chciałam mu wysłać takie małe cześć, wiesz, tak pomachać do niego.

- We flirtowaniu przez SMS-y nie ma czegoś takiego - odpowiadam. - Coco, pytania w SMS-ach to zazwyczaj wyraźna potrzeba uwagi i twój właśnie taki jest.

- Pomyślałam, że taki SMS będzie prawdziwszy. No wiesz, że może mój tato ma trochę gwiazd betlejemskich, które chce sprzedać, rozumiesz?

- Boże Narodzenie będzie za kilka miesięcy. Ale nieważne. Co odpisał?

Pokazuje mi SMS-a. *Nie jestem pewien... pewnie będziesz musiała zapytać moją siostrę.*

- Wow - komentuję. - Pisarz to on nie jest.

- Nadal nie wiem, co mu odpisać.

- A może: *O rany, pewnie startujesz w konkursie na Syna Roku. Nieźle, tygrysie.*

- Nie mogę napisać „tygrysie”! - piszczy Coco.

- A co masz do stracenia?

Wydając z siebie cichy okrzyk strachu, Coco wystukuje wiadomość i obraca się do mnie z radosnym uśmiechem. Jest naprawdę śliczna, szczególnie gdy się uśmiecha. Ma takie piękne oczy i naturalne blond włosy. Musi tylko trochę się pomalować. I może wyrównać brwi. I przestać się ubierać tak, jakby była cztery razy grubsza niż jest w rzeczywistości. Coco ma wspaniałą figurę, pełne piersi i apetyczne kształty, ale była o wiele grubsza w szkole średniej, gdy ją poznałam. Chyba nadal myśli, że jest gruba.

Jej telefon wibruje. *A kim ty jesteś, Super Nianią?*

- Powinam napisać „tak, chodź do niani na kolanka!” - mówi Coco, śmiejąc się ze swojego śmiałego tekstu.

-Spróbuj... *Może jestem. Może nie. Ale chyba nigdy się tego nie dowiemy.*

Erie odpowiada od razu. *A jak tam życie w wielkim mieście, panienko Coco?*

- A teraz go zignoruj - mówię stanowczo.

- Co? - mówi Coco. - Ale on zadał mi pytanie! W końcu! Nigdy mnie o nic nie pyta w SMS-ach. To ja zawsze muszę mu zadawać pytania.

- Nie, masz poczekać do jutra, a potem napisać: *To ogromne miasto wywołuje u mnie potworny ból głowy. Przynajmniej tak myślę, że to wina miasta. A nie alkoholu...* To aluzja do tego, że bawisz się gdzieś na imprezie w sobotę wieczór.

- Nie bawię się. Nie mam żadnych planów.

- Nieważne. On ma myśleć, że jest jednym z wielu mężczyzn, do których mogłabyś pisać. Więc poczekaj do jutra, a on będzie o tobie myślał przez całą noc.

-Ahaaa... - mówi Coco, w końcu rozumiejąc o co chodzi. - Boże, to takie super! Zawsze sobie wyobrażam, że się w sobie zakochujemy po latach bycia najlepszymi przyjaciółmi. Byłoby tak romantycznie. Moja mama i tato byli najlepszymi przyjaciółmi przez wiele lat, wiesz? A potem się w sobie zakochali.

Wzdycha radośnie. - Właśnie tego chcę.

- Nienawidzę romantyzmu - odpowiadam. - A miłość się kończy.

- Miłość trwa! - Coco jest zszokowana. — O miłość trzeba walczyć. Trzeba!

- Nie powinno się musieć walczyć o cokolwiek.

Wtedy mój telefon znowu wibruje. To wiadomość od Angie.
IMPRREZZAAAHJJJKt88 7

-Myślałam, że Angie jest nadal na górze... - mówię pod nosem.

- Angie? - pyta Coco. - Nie, widziałam jak wychodzi, gdy szłam do łazienki jakiś czas temu.

- Cholera.

Jeśli nie może nawet napisać normalnej wiadomości, to nie jest zbyt trzeźwa.

Odpisuję jej. *Wszystko w porządku?*

Odpowiada: *NOOJAZNE! Cztery tablety na kaszel i kola z tekilll. W taksówce na Lwer Eas tSde, Ludlow/Grand będziesz?*

Nie jestem nadopiekuńczą przyjaciółką, naprawdę. Ale mam przeczucie, że coś tu nie gra.

Więc biegnę na górę, by się przebrać w czystą sukienkę i buty na obcasie. Jakaś część mnie jest zachwycona tym, że ma wymówkę, by się ładnie ubrać, czy to znaczy, że jestem płytka? No cóż.

- Wiesz co, Coco? - mówię, zaglądając do kuchni przed wyjściem. Siedzi przy kuchennym stole z gorącą czekoladą i czyta swoją książkę.
- Może jest jedna rzecz, o którą warto walczyć. To przyjaciele.

Rozdział 8

Wysiadam z taksówki na rogu Ludlow i Grand i od razu dobiega mnie hałas i pokrzykiwania, które świadczą o tym, że w pobliżu odbywa się niezła impreza.

Ze szczytu trzypiętrowego budynku słychać głośną muzykę, a na balkonie i drodze pożarowej stoją tłumy ludzi. Myślę, że znalazłam odpowiednią imprezę.

Hałas wzmaga się, gdy wspinam się po schodach na trzecie piętro, lawirując między całującymi się parami, obok faceta, który krzyczy przez telefon: - Mówiłem, żebyście przysłali hot dogi z kukurydzy! - Wreszcie wchodzę do mieszkania. Światło jest przygaszone i chwilę zajmuje mi przyzwyczajenie się do półmroku, ale bez trudu rozpoznaję, że jest tam pokój pełen ludzi, którzy tańczą, przekrzykują się i piją.

Ale nie widzę Angie.

Mieszkanie jest małe, zadymione i bardzo zatłoczone ludźmi wyglądającymi na bogatych reprezentantów biznesu muzycznego i mody pochodzącymi z Europy (jest tu mnóstwo szczupłych facetów w koszulkach z głębokim dekoltem w kształcie litery V i dziewczyn, które chronicznie nadużywają eyelinera, przez co wyglądają na wściekłe). Angie nie ma w kuchni ani w pierwszej sypialni.

W końcu wchodzę do pokoju pełnego ludzi mówiących po francusku. Jakiś facet fotografuje dwie laski, które są pewnie w moim wieku i kochają się na łóżku (fuj). Przy przeciwległej ścianie siedzi grupka facetów. Wciągają kokę ze szklanej ramki na zdjęcia.

I wtedy je widzę - buty Angie - jej ulubione szpilki od YSL, które wykradła swojej matce. Wystają po drugiej stronie łóżka. Podbiegam szybko. Angie leży nieprzytomna i zimna na podłodze, przy jednym nozdrzu ma odrobinę białego proszku. Cholera!

-Angie! Angie, słyszysz mnie? - przynajmniej oddycha. Próbuję ją podeprzeć, by usiadła, ale przewraca się z powrotem.

- Czy to twoja znajoma? My jej nie znamy - mówi jeden z nich, z wyraźnym akcentem sugerującym pochodzenie z lepszej dzielnicy. - Zdaje się, że to niezła imprezowiczka.

- Tak, ona jest tu ze mną, kutafonie - warczę. - I już wychodzimy.

Angie delikatnie się wybudza.

- Piiiijaaaa... - mówi chrapliwym głosem. - Moja ulubiona kumpela...

- To ja, kochana - odpowiadam, na wpół ciągnąc ją, a na wpół wnosząc z tego pokoju. Docieramy do drzwi wyjściowych i schodzimy po schodach.

- Czuję się dziwnie - mówi Angie. - Serce mi wali.

- No tak, to kokaina.

Zanim dochodzimy do końca schodów, Angie idzie już prawie samodzielnie, aż do chwili, kiedy jakaś wchodząca pospiesznie na klatkę schodową para niemal jej nie przewraca.

Wtedy Angie i ja jednocześnie wydajemy stłumiony okrzyk zdziwienia.

To ten Francuz z przydługą grzywką. Ten sam, z którym kłóciła się dziś po południu na Brooklyn Flea. Przyszedł tu z piękną brunetką.

- Proszę nam wybaczyć - mówi ten mężczyzna uprzejmie, z delikatnym europejskim akcentem, a jego oczy sugerują, że w ogóle nie rozpoznał Angie.

- Pieprzony dupek - mówi Angie pod nosem. Odpycha moje ramię, o które się wspiera i z wściekłością patrzy, jak wchodzą razem po schodach.

- Mówię do ciebie! Ty pieprzony dupku!

Kobieta kładzie mu rękę z ogromnym błyszczącym diamentem na palcu na plecach i idzie za nim na górę. Jest... żonaty?

Przed budynkiem Angie odpycha moje ramię, kuca przy studziencie ściekowej, przechyla się na bok, odciąga swoje długie białe włosy na drugie ramię i zaczyna wymiotować. Praktyczna Lekcja Rzygania numer 101.

Szybko przysiadam po drugiej stronie i zaczynam masować jej plecy. Angie drży, a po jej twarzy płyną łzy.

-Już dobrze... już dobrze... - mówię bez przerwy, jak jakaś nakręcana lalka.

- Wcale nie - szepcze pod nosem, nim zwymiotuje kolejny raz. - Wcale nie jest dobrze.

W sobotę o północy na zatłoczonej Lower East Side nikt nawet nie mrugnie okiem na widok płaczącej, wymiotującej dziewczyny. Staram się sobie przypomnieć, kiedy ja ostatnio wymiotowałam po alkoholu. Jak się nad tym zastanowić, to minęło już sporo czasu. Nie rzygałam, od kiedy przestałam mieszać alkohol z napojami energetycznymi. Brawa dla mnie.

Dziesięć minut później Angie wstaje, by przywołać taksówkę.

- Już dobrze - mówi. - Dzięki, że mnie uratowałaś.

- Zawsze do usług.

Gdy już siedzimy w taksówce, Angie patrzy przez okno i nic nie mówi. Więc ja też patrzę przez okno, myśląc o tej imprezie. Co ona sobie wyobrażała?

Potem zatrzymujemy się w korku na Brooklyn Bridge. A Angie otwiera drzwi taksówki i wysiada.

- Co ty do cholery robisz!?! - krzyczę, łapiąc ją za rękę. Wyrywa mi się - Jezu, jest silna, szczególnie jak na kogoś tak pijanego - i z hukiem zamyka drzwi taksówki. Chwytam swoją torebkę i wyskakuję za nią, ignorując krzyczącego taksówkarza.

- Angie! - wołam.

Idzie wzdłuż linii oddzielającej dwa pasy ruchu z rękoma wyciągniętymi na boki jakby chodziła po linie. Samochody trąbią szaleńczo, gdy na naszym pasie wznawia się ruch aut.

- Patrzcie na mnie! - krzyczy. - Patrzcie na mnieeee! - Angie! Stój! Wracaj tu, do kurwy nędzy! - krzyczę. Nie

zwracając na mnie uwagi, Angie wybiega przed Toyotę Prius. Kierowca hamuje z piskiem opon. Biegnę za nią, pokazując wielce oburzonej pani i panu z Priusa wyciągnięte w górę kciuki i ruszając ustami jakbym mówiła: „dziękuję!”.

Ruch znów się zatrzymuje. Angie na wpół idzie, na wpół biegnie, uciekając ode mnie. Potem znika.

- Angie! - wydzieram się. - Angie!

Jakiś kierowca tira wychyla się przez okno i zaczyna śpiewać *Angie* Rolling Stonesów *Oh, Angie, don't you weep (Och, Angie, nie płacz już)*.

Cholera, nie mogę uwierzyć, że biegam o północy między samochodami na cholernym Brooklyn Bridge. I wtedy widzę Angie. Wspięła się na dach Hummera, który jedzie dokładnie w moim kierunku. Ma rozwiane włosy i wykonuje pozę jak z filmu *Titanic*.

- Angie! - krzyczę, gdy mnie mija. - Schodź na dół, do cholery!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ruch uliczny znów się zatrzymuje. Angie jest jakieś dziewięć metrów przede mną. Stojąc wciąż na dachu Hummera, kłania się samochodom stojącym przed i za nią, a potem z niebywałą gracją staje na rękach.

I stoi tak przez jakieś dwie sekundy.

Potem przewraca się bezładnie na dachu Hummera. Kierowca wyskakuje i zaczyna na nią krzyczeć. Biegnę najszybciej, jak mogę, ściągając Angie z dachu samochodu, nie zwracając uwagi na wściekłego kierowcę i ciągnę ją na brzeg mostu, do niewielkiej wnęki, gdzie możemy się schronić. Angie cicho płacze, ma szeroko otwarte oczy, które patrzą bez celu przed siebie.

- Co to było do cholery, Angie? Czy ty chcesz się zabić? Angie mruga i patrzy na mnie przez jedną długą sekundę,

a potem zamyka oczy. Rozglądam się dookoła, próbując wymyślić, jak zejdziemy z mostu. Klaksony wyją, gdy mijają nas samochody. Wystarczy jeden nieuważny kierowca, a zostaniemy zmiażdżone.

Jakaś taksówka zatrzymuje się, ale znak „taxi” jest wyłączony. Spoglądam na nią szybko, zdezorientowana, ale to nie jest taksówka dla nas.

- Podwieźć was? - mówi ktoś z brytyjskim akcentem. Rzucam okiem na taksówkę gotowa odpowiedzieć „nie”. Ale nie mogę.

Bo to jest ten facet. Ten książkę z bajki, który podał mi mój but zaledwie kilka dni temu.

Na chwilę przestaję oddychać.

Potem przypominam sobie, gdzie jestem, z kim jestem i jaki mam problem.

- Yyy, tak, podwieź nas, proszę - mówię szybko. - Moja przyjaciółka jest trochę nie w sosie, chcę ją po prostu odwieźć do domu.

- Nie ma problemu, wskakujcie - mówi.

Waham się przez ułamek sekundy. Czy to bezpieczne? Nawet go nie znam. Może to jakiś wariat. Czyta w moich myślach:

- Przysięgam, nie jestem wariatem.

Szybko siadam obok niego i wciągam za sobą Angie. Znow w milczeniu patrzy przez okno.

Opieram się o niego i nie żartuję: zaczynają mnie przechodzić ciarki. Ciekawe czy mnie pamięta. Nie bądź głupia, Pia, oczywiście, że nie.

- Proszę na róg Court i Union Street - mówię.

- Muszę to zgłosić na policję - odpowiada taksówkarz.

- Czy pięćdziesiąt dolarów zmieni pana przekonanie? - mówi Brytyjczyk.

Kierowca przyspiesza.

- Dzięki - szepczę. - Ja zapłacę.

- Nie martw się o to - odpowiada szeptem. - Przekupstwo to moje hobby.

Nasze oczy się spotykają, a ja znów przestaję oddychać i po prostu się na niego gapię. Kim on jest? Zauważam maleńką bliznę na jego dolnej wardze i zastanawiam się, jak całuje, i myślę też o jego brwiach, ale nie sądzę, by je szczególnie pielęgnował, bo wyglądają na naturalnie idealne. To wszystko wydaje mi się takie znajome, jakbym go widziała już wiele razy, jakbym go znała...

Potem uświadamiam sobie, że gapię się na niego z uśmiechem kompletnej kretynki. Samoświadomość przeważa. Oczywiście, że go nie znam. Na serio, co się ze mną dzieje? I gdzie u diabła jest jego dziewczyna? Zamiast odgrywać rolę rycerza w lśniącej złotej taksówce, powinien chyba w sobotę o północy być z nią? Jest zbyt pewny siebie. Najwyraźniej gra na dwa fronty. To jakiś cholerny pieprzony dupek, którego powinnam unikać za wszelką cenę.

Ale Chryste, jaki on jest przystojny.

W taksówce panuje absolutna cisza. Słyszę, jak oddycha. Ciekawe, czy on słyszy mój oddech. O Boże, teraz wcale już nie oddycham. Zaraz zemdleję.

- Yyy, dzięki, że się zatrzymałeś - mówię w końcu. - Zdążyłem na końcówkę waszej przygody - odpowiada

Brytyjczyk. - Mam znajomych, którzy kiedyś łapali taksówki na Williamsburg Bridge.

- Mówiąc „znajomi”, masz na myśli siebie, prawda? - mówię unosząc brew.

- W mordę jeża, złamałaś mój kod. Czy ty czasem nie jesteś jakąś Enigmą?

- Czy ty powiedziałaś „w mordę jeża”? Uśmiecha się szeroko.

- Jestem Aidan. -Pia.

Ściskamy sobie dłonie w nieporadny, acz zalotny sposób, a ja czuję, jak moje serce czy nawet cała klatka piersiowa wali bum, bum, bum, bum. Aidan wygląda tak, jakby chciał się roześmiać, jakby wiedział, co czuję i o czym myślę. O Boże, czuję mrowienie w żołądku...

- Mieszkasz na Brooklynie?

- Tak. Właściwie to jestem w drodze na spotkanie z kumplem, z którym umówiłem się na drinka w Minibarze. To moje ulubione miejsce.

- Słyszałam o nim - mówię. (Wcale nie.)

- Mój pies woli bar Great Harry. Pewnie dlatego, że go tam wpuszczają.

Walczę ze sobą, by nie zapytać, gdzie dokładnie mieszka, jakiego ma psa, gdzie jest jego dziewczyna, którą widziałam z nim wcześniej i czy rozważyłby rzucenie jej, by umawiać się ze mną. Dzięki Bogu, nim zaczynam wygadywać bzdury, do rozmowy włącza się taksówkarz.

- Jest pan z Londynu?

- Mniej więcej - mówi Aidan.

- Od jak dawna pan tu mieszka? - zaczyna go wypytywać kierowca.

Angie porusza się i spoglądam na nią. Robię minę, która mówi: czy wszystko w porządku? A ona wzrusza ramionami. Widać, że jest zmęczona i smutna, ale poza tym ma się dobrze. Ale kim był ten Francuz? I co u licha się z nią dzieje?

Powracam do słuchania rozmowy.

- Od jakichś sześciu lat - mówi Aidan. Ma bardzo głęboki, pewny siebie głos. Seksowny.

- Czym się pan zajmuje? — pyta taksówkarz.

- Uh, nudnymi finansowymi sprawami - odpowiada Aidan, patrząc na mnie - Ale oczywiście pod każdym innym względem jestem niesamowicie ciekawy i interesujący.

- Byłem kiedyś w Londynie - mówi kierowca. - To wasze jedzenie, człowieku! Nie wiem, jak wy tam wytrzymujecie.

Słyszając to, czuję zażenowanie. Nigdy nie krytykuj czyjegoś kraju, jeśli tam nie mieszkałeś.

- To prawdziwy cud — mówi Aidan. - Szczerze mówiąc, to dziwię się, że jeszcze żyjemy.

Odwracam się do niego z uśmiechem, próbując naprawić bezczelność taksówkarza, a on puszcza do mnie oko i oczy mu się śmieją w sekretnym uśmiechu. Ja też puszczam oko do niego i znów czuję to ciepłe mrowienie, więc szybko spuszczam wzrok. *Och, proszęmówsiężemnąoch proszęmówsiężemnąoch-proszęmówsiężemną.*

I wtedy, zbyt szybko, dojeżdżamy do Union Street. Angie jakoś się podnosi i chwiejnym krokiem wychodzi z taksówki.

- Bardzo ci dziękuję, że, yyy, byłeś naszym rycerzem w lśniącej zbroi - mówię do niego. — Proszę, tutaj są pieniądze za taksówkę albo na napiwek, sam zdecyduj - próbuję wcisnąć mu w dłoń dwudziestaka.

- Nie, nie. Powiedzmy, że taka jest twoja karma. Podaj dalej. Czy jak tam się nazywał ten okropny film.

Aidan kładzie swoją dłoń na mojej i przyrzekam na Boga, przez moją dłoń i rękę przebiega prąd. Wzdrygam się zszokowana i odsuwam swoją dłoń.

Jego seksowny pewny siebie uśmiech znika.

- Wszystko w porządku?

- Tak... Nie. To znaczy, tak.

Nasze oczy znów się spotykają. Następuje chwila ciszy. Nagle świat jest absolutnie bezgłówny.

Przez sekundę mam ogromną ochotę - nie, nie żeby go pocałować (choć to też by było miłe). Chcę z nim jeszcze porozmawiać. Chcę zamknąć drzwi taksówki i po prostu jechać dalej, gdziekolwiek on pojedzie. Mam wrażenie, że tak właśnie byłoby dobrze.

Głupie, wiem.

I niemożliwe. Nie mogę tak nagle ni stąd, ni zowąd poprosić go o numer telefonu, to po prostu nie w moim stylu, a on nie poprosił o mój, a poza tym, on ma dziewczynę. Jest wysoka i elegancka, i głośna, i seksowna. Widziałam ją na tamtej ulicy. Chryste Panie, Pia. Weź się w garść.

Więc wysiadam i zatrzaszukuję drzwi taksówki, nie patrząc za siebie.

Rozdział 9

Nigdy nie lubiłam budzić się sama. Nawet jeśli budziłam się obok faceta, który był pomyłką, to i tak było to lepsze niż samotność. Zaledwie dwa tygodnie temu leżałam tu z Mike'm, i jeszcze przede mną był ten cały poimprezowy chaos. Tak przy okazji, żałuję, że się z nim przespałam. To było straszne ups. Pierwszym w życiu facetem, z którym poszłam do łóżka, był Eddie. Czekaliśmy trzy miesiące i w końcu zrobiliśmy to w Święto Dziękczynienia, w domu jego rodziców, gdy padał pierwszy w roku śnieg. Było tak - o Boże, dlaczego o tym myślę? Tylko się zdenerwuję, a mam przed sobą ważny dzień.

Czas, aby świat ujrział Zgrabne Oponki!

Ale najpierw, Angie. Muszę się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Gdy wróciłyśmy wczoraj, po prostu poszła na górę i od razu zasnęła.

Pukam do niej. Jęki sugerują, że już nie śpi.

- Dzień dobry, cukiereczku.

W jej pokoju unosi się zapach wprost proporcjonalny do bałaganu: na podłodze jest więcej ubrań niż w szafie, a na ścianach jest tyle obrazów i rysunków, że prawie nie widać tapety.

- Daj mi jeść - jęczy. - Oddam królestwo za frytki.

- Masz królestwo?

Spoglądam na nią, leży wyciągnięta na łóżku, włosy w dzikim nieładzie, konturówka rozmazana trochę bardziej niż zazwyczaj.

- Porozmawiajmy o tobie, moja samobójcza koleżanko. Porozmawiajmy o tej spektakularnej katastrofie: byłaś wczoraj w totalnej rozsypce.

Angie wzrusza ramionami.

- Upiłam się po południu, wróciłam do domu, zjadłam tosty i poszłam spać. O co ci chodzi?

- Yhym... - Cholera, nienawidzę mówić ludziom o tym, co robili, gdy im się urwał film. Zwykle wydaje się, że uprzejmiej będzie po prostu udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Ale uważam, że Angie powinna o tym wiedzieć.

- Miałaś wczoraj małe ups, stara.

- Naprawdę?

Więc mówię jej o SMS-ie, w którym pisała o tabletkach na kaszel, o imprezie, o kokainie, i w końcu o tym, jak gimnastykowała się i surfowała na Hummerze jadącym przez Brooklyn Bridge.

Gdy kończę, Angie kładzie poduszkę na twarzy i krzyczy.

- Niczego takiego nie pamiętam! To jest największe ups ze wszystkich!

- Co się z tobą dzieje? Wiem, że to nie w twoim stylu, ale na serio, może powinniśmy o tym pogadać... - mówię najdelikatniej, jak potrafię. - I jest jeszcze coś... Widziałam cię wczoraj na Brooklyn Flea. Jak kłóciłaś się z jakimś Francuzem.

- A. Z nim.

- Tak, z nim. I pewnie tego też nie pamiętasz, ale widziałyśmy go na imprezie.

- Czy zrobiłam coś głupiego? - Angie łapie mnie za rękę.

- Nie... - odpowiadam. — To znaczy, nazwałaś go pieprzonym dupkiem, ale on udawał, że cię nie zna. Milknę. - Był z inną.

Angie kładzie się z powrotem, zakrywa twarz poduszką i znowu krzyczy. Pochylam się i zdejmuję z niej tę poduszkę.

- No już. Gadaj - mówię. - Wszystko.

Wzdycha, wyciąga papierosa z paczki leżącej na szafce nocnej i wkłada, niezapalonego do kącika ust.

- Ma na imię Marc. Poznaliśmy się w Cannes w zeszłym roku, ale on mieszka w Soho. Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że jadę na narty w Vail z moimi znajomymi z UCLA?

Potakuję.

- Skłamałam. Spędziłam tamten tydzień z nim, jeżdżąc na nartach w Megeve. Powiedział mi wtedy, że jest żonaty, ale w separacji, i że będziemy musieli trochę przystopować nasze spotkania, gdy będzie w trakcie rozvodu, bla bla bla - wzdycha. — Potem... Nieważne, pojechałam z Annabel do Cannes w ostatniej chwili, podczas ferii zimowych, pamiętasz? - Angie zawsze nazywa swoją matkę po imieniu. - Chciała się ze mną zbratać jak matka z córką, czy coś takiego. Widziałam go tam z żoną. Rozmawiałam z nim o tym, potwierdził. Powiedział, że są w trakcie próbnej separacji i są tutaj na rodzinnym spotkaniu, i że kocha tylko mnie... Boże, nienawidzę go, jest dokładnie taki sam jak mój cholerny ojciec, przez cały czas kłamie. To moja wina. Jestem łatwowierną idiotką.

- To nie jest twoja wina! A on jest absolutnym dupkiem! - wykrzykuję. Angie gapi się w sufit, zamyślona.

- I co... stało się potem? Jak doszłaś od tamtego momentu do kłótni na Brooklyn Flea?

Angie obraca się w moją stronę, poprawiając wciąż niezapalonego papierosa w kąciku ust.

- W piątek wieczorem spotkałam się z Lordem Hugh i jego znajomymi, pamiętasz? Ale Hugh nie zwracał na mnie uwagi, więc napisałam SMS do Marca, by poprawić sobie humor - albo jeszcze zwiększyć poczucie odrzucenia, nieważne...

On odpisał, a trochę później, gdy byłam wystarczająco pijana, poszłam do niego.

- No cóż, seks to tylko seks - mówię, próbując ją pocieszyć.

-Zaczynam myśleć, że seks to nigdy nie jest tylko seks... Tak czy owak, mam teraz okres, a on nie bardzo tak lubi. Więc chyba sobie zwichnęłam żuchwę od seksu oralnego.

Pociera twarz, marszcząc brwi.

Wybucham śmiechem, a ona rzuca we mnie poduszką.

- I co się stało potem?

- Zmusiłam go wczoraj, by zabrał mnie na Brooklyn Flea. Chyba chciałam go przyprzeć do muru, by zachowywał się jak prawdziwy facet. I wtedy powiedział mi, że tak naprawdę to wraca do swojej okropnej francuskiej żony, i że musi po nią jechać na lotnisko, i to zaraz. I że najlepiej byśmy się nigdy więcej nie spotykali - głos Angie zamienia się w płaczliwy szept. - Pewnie myślał, że nie zrobię sceny w miejscu publicznym.

- Jak jakiś stary kawałek europejskiego gówna śmie traktować cię w ten sposób?! - kipię ze złości. Nie mogę znieść, gdy ktoś źle traktuje moich przyjaciół. - Chcesz się na nim zemścić? Możemy obrzucić jego dom jajami albo coś w tym stylu.

- Nie jest tego wart. Wiedziałam o tej wczorajszej imprezie, bo śledziłam go na Facebooku, gdy wróciłam wczoraj z Flea. Wydaje mi się, że później, pijana, postanowiłam go zaskoczyć. To żałosne prawda? Po tym jak zabraniałam ci nachodzić Eddiego tamtego lata...

- Nie, nie, to całkowicie zrozumiałe - nie chcę myśleć o Eddie'm. Ani o tamtym lecie. - Czy to wszystko? - pytam. - To znaczy, czy to wszystko, co zdarzyło się między tobą a Francuzem?

Milczenie. Angie znów zamyka oczy. To znak, że rozmowa jest zakończona.

- No dobrze, nie musisz o tym mówić... Zamiast tego opowiedz mi o Spring Lounge.

- To była impreza urodzinowa kogoś z Penn. Było do kitu. Wyrzucili mnie za to, że paliłam trawkę przy barze... Ale mam to w dupie, nieważne. Wkrótce stąd wyjeżdżam, możesz przyjechać do mnie do LA i uprawiać mnóstwo szalonego seksu z przystojnymi aktorami.

- Brzmi wspaniale - miałam nadzieję, że zadamowiła się w Rookhaven tak jak ja. Ze zaczyna czuć, że to miejsce jest jak, no nie wiem, dom. Ale chyba tak nie jest. Czas zmienić temat.

- Kupiłam obwoźny bar.

- Ze co zrobiłaś? Kupiłaś?

Opowiadam jej o wszystkim, pomijając szczegóły dotyczące Cosmo.

- Wspaniały pomysł - mówi Angie. - Wygląda na to, że to będzie prawdziwy hit. Może będziesz mogła mnie zatrudnić. Odciągnąć mnie od Suki.

- Nie stać mnie na to, by kogoś zatrudnić. I uważam, że nie powinnaś nazywać swojej szefowej Suką.

- Dlaczego nie? Jest absolutną suką. To odpowiednia terminologia.

- Bardzo śmieszne. Chcesz mi pomóc przy zakupach żywnościowych, a potem przy robieniu sałatek?

- A czy zamiast tego mogę po prostu popatrzeć i robić sarkastyczne uwagi? - mówi Angie, gramoląc się z łóżka nadal ubrana w sukienkę, którą nosiła wczoraj.

- Jeśli najpierw pójdziesz pod prysznic i się przebierzesz, to możesz robić, co ci się tylko podoba.

- O rany - Angie znowu siada na łóżku. - Jasna cholera, ale mam kaca.

Kiedy wracam do pokoju widzę, że mam dwa nieodebrane połączenia od moich rodziców. Żadnej nagranej wiadomości. Przez sekundę myślę o tym, by do nich oddzwonić. Ale nie mogę. I nie dlatego że nie chcę znowu rozmawiać o tym, jak

to przyjadą do Nowego Jorku, by mnie zabrać z Brooklynu. Ale dlatego że mam coś ważnego do zrobienia. Muszę otworzyć firmę.

Krok pierwszy: składniki.

Coś, co miało być nieskomplikowanym wyjściem na zakupy, zamienia się w szaleńcze polowanie na odpowiednie składniki, plastikowe pudełka na sałatki, plastikowe noże i widelce, i maleńkie opakowania na sosy do sałatek, a potem farbę do pomalowania ciężarówki. Angie ma takiego kaca, że wytrzymuje tylko godzinę, a potem wychodzi, mówiąc, że jej paznokcie aż bolą od potrzeby manicure.

Gdy wracam do Rookhaven, jest już trzecia, a ja wydałam każdego centa z tysiąca dolarów, który został mi po zakupie Toto. Myśl o tym, że wydałam dziesięć tysięcy dolarów w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin, jest przerażająca. Przyprawia mnie o zawroty głowy i mdłości... Jakbym miała finansowy lęk wysokości.

Ale trzeba wydać pieniądze, by je zarobić, prawda? Taki jest biznes.

Wracam do Rookhaven i widzę, jak Coco, Julia i Madeleine siedzą na sofach w salonie i oglądają serię odcinków o siostrach Kardashian.

- No dobrze! Otwieramy bar mobilny! - mówię. Ani drgną.

Myję ręce, wkładam piersi z kurczaka do piekarnika i rozpisuję menu. Zdecydowałam, że będzie w stylu szkoły podstawowej.

Salatka nr 1 — kurczak + awokado + zielony groszek w strączkach + burak + pomidorek koktajlowy + niskokaloryczna feta + młode pędy różnych warzyw

Salatka nr 2 = indyk + rukiew wodna + migdały + jabłko + seler + niskokaloryczny cheddar + młode pędy różnych warzyw

Deser nr 1 = beztłuszczowe ciastka czekoladowe

Ja bym zjadła takie sałatki. Tak myślę.

A niskotłuszczowe nitki serowe były dziś w promocyjnej cenie w Trader Joe's, więc kupiłam osiem paczek. Sprzedam je za cenę wyższą od oryginalnej o dwadzieścia pięć centów i na tym zarobię. (Jestem z siebie dość dumna, że o tym pomyślałam.)

Zadzwoiłam do Lary i Phila, gdy jeździłam po Brooklynie, by zapytać o Jo, jak zarejestrować Toto w hangarze dla restauracji mobilnych. Umówią mnie z odpowiednią osobą. Są tam też kuchnie do wynajęcia, więc będę tam przygotowywała całe jedzenie. Przyrządzanie dań w Rookhaven jest małym nagięciem zasad higieny pracy. Nawet jeśli jestem naprawdę czysta.

- Dlaczego nie dodasz ziarenek słonecznika? Albo orzechów włoskich w cukrze? - pyta Coco, stojąc w drzwiach, trzymając książkę *Daddy Long Legs* Jeana Webstera otwartą i przyciśniętą do klatki piersiowej. Zdaje się, że czytała na schodach. - Albo rodzyneków czy żurawiny?

- Za dużo kalorii - odpowiadam. - To znaczy, masz rację, to wszystko, o czym mówisz, jest pyszne, ale to Zgrabne Opon-ki. Muszę się trzymać tego, co obiecuję w ofercie, jedynymi wysokokalorycznymi składnikami w menu są migdały i awokado, które są tak zdrowe, że można je porównać do Creme de la Mer... - przynudzam.

Patrzę na menu z sałatkami i marszczę brwi.

- O rany, szkoda że nie znam się bardziej na przyrządzaniu jedzenia. Naprawdę nie mam pojęcia, czy one są smaczne, wiesz?

- Wyglądają wspaniale - mówi Coco pocieszająco.

Podczas zakupów wygooglowałam w komórce kilka przepisów na niskokaloryczne sosy do sałatek i zakupiłam oliwę z oliwek z pierwszego tłoczenia, olej z awokado, ocet z czerwonego wina, ocet z cydru, ocet z malin, sos Worcester, pełnoziarnistą musztardę, musztardę Dijon, świeżo wyciśnięty sok z cytryny i beztłuszczowy jogurt naturalny.

Myślę, że coś zaimprovizuję. Hmmmm.

- Olej z awokado i ocet z cydru - mówi Julia, stojąc w drzwiach. Rozglądam się: Coco zniknęła. Nawet nie zauważyłam, kiedy byłam trochę zajęta.

- Musi mieć ograniczoną zawartość tłuszczu - robię udręczoną minę. - To znaczy, wiem, że potrzeba trochę tłuszczu do smaku i jeśli się nie zje odrobiny tłuszczu, to się człowiek nie naje, ale...

-Więc spróbuj użyć jednej porcji oleju na dwie porcje octu - odpowiada Julia. - I jedną porcję soku z cytryny. I soli, i pieprzu. Użyj słoika z zakrętką, na przykład słoika po maśle orzechowym, żebyś mogła nim potrząsnąć, aby wymieszać składniki. Moja ciotka Jo miała ich mnóstwo. Są w bocznej szafce, o tam.

Mieszam. Potrząsam. Próbujemy.

- To jest znakomite - mówię zaskoczona. - Ale przecież ty nigdy nie gotujesz!

- Jestem bardzo dobra w sosach do sałatek - mówi, uśmiechając się do mnie. - Moja mama mi pokazała. To był nasz sekret.

- No to nazwijmy go sosem Kim - sugeruję.

- Nazwij go sosem Julii. Mam jeszcze jeden, który możesz nazwać sosem Kim - mówi Julia. - Oliwa z oliwek, ocet z czerwonego wina, pełnoziarnista musztarda, sól i pieprz. To był jej ulubiony sos.

- Jaki pyszny!

Siedzimy przy kuchennym stole, Julia u głowy, a ja po jej prawej stronie (zawsze tu siedzę, tu przynależy mój tyłek), próbujemy każdego sosu, siorbiąc z łyżek, jak byśmy piły lekarstwo.

I wtedy próbuję stworzyć swój własny sos: sok z cytryny, musztarda Dijon, jogurt, oliwa z oliwek i ocet.

-Wspaniały! Piąteczka! - mówi Julia, wyciągając dłoń w górę, by przybić piątkę.

- Żadnych piąteczek. Zakaz piąteczek, Jules.

W czasach gdy byłyśmy jeszcze z Maddy bliskimi przyjaciółkami, pewnego razu zakazałyśmy Julii mówienia o lub przybijania „piąteczek” przez dwa tygodnie. Nie miałyśmy wyboru, bo Jules przybijała piątki przy każdej okazji, tak że wymknęło się to spod kontroli.

Przez chwilę jest mi smutno. Chciałabym czasem, by Madeleine nadał była moją przyjaciółką.

I wtedy Julia łapie mnie za rękę i zmusza, bym przybiła jej piątkę.

- Ha. Mam to gdzieś.

- Dzięki za pomoc - mówię do niej. - Nie mam pojęcia o tym, co robię.

- A czy ktoś ma? - mówi Julia. - A ile to wszystko będzie kosztowało?

- Myślę, że sześć dolarów za sałatkę - odpowiadam. - Kto by nie chciał sałatki za sześć dolarów, prawda?

- Ja bym chciała! A przyjedziesz jutro najpierw do mojego biura? - pyta Julia. - Bardzo chcę być twoją pierwszą klientką.

- No jasne, siostrzyczko! - mówię z uśmiechem. To się naprawdę uda! Będę jeździła mobilnym barem!

- Co to za zapach? - pyta Madeleine, wchodząc do kuchni.

- Niech to szlag! Piersi z kurczaka! - podbiegam do dymiącego piekarnika i otwieram go, by zobaczyć zwęglone, równiutko ułożone piersi z kurczaka. Z piekarnika wydostają się kłęby dymu, które spowijają kuchnię. Chwytam za rękawicę kuchenną i wyciągam ruszt.

- To kurczak za jakieś sto dolców!

- Pójdę kupić nowe piersi z kurczaka, spokojnie - mówi Julia, otwierając okna. - Rób swoje sałatki. Wrócę za pół godziny.

- Nigdy nie znajdziesz na Manhattanie miejsca do zaparkowania tej kupy złomu — mówi Madeleine, opierając się o framugę drzwi.

- Dzięki za cenną wskazówkę - odpowiadam, nie odwracając się. Czy ja mówiłam coś o tym, że chciałabym, byśmy nadal były przyjaciółkami? No cóż, muszę to jednak odwołać.

Nim Julia wraca z trzydziestoma surowymi piersiami z kurczaka, ja pocę się i przeklinam, i nagle mam poczucie, że porywam się z motyką na słońce. Każdy skrawek ławki, stołu i podłogi w kuchni jest pokryty obrusami (higiena pracy!) i otwartymi pudełkami z sałatką. Wygląda to jak piknik na sterydach. Próbuję rozdzielić pokrojone warzywa pomiędzy wszystkie pudełka, mając na dłoniach gumowe rękawiczki o jeden numer za duże. I puszczają mi nerwy.

- Dziękuję! Nie wchodź tutaj! - krzyczę do Julii stojącej w drzwiach. - To sterylne pomieszczenie! Muszę upiec kurczaka!

- Jak masz zamiar upiec kurczaka, jeśli nie możesz dojść do grilla? - pyta Julia.

Patrzymy na siebie przez morze pudełek z sałatkami. Nastaje długa chwila milczenia.

- Rzuć do mnie tego kurczaka - mówię, ściągając rękawiczki.

Julia wygląda tak, jakby miała zaraz wybuchnąć śmiechem, i rzuca mi opakowania z kurczakiem jedno po drugim. Wrzucam je do zlewu, myję ręce, wkładam z powrotem rękawice, otwieram opakowania, wyciągam piersi z kurczaka, przyprawiam odrobiną soli i pieprzu, układam na tackach, ściągam rękawice, znowu myję ręce, przesuwam jedno pudełko z sałatką po drugim, następnie obrusy, by utworzyć sobie drogę, dochodzę do piekarnika, wkładam kurczaka, ostrożnie się wycofuję i znów myję ręce.

- Prościzna - mówię głośno. - Widzisz? Bułka z cholernym masłem.

W końcu piersi z kurczaka są idealnie upieczone, pokrojone w kostkę, równo porozdzielane do pudełek z sałatkami, a każde pudełko jedno po drugim zostaje zamknięte.

I jedno po drugim znów się wszystkie otwierają. Więc krzyczę.

- Co?! Co się stało? - przybiegają Angie i Coco.

- Pudełka nie chcą się zamknąć - mówię ze smutkiem. - Spójrzcie.

Zamykam jedno plastikowe pudełko z sałatką, używając maleńkiego plastikowego wycięcia. Z brzękiem otwiera się szeroko z powrotem. Chce mi się płakać. Ale to nie pomoże.

- Nie dam rady - mówię. - Co ja sobie w ogóle myślałam?

- Gumka recepturka? - sugeruje Coco. - Taśma klejąca?

- Nie, naklejki! - mówi Angie i biegnie na górę, wracając po chwili z dużą ilością arkuszy z dużymi czerwonymi naklejkami w kształcie serc.

- Co to do cholery...?

- Szafka z materiałami papierniczymi w pracy. Są urocze.

- Ukradłaś ze swojego miejsca pracy.

- Artykuły papiernicze się nie liczą. To jak płatki owsiane innych ludzi.

- Jadłaś moje płatki?

Naklejki w serduszka są idealnym rozwiązaniem na problem z otwierającymi się pudełkami na sałatki i co tu dużo mówić, cholernie urocze. Czuję się znów prawie dobrze. To może się nawet udać.

- Zapomniałaś o serze feta — mówi Angie, czytając menu. Wydaję z siebie krzyk rozpacz.

Ostrożnie ponownie otwieram każde pudełko i dokładam po siedem kwadracików niskokalorycznego sera.

- Teraz czas na drugą sałatkę! - mówię, próbując brzmieć pozytywnie i entuzjastycznie. Dam radę. Dam. Może nie był to najlepszy pierwszy dzień, ale co z tego. *Illegitimus non carborundum*, tak jak mówiła ta miła kobieta w Bartolo's.

-Yyy, Pia? - mówi Coco. - Czy możemy zrobić sobie w kuchni kolację?

Patrzę z przerażeniem na zegar. Jak to się stało, że już jest siódma wieczorem?

- O Boże! Przepraszam. Zamówcie pizzę. Ja płacę. Albo sushi. Co chcecie.

- Sushi! Arigato! - mówi Angie.

- Zadzwoń do Bartolo's! - mówi Coco. - O kurczę, muszę zapytać dziewczyny, co by chciały zjeść.

Wybiega z kuchni.

- Proszę - mówię, wręczając Angie plik gotówki. - Zapłać za pizzę i sushi.

- Chyba nie masz za dużo kasy kochana, poważnie - mówi Angie z powątpiewaniem.

Macham ręką z całą zblazowaną pewnością siebie, której nie czuję.

- Nieważne. Odkuję się w mgnieniu oka. Przygotowanie drugiej sałatki jest prostsze dzięki pomocy

Coco i Angie. Potem przelewam sosy do specjalnych małych pojemniczków i piszę „Kim”, „Julia” lub „Pia” na ich wieczku dużym pisakiem, a dziewczyny zamykają pudełka.

- Powinnaś dodać pieczone bataty - mówi Angie. - I serca karczocha.

- I kielki - mówi Coco. - I fasolkę! Fasolka jest super. I wtedy dzwoni dzwonek do drzwi.

- Kolacja!

Będąc już w o wiele lepszym nastroju, wkładam wszystkie pudełka z sałatkami do drugiej lodówki w pralni. Wyglądają tak pięknie i schludnie poukładane jedno na drugim.

Teraz muszę tylko upiec niskokaloryczne ciastka czekoladowe! Coco dała mi przepis swojej mamy, który jest prosty jak drut. Używam komórki, by pomnożyć składniki trzy i zastąpić tłuszcz dynią z puszki, tak jak sugerowała Coco.

Zrobię na tym cholerną fortunę. Czuję to. I splecę Cosmo na czas i odniosę prawdziwy sukces, a moi rodzice zobaczą to na własne oczy, a życie będzie cudowne.

Trzy godziny i cztery blaszki ciasteczek później (jedna porcja spalona, druga się nie dopiekła, trzecia spadła na ziemię, czwarta wyszła idealna) prawie wszystko jest już gotowe. Kroję ciasto czekoladowe na sporej wielkości kwadratowe ciastka, wkładam je do pudełek - wyglądają dość żałośnie włożone do takich samych opakowań jak te na sałatki. Muszę znaleźć sposób, by je pakować pojedynczo. Układam ciastka obok sałatek.

I wtedy rozglądam się dookoła.

Nasza przytulna mała kuchnia wygląda gorzej niż po parapetówce. Nadal czuć zapach spalonego kurczaka, a na zielniku Coco leży surowe ciasto? I jak to się stało, że małe kawałki fety leżą wszędzie, nawet pod stołem? I - o mój Boże, czy ja widzę ciastko czekoladowe przyklepione do sufitu? Jest mi głupio. Czuję, że zasługuję na ochrzan za to, że doprowadziłam kuchnię do takiego stanu.

- Przepraszam, Rookhaven - mruczę pod nosem. - Zajmę się tobą, przyrzekam.

Spryskuję, szoruję i zamiatam każdy skrawek. Nawet myję mopem podłogę, czego chyba nigdy w życiu nie robiłam. Po zakończeniu sprzątnięcia, rozglądam się po całej kuchni, widzę, jaka jest czysta i idealna, i czuję dziwną satysfakcję zmieszaną z wyczerpaniem.

Jest prawie północ. Wszyscy już dawno poszli spać.

Umieram z głodu, więc w drodze na górę jem jeden zeschnięty kawałek pizzy z salami i resztki sushi.

Przy drzwiach do mojego pokoju znajduję trzy małe listy.

Pierwszy z nich leży na stercie wydrukowanych kartek: *Przeprowadziłam poszukiwania. Oto menu najlepszych barów z sałatkami w Nowym Jorku. Dla inspiracji. Coco, całuski.*

W drugim czytam: *Powodzenia jutro. Pokaż im, lwico. Jumanji. Całus.*

Trzeci list leży na zwitku gotówki, który wygląda podejrzenie podobnie do pieniędzy, które wcześniej wręczyłam Angie: *Twoja kasa. Przepraszam laseczko. A. PS. Dla Ciebie...*

A pod spodem rysunek Toto z małą narysowaną Pią wychylającą się przez okno kierowcy. Napis ZGRABNE OPONKJ jest napisany czarną kursywą na boku Toto. Wszystko jest w niedbałym stylu lat siedemdziesiątych, z wielkimi czerwonymi sercami zdobiącymi całą ciężarówkę, a z przodu na osłonie chłodnicy narysowane są wielkie wymalowane czerwoną szminką usta. Pod spodem, Angie napisała: *Już nie jesteśmy w Kansas, Toto!*

Wiem, że Angie podarowała mi to jako kartkę na szczęście, ale przecież jest to genialny projekt na dekorację ciężarówki! Głupiutki i czarujący, i wyjątkowy - idealne przeciwieństwo hipereleganckich szyldów na wszystkich innych mobilnych barach, które widziałam na Brooklyn Flea.

Angie jest taka utalentowana. Szkoda że już nie chce się tym poważnie zajmować.

Potem zauważam swoją komórkę. Zostawiłam ją na łóżku na cały dzień, co jest zupełnie nie w moim stylu. Mam trzy wiadomości.

Od Jonah: *Hej księżniczko, chcesz do nas dołączyć w Seersucker? Jesteśmy tu z Biancą! Uh.*

Od Mike'a: *Jak Twój weekend? Jak tam różowa ciężarówka? A co z naszym drinkiem? Całus.* Podwójne uh.

Od nieznanego numeru: *Hej. Będę u ciebie o siódmej wieczorem w następną niedzielę po pierwszą ratę. Cieszę się na nasze spotkanie! Cosmo.*

Czyż Cosmo nie jest miły? Ale by było, gdybym się zaprzyjaźniła z moim pożyczkodawcą, co?

Nie mam siły, by iść pod prysznic ani umyć zębów, czy zrobić cokolwiek. Nigdy, przenigdy nie byłam tak zmęczona, a muszę jeszcze namalować na Toto nową nazwę i domalować serduszka.

Obliczając w głowie, ile będę na to wszystko potrzebowała czasu, jeśli mam być w trasie przed 9.30, by znaleźć dobre

miejsce do parkowania, to muszę skończyć malowanie przed 8.30. Muszę załadować ciężarówkę i naprawdę powinnam jeszcze się wykąpać, bo dziś chyba nie brałam prysznic, chociaż nawet tego nie pamiętam. To oznacza, że muszę dodatkowo mieć czterdzieści minut na suszenie włosów. Nie zrobiłam żadnego prania i nie mam żadnych czystych majtek, i muszę jeszcze kupić serwetki, i może trochę wody w butelkach, i dietetyczną colę. Muszę też zdobyć drobne, by włożyć do kasy i o cholera, nawet nie mam jeszcze prawdziwej kasy. Powinnam więc wyjechać z Rookhaven przed 8.

Ustawiam budzik na 5.30 rano. A następnie zapadam w sen, a raczej padam trupem.

Rozdział 10

- Czy kupilibyście niskokaloryczną, wysokobiałkową sałatkę o niskim indeksie glikemicznym w różowej ciężarówce o nazwie Toto? - krzyczę o ósmej rano następnego ranka przez okno szoferki.

- Z przyjemnością! - krzyczy Coco, machając mi ze schodów. - Powodzenia!

- Dawaj, laseczko, dawaj! - krzyczy Angie, zapalając papierosa. - Pokaż, co potrafisz!

- Uh... łuhuu! - wrzeszczę, próbując zapalić silnik. Marudzi przez kilka długich sekund i zaczynam się bać, że moja kariera legnie w gruzach, zanim się zacznie. Silnik jednak startuje.

- Łuhuuu! - wołam znowu, tym razem z większym przekonaniem, wystawiając pięść przez okno, na wysokości Union Street. Jest poniedziałek rano, a ja jestem gotowa do pracy!

Toto wygląda świetnie. Jasnoczerwoną farbą namalowałam po obu stronach napis „Zgrabne Oponki” i pokryłam ją wieloma serduszkami, tak jak na rysunku Angie. Wygląda dziewczęco i zabawnie, ale nie kiczowato. To, że jest lekko podniszczona, sprawia, że jest naturalnie trendy. Jak Brooklyn.

Włącza się radio i znajduje jedną z moich ulubionych piosenek: *Here It Goes Again* grupy OK Go. Nawet podoba mi się

to, że nie mogę sama ustawić żadnej stacji w radiu Toto: jest tak, jakbym pozostawiała wybór piosenek w rękach losu. A może to Toto za mnie wybiera.

Tak mi brakowało siedzenia za kierownicą. Julia nauczyła mnie jeździć na studiach w Brown (był to poważny sprawdzian naszej przyjaźni), a potem pożyczała mi swój samochód. Miała małego brązowego volkswagena Beetle, którego nazywałyśmy Kuporszem. Niestety zginął tragicznie w ubiegłym roku od śmiertelnej dawki benzyny wlanej do baku zamiast ropy. (No ej. To się mogło zdarzyć każdemu.) Ale nieważne, nie mogę się doczekać, aż sprzedam moje sałatki i...

Trach!

Co to do diabła było? Hamuję z piskiem opon. To był jakiś bardzo głośny huk, brzmiało jak strzał z broni palnej. Tak myślę. Bo skąd niby miałabym to wiedzieć.

- Słyszałaś to, Toto? Nic nie słychać.

Ruszam znowu. Co to za dźwięk? Brzmi tak jakby...

- Pękła opona! - krzyczy jakiś głos.

Znowu wciskam hamulec. Po chodniku idzie kobieta z małą dziewczynką i chłopcem. Mały chłopiec płacze, pewnie wystraszył się hałasu. Ciekawe, co to było.

- Pękła ci tylna opona! - kobieta krzyczy znowu. Przyglądam im się. Znam ich!

- Lina! - mówię. - Cześć! — wysiadam z ciężarówki i podchodzę do nich. - Cześć Pia! Cześć Gabe!

Lina to ta kobieta, która dała mi w restauracji dwieście dolarów napiwku! Wydaje mi się, że od naszego spotkania w Bar-tolo's minęły całe wieki, a to było zaledwie w ubiegły piątek.

- Dorabiasz teraz jako kierowca ciężarówki? - pyta kobieta ze śmiechem. - Patrzcie dzieci! To Pia z naszej pizzerii!

- Czy tam jest jakaś broń? — Chłopiec nadal płacze. Pia chowa się nieśmiało za swoją mamą, zerkając na mnie. Puszczam do niej oko, a Lina pociesza Gabe'a.

- Nie, skarbie, to opona ciężarówki! Pękła jak bardzo duży balon. W końcu do mnie dociera.

- Kur... na chata! Moja opona! - mówię, pamiętając o tym, że słuchają dzieci. - Nie mam pojęcia, jak się zmienia opony!

- Pewnie masz zapasowe koło w ciężarówce? - mówi Lina. Robię zmartwioną minę sugerującą, że nie wiem, a Lina

wybuchą śmiechem. Podchodzimy wszyscy do tylnej strony ciężarówki i wtedy przypominam sobie, że Francie, była właścicielka, mówiła coś takiego: wszystko „inne” jest w schowku pod klapą w podłodze ciężarówki.

- Pomogę ci - mówi Lina dziesięć minut później, gdy opona i lewarek leżą obok ciężarówki na drodze. - To nie może być aż tak trudne.

- Oj, nie trzeba, na pewno masz ważniejsze rzeczy do roboty.

- Hej, mam dziś cały dzień wolny, wzięłam sobie Dzień Matki w pracy - mówi radośnie. - Dzieci, chcecie przez chwilę pomóc Pii przy jej ciężarówce?

- Taaak!

Lina wydaje się być tym typem mamy, która potrafi powiedzieć cokolwiek tak podekscytowanym tonem, że dzieci będą piszczały z radości.

Przez chwilę gapię się na zniszczoną pękniętą oponę i ogromną zapasową (tak na serio, ile taka opona waży? Sto kilo?) leżącą tuż obok. Lewarek wygląda jak narzędzie tortur. Nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić.

I wtedy doznaję olśnienia. Wyciągam telefon, wchodzę na YouTube'a, wpisuję „jak zmienić oponę ciężarówki” do wyszukiwarki i oglądam filmik. To dosyć proste. Podłożyć kliny, poluzować śruby (heehee), lewarek...

- Nigdy bym na to nie wpadła - mówi Lina, wskazując na telefon. - Naprawdę, robi wrażenie.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Nigdy nie zrobiłam czegoś, co było skomentowane słowami „robi wrażenie”.

- A tak w ogóle, dlaczego jeździsz obwoźnym barem?

Zmieniam oponę i opowiadam jej o moim pomysle, pomijając szczegóły o tym, jak mnie zwolnili za tańczenie nago na stole z butelką Captain Morgan i jak pożyczyłam pieniądze od jakiegoś faceta z lombardu. Zamiast tego, mówię jej, że chcę to zrobić, ponieważ nie mogę dostać pracy, bo jestem tylko absolwentką bez doświadczenia.

- Ach tak, to zakłete koło. Jak nie masz doświadczenia, nie masz pracy, ajak nie masz pracy, nie zdobędziesz doświadczenia - mówi Lina. - Pamiętam to.

- Tak, to jakieś wariactwo, że po czterech latach studiów nie mam wystarczających kwalifikacji nawet do pracy w barze... Ale taka jest prawda.

- Pamiętam ten etap - mówi Lina. - To naprawdę trudne. Rozpoczęcie dorosłego życia jest ciężkie, a wszyscy mówią, że po studiach będzie tak łatwo.

- Dokładnie! - odpowiadam. Jest dla mnie tak miła, że chce mi się płakać. Cała ja.

- Zgrabne Oponki. To świetny pomysł, zabójczy UPS. Nie mam pojęcia, co to takiego ten UPS.

- Dzięki!

- Czyli gotowanie to twoje hobby, co?

- Nie powiedziałaabym - mówię. - To znaczy, uwielbiam jeść i uwielbiam chodzić do restauracji, i w ogóle, ale gotowanie nigdy nie było moim hobby. Ale jestem dumna z tego pomysłu, ponieważ jest mój i nikt inny czegoś takiego nie robi. I uważam, że ludzie to kupią.

- Mówisz jak prawdziwy przedsiębiorca.

Gdy opona jest już zmieniona, proponuję każdemu z nich ciastko czekoladowe z dyni, na koszt firmy (to znaczy... ciężarówki). Przez ostatnie pół godziny Pia i Gabe śpiewali nam zmyślone na poczekaniu piosenki, co było naprawdę urocze.

- Słuchaj - mówi Lina, gdy wsiadam z powrotem do ciężarówki. - Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, powinnaś do mnie zadzwonić. Mówię poważnie.

Wręcza mi swoją wizytówkę.

- Powodzenia dziś. Mam przeczucie, że osiągniesz ogromny sukces. I jeśli przypadkiem będziesz kiedyś pod moim biurem, wyślij mi SMS. Powiadomię o tym wszystkich, którzy pracują w moim biurówcu.

- Tak zrobię, dziękuję! - mówię. Jestem rozradowana. - I jeszcze raz dziękuję za tamten hojny napiwek.

Uśmiecha się i kręci głową. - Zawsze do usług.

To jest to, myślę sobie, jadąc przez Brooklyn Bridge. Ja. Jadąca na Manhattan w swoim mobilnym barze. Jestem tak podekscytowana, że nawet nie boję się jeździć nim po mieście. Moim mieście. Widzę, jak dziewczyny w moim wieku idą do pracy, wszystkie niosą w ręku kubki z kawą i torby na siłownię, wszystkie zaczynamy nasze dorosłe życie w dorosłej pracy. .. To zabawne, gdy sobie pomyślę, że wszystkie w tym samym okresie byłyśmy dziećmi, wszystkie przechodziłyśmy przez etapy dzieciństwa z Elmo i z programem *Idol*, i przez sportowe staniki, i sagę *Zmierzch*, i pierwsze pocałunki, i pierwsze depilacje, a teraz wszystkie w końcu docieramy do etapu dorosłości.

Do przodu dziewczyny!

Gdy dojeżdżam do Manhattanu, wysyłam SMS do Julii i docieram do jej biurówca w centrum przed dwunastą trzydzieści. Parkuję na ulicy z zaskakującą łatwością (ha! wypchaj się Madeleine), Julia wychyla się przez okno, krzycząc z całych sił.

- O jejku! Zgrabne Oponki! To najlepszy obwoźny bar na świecie!

Piorunując ją wzrokiem, zaciągam hamulec ręczny i idę na tył ciężarówki, by ją otworzyć.

- Obowiązuje kolejka! - krzyczy na kogoś Julia. — Za mną. Raz! Raz!

Układam po dziesięć pudełek każdej sałatki po jednej stronie lady, obok ustawiam sosy, a ciasteczka czekoladowe po drugiej stronie, następnie otwieram okienko dla klientów.

Julia wyciąga ręce i pomaga mi ustawić noże i widelce, nie przerywając swojego reklamowego monologu.

- Nie mogę uwierzyć, że pomagam Zgrabnym Oponkom przy przygotowaniu sprzętu! To najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłam! Jestem taka podekscytowana! Niech mi ktoś przybije piątkę!

Próbuję się uśmiechnąć, ale nagle ogarnia mnie ogromne zdenerwowanie, prawie nie mogę oddychać. Nie mam pojęcia, co robię. Nie dam rady prowadzić obwoźnego baru. A co jeśli to nie wyjdzie? Co dalej? I jak do licha oddam te dziesięć tysięcy dolarów plus tysiąc, co niedzielę, przez następnych sześć tygodni?

- Czy mogę przyjąć pani zamówienie? - pytam Julię cichym i cienkim głosem. Spoglądam za nią i widzę dwie osoby czekające cierpliwie na swoją kolej. Kolejka? Klienci!

„Dam radę”.

- Poproszę jedną sałatkę z kurczakiem z sosem Julia, ponieważ wygląda niesamowicie, i niskokaloryczne ciasteczko czekoladowe! - Julia właściwie krzyczy. Boże, jaką ona jest słabą aktorką. - O rany! To będzie najlepszy lunch, jaki kiedykolwiek jadłam!

- To będzie sześć dolarów za sałatkę, pięćdziesiąt centów za sos i dwa dolary za ciastko, co w sumie daje nam - milknę, licząc w głowie najszybciej, jak potrafię, tak, wiem, to żałosne, ale jestem beznadziejna z matmy - osiem pięćdziesiąt, proszę pani.

Julia podaje mi banknot dwudziestodolarowy. - Zatrzymaj resztę.

- Nie, nie mogę tego zrobić - mówię stanowczo. - Musi pani dostać resztę.

- Dziękuję! - mówi Julia, uciekając, zanim udaje mi się jej wcisnąć resztę. Słyszę, jak znowu krzyczy na cały głos. - Sałatka ze Zgrabnych Oponek! O rany Julek! To absolutna rewelacja!

- Witam - mówię do kolejnego klienta w kolejce, okularnika, który wygląda na maniaka komputerowego. — W czym mogę służyć?

- Proszę sałatkę z indykiem, sos Kim i trzy nitki serowe - odpowiada.

Widzę, jak dwie kolejne osoby ustawiają się w kolejce i powstrzymują się, by nie zatańczyć z radości.

- Ile jest kalorii w tej sałatce z kurczakiem? - pyta wyglądająca na wychudzoną kobietę o kędzierzawych włosach.

- Yyy, ja, yyy - policzę je dziś wieczorem. Dam pani odpowiedź jutro.

- Więc przyjdę jutro.

Kolejna osoba zamawia sałatkę z kurczakiem i niskokaloryczne ciastko czekoladowe. Potem sprzedaję sałatkę z indykiem. Następnie dwa ciastka i sałatkę z indykiem. Nagle w kolejce stoi pięcioro ludzi.

- Ile jest kalorii w sosie?

- Jakie macie konto na Twitterze?

- Czy jesteście na Facebooku?

- Jaki jest adres waszej strony internetowej?

- Czy przyjmujecie specjalnie zamówienia?

- Czy mogę dostać sałatkę bez sera?

- Dlaczego to jest brązowe? - mówi jedna potężna rudowłosa kobieta, wskazując na coś w pudełku z sałatką.

Zaglądam do pudełka.

- To awokado.

- Powinno być polane sokiem z cytryny. Wtedy nie będzie brązowało. To jest ohydne.

- Dobrze... (Bezczelna!) Czy chciałaby pani wymienić tę sałatkę?

- Nie. To i tak jest lepsze niż to, co sprzedają w delikatesach po drugiej stronie ulicy.

- Dziękuję pani! - odpowiadam. - Następny proszę!

- Gdzie znajdę najbliższą restaurację z sałatkami Chop't?

- Poważnie? - mówię do faceta, który zadaje to pytanie. Jest bankierem w garniturze, po dwudziestce, jak zgaduję to były sportowiec, jeden z tych, co przestali uprawiać sport na czwartym roku studiów i przytyli dwadzieścia kilogramów, a teraz próbują zrzucić wagę, jedząc „zdrowo”. Znam ten typ.

- Tak - odpowiada, uśmiechając się ironicznie.

- Nie wiem. A nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym ci. Ich sosy do sałatek są pełne ukrytych tłuszczu i kalorii, i cukru.

- Naprawdę?

Nie mam zielonego pojęcia.

- Tak.

- Wasze sałatki są dość nudne.

- Zatańczą, jeśli się ładnie poprosi.

- Jak robicie niskokaloryczne ciasteczka?

- To sekret. - Facet unosi brew. — No dobrze. Są z dyni.

- Naprawdę? Wyjaśnij mi proszę, jakim cudem dynia może zastąpić dobre stare masło.

Czy on ze mną flirtuje? Nie mam na to czasu.

- Skąd jesteś?

- Jestem z Brooklynu. Jeśli nie zamierzasz niczego kupować, odsuń się, proszę, czekają głodni klienci.

- Ognista. - Facet uśmiecha się złośliwie i odchodzi spokojnym krokiem. To, co mówię, odbija się echem w mojej głowie. „Jestem z Brooklynu”. No tak, przecież jestem.

Nim wybija druga dwadzieścia, udaje mi się sprzedać trzydzieści sałatek z kurczakiem, trzydzieści sałatek z indykiem, czterdzieści osiem ciastek czekoladowych (no dobrze, czterdzieści pięć, jeśli nie liczyć tych trzech, które podarowałam Linie i jej dzieciom) i sześćdziesiąt cztery nitki serowe. Zapomniałam kupić wodę i dietetyczną colę, ale będę je miała jutro. Zebrałam też zamówienia na sałatki wegetariańskie i większy wybór niskokalorycznych deserów, a dziś wieczorem załatwię sobie URL i założę stronę na Facebooku i na Twitterze. Łatwizna.

Co najlepsze, mam w kasie sześćset dolarów w gotówce (no dobrze, nie w prawdziwej kasie tylko w starym pudełku na lunch z naklejką z Barbie, które znalazłam w kuchni w Rookhaven).

Tej nocy, zainspirowana sukcesem dzisiejszego dnia, piszę krótki wpis na stronę na Facebooku, by wyjaśnić klientom, dlaczego Zgrabne Oponki są zupełnie wyjątkowe.

WITAJCIE W ZGRABNYCH OPONKACH

Wszystko w naszej kuchni jest pieczone, nigdy nie smażone. Próbujemy nie dodawać cukru, nigdy nie dodajemy słodzików, a syrop z trzciny cukrowej obchodzimy szerokim lukiem. Nie dodajemy też soli, chyba że jest to absolutnie konieczne i unikamy glutenu. Więc gdy jesz nasze sałatki i przekąski, wiesz, że dostajesz tylko to, co zamówiłeś.

Jaka idea nam przyświeca? Uwielbiamy jedzenie. Ale kochamy też nasze ciała. I nie chcemy między nimi wybierać.

Na koniec, muszę policzyć kalorie w produktach. Wygląda na to, że na Manhattanie absolutnie każdy liczy kalorie. Więc zważę i zmierzę na jutro wszystkie składniki sałatek, oszacuję ilość kalorii z pomocą dobrego starego Google'a, a potem je dodam.

Jedynym problemem jest to, że nie potrafię tego zrobić.

Liczby mi się nie zgadzają. Tylko siedemdziesiąt osiem kalorii w sałatce z kurczakiem, choć byłoby to bardzo piękne, nie może być prawdziwe.

Liczę ponownie. Tym razem wychodzi mi siedemset czterdzieści trzy kalorie. To też się nie zgadza... To musiałyby być pierś z kurczaka smażona w głębokim tłuszczu, nadziana smalcem, a potem jeszcze obtoczona w czekoladzie.

Opieram czoło o stół kuchenny i przez kilka sekund pojękuję. Potem uderzam głową o stół.

To mnie trochę rozwesela, więc robię to znowu.

I jeszcze raz, na szczęście.

- No proszę, to wygląda bardzo normalnie - słyszę głos. Podnoszę wzrok. To Madeleine. - Co się dzieje?

- Nie umiem liczyć — mówię cicho.
- Cóż, to żadna nowość - mówi Madeleine, wyciągając z lodówki jakąś resztkę potrawy z kurczaka i brokułów. Wzdycham. Typowy złośliwy komentarz Madeleine.
- A może ja to za ciebie zrobię? Liczenie to moje hobby. Jestem zszokowana. - Jesteś pewna? To liczenie kalorii.
- Och, to absolutnie moje hobby - Madeleine siada naprzeciwko Irinie rozdziela potrawkę do dwóch misek i podaje mi widelec z tą niewymuszoną zażyłością, która jest między ludźmi, którzy są, no wiecie, przyjaciółmi. - Liczę kalorie, gdy mi się nudzi.
- To brzmi jak... niezła zabawa? - mówię z powątpiewaniem. A do tego jestem zszokowana, że w ogóle ze mną rozmawia. - Próbuję policzyć kalorie w sałatce z kurczaka.
- Sto gramów piersi z kurczaka? Sto dwadzieścia kalorii. Bez skóry i upieczona, tak?
- Tak.
- To sto dwadzieścia.
- Dobrze... - zaczynam notować.
- Warzywa, plus niskokaloryczna feta, plus... — no dobrze, to sto dziewięćdziesiąt cztery kalorie.
Gapię się na nią z otwartymi ustami.
- Skąd ty to wszystko wiesz?
- Nie wiem... Nauczyłam się w szkole średniej. To jest jak jazda na rowerze, nigdy się nie zapomina.
- Ale ty się nigdy nie odchudzasz. Madeleine milknie.
- To chyba przez to, że moje relacje z mamą są trochę, yyy, dołujące. Gdy byłam dzieckiem, by się uspokoić, powtarzałam w głowie tabliczkę mnożenia. Kalorie były naturalną konsekwencją. Liczenie uspokaja.
- Uczciwie przyznaję, że nigdy tak o tym nie myślałam - mówię. Madeleine patrzy na mnie i wybucha śmiechem, ja też zaczynam się śmiać. To pierwszy raz, kiedy się razem

śmiejemy od pierwszego roku studiów. Od nocy o nazwie „Nienawidzę Cię, Pia”.

- Dobrze, dobrze, dość tego gadania. Podaj mi drugą sałatkę - mówi Madeleine, wkładając kawałek brokułu do ust.

Gdy kończymy, w oczach mam łzy wdzięczności.

- To zajęłoby mi całą noc. Dziękuję ci tak bardzo, bardzo - mówię do niej.

- Żaden problem - odpowiada. - Tak naprawdę to przyszłam sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy w obliczeniach. Zysków i strat, i tym podobnych. To nie jest trudne, ale wymaga wprawy.

- Czy możesz znaleźć sposób, bym mogła zarabiać więcej bez sklonowania siebie i Toto?

Madeleine myśli przez chwilę.

- Podnieś ceny o dolara. Niech sałatka kosztuje siedem dolarów, sos jednego dolara, a deser trzy dolary. I przystawki też trzy dolary.

- Ale co jeśli ludzie, którzy kupowali u mnie dzisiaj, wrócą jutro?

- Powiesz, że to była oferta specjalna. Teraz czas na poważny biznes - wzrusza ramionami. - Ludzie nie będą mieli wyboru i się z tym pogodzą.

Gdy kończymy potrawkę, mam już wszystko zapisane.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? - mówię, nim zdążę pomyśleć. - Nigdy nie jesteś dla mnie miła. Od czasu...

Madeleine wstaje szybko i płucze nasze miseczki, a ja nie kończę zdania. Następuje bardzo długa cisza. Patrzę na Madeleine, a ona na zlewozmywak.

- Przepraszam cię za tamtą noc - zaczyna w końcu mówić, nie obracając się. - Było mi z tego powodu wstyd, a potem byłam na siebie zła. Chyba wyżyłam się na tobie, a potem tak już zostało.

-Ale dlaczego... Dlaczego to wtedy powiedziałaś? - pytam. - Myślałam, że się przyjaźnimy.

Kolejna długa chwila ciszy.

- Wszystko zawsze jest, czy też było, dla ciebie łatwe - w końcu mówi pod nosem.

- Co? - pytam. Czy ja dobrze słyszałam? Madeleine odwraca się, zagryzając dolną wargę.

- Wydawało mi się, że zawsze było ci bardzo łatwo. Na studiach. Masz bogatych rodziców, jesteś szczupła, masz idealną cerę, łatwo, nawiązujesz przyjaźnie, zawsze wyglądasz bardzo dobrze. Nigdy w życiu nie miałaś żadnego problemu.

Otwieram usta ze zdziwienia.

- To dlatego od lat nie rozmawiałyśmy? Ponieważ ty uważasz, że wszystko jest dla mnie łatwe? To nawet nie jest prawda!

- Nieważne - odpowiada. - A tamtej nocy, kiedy powiedziałam to, co powiedziałam, słyszałam jak, yyy, facet, który mi się podobał, mówił o tobie. Szalał za tobą, a ty go kompletnie ignorowałaś. Byłam, no nie wiem...

- Zazdrosna? - podpowiadam. - Co to był za facet? - nie przypominam sobie, by ktoś się jej podobał na pierwszym roku, przez cały czas nic tylko się uczyła.

Madeleine siada i bierze paczkę kart, tasując je niezdarnie.

- Czy to ważne? Pewnie po prostu myślałam, że to niesprawiedliwe. Zawsze wszystko ci wychodzi. Zawsze jesteś w centrum wydarzeń. Ludzie cię zawsze automatycznie lubią. Gdy coś mówisz, wszyscy słuchają. Tak jakbyś miała... Jakieś specjalne towarzyskie uprawnienia czy coś.

- Towarzyskie uprawnienia? — nie wiem czy śmiać się, czy płakać. Czy dać jej w twarz.

-Ale... Ale ja tylko próbuję być miła. To przekomiczne, spędziłam całe życie, próbując wyglądać na kogoś, kto należy do grupy, i nigdy tego nie czułam, a tu okazuje się, że wyszło mi to tak dobrze, że mnie nienawidzisz!

- Ale ty nigdy nie wyglądasz na zdenerwowaną. Czy zmieszaną.

- Tylko dlatego że tak nie wyglądam, nie znaczy, że w środku nie czuję się totalnie rozbita - odpowiadam. - A wszystko nie jest zawsze dla mnie łatwe. Wyrzucono mnie z dwóch szkół z internatem, rozumiesz?

- Naprawdę? Dlaczego?

- Nie chcę teraz o tym gadać - odpowiadam łamiącym się głosem. To są te niemiłe, niechlubne wspomnienia, które chcę ukryć gdzieś głęboko. Głębiej niż wspomnienia o Eddie'm, głębiej niż cokolwiek innego. To wspomnienia, które sprawiły, że znienawidziłam samą siebie.

Mimo to, Madeleine nie odpuszcza.

- Ale założę się, że byłaś popularna.

- Popularność to mit — odpowiadam. — A ja nigdy nigdzie nie pasuję, przynajmniej nie do końca. Nie utrzymuję kontaktów z żadną koleżanką czy kolegą ze szkół, do których chodziłam. Miałam ataki paniki... Nadal je miewam, czasami. Po tym jak wyrzucili mnie po raz drugi, moja matka powiedziała mi, że wstydzi się, mieć taką córkę.

Zamykam oczy, chcąc zatrzeć tamto wspomnienie. Na samą myśl o tym jest mi niedobrze. To była najgorsza kłótnia ze wszystkich.

- Od tamtego czasu między moją mamą a mną nigdy nie było tak samo.

- Twoi rodzice cię kochają. Bez przerwy do ciebie dzwonią. Mój tato nie dzwonił do mnie, odkąd skończyłam trzynaście lat. A moja matka woli moich przyrodnych braci ode mnie. To takie oczywiste, że stało się prawie rodzinnym żartem.

- Maddy, to jest bez sensu. Czy my się licytujemy o to, kto ma gorzej w życiu? Nie wiem, jak to jest być tobą, ty nie wiesz, jak to jest być mną, więc jak możemy to rozsądzić?

Czuję, jak w moich oczach wzbierają łzy. Och, Boże, nie, nie pozwól, bym się rozplakała.

- Ja po prostu z całych sił się staram, Madeleine. Chryste!

- No dobrze, przepraszam - mówi Madeleine. - Myliłam się. Przepraszam, proszę nie płacz!

Z moich oczu uciekają łzy i spływają po twarzy.

- Nienawidzę płakać, to mnie tak drażni. A nawet nie byłam smutna.

- Czasami dobrze jest sobie popłakać - mówi Madeleine i obie zaczynamy się śmiać przez łzy, przepraszam, brzmi to jak odcinek jakiegoś serialu dla młodzieży, ale to prawda.

- Nie chciałam cię zdenerwować. Jestem porąbana - milczy, patrząc w przestrzeń. - Jestem totalnie porąbana.

-Wszyscy jesteśmy porąbani w jakiś sposób - odpowiadam. — Dlatego jesteśmy tacy wyjątkowi. Madeleine wybucha śmiechem. To miłe. Trochę dziwne, ale miłe.

- A... o co chodzi z tobą i moim bratem?

Przez sekundę jestem zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć.

- Yyy... o nic.

- Co ty, myślisz, że nie mam oczu? Widziałam, jak się migdaliliście na imprezie! Powiedział mi też, że flirtowaliście w SMS-ach!

Naprawdę? Och. Cholera. Chodzi o tą lekcję flirtowania dla Coco.

- Wiesz, Mads, yyy, uważam, że twój brat jest niesamowicie miłym facetem i naprawdę zabawnym i przystojnym, ale...

- Ty po prostu nie znosisz tych miłych, zabawnych i przystojnych, co?

- Bardzo zabawne - mówię, myśląc o tym facecie o imieniu Aidan, tym z taksówki, którego spotkałam tamtej nocy. Był idealny. Ale już nigdy go nie spotkam. I nie ma czegoś takiego jak idealny facet.

Madeleine wzdycha.

- Tylko obiecaj mi, że nie złamiesz Mike'owi serca. Miał dopiero jedną dziewczynę.

- Nie złamię - odpowiadam. Tak jakbym mogła to zrobić! Chryste, przecież całowaliśmy się tylko raz. No dobrze, kochaliśmy. Nieważne.
- Obiecuję.

Madeleine znów wstaje i przegląda swoją kolekcję herbat. Gdy już mamy za sobą wszystkie poważne tematy, nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym teraz powiedzieć. Jak zacząć normalną rozmowę po tylu latach ignorowania się nawzajem?

- Uwielbiam tu mieszkać - Madeleine mówi w końcu, rozglądając się po kuchni. - Czuję się tak, jakby to była jedyna rzecz, która obecnie w moim życiu działa.

- A co z twoją pracą? Przecież ją uwielbiasz? - jestem zaskoczona.

- Nie użyłabym słowa uwielbiam... To znaczy, jest w porządku. Czasami tylko jestem bardzo przytłoczona tym wszystkim, co muszę jeszcze zrobić.

- Tak, pracujesz naprawdę dużo.

-Nie... Chodzi mi o to, ile jeszcze muszę udowodnić. W pracy muszę dostać awans, a to oznacza, że muszę zrobić wrażenie na odpowiednich osobach i muszę znaleźć chłopaka, a potem męża, i wyjść za mąż i mieć dzieci, wszystko przed trzydziestką.

- To za jakieś osiem lat - odpowiadam. Nigdy nie myślę o tym, jak to będzie, gdy będę miała trzydzieści lat. Kurczę, ja nigdy nie myślę nawet o tym, jak to będzie, gdy będę miała dwadzieścia pięć lat.

- Ale jest tego tak dużo. A ja jestem jedyną osobą, która może sobie w tym pomóc. Nikt tego za mnie nie robi. A co jeśli mi nie wyjdzie? - patrzy w przestrzeń, zagryzając dolną wargę.

- Czasami mam wrażenie, że przejście przez szkołę i studia, i uzyskanie pierwszej pracy, to był jakiś jeden długi, wyczerpujący maraton, a teraz ktoś mówi, no dobrze, nieważne, teraz masz przed sobą od razu kolejny maraton. Jestem z powrotem na linii startu. Jakby to, co do tej pory zrobiłam, w ogóle się nie liczyło.

- Wszystko pójdzie tak, jak sobie to wymyśliłaś — odpowiadam jej.
— Ty przynajmniej wiesz, czego chcesz.

Madeleine śmieje się.

- Właśnie, że nie wiem! Ja tylko wiem, czego mam chcieć! A co jeśli to nie wypali? A co jeśli skończę jako bezrobotna i samotna, i będę mieszkała z matką, oglądając seriale?

- Wtedy... Prawdopodobnie będziesz zupełnie zadowolona z tej decyzji*

- Nie chcę być zadowolona z tej decyzji! Ja tego nie chcę! - Madeleine uderza dłońmi w stół.

- Dobrze, Maddy, spokojnie... - i wtedy mówię te trzy słowa, w które nigdy nie wierzę, gdy mówię je sama do siebie.

- Wszystko będzie dobrze. Madeleine spogląda na mnie.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Rozdział 11

Jest niedziela po południu. Za parę godzin ma tu przyjść Cosmo po pierwszą ratę odsetkową w wysokości tysiąca dolarów. Cieszę się na to spotkanie.

Gdy już mu zapłacę, w moim różowym pudełku na lunch zostanie mi tylko trzysta dolarów - przyznaję, że liczyłam na większy zarobek czy też na niższe ceny składników, rozumiecie?

Ale to był dopiero mój pierwszy tydzień. Miałam wiele nieoczekiwanych wydatków. A żeby zarabiać, trzeba wydawać, prawda? To dla mnie nowość, że jestem tak bardzo skupiona na pracy, ale uwielbiam to. Wciąż jeszcze mam mnóstwo czasu do spłacenia całej pożyczki (i do przyjazdu moich rodziców), a do tego czasu będę miała, jak to mówią, hajsu jak lodu. (Tak, naprawdę tak mówię.)

Chcecie usłyszeć coś niebywałego? Maddy i ja jesteśmy znów przyjaciółkami! Dzięki temu życie w Rookhaven jest o wiele łatwiejsze. Weźmy na przykład wczorajsze popołudnie: siedziałyśmy wszystkie w kuchni, gdy ja eksperymentowałam z przepisami na niskokaloryczny chlebek bananowy, a potem Angie, Julia i Coco go spróbowały, a potem, i to jest prawdziwy przebój - wszystkie grałyśmy w karty, siedząc przy stole kuchennym. To był pomysł Angie, od lat jest maniaczką pokera.

Była to tylko dobra, stara, niewinna gra: wyglądało to jak obrazek namalowany przez Normana Rockwella. Gdyby tylko postaci z jego obrazów grały w pokera za zapalki i piły piwo.

I z tego, co widzę, Angie wychodzi ze swojego dołka. W tej chwili jest na jakimś całodniowym alkoholowym brunchu na Manhattanie. Julia poszła na kickboxing, ciągnąc ze sobą opierającą się Coco. Madeleine jest chyba na górze w swoim pokoju. A ja jem resztkę zupy z zielonego, groszku z szynką, którą wczoraj wieczorem ugotowała Coco, i tworzę jutrzejsze menu.

Salatka nr 1 = kurczak + awokado + zielona fasolka + burak + pomidorek koktajlowy + niskokaloryczna feta + młode pędy warzyw

Salatka nr 2 - indyk + rukiew wodna + migdały + jabłko + seler + niskokaloryczny cheddar + młode pędy warzyw

Salatka nr 3 = (tuńczyk + niskotłuszczowy majonez) + jajko na twardo + kukurydza + fasola zwyczajna + sałata lodowa

Salatka nr 4 = awokado + pomidorek koktajlowy + batat + szpinak

Salatka nr 5 - biały ser + jabłko + szynka + migdały + młode pędy warzyw

Deser 1 = ciastko czekoladowe (bez tłuszczu)

Deser 2 = chlebek bananowy (bez tłuszczu)

Wiem, że nie jest to najbardziej zachęcające menu na świecie. Ale pracuję nad nim.

Robię chwilę przerwy, by zamieścić wiadomość na Twitterze.

I rano jutro: Róg Twenty Third i Park. Ciesz się jedzeniem i szczupłym tyłkiem ze Zgrabnymi Oponkami.

PS. Pierwszych 10 osób otrzyma darmowe ciastko czekoladowe.

Rozszerzyłam też gamę sosów. Jest sos tzatziki o nazwie Angie i imbirowy sos miso o nazwie Coco oraz nisko

łuszczowy ranch dressing na cześć Madeleine. Ten sos nigdy nie był moim ulubionym, ale coraz bardziej mi smakuje. Ha ha.

W tej chwili dzwoni mój telefon. To Mike.

Znowu? Dzwonił do mnie prawie co wieczór w tym tygodniu. I wysyłał SMS-y i pisał na Facebooku.

Może nie odbiorę - zrozumie w końcu, prawda? - a potem przypominam sobie prośbę Madeleine. Naprawdę nie chcę zniszczyć tego nowego ocieplenia naszych relacji.

Najwyraźniej muszę mu jasno powiedzieć, że nic z tego nie będzie. Zwykle ignorowanie go przez te wszystkie tygodnie od naszego ostatniego spotkania chyba nie wystarcza.

Więc odbieram bardzo chłodnym i spokojnym tonem.

- Witaj.

- Ty żyjesz! No dobrze, to ja już muszę kończyć, po ulicy jeździ patrol Saint Bernards, który właśnie poszukuje zaginionej Pii...

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

- Byłam bardzo zajęta, Michaelu.

- Michaelu! O rany. Nikt się tak do mnie nie zwracał od czasów, gdy jako siedmiolatek ukradłem batonik Oh! Henry! ze spożywczaka w Maryland.

- Ukradłeś batonik Oh! Henry!?! Czy ktoś w ogóle je jada?

- Ja je uwielbiam - mówi Mike urażonym głosem. - Poważnie. To najlepsze słodczyce na świecie.

Śmieję się, ale czekam, aż przejdzie do rzeczy. No dalej, chłopie. Muszę jutro wcześniej wstać.

- No cóż - chrząka - zastanawiałem się, czy nie chciałabyś pójść ze mną na fajną randkę w następny weekend. Wiesz... Poszlibyśmy do parku, połuścili się na huśtawkach, nakarmili kaczki...

- Mike, byłoby super, ale właśnie otworzyłam firmę. Wypróbuję przepisy na niskotłuszczowe ciastka i serniki.

- Ty pieczesz? - mówi Mike, nie kryjąc rozbawienia.

- Zgadza się - odpowiadam, próbując ukryć rozdrażnienie. Dlaczego to, że teraz piekę, wszystkich aż tak bawi? To przecież żadna filozofia. Gdy dziś rano Julia weszła do kuchni i zobaczyła mnie, ubraną w falbaniasty fartuszek ciotki Jo i rękawice kuchenne, śmiała się tak bardzo, że się przewróciła i uderzyła głową o futrynę.

- Pomogę ci - mówi Mike. - Znam kogoś, kto hoduje kury w Red Hook. Przyniosę ci trochę jaj.

- Żartujesz?

- Nie - odpowiada. - Najlepsze jaja, jakie w życiu jadłaś. Właśnie wtedy dzwoni dzwonek do drzwi. To Cosmo!

- Super - mówię szybko. - Byłoby rewelacyjnie. Czy możesz je tu przynieść? Może w następną sobotę?

Milczenie.

- Jestem teraz twoim chłopcem od jaj?

- Yyy, nie chciałam, by tak to wyszło - mówię, wychodząc z kuchni w kierunku drzwi wejściowych. Dlaczego Mike jest tak cholernie wrażliwy na swoim punkcie? Jezu. Tak samo jak Madeleine.

- A może pójdziemy na drinka albo coś w tym stylu w piątek wieczorem i wtedy będziesz mógł mi je dać?

- Piątek wieczorem, o ósmej? W Brooklyn Social? Jesteśmy umówieni!

- To tylko drink - mówię poważnie, gdy dzwonek dzwoni znowu. - Muszę kończyć.

Rozłączam się, otwierając drzwi.

- Cosmo!

Ale to nie Cosmo.

To jakiś olbrzym. Olbrzym o posturze Transformera w opiętym czarnym podkoszulku i czarnych dżinsach z ogromnymi ramionami i bardzo wąskimi biodrami. Typ faceta, który uważa, że jest atrakcyjny, bo bierze sterydy i podnosi ciężary, choć tak naprawdę jest wielkim pryszczatym osiłkiem. Więc nie w moim typie.

- Nazywam się Nicky — mówi zaskakująco wysokim głosem. — Cosmo jest w samochodzie.

Spoglądam za niego i obok Toto widzę źle zaparkowaną Toyotę Prius.

- Cosmo jeździ Toyotą Prius?

- Jest bardzo podrasowana - mówi Nicky. Uśmiecham się do niego, sądząc, że żartuje. Ale mylę się.

- Przyszedłem po pieniądze.

- Jasne, mam je na górze, może wejdiesz i usiądziesz? - pytam.

- Nie, poczekam tutaj.

Nicky składa ramiona, a ja doznaję nagłego oświecenia: Nicky jest gorylem. Ma mięśnie, jest silny i groźny. I ni z tego, ni z owego zaczynam się bać.

- Ja teraz... tylko... po nie pójde.

Frontowe drzwi zostawiam otwarte, ponieważ zamknięcie mu ich przed nosem byłoby nieco niegrzeczne i biegnę na górę. Potem zbiegam na dół, najszybciej, jak potrafię, z żołądkiem ściśniętym ze strachu i podaję mu kopertę.

- Pieniądze są tutaj, okrążyły tysiąc, nie musisz przeliczać.

- Jeśli to ci nie robi różnicy, to i tak przeliczę - mówi Nicky. Kiwam głową i patrzę jak pieczołowicie przelicza pieniądze, dwa razy, a potem potakuje.

- W następnym tygodniu też bądź przygotowana - mówi. - Cosmo nie lubi czekać.

Nicky powoli schodzi ze schodów, idzie z powrotem do Priusa i wsiada na miejsce pasażera. Cosmo odwraca się, by z nim porozmawiać, potem wygląda przez okno i patrzy przez chwilę w górę na mnie, kiedy jeszcze stoję w drzwiach.

Potem odjeżdża.

W tej właśnie chwili słyszę, jak Vic pokasłuje, tam gdzie zawsze zasiada wczesnym wieczorem, czyli na ławce przed swoim mieszkaniem.

Wychylam się znad podestu schodów.

- Dobry wieczór, Vic!
Boże, mam nadzieję, że niczego nie słyszał.
- Bratasz się z tymi ludźmi z Priusa? - pyta.
- To tylko znajomi.
- Nieżyłch masz znajomych - mruczy pod nosem. - Uważaj na siebie Pia, słyszysz?
- Dobrze, obiecuję - odpowiadam, próbując brzmieć beztrosko. - Nie martw się o mnie.
Vic nie odpowiada, więc nim cisza zamieni się w niezręczne milczenie, mówię:
- Dobranoc! - i wracam do środka.

Rozdział 12

Przed końcem tygodnia postanawiam, że ta cała sprawa z Nickiem i Cosmo to nic takiego. Absolutnie nic takiego.

Nicky nic na to nie poradzi, że jest nieobliczalnym mięśniakiem na sterydach. No cóż, może jest niepewny siebie. Może był chudym, bezradnym, drobnym nastolatkiem, któremu dokuczali więksi od niego. Nie osądzajcie, abyście sami nie byli sądzeni i takie tam.

Poza tym, minął kolejny wspaniały tydzień na szlaku Zgrabnych Oponek. W tym tygodniu z łatwością zarobiłam wystarczającą ilość pieniędzy, by oddać Cosmo i w ogóle. Nie będę miała żadnych problemów, żeby zwrócić wszystko, po prostu to wiem!

Sądzę, że Toto też jest w dobrym humorze: jej radio magicznie przełączyło się na lokalną stację nadającą Village People, gdy zaparkowałam na Washington Square, a przez cały ranek śpiewam razem z *In The Navy* i *Milkshake*.

I wtedy ją zauważam.

Zdzirę Biancę.

Jedzie zupełnie nowym błyszczącym obwoźnym barem, na którego boku widnieje napis namalowany czerwonymi literami: „Wsuń to ciacho”.

Ta ciężarówka jest nowusienka! Wygląda jak Darth Vader! Musiała kosztować kilkadziesiąt tysięcy! Czy pożyczyła je od Cosmo? Z jej głośników na cały regulator słychać *Low Rider* zespołu War, więc każdy się obraca, by na nią spojrzeć.

Gdy Bianca zbliża się na odległość nie większą niż trzy metry, jej ciężarówka zwalnia i jedzie bardzo powoli. Uśmiecha się do mnie zadowolona z siebie, gdy spotykamy się wzrokiem.

Jej slogan to: „Sałatki i ciasta z pełnią smaku, a bez żadnych kalorii”.
O mój Boże.

Ta suka ukradła mój pomysł!

Zaciskam pięści, oblewa mnie fala gorąca. Jestem tak wściekła, że to aż boli.

Na tle jej ogromnego błyszczącego wehikułu moja kochana Toto wygląda jak stara zabawka, której brakuje połowy części. Nikt poza właścicielem nie chce starej zabawki. Wszyscy wolą nową i błyszczącą.

Muszę się uspokoić. Najpierw praca. Później złość.

Przylepiam duży uśmiech do twarzy, wracam do swojego baru i zaczynam obsługiwać klientów. Po skończonym dniu pracy włączam silnik Toto, jadę do domu i piszę maila z komórki do wszystkich moich współlokatorów.

Ta zdzirowata kelnerka skopiowała mój pomysł. Prooooooszę wejście na www.wsuntociacho albo na Facebook, a jeśli jej bar pojawi się gdzieś w waszym pobliżu, idźcie coś u niej kupić. Potrzebuję szczegółów. Potem zemsty.

Tylko pomyślcie: przez cały czas, gdy udzielałam mojej małej przemowy na Brooklyn Flea, stroiła sobie ze mnie żarty, ale po kryjomu zapamiętywała wszystko, by otworzyć identyczną firmę!

- Cholerna suka! - krzyczę, jadąc wzdłuż Houston. Nawet przeklinanie nie poprawia mi nastroju, a wiadomo przecież, że przeklinanie podczas prowadzenia pojazdu jest krzepiące. Radio przeskakuje po stacjach, jak zwykle podczas jazdy, od *Ma-*

cho Man Village People po I Hate You So Much Right Now (Tak cię teraz nienawidzę).

- Dokładnie tak, Toto! - krzyczę.

Gdy docieram do Brooklynu, dostaję odpowiedzi na maila: Od Angie:

Czy chcesz, bym dała tej suce w mordę? Od Coco:

O nie!!!! To TAKIE NIESPRAWIEDLIWE!!!! Mam dziś zajęcia na świetlicy, wrócę do domu niedługo, to pogadamy!!!! Catuski.

Od Julii:

Obczaiłyśmy ją z M. Bardzo podobne sałatki, niskotłuszczowe ciastka itd. Kupiłyśmy wszystkiego po jednym. Poprobujemy dziś wieczorem. Poradzimy sobie z tym.

Od Madeleine:

Nie martw się, jej ciężarówka wygląda jak Darth Vader. Przykleiłam gumę do zucia do jej szyby, gdy nie patrzyła. M. Catus.

Uwielbiam tę nową wspierającą Madeleine.

Zdzirowata Bianca wprowadziła mnie w paskudny nastrój. Jest piątek wieczorem! Powinnam teraz zajmować się szukaniem fajnej knajpy, umawiać z facetami i upijać jak każda normalna dwudziestodwulatka na świecie. A nie wściekać się i zamartwiać.

Wracam do hangaru z ciężarówkami i myję Toto, mój mózg działa jak na speedzie. Nie mam tak dużej, błyszczącej i atrakcyjnej ciężarówki, jaką ma ta zdzira, ale jeśli będę pracowała wystarczająco ciężko, może odkryję więcej sposobów na zdobywanie klientów. Jeśli moje jedzenie będzie im smakowało, to następnego dnia opowiedzą o mnie swoim znajomym, prawda? Muszę tylko jeszcze ciężiej pracować.

Wracając na piechotę do Rookhaven, decyduję, że od poniedziałku będę sprzedawała śniadania. Może to pozwoli mi zdobyć przewagę nad tą głupią Biancą. Może mogłabym robić omlety z białka jaj, albo niskokaloryczne naleśniki. Zysk

z naleśników musi być nieziemski. A może wprowadzę kartę stałego klienta Zgrabnych Oponek? Kampanię „powiedz znajomemu”? Tak! Mogłabym wydrukować pocztówki z logo Zgrabnych Oponek; jest urocze i ludzie mogliby je wysyłać znajomym, a wtedy, jeśli taki znajomy przyszedłby z taką kartką do mnie, otrzymałby pięćdziesiąt procent zniżki przy zamówieniu! Tak! Tak! Z radości robię energiczny wymach pięścią w powietrze, a przechodząca obok mnie kobieta patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Wciąż jeszcze jest czwarta po południu, więc idę na górę, by wziąć długą kąpiel w łazience na drugim piętrze (na moim piętrze jest tylko prysznic). Ta łazienka jest bardzo staroświecka, bladuróżowa, z wanną na lwich nóżkach, w której właściwie można pływać. Robię sobie pełny odstresowujący zabieg: kładę maseczkę na twarz i na włosy, gołę nogi, robię peeling i tym podobne. Ale mój mózg nadal nie może się zatrzymać. Bianca skopiowała mój pomysł. To co teraz zarabiam, ledwie wystarcza na spłatę odsetek Cosmo. Jak oddam mu całą sumę? A co jeśli mi się nie uda? I co z moimi rodzicami?

Sama siebie wpędzam w histerię. Histerię, która może się skończyć atakiem paniki.

„Oddychaj - mówię sama do siebie. - Jest dobrze. Wszystko będzie dobrze”.

I po raz pierwszy naprawdę słucham tego, co mówię.

Gdy wychodzę z wanny, czuję się odrobinę spokojniejsza. Nagle zauważam jakieś słowa ledwie widoczne na zaparowanym lustrze. Ktoś najwyraźniej napisał je na zaparowanym lustrze dziś rano i zapomniał je wytrzeć, tak więc świeża para znów je wydobyła na światło dzienne.

BRZYDKA BRZYDKA BRZYDKA

Jasna cholera.

Kto to mógł napisać? Prawdopodobnymi podejrzanymi są oczywiście: Madeleine lub Coco. To one używają tej łazienki,

razem z Angie, ale Angie kąpie się w nocy. A Jules i ja używamy prysznicza na naszym piętrze.

To plusy i minusy wspólnego mieszkania: nie ma żadnych tajemnic. Jeśli jakaś dziewczyna w internacie ma bulimię, wszyscy o tym wiedzą. Tak samo, jeśli kłóci się z siostrą, płacze przez chłopaka, czy jeśli jej rodzice się rozwodzą. Szybko nauczyłam się chronić swoją prywatność. Nigdy nigdzie nie zapisuję niczego osobistego, to najważniejsza zasada. Nawet na lustrach.

Może ktoś, kto to napisał, wstał dziś po prostu lewą nogą. Może to nic takiego. Kto wie. No dobrze, muszę się napić.

Wkładam moje buty motocyklowe, ponieważ czuję, że mogłabym nakopać zdzirze po tyłku, i moją czarną sukienkę bez pleców. Biorę książkę, którą czytałam, *The Best of Everything*, bo dzięki niej łatwiej mi uciec w krainę marzeń. Torebka, błyszczak, klucze, jestem gotowa.

Gdy idę wzdłuż Union Street, zaczynam myśleć o Aidanie. Moim rycerzu w błyszczącej żółtej taksówce.

Wszystko wskazuje na to, że w dzielnicy zamieszkałej przez dwa i pół miliona ludzi raczej na niego nie wpadnę po raz drugi... A mimo to, nie mogę przestać o nim myśleć. Na samą myśl przechodzą mnie ciarki, czuję jakieś dziwne wibrujące podniecenie, które przyprawia mnie o delikatny zawrót głowy. Ciekawe, gdzie on teraz jest.

Ale skutkiem ubocznym myślenia o Aidanie są wspomnienia o Eddie'm i te wszystkie powody, przez które nie mogę się zaangażować w związek z Aidanem, nawet gdybym miała taką szansę. Ale ryzyko jest niewielkie. Nie chcę już nigdy więcej przechodzić przez takie rozstanie. Przenigdy. Jeśli ktoś tak uprzejmy, silny, mądry i stały w uczuciach jak Eddie spojrzał w moją duszę i stwierdził, że nie jestem wystarczająco dobra, że nie byłam - spójrzmy prawdzie w oczy - warta kochania, dlaczego jakiś inny w miarę porządny facet miałby zachować się inaczej?

Dokładnie tak. Będę singielką.

Zazwyczaj skręcam w prawo przy Court Street, ale ta trasa sprawia, że myślę o tym, jak jadę do pracy na Manhattan. Więc dzisiaj skręcam w lewo i idę obok Carroll Park, mijając ludzi, którzy cieszą się ostatkami letniego słońca... Aż dochodzę do Minibaru.

Gdzie Aidan lubi przychodzić na drinka.

Chyba nic się nie stanie, jeśli tu zajrzę, prawda?

(Takie zachowanie nazywa się chyba niewinnym śledzeniem.)

Minibar jest dokładnie taką knajpką, jak sugeruje jego nazwa: małą i elegancką. Są tam ściany z odkrytej cegły, blaszany sufit i drewniane drzwi. Zamawiam wódkę z lodem i siadam przy stoliku obok okna.

To miejsce jest pełne luzu, ale też wytworne. Nie stara się za bardzo zachwycić swoich gości, ale jest tu miło. Dokładnie tak jak trzeba. Nic dziwnego, że Aidan je lubi.

Wysłałam SMS do dziewczyn, by do mnie dołączyły, gdy tylko będą mogły. Odpisuje tylko Angie:

Dzień najgorszy z możliwych. PIERDOLONA SESJA Z EDAMAME. Jestem w drinku. Pijemy puby. Wpadniesz? Dzisiaj będzie ostroooo.

Oj, niedobrze, Angie kamikadze wróciła.

Nigdy nie byłam typem kogoś, kto martwi się o swoich przyjaciół, ale zaczynam się zastanawiać, czy właściwie nie jest tak, że wszyscy mamy ze sobą problemy, jakbyśmy wszyscy udawali, że jest fantastycznie, ale potajemnie przez cały czas świrowali. Szkoda że na studiach nikt nas przed tym nie ostrzegł.

Wzdycham głęboko.

- Długi dzień, skarbie? - woła do mnie barman. Jest przystojny, ale po raz pierwszy w życiu nie mam nastroju do flirtu, więc posyłam mu tylko uśmiech/grymas i gapię

się przez okno. Boże, tak miło jest siedzieć w ciszy. Po szaleńczym tempie minionych tygodni mogę wreszcie patrzeć przez okno i po prostu... być.

Jednak po kilku minutach „po prostu bycie” robi się dość nudne. Więc wyciągam *The Best of Everything* i zaczynam czytać.

Nigdy do mnie nie zadzwoni, pomyślała Barbara, więc mogę sobie o nim myśleć, co chcę. Bardzo bezpiecznie mieć fantazje. .. To tylko zauroczenie, ale tak intensywne.

Boże, czuję dokładnie to samo. Zastanawiam się, gdzie teraz jest Aidan. Gdzieś musi być. Czasami życie w Nowym Jorku wygląda jak niekończąca się wersja filmu *Igraszki losu*. Można przez lata mijać się z tymi samymi ludźmi, tymi samymi potencjalnymi przyjaciółmi lub wrogami czy kochankami. Ile razy w ciągu ostatnich tygodni byłam bliska przypadkowego spotkania z Aidanem? A co jeśli już zawsze będziemy się tylko mijali?

W tym momencie dzwoni telefon przy barze, a barman podnosi słuchawkę.

- Aidan! Stary, tak mam ją...

Aidan! Aidan, Aidan? Mój Aidan, Aidan? To znaczy, rzecz jasna on nie jest moim Aidanem, ale...

- No cóż, jeśli będziesz pozwalał swojemu psu spać w moim barze przez całą noc, to się za bardzo przyzwyczaję do tego jego głupiego gryzaka, wiesz, o co chodzi.

Słyszę piskliwy dźwięk i obracam się. Barman trzyma olbrzymią gumową kość, taką, jaką czasem psy noszą przy sobie, coś jakby psia przytulanka.

- Dobra, dobra, na pewno nikt inny jej nie weźmie. Będzie bezpieczna. Dobrego weekendu, stary.

I rozłącza się. Wymówił słowo „stary” zbyt wyraźnie, tak jak się mówi do Brytyjczyka, nabijając się z jego akcentu.

- Cześć! - słyszę czyjś okrzyk i podnoszę wzrok. To Coco. - Tu jest rewelacyjnie! Nawet nie wiedziałam, że taki bar istnieje!

- Siadaj Coco, zamówię ci drinka. Co byś chciała?

- Och! Yyy... no dobrze. Och, Boże! - Coco patrzy w menu. - Nie wiem... A ty co pijesz?

- Wódkę z lodem - odpowiadam.

Coco wykrzywia się. — Poproszę kieliszek wina. Białego. Nie, czerwonego. Nie, białego.

Podchodzę do baru, by zamówić Coco kieliszek chenin blanc.

- Czy ona ma dwadzieścia jeden lat? - pyta barman.

- Oczywiście - odpowiadam z najszerszym uśmiechem. Tak naprawdę to ma dwadzieścia, ale da sobie radę. Na litość boską, reszta cywilizowanego świata sprzedaje alkohol osiem-nastolatkom. Próbuje wymyślić jakiś sposób, by zapytać go o Aidana. I zdaję sobie sprawę, że takiego sposobu nie ma.

O cokolwiek zapytam, będę wyglądała jak stuknięty natręt. A co gorsza, pewnie powiedziałby o mnie Aidanowi. Irytuje mnie, że jestem taka charakterystyczna.

Cholera.

- Opowiedz mi wszystko o tej suce, która zerznęła twój pomysł! - mówi Coco, gdy wracam do stolika.

Tak. Myśl o pracy. Nie o Aidanie.

- No cóż, to ta zdzirowata Bianca, ta kelnerka z Bartolo's, ta, która flirtowała z Jonah na Brooklyn Flea - odpowiadam - nieważne, słyszała wszystko, co mówiłam o Zgrabnych Oponkach, a potem wzięła i skopiowała mój pomysł.

- Dlaczego to zrobiła?

Patrzę na Coco ze zdziwieniem. Dlaczego Bianca skopiowała mój pomysł? Ponieważ tak niektórzy robią. Ponieważ jest z tych ambitnych, którzy muszą za wszelką cenę zwyciężyć. Ponieważ coś we mnie ją irytowało. Kto wie? Kogo to obchodzi?

Ale zamiast tego wszystkiego tylko wzruszam ramionami.

- Porozmawiajmy o czymś innym, zanim przyjdzie Julia.

- Mam ci tyle do opowiedzenia - mówi Coco. - Pamiętasz tego SMS-a, którego wysłałyśmy do Erica? Słuchaj, odpisał, i to jak! Pokażę ci.

Analizujemy wszystkie SMS-y Erica, jeden po drugim, a ja pomagam w ich analizie, najlepiej jak potrafię. Tak naprawdę, ten facet wygląda mi na totalnego głąba, ale kim ja jestem, by go osądzać? Też przez to przechodziłam. Też pisałam podobne SMS-y.

- I jest teraz w Nowym Jorku! Dziś wieczorem! Myślę, że chce się ze mną spotkać!

Pokazuje mi najświeższą wiadomość od niego. *Rozgrzewka trwa już od trzeciej po południu. Nad miasto imprez nadciąga całkowite zaćmienie.* Uh.

- Rozegram to na spokojnie - mówi Coco. - Możesz mi pomóc zaplanować, co powiedzieć? Myślisz, że mu się podobam?

Prawie pół godziny spędzamy z Coco na planowaniu tego, co ma odpisać. Jest taka zdenerwowana, że można by pomyśleć, że nigdy nie była na randce, nigdy nie miała chłopaka, nigdy nie uprawiała seksu.

O, mój Boże. Założę się, że nigdy nie uprawiała seksu! Trwała w czystości dla tego faceta, przez jakieś... sześć lat? Nie miała chłopaka, odkąd ją poznałam, z pewnością nie jest typową imprezowiczką, nigdy nie wspominała o żadnym innym facecie...

Nie znam nikogo w moim wieku, kto nigdy nie uprawiał seksu, poza, no wiecie, nawiedzonymi pobożniami ze studiów. A większość z nich i tak pewnie to robiła po kryjomu. Jedna z nich przerwała studia, bo zaszła w ciążę (nie rozumiem - czy one myślą, że jak nie ma prezerwatywy, to tak naprawdę grzech się nie liczy?).

Patrzę na Coco z rozrzewnieniem. Odsuwa swoją blond grzywkę z oczu jak mała dziewczynka. Wygląda tak cholernie bezbronne. Mam ochotę ją chronić i pomóc jej bezboleśnie przejść przez życie. Wygląda tak, jakby kogoś takiego potrzebowała.

- Jestem pewna, że się podobasz Ericowi - odpowiadam.
- To niemożliwe, żeby nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy coś mogłoby się między wami wydarzyć. Jesteś zbyt śliczna.
- Nie! Naprawdę tak myślisz? - pyta Coco, rumieniąc się z zadowolenia. - Ja... o, jejku, wyślijmy już tego SMS-a.

W końcu ustaliśmy, że wyślemy:

Udanej zabawy. Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował jakichś wskazówek, duży chłopczyku.

Coco aż się prawie poci ze zdenerwowania podczas wysyłania tej wiadomości.

- Ręce w górę, czyj dzień był tak samo beznadziejny jak mój - słyszę jakiś głos. Podnoszę rękę i obracam się. To Julia.

- Idę po piwo. I tequillę.

- Pracowaliśmy nad jednym projektem - wyjaśnia, gdy już siedzi przy stoliku. - Przygotowałam moją jedną maleńką część i wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Ale potem poprawiłam mojego szefa przy wszystkich i - właściwie to nie jest mój szef, ma po prostu dłuższy staż w moim dziale, ale nieważne, dosłownie wrzasnął na mnie, bym, cytuję: „zamknęła się i wypierdalała”.

Coco i ja wydajemy stłumiony okrzyk zdziwienia.

- Mówisz poważnie?

- To nic - odpowiada Julia. - W moim biurze ludzie są tacy agresywni. Normalnie zabij albo zgiń, jak w pieprzonych *Hunger Games*. Niedobrze się robi. Tak naprawdę to czasami mam

- przycisza głos - biegunkę z nerwów.

- Faj — reaguję. Julia nigdy wcześniej nie była aż tak szczerą odnośnie swojej pracy. Przez większość czasu opisuje ją w jasnych barwach, na swój sposób to osobowość typu A.

Julia przeciera oczy. Mogą to robić jedynie dziewczyny, które nie używają mascary albo eyelinera. Ja, gdybym tylko dotknęła swojej twarzy, zamieniłabym się w olbrzymiego czarnego kleksa.

Jules wzdycha.

- Nie przypuszczałam, że tak będzie. Myślałam, że w końcu gdzieś się wpasuję... Ale mi się nie udało. Nigdy mi się nie udaje.

- Tobie się nie udaje? - jestem zaskoczona. Jules zawsze sprawia wrażenie tak pewnej siebie. Zawsze wszystkimi zarządza, jest taka mądra i rozkrzyczana, i przebojowa...

- Po prostu nie wyobrażam sobie, że mogłabym tak pracować przez następne czterdzieści lat - nagle Julia wygląda tak, jakby próbowała powstrzymać wybuch płaczu, a mnie ogarnia pragnienie, by i ją chronić za wszelką cenę. Zasługuje na to, by być szczęśliwą.

- Może nie narzucaj sobie planu czterdziestoletniego. Pomyśl o celach krótkoterminowych - sugeruję, próbując być rozsądną i pomocną, tak jak ona byłaby wobec mnie.

- Na przykład od dziś do Bożego Narodzenia.

- Ale ja działałam według długoterminowych planów. Osiągnęłam swój pierwszy długoterminowy cel - pracę w banku

- ale nie czuję się tak, jak się spodziewałam.

Przerywa na chwilę i czeka tak, że w powietrzu czuć zapach piwa.

- Nie czuję... nie czuję... się sobą.

- Może po prostu wyluzuj i próbuj się tym wszystkim cieszyć

- proponuję. - Mamy cieszyć się życiem, bo jeśli nie, to po co to wszystko?

- Powiedziała prawdziwa hedonistka - odpowiada Julia, przewracając oczami. Auć, cholera, rzeczywiście pracowałam ostatnio naprawdę ciężko.

- No cóż, nie musisz przecież być bankierem - zauważam. - Na świecie są jeszcze inne możliwości.

- No tak, może zrezygnuję. Wrócę na studia, zrobię MBA albo zacznę podróżować, albo coś - odpowiada.

- Co? - jestem zszokowana. Myśl o tym, że Julia miałaby opuścić Rookhaven, wydaje się być niedorzeczna.

A Coco wygląda tak jak dziecko, które właśnie się dowiedziało, że Święty Mikołaj nie istnieje.

- I znów byś mnie zostawiła? Było wystarczająco źle, gdy wyjechałaś na studia.

- Nie! Oczywiście, że nie! - mówi Julia pospiesznie. - A w pracy jest świetnie, naprawdę, to znaczy jest rewelacyjnie, to absolutnie praca moich marzeń.

Uśmiecha się do nas szeroko.

- Właśnie tego zawsze chciałam. Muszę tylko przetrwać ten pierwszy rok, a potem będzie o wiele łatwiej. I pieniądze są świetne, a jeszcze do tego premia, jest nieźle, prawda?

Nie patrząc na nas, bierze duży łyk piwa.

- Myślę, że my wszystkie po prostu musimy starać się z całych sił — mówię. — Jesteśmy wszystkie na tym samym etapie. Wszystkie zaczynamy.

- Napijmy się - mówi Julia, stawiając z hukiem swoją pustą butelkę po piwie. - A ja mam żarcie od zdziry.

Dziesięć minut później jesteśmy w połowie jedzenia artykułów od „Wsuń To Ciacho”. Sałatki nie są zbyt dobre

- jedna z kurczakiem, jedna z tuńczykiem, zwyczajne warzywa i zbrązowiała nieświeża sałata - ale jej ciasta są wybitne.

- Cholera, są dobre - jęczę, przeżuując kolejny kęs ciasta z białą czekoladą.

- O kurka. To nie są ciasta niskotłuszczowe ani o niskiej zawartości cukru - mówi Coco, żując ciastko owsiane.

- Wierzcie mi. Wiem, co mówię. Serce bije mi tak szybko tylko wtedy, gdy jem dużo cukru.

- Wiem, ja też dosłownie wyczuwam tu masło i śmietanę

- Julia zajada jednocześnie ciasto limonkowe i czerwone ciastko z kremem.

- Jak możemy to sprawdzić? - z obrzydzeniem rzucam moje absolutnie przepyszne ciasto z białą czekoladą i masłem orzechowym na talerz, a potem podnoszę je znowu i biorę kolejnego kęsa.

- A czy na chemii nie przeprowadzałyście kiedyś jakiegoś eksperymentu z tłuszczem i węglowodanami? — mówi Julia z ekscytacją w głosie. - Coś z palnikiem Bunsena i - och...

Wszystkie siadamy znów przygnębione. Przecież w życiu nie znajdziemy nigdzie palnika Bunsena. Czas na kolejną rundkę tequilli.

- Myślałam, że ty nie pijesz shotów - mówię do Julii. - Myślałam, że to przez nie ta parapetowa wymusnęła się tak bardzo spod kontroli.

- No tak, cóż, może mam już dość kontrolowania wszystkiego.

Sól, tequilla, cytryna.

- Madeleine ma dziś trzy randki - dodaje Julia.

- Co takiego? - mówimy z Coco jednocześnie.

- Zdecydowała, że już czas mieć chłopaka, więc zalogowała się na portalu randkowym. Umówiła się z nimi na superszybkie czterdziestopięciominutowe randki przy drinku, po pracy dziś wieczorem, jeden, drugi, trzeci, jak domino - Julia milknie. - Cholera, nie mówcie, że wam mówiłam. To chyba jest sekret.

- Jezus, ta to dopiero jest zorganizowana - mówię. - Dlaczego po prostu nie zrobi tego co my na studiach: czyli upije się w barze i zobaczy, co będzie?

- Nigdy tego nie robiła - przypomina mi Julia. - Chodziła z Sebastianem i to wszystko.

- A, tak - Sebastian. Student matematyki. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek słyszała, jak coś mówi.

Zamawiam następną kolejkę, a Julia idzie do łazienki. Coco nadal patrzy obsesyjnie na swój telefon, więc wyglądam przez okno, zastanawiając się, gdzie jest Aidan i dlaczego tak się nim zauroczyłam, że aż tak często o nim myślę, tyle dni po naszym spotkaniu...

I wtedy dostaję SMS od Angie.

Właśnie widziałam Eddiego w Brinkley's. Czy to nie zajebicie dziwne?

Mrugam kilkakrotnie. Czy dobrze przeczytałam? Eddie? Może się włączyła autokorekta w komórce i chodzi o kogoś innego?

Odpisuję: *Eddiego? Mojego Eddiego?*

Angie pisze: *Pana Wszystkowiedzącego we własnej osobie.*

Odpowiadam: *Jesteś pewna ?*

Angie odpisuje: *Kochana, byliśmy kiedyś wszyscy na nartach, pamiętasz? Więc wiem, jak wygląda Twój były.*

Rozdział 13

- Idę na papierosa — mówię do Coco i wybiegam na zewnątrz.

Opieram się o ścianę, próbując oddychać i myśleć jednocześnie. Nie powinno to być trudne, ale jest. Eddie tutaj? W Nowym Jorku? Spaceruje tymi samymi ulicami co ja? Jakaś część mnie chce odpisać Angie: - Czy pytał o mnie? Jak wyglądał? W co był ubrany? Czy był z jakąś dziewczyną? W co ona była ubrana? I milion podobnych pytań.

Ale jednocześnie nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę wiedzieć

o niczym, co sprawiłoby, że przestałby należeć do przeszłości

i znów stałby się częścią mojej teraźniejszości. Zaraz, a może chcę... Nie, nie, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Złamał mi serce. Ufałam mu, kochałam go i była to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

W chwilę później otrzymuję kolejnego SMS-a. Dzięki Bogu, Angie potrafi czytać w moich myślach:

Nie rozmawialiśmy. Było tylko „cześć”. On wchodził, ja wychodziłam. .. Wygląda tak jak zawsze. Był sam.

To takie zdumiewające, że on istnieje, absurdalne, że przez cztery minione lata chodził tu i tam, jadł śniadanie, studiował i normalnie żył, podczas gdy ja przez cały czas go opłakiwałam. Czyż to nie dziwne?

Wkładam do ust papierosa i zapalam go drżącymi rękoma. Dlaczego tak mocno wali mi serce? Jak to możliwe, że sam fakt usłyszenia o Eddie'm nadal robi na mnie takie wrażenie?

Kolejny SMS od Angie: *Stara, jesteś tam? Może nie powinnam była ci mówić? Chcesz się ze mną spotkać?*

Cholera, lepiej odpowiem. Muszę sprawić, żeby myślała, że ze mną wszystko dobrze. Zachowywać się naturalnie.

Tak, nief oczywiście, dzięki, że mi powiedziałaś, jaki ten świat mały! Pogadamy jutro!

Taa. Bardzo naturalnie.

Gaszę papierosa i wracam do baru. Julia zamawia kolejne shoty. Tak. Alkohol. Tego mi trzeba.

- Więcej shotów! - krzyczę. - I whisky!

To dobrze, że Julia i Coco nie wiedzą nic o Eddie'm, ponieważ nie chce mi się wyjaśniać, dlaczego tyle lat później, na wieść o tym, że jest w Nowym Jorku, doznaję czegoś na kształt załamania nerwowego.

Zamiast tego, wolę mówić o tym, dlaczego miłość jest do dupy.

- Nie ma sensu - mówię, wypijając moją trzecią whisky. - Żadnego sensu. Albo ty go rzucisz, albo on ciebie.

- Co nie ma sensu? — pyta Julia z delikatną czkawką. — I kto rzuci kogo?

- Mężczyźni, miłość, związek - odpowiadam. — Lepiej być singlem i mieć tylko, no wiecie, rumpla do chuchania. To znaczy kumpla do ruchania.

Julia śmieje się tak bardzo z „rumpla do chuchania”, że nieomal spada z krzesła.

-A właśnie, że miłość istnieje! Bratnie dusze! - mówi Coco, niepokieszona, że w ogóle ośmieliłam się coś takiego powiedzieć.

Kręcę głową.

- Bratnie dusze to mit. Miłość to tylko hormony i odpowiedni moment.

Rozglądam się. Bar jest pełen pięknych młodych ludzi z Brooklynu dopiero rozpoczynających wieczór, a ja jestem głodna.

- Jeść - mówię, ponieważ wypowiedzenie pełnego zdania nagle stało się dość trudne. - Coś jeść.

Julia robi wymach pięścią w powietrze. - Taa! Gdzie?

- U Bartolo's! - mówię rozpromieniona na samą myśl. Hurra! Śliczna knajpka Bartolo's ze ślicznym, uroczym Jonah. Jak dobrze, że jesteśmy tylko kumplami. Nigdy już nie będę miała żadnego chłopaka. I zamierzam przestać myśleć o tym głupim Eddie'm i w ogóle o głupim Aidanie, i zamierzam natychmiast o nich zapomnieć. Miłość jest do dupy. O!

Wytaczamy się z baru na Court Street. Wszystko jest trochę niewyraźne i przyjazne, a ja ciągle potykam się o własne stopy.

Trzymając się za ręce z Julią i Coco, wskakuję do Bartolo's prosto do baru, gdzie Jonah, uroczy pszczelarz Jonah, otwiera właśnie butelkę wina. Jestem zachwycona, że go widzę.

- Jonah! - mówię, doskakując do baru z łomotem. - Jak tam się miewasz mój mały kowboju? Masz super włosy. Powiedz szczerze: robisz sobie pasemka?

- Mała, czy ty piłaś? - pyta Jonah ze śmiechem. Przedstawiam mu dziewczyny. Coco przybija mu piątkę,

Julia pochyla się, by go pocałować w oba policzki i wtedy zauważam, że są nieźle wstawione. Czy ja też?

- Jesteśmy tylko bardzo głodne - mówię bibliotecznym szeptem, widząc jak obok nas ktoś niesie tacę z serową lasa-gną. - A czy zdzira nadal tu czasem pracuje? To znaczy Bianca?

- Nie, zrezygnowała - mówi Jonah wyglądający na zdziwionego tym, że nazwałam Biancę zdzirą.

-A, wiesz co? Otwieram własną firmę! Będę opiekunem pszczół! Jest teraz tak wiele osób, które hodują pszczoły w mieście, wiesz? Ale nie zawsze mają czas czy wiedzę o tym, jak się nimi opiekować. Więc będę takim facetem od pszczół.

- Zaklinaczem pszczół - mówię.

- Tak! Zaklinaczem pszczół! Świetna nazwa! Ty jesteś w tym dobra, czy możesz mi udzielić kilku rad, jak zacząć?

- Oczywiście! - odpowiadam, chociaż tak naprawdę, czy nie wystarczy zwykły zdrowy rozsądek? Trzeba znaleźć klientów, dać im to, czego chcą, i zarabiać kasę. - Zawsze do usług!

Nagle dostaję czkawki i szybko zatykam uszy palcami i zaczynam przełykać (przysięgam, to działa). Julia to widzi i śmieje się bez opamiętania.

- Hej, a może was zaprowadzę do kuchni? Vinnie i Ricky się wami zajmą.

- Jest dokładnie tak jak w *Chłopakach z ferajny* — mówi Julia.

- Czy możemy dostać coś bezalkoholowego do picia? - mówi Coco. - Nie czuję się za dobrze.

- Po prostu musisz coś zjeść - mówię do niej. - Moi chłopcy! Vincent! Richard!

Vinnie i Ricky są zaskakująco uradowani na nasz widok, ale może co wieczór nawiedzają ich pijani goście. Siadamy przy maleńkim stoliku w rogu, a przed nami pojawiają się małe talerzyki degustacyjne: frytki z cukinii, rollatini z bakłażana, bułeczki czosnkowe, sałatka z mozzarellą, kurczak z makaronem, spaghetti carbonara, zapiekany makaron ziti, makaron linguine w białym sosie z małży, maleńkie pizze wszelkiego rodzaju... Każdy kęs jest przepyszny, a my pałaszujemy i wcinamy z pijackim zachwytem.

- Nauczę się tak gotować, przysięgam - mówi Coco.

- To takie dobre - mówię, mając w ustach kawałek pizzy ze szpinakiem i ricottą. - Takie dobre.

Gdy zaczęłam jeść, nagle wytrzeźwiałam. Ciekawe, że tak się czasami dzieje. Nadal nie mogę uwierzyć, że Angie widziała Eddiego. Zastanawiam się, gdzie mieszka i co robi... Nie, nie, pomyśl o czymś innym.

- Kobieta nie może żyć samymi sałatkami - mówi Julia. - Możesz to powiedzieć swojej ciężarówce.

- To, co mówisz, jest bez sensu. I ja nigdy nie mówiłam, że trzeba jeść tylko sałatki. Zgrabne Oponki są po to, by zachować równowagę. Pamiętasz? Równowagę.

- Tak, tak, równowaga, ciągle mi to mówisz. Czy mogę dostać jeszcze trochę tych czosnkowych... Jak im tam?

Obracam się do Vinniego i Ricky'ego, którzy ciężko pracują, krojąc, grillując i wydając zamówienia.

- Chłopaki, założyłam firmę z obwoźnym barem.

- Naprawdę? A jakim barem?

- Sałatki z mnóstwem białka i niskocukrowe, niskotłuszczowe desery...

Ricky i Vinnie patrzą na mnie, nie rozumiejąc, co mówię. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie użyli słów takich jak „nisko-cukrowy” czy „niskotłuszczowy”.

- Nieważne, pamiętacie zdi... To znaczy Biancę? Całkowicie skopiowała mój pomysł! Sprzedaje sałatki i niskotłuszczowe ciasta na całym Manhattanie w takiej wielkiej błyszczącej ciężarówce, która wygląda jak Darth Vader!

Vinnie i Ricky patrzą na siebie porozumiewawczo.

- Tej Biance nie można ufać — mówi Vinnie. - Myliła zamówienia i zawsze zrzucała winę na kucharzy.

- Zdzira! - czka Julia. Ricky podchodzi do mnie.

- Więc przyrządzasz te wszystkie sałatki, codziennie, zupełnie sama? I pieczesz sama? To dużo pracy, Pia!

- Coco mi pomogła przy wypiekach - mówię. Coco uśmiecha się z dumą. - To ciężka praca. Mam absolutny szacunek dla prawdziwych kucharzy takich jak wy.

Trzepoczę rzęsami, patrząc w ich kierunku, a Vinnie rzuca we mnie kawałkiem kielbasy pepperoni.

Ricky wskazuje na tekturowe pudło stojące w rogu.

- Rzuć okiem. Mieliśmy wyrzucić nasz duży malakser i starą maszynkę do krojenia wędlin. Możesz jej użyć do krojenia warzyw na bardzo cienkie plasterki.

- O, rany, naprawdę? - Ja nie mogę, mogłabym podwoić ilość deserów i kroić marchew, rzodkiewkę i seler na cieniuteńkie kawałki! - Naprawdę już ich nie potrzebujecie?

- Po prostu je weź - mówi Vinnie. -1 jeszcze jedno, Pia, jeśli kupujesz mięso i warzywa w sklepie, to bardzo przepłacasz.

- Tak, absolutnie - zgadza się Ricky. - Zrobimy tak, że będziemy zamawiać też dla ciebie. Płacimy jakąś połowę tego co zwykli klienci. Wysyłaj nam tylko przed czwartą po południu w SMS-ie, co chcesz, i odbieraj wszystko rano.

- Byłoby rewelacyjnie! - odpowiadam. Szybko zapisuję ich numery w komórce. - A czy Angelo nie będzie się sprzeciwiał?

Wzruszają ramionami.

- Nie powinien był cię zwolnić. Nie gadamy z nim. Ooo. Przepychanki w Bartolo's.

Julia rozsiada się wygodnie w krześle, opiera głowę o ścianę i trawi.

- O rany, to było... Najintensywniejsze doświadczenie smakowe w moim życiu.

- O Boże! — piszczy Coco, prawie spadając z krzesła. - Napisał do mnie! Erie! Chce się ze mną spotkać! Muszę lecieć! Muszę dojechać do...

Patrzy na telefon, mruży jedno oko. - Jest na domówce przy Windsor Court na rogu Thirty-first i Third.

- O, to Murray Hill - mówię. - Chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Nie, nie, poradzę sobie, pojedę pociągiem — mówi. - Jestem dorosła... - Beka jak kierowca tira, potem zasłania usta, chichocząc z zaskoczenia.

- Pia, zgadnij, kto przyszedł! - mówi Jonah, wchodząc korytarzem.

Jasna cholera, to Bianca, ta do połowy wygolona mieszanka hipstera z pankową. Wchodzi wolnym krokiem do kuchni w Bartolo's, jakby była jej właścicielką. Jestem tak zaskoczona, że nie mogę z siebie wydobyć słowa.

- Cześć wam - mówi od niechcienia, podczas gdy Jonah, który wygląda na niebotycznie zadowolonego z siebie (czy naprawdę jest aż tak naiwny?), wraca do baru.

- Widziałam dziś twój bar na kółkach - dukam w końcu.

- Dzięki - mówi, biorąc kawałek pizzy z talerzyka degustacyjnego i wacha go.

Nagle wybucham gniewem.

- Jak śmiesz kraść mój pomysł? I jak śmiesz stać tutaj, jakbyś nie miała się, czego wstydzić, po tym jak przejechałaś obok mnie dziś po południu? Jesteś zwyczajną, zwyczajną... Sciągara!

- Sciągara? - powtarza Bianca, śmiejąc się. - A co to jest, podstawówka? A myślisz, że co dokładnie zrobiłam, księżniczko?

- Wpadłaś pod kosiarkę? - mówi Julia pod nosem.

- Nie udawaj niewiniątka! Wiesz dobrze, co zrobiłaś! - prawdopodobnie wyglądam i brzmię w tej chwili bardzo podobnie do mojej matki. - Zerznęłaś cały mój pomysł.

- Od dawna o tym myślałam, Pia. Dania niskokaloryczne? O niskiej zawartości cukru? To jest to, czego teraz chce społeczeństwo!

- Pierdol się! - od tej chwili nienawidzę każdego, kto używa słowa „społeczeństwo”.

- Twoje desery są pełne tłuszczu i cukru - głos Coco drży ze zdenerwowania. - Mogę to udowodnić.

Bianca obraca oczami. - Chciałabym to zobaczyć, słoneczko. Vinnie, Ricky, potrzebuję waszej pomocy. Czy możecie dodać dzienne zapotrzebowanie mojej ciężarówki do zamówienia restauracji, bym nie musiała przepłacać za składniki?

Vinnie i Ricky kręcą smutno głowami.

- To wbrew przepisom - mówi Vinnie.

- Nie da się tego obejść, skarbie - zgadza się Ricky.

- Ojejku, tak mi przykro — mówię, śmiejąc się najzłośliwiej, jak potrafię.

- Zamknij się, ty bękarcie - mówi, w końcu tracąc panowanie.
- Uważasz, że jestem bękartem? - podnoszę głos. - Gdy z tobą skończę, będziesz żałowała, że mnie kiedykolwiek spotkałaś!
- Grozisz mi?
- Ostrzegam cię!
Teraz jui obie krzyczymy.
-Wracaj do swoich bogatych starych! To nie jest twoje miejsce!
- To jest moje miejsce! To mój dom! Wbiega Jonah z osłupiałym wyrazem twarzy.
- Co tu się u diabła dzieje? Słysząc was w całej restauracji!
- To jakaś pieprzona wariatka, Dżej - mówi Bianca, udając niewinną. - Zupełnie jej odbiło.
- Załóż swojej suce kaganiec - odburkuję.
Bianca odwraca się i, przysięgam na Boga, ma zamiar mnie uderzyć, ale Jonah chwytą ją za obie ręce i wyprowadza z kuchni.
O rany! Ale mi skoczyła adrenalina.
- Zabiję ją! - krzyczę.
- To było super! - mówi Ricky. Razem z Vinnie'm wydają się być zachwyceni tą wieczorną awanturą. - Suka, której trzeba założyć kaganiec! Ha! Genialne.
- Ale lepiej stąd idźcie, zanim wróci Angelo — mówi Vinnie. Wymykamy się tylnym wejściem do alejki za restauracją. Zapalam papierosa. Ostatnio nie paliłam, głównie dlatego że nie chcę, by było ode mnie czuć dym, gdy pracuję. No i chodzą też plotki, że palenie jest niezdrowe. Ale papieros po takiej kłótni jest czymś przyjemnym.
Rany. Bianca. O co jej w ogóle chodzi?
- O mój Boże! Tak się denerwuję tym spotkaniem z Erickiem! - szepcze Coco, idąc obok mnie. - Zobacz, jakie mam spocone dłonie!

- Dasz sobie świetnie radę! Po prostu bądź sobą.

- A co jeśli to nie wystarczy? Czy nie masz tak czasem, że chciałabyś być kimś innym? Boże, ja tak mam...

Coco idzie w kierunku stacji metra.

- Coco, dlaczego nie weźmiesz taksówki? To bezpieczniejsze.

- Ja, yyy, oj, nie wzięłam ze sobą wystarczająco dużo gotówki - nagle Coco wydaje się niesamowicie młoda. Wobec nikogo nie czułam takiego troskliwego wzruszenia jak wobec niej teraz. Oby ten facet okazał się miły.

- Taksówką będzie o wiele łatwiej, skarbie - mówię, wciskając jej do ręki pięćdziesiąt dolarów. - Wystarczy ci też na powrót do domu. Zadzwoń do mnie, jeśli się zgubisz albo coś, dobrze? Pamiętaj, baw się dobrze, uważaj na siebie i... Tak, yyy, to tyle - nie jestem najlepsza w robieniu matczynych wykładów.

- Gdzie ona jedzie? - pyta Julia zaskoczonym tonem. - Kwiatuszku? Gdzie jedziesz?

- Jedzie się spotkać ze znajomymi, a ty i ja idziemy spać - mówię, prowadząc ją żabim marszem wzdłuż Smith Street.

- Nie chcę iść do szkoły w poniedziałek - mówi niewyraźnie.

- Czyli że do pracy — odpowiadam.

- Bez różnicy. Może poza tym, że szkołę uwielbiałam, a pracy nienawidzę. Zaraz skończę dwadzieścia trzy lata, Pia. Dwadzieścia trzy! Jestem stara!

- Wcale nie! Dopiero zaczynasz swoje życie!

- Mam dość zaczynania swojego życia. Tęsknię za studiami. Nie chcesz czasem wrócić do tamtych czasów?

Nie ma mowy, myślę sobie. Uwielbiam swoje obecne życie. Uwielbiam przekraczać próg Rookhaven, mam wtedy to przyjemne poczucie bezpieczeństwa i wygody, którego nigdy wcześniej nie doświadczałam w żadnym z miejsc, w których miesz-

kałam. Uwielbiam to, że przez cały czas otaczają mnie moje najlepsze przyjaciółki. I uwielbiam jeździć Toto i rozmawiać codziennie z nowymi ludźmi, i rozmyślać nad tym, jak uatrakcyjnić ofertę Zgrabnych Oponek. Pasuje mi to wszystko. A życie nigdy wcześniej mi nie pasowało.

Ale nie mówię jej tego, ponieważ kontrast pomiędzy nastawieniem moim a jej mógłby ją zdenerwować.

- Studia były nudne - odpowiadam. - Pamiętasz te prysznicze? A to jedzenie? No co ty. Pełnoletnie, to znaczy dorosłe życie jest o wiele lepsze.

Julia mamrocze coś niezrozumiałego, potykając się o małe pęknięcie w chodniku. -Co?

- Niech mnie dorosłe życie pocałuje w mój tyłek w kształcie serca.

- Kto ci powiedział, że masz tyłek w kształcie serca?

Nie przestaję się śmiać, gdy przechodzimy obok Brooklyn Social i wtedy nagle sobie coś przypominam. Mike!

Sprawdzam telefon. Cztery nieodebrane połączenia od niego o ósmej wieczorem... Jest w pół do jedenastej.

- Cholera - mówię. Idę dalej, jedną ręką podtrzymując Julię i wybieram jego numer. Odbiera dopiero po siódmym sygnale.

- Halo?

- O rany! Mike? Halo?

- Czekałem godzinę - mówi w końcu. Jego głos brzmi tak, jakby był bardzo oddalony, jakby prawie nie mógł znieść rozmowy przez telefon.

- O Boże, bardzo cię przepraszam.

- Miałem kosz pełen jajek. Wyglądałem jak pieprzony królik wielkanocny.

Wybucham śmiechem i zaraz zdaję sobie sprawę, że jest naprawdę wkurzony. Nie lubi wyglądać głupio.

- Mike, przepraszam. Zupełnie zapomniałam. Byłam z Julią i Coco, a potem poszliśmy coś zjeść i po prostu... Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Wybaczysz mi?

Cisza.

- Jesteś nadal na mieście?

- Nie. Wracamy do Rookhaven - przerywam, gdy Julia upuszcza torebkę, chwije się, by ją podnieść i upada na ziemię. — Julia jest nawalona.

- Chcesz, bym przyjechał?

- O, Chryste, nie - mówię bez zastanowienia, wkładając telefon między ramię i ucho i jednocześnie, próbując podnieść Julię. - To znaczy, yy, ja po prostu... Jestem naprawdę zmęczona. Przepraszam. Może...

- Nie ma problemu - przerywa mi. - Muszę lecieć. Cześć. I tak po prostu się rozłącza.

Nieważne. Nie będę traciła więcej czasu na myślenie o nim. Julia właśnie udaje, że biegnie w górę Union Street.

- Jules, jesteś cholerną pijaczką.

- Sama jesteś pijaczką - mówi.

- Nareszcie w domu.

Gdy dochodzimy do naszych schodów, Julia patrzy na mnie błagalnym spojrzeniem.

- Powiedz mi, że wszystko się ułoży.

- Wszystko się ułoży — mówię, kładąc obie dłonie na jej ramionach. - Obiecuję. W taki czy inny sposób.

Chciałabym w to wierzyć.

Julia patrzy na mnie pijanym wzrokiem, potem wchodzi po schodach.

- Pia, jeszcze jedna ostatnia rzecz o tej Biance - mówi, przechylając głowę w bok.

- Co takiego, skarbie? - pytam, pomagając jej wejść po schodach.

- Zniszczmy sukę.

Rozdział 14

Po wczorajszym starciu w kuchni restauracji Bartolo's obserwuję konta Bianci na Twitterze i na Facebooku. *Oryginalne i najlepsze! Ciągłe powtarza. Ręce do góry: kto nienawidzi Zgrabnych Oponek! Zgrabne Oponki to zdzierstwo! Spróbujcie mojego prawdziwego jedzenia, które smakuje świetnie, choć jest niskokaloryczne!* I tak dalej. Cały dzień byłam wściekła, ale potem zdałam sobie sprawę, że Julia ma rację.

Zemsta, tak jak wódka, najlepiej smakuje na zimno. Więc dziś po południu zadzwoniłam do Jonah pod pretekstem przeprosin.

— Czuję się naprawdę źle po tej kłótni z Biancą — kłamię. - Czy możesz mi podać jej adres? Chciałabym ją przeprosić.

- Jak to miło z twojej strony, Biance będzie przyjemnie - odpowiada Jonah. Powstrzymuję się, by nie parsknąć z niedowierzaniem. Jak to możliwe, że on jej jeszcze nie przejrzał? A może jest jednym z tych denerwujących ludzi, którzy lubią wszystkich?

Teraz siedzimy razem w kuchni, ubrane na czarno i mamy zaraz rozpocząć Operację Dorwać Zdzirę.

Wyglądamy jak kobiety ninja. A dokładniej, jak kobiety ninja o różnych poziomach fizycznej sprawności i entuzjazmu.

Julia leży na podłodze, narzeka, że czuje się wzdęta, a dla kamuflażu maluje sobie na twarzy czarne poprzeczne linie pastą do butów. Coco myje tacę po makaronie z serem, który przyrządziła na obiad. Madeleine bardzo powoli kroi i je gruszkę. A Angie ma kaca i okulary słoneczne na nosie. Nie pytałam ją o Eddiego dzięki nadludzkiej sile samokontroli, o której posiadanie wcześniej się nie podejrzewałam.

- No dobrze ekipo, powtórzmy jeszcze raz nasz plan - mówię.

- Wiemy, co mamy robić! Jezu, od kiedy tak lubisz wszystkimi dyrygować? - mówi Julia, próbując zasunąć zamek od spodni. - Ale mam wody w organizmie. I chyba moje dzinsy się kurczą. I moje staniki.

Coco uśmiecha się do mnie szeroko.

- Jestem taka podekscytowana! Boję się! Ale też cieszę na to wszystko!

Oczywiście, Coco byłaby podekscytowana nawet, gdybym powiedziała, że idziemy utopić małe kotki. Ponoć Erie był wczoraj pijany jak świnia, ale „tak bardzo, bardzo miły”, a pod koniec wieczoru odprowadził ją do taksówki i pocałował na do widzenia w usta. Coco interpretuje to tak, że już jeden niewielki krok dzieli ją od wyznania miłości i oświadczyn.

- Ja też - mówi Madeleine, mrużąc oczy i w skupieniu krojąc kolejny kawałek gruszki.

- Ja jestem gotowa - ton Angie sugeruje, że jest inaczej.

- Macie prawdziwie pokerowe twarze - mówię do nich. - No to zaczynamy.

Wychodzimy z Rookhaven wszystkie razem. Na przedzie ja i Angie. Angie proponuje mi papierosa, ale jestem zbyt podekscytowana, żeby palić. Sama zapala swojego, a potem trzyma go między kciukiem i palcem wskazującym, tak jak to robią więźniowie.

- Czy wyglądam na twardzielkę? Próbuję tak wyglądać. Julia śpiewa.

- *Spadaj stąd, suko, i nie warz się tu wracać, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy...*

- Jestem pewna, że tam jest „Jack”, a nie „suka” - mówi Madeleine.

- Improvizuję.

- Zaczynam się denerwować! - mówi Madeleine, podbiegając w podskokach do nas i przeplatając swoje ramiona z naszymi. O rany, ostatnio robi się naprawdę wrażliwa.

Gdy zbliżamy się do Gowanus, eleganckie, przytulne kamienice Carroll Gardens znikają, a budynki dookoła wyglądają na podupadłe. Widać pozamykane witryny sklepowe, znaki drogowe z łuszczącą się farbą i niekończący się wiadukt pokryty graffiti.

- Gdyby to był film, właśnie tu by nas zamordowano - mówi Julia.

Angie marszczy brwi.

- Chyba byłam tutaj raz w jakimś klubie.

Przy następnym bloku Drużyna A (Coco, Julia i ja) zatrzymuje się i skręca w prawo. Drużyna B (Angie i Madeleine) idzie dalej do kolejnego bloku.

Drużyna A podchodzi pod budynek numer 144, w którym mieszka Bianca, krokiem najniewinniejszym z możliwych, mówiącym wręcz: „Kto, ja? Panie oficerze!”, jest to niebieski dom z desek stojący w głębi ulicy. Ciężarówka z barem „Wsun’ To Ciacho” stoi zaparkowana przed domem. Wszystkie światła pod numerem 144 są wygaszone, ale to nie znaczy, że Bianci nie ma w domu.

Nagle serce podchodzi mi do gardła.

Wysyłam SMS do Drużyny B:

Teren sprawdzony, ostrożnie przystępujcie do działania.

Ulica jest całkowicie opuszczona, a jedyny dźwięk, jaki słyhać, to szczekanie jakiegoś psa kilka bloków dalej. Idę tak wolno i cicho, jak tylko mogę. Jak prawdziwa kobieta ninja.

Podnoszę dłoń i wykonuję dwoma palcami ruch oznaczający sygnał „naprzód”, tak jak to widziałam na filmach akcji. Julia parska i trzęsie się od powstrzymanego śmiechu.

- Cicho! - syczę. - Idziemy. Coco, stój na czatach.

Julia ściąga swój plecak, wyciąga farby w sprayu i przeprowadzamy ostatni etap Operacji Dorwać Zdzirę. Julia znowu zaczyna chichotać.

- Julio Rusotti! - szepczę. - Zamknij się do diabła! Dostała prawdziwego ataku śmiechu.

- Nic na to nie poradzę! To takie śmieszne!

- Julia. Cicho bądź. Już! - Coco potrafi mówić ostro nawet szeptem. Nieźle. Pewnie uczą tego rodzaju szeptu wszystkich nauczycieli.

Kończymy w ciągu kilku minut i rozdzielamy się na rogu Third Avenue.

Wysyłam SMS do Madeleine i Angie: *Drużyna A zakończyła zadanie. Drużyno B, potwierdź swój status.*

Brak odpowiedzi. Coco, Julia i ja patrzymy na siebie z niepokojem.

Odczekuję sześćdziesiąt bardzo długich sekund i znowu wysyłam SMS: *Drużyno B. Potwierdź swój status, natychmiast.* Nic.

- Złapali je! - szepcze Julia.

- Nie ma mowy, są na to za sprytne - odpowiada Coco jeszcze cichszym szeptem.

- Nie musicie szeptać dziewczyny, jesteśmy sto dwadzieścia metrów od jej cholernego domu.

Wysyłam SMS ostatni raz: *Potwierdźcie swój status albo po was idziemy.*

Czekamy przez kolejną minutę, a potem znowu patrzymy na siebie. Czy można zostać aresztowanym za chodzenie wokół podwórka w stroju ninja? Instynkt podpowiada, że tak.

- Julia, zostań tutaj i obserwuj - mówię. - My z Coco pójdziemy je znaleźć.

- Nie chcę tu zostać sama! - mówi Julia. - To miejsce mnie przeraża.
I wtedy słyszę krzyk.

- Szybko! Szybko!

Ułamek sekundy później Madeleine i Angie wyłaniają się z ciemności, pędząc w naszym kierunku.

- Uciekamy! - krzyczę.

Biegnę na czele i słyszę, jak dziewczyny biegną za mną, dysząc i chichocząc jednocześnie.

- To jest jakiś absurd - słyszę dyszącą Angie. Potem słyszę syrenę policji.

- Gliny! — krzyczy Julia.

Przyspieszam, biegnąc najszybciej jak mogę przez ulice Brooklynu, dziewczyny biegną tuż za mną.

- Skręć w lewo! Doganiają nas! - krzyczy Angie, a my piszczymy ze strachu.

Skręcam w lewo, moje ramiona przecinają powietrze, chodnik znika pod moimi stopami. Biegnę tak szybko, że słyszę, jak wiatr świszczę mi tuż obok uszu, dziewczyny są tuż za mną, nasze stopy uderzają w chodnik w tym samym rytmie, gdy skręcamy w Second Avenue. Wpadam teraz we właściwy rytm, czuję się tak rewelacyjnie i pełna sił, nigdy w życiu nie biegłam tak szybko. To jest niesamowite! Będę biegała częściej, zapiszę się na jogging i...

- To ślepy zaułek! - krzyczy Madeleine. - Biegniesz w ślepy zaułek!

Ma rację. To jest ślepy zaułek. Wybucham niepohamowanym śmiechem i zaraz potem upadam na ziemię. Potem Julia potyka się o mnie i wszystkie wpadamy na siebie, bum-bum-bum, jak w nagłym korku na autostradzie.

- Ou - mówię, śmiejąc się tak bardzo, że boli mnie brzuch. - Chyba otarłam sobie łokieć.

- O mój Boże, ale było blisko - mówi Madeleine. - Czulałam, jak samochód policji do nas podjeżdża.

- Nie sędzę, by to nas goniła policja, głuptasku - mówi Angie.
- Bolał mnie kolana, to chyba przez moją starą kontuzję, której nabawiłam się, grając w nogę - mówi Julia. - Gdyby nie to, mogłabym bez problemu dobiec aż do domu.

Teraz, gdy już przestałam biec i się śmiać, czuję, jakbym miała zaraz wypluć płuca. Cofam to, co mówiłam o joggingu. Łapie mnie skurcz. Płonie mi twarz. Naprawdę muszę rzucić palenie.

Coco w końcu łapie oddech.

- Co się stało?! Dlaczego biegłyście?

- Wspięliśmy się na garaż i weszliśmy na podwórko, tak jak planowałyśmy z Google Maps - mówi Angie.

Potakuję głową z aprobatą.

- Potem wdrapałyśmy się na ogrodzenie i zobaczyłyśmy światło na trzecim piętrze - dodaje Madeleine.

- Więc wspięliśmy się na pierwsze piętro, przesunęliśmy jakieś meble, wspięliśmy się na balkon na drugim piętrze, a potem stałam na ramionach Madeleine, by zobaczyć przez okno, co się dzieje.

Madeleine potakuje, z zakłopotaniem pocierając swoje prawe ramię. - Zagrałyśmy w kamień-papier-nożyczki, by zdecydować, kto ma na kim stać. Ja przegrałam.

-I?

- I... Bianca właśnie piekła. Ale te wypieki nie są niskokaloryczne.

- Mam zdjęcia olbrzymich wiader z olejem i syropem kukurydzianym, i jajkami w proszku! - mówi Angie.

- Hurra! - wołamy wszystkie radośnie. Julia przybija sobie piątkę.

- Chcecie usłyszeć coś jeszcze lepszego? Używa zwykłego niemarkowego dodatku do ciast! Żadna z tych rzeczy nie jest ani autorska, ani lokalna, ani ekologiczna, cokolwiek to w ogóle znaczy.

- Rewelacja! - Julia skacze w górę i w dół z radości, potem nagle upada. - Ała, moje kolano, auu.

- No dobrze - mówię, myśląc na głos. - Mogę je wysłać mailem na wszystkie błogi i strony internetowe restauracji mobilnych jutro rano, ujawnić jej oszustwo, zrobić z tego aferę... Czy to nie za dużo?

- Jasne, że nie! - krzyczy Angie, a w tym samym momencie Madeleine mówi: - Wcale.

A Coco mówi głośno: - Ukradła twój pomysł i skłamała! Sama sobie na to zasłużyła.

Gdy jesteśmy już w domu, Coco i Julia zaczynają oglądać film *Marley i ja*, Angie i Madeleine znikają w swoich pokojach, a ja mam ochotę poszukać więcej przepisów na sałatki. Muszę zyskać przewagę nad każdym innym sprzedawcą sałatek w Nowym Jorku i sprawić, by Zgrabne Oponki były najlepsze. Nigdy w życiu nie czułam takiej motywacji do pracy. Myślę, że moi rodzice byliby ze mnie dumni. Chociaż raz. Może.

Potem, około jedenastej wieczorem słyszę pukanie do drzwi mojego pokoju. To Julia.

- Co tam, kochana?

- Pia, zdecydowałam, że już czas, abym poznała jakiegoś mężczyznę.

- Dobrze - mówię, siadając z bardziej wyprostowanymi plecami, ponieważ najwyraźniej jest to dla niej poważna sprawa.

- Oto przyczyny. Moja praca jest do dupy, ale niewiele mogę z tym zrobić, prawda? I wiem, że w wolnym czasie mogłabym zrobić jakiś kurs fotograficzny albo kurs gotowania, ale wiesz, nie mam za bardzo drygu do sztuki albo do... yyy... gotowania.

- Zgadza się - mówię.

- Więc brakuje mi faceta.

- Rozumiem - mówię, próbując brzmieć tak poważnie, jak Julia tego ode mnie oczekuje. — Więc może... portale randkowe?

Kręci głową.

- Nie ma mowy. To zbyt angażujące. Ja po prostu chcę robić to co ty. Podrywać facetów w barach.

Wybucham śmiechem.

- Tak, ponieważ to mi zawsze wychodzi.

Wtedy dochodzi do mnie, że ona nie żartuje. - No dobrze, no cóż, musisz po prostu...

- Wiem, wiem. Nawiązać kontakt wzrokowy, zawsze o tym mówisz. Ale to u mnie nie działa, Pia. Ja nie wyglądam tak jak ty.

- Nie ubierasz się tak jak ja - poprawiam ją. - Odpowiedni strój, fryzura i makijaż dodadzą ci pewności siebie. Pewność siebie oznacza charyzmę, a charyzma przyciąga uwagę mężczyzn. Sprawia, że poczujesz się dobrze, będziesz bardziej wyluzowana, zabawniejsza i będziesz miała te wszystkie pożądane przez mężczyzn cechy. Będziesz sobą, ale, no wiesz, najlepszą możliwą wersją siebie.

- Czyli co teraz? Cholerna zmiana wizerunku jak w jakimś babskim filmie?

Uśmiecham się.

- Tak. Przed naszym kolejnym wyjściem na miasto będziesz miała swoją własną zmianę wizerunku.

- Fajnie - odpowiada. - Dzięki, Piniu. Byłam pewna, że będziesz wiedziała, co zrobić.

I znika. Jestem wzruszona: Julia wcześniej zawsze się broniła, gdy próbowałam jej doradzać w sprawach wizerunku. Ma cudowne włosy, ale są permanentnie związane w kucyk, i ma też świetny biust, ale spłaszcza go, nosząc wyłącznie sportowe staniki (wiem, wiem). A ubiera się tak, jakby raz w roku szła na zakupy w JC Penney i ustawiała sobie czasomierz, by nie spędzić tam za dużo czasu. I zresztą z tego, co się orientuję, tak właśnie robi.

Aj, mam nadzieję, że moje rady wyjdą jej na dobre. Nigdy nie lubiłam mówić ludziom, co mają robić, bo to czyni mnie

odpowiedzialną za ich szczęście. A co jeśli coś nie wyjdzie? Wtedy mogą mnie znienawidzić. Ale to może głupio tak myśleć. Zaczyna do mnie dochodzić, że wiele rzeczy, o których myślę, jest głupich.

Niespokojna zakładam moje ulubione kapcie Elmo, biorę książkę *The Best of Everything* i idę na dół po miseczkę płatków. W drodze do kuchni wpadam na Madeleine, fest ubrana w... strój do biegania?

- Idziesz teraz biegać? Madeleine, jest środek nocy!

- Na Brooklyn Heights jest klub dla tych, co biegają w nocy - odpowiada, wkładając słuchawki do uszu.

- Dlaczego chcesz biegać o północy?

- Bieganie rozjaśnia mi umysł - mówi i zarzucając kucykiem, wybiega z domu.

Już dziś biegała. I była na jodze. I wzięła prysznic, trzy razy. To dziwne, prawda? Ciągle myślę o tym napisie na lustrze. Ciekawe czy to ona go napisała. A jeśli tak, to co mam z tym zrobić? Powiedzieć jej? Jak się rozmawia z kimś o czymś, co mógł napisać tak po prostu, gdy był w złym humorze albo miał zły dzień? W końcu przecież wszyscy mamy ponure myśli. Trzeba tylko mieć nadzieję, że dobrych myśli będzie więcej niż złych.

Gdy wlewam mleko do płatków Kash Honey Puffs zmieszanych z płatkami Cheerios, słyszę brzdęk butelki na tarasie i wyglądam kto to. To Angie pije i pali w samotności. Otwieram drzwi i wychodzę do niej. Wygląda zachwycająco w maleńkiej zielonej sukience, której jeszcze nigdy nie widziałam.

- Czy to sukienka od Marca Jacobsa?

- Zgadza się.

- Jak u licha kupujesz nową sukienkę od Marca Jacobsa, skoro twoi rodzice płacą ci za czynsz, a ty kradniesz sushi swojej szefowej?

Wzrusza ramionami i mocno się zaciąga.

- To prezent. Podoba ci się?

- Bardzo - odpowiadam, chrupiąc swoje płatki.

Wtedy zauważam, że to nie papieros. To joint. A to, co pije, to czysta wódka z plasterkiem ogórka dla ozdoby.

- Angie. Ale teraz serio. Wiem, że sama nie jestem niewiniątkiem, jeśli chodzi o dragi, ale Julia jest i to bardzo. A to jej dom. Czy nie mogłaś poczekać, aż będziesz, no wiesz, gdzieś indziej?

- I dać się aresztować? Raczej nie.

Nie patrzy mi w oczy. Nagle dociera do mnie, że dzieje się coś złego. Coś bardzo złego. Czy powinnam coś powiedzieć? Może mi powie, tak jak to zrobiła tamtego ranka, może nie zamknie się od razu w sobie.

- Czy wszystko w porządku? Czy coś się...

- Potrzyмай to - mówi do mnie, wstając. Wyciąga z torebki nożyczki, schyla się, obcina dwadzieścia centymetrów u dołu swojej sukienki i zgarnia materiał czubkiem buta. — No dobrze. Idę do baru w Tribeca. Idziesz ze mną?

- Niee - odpowiadam. - Angie...

- Twoja strata - wzrusza ramionami, przerywając mi znowu i do reszty opróżnia szklankę, chwiejąc się delikatnie.

- Słuchaj, Angie, chcesz pogadać? Czy chodzi o Marca?

- Czy ty chcesz pogadać o Eddie'm? - ripostuje. Au.

I pięć sekund później już jej nie ma. Potem, w drodze powrotnej do pokoju, wpadam na Coco. Och, Jezu, ona płacze.

- Co? Co się stało? Coco?.

- Marley umiera - mówi, biorąc głęboki rozedrgany od płaczu oddech.

- A, tak, no cóż... - To jakiś pies. W filmie.

- I Erie mi nie odpisał - dodaje, wybuchając płaczem. - Całowaliśmy się, a teraz... Nic. Wysłałam mu dziś wieczorem dwie wiadomości, a on nic! Całkowicie mnie ignoruje!

Aha, więc to jest prawdziwy powód.

- Dobra, po prostu go zignoruj - mówię do niej. - Obojętność działa na mężczyzn jak lep na muchy.

- A co jeśli ja zignoruję jego i on zignoruje mnie i będzie po wszystkim? A co jeśli okaże się, że mogłam sprawić, by coś się między nami wydarzyło, wykazując odrobinę zaangażowania? To nie może się skończyć!

Znam tę desperacką spiralę panicznych myśli. Takie myślenie może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

- To tak nie działa. Zaufaj mi. Prawdopodobnie ma po prostu kaca albo siedzi nad książkami w swoim akademiku.

Coco kręci głową.

- Nadal jest na Manhattanie, na imprezie na Seventy-first i Lexington. Sam o tym mówił. Na Facebooku! Dlaczego nie poprosił mnie, bym tam z nim poszła?

- Może to jest taka impreza, na którą nie można przyprowadzać gości — odpowiadam.

Chociaż oczywiście, jeśli facetowi podoba się dziewczyna, to tak mała przeszkoda nie stanie mu na drodze.

- Nie, to dlatego... Och, nieważne. Jest dokładnie tak jak w szkole średniej - mówi Coco i wbiega na górę po schodach.

- Coco! - wołam. - Chcesz o tym pogadać?

- Nie! - odkrzykuje, a jej głos jest nienaturalnie wysoki. - Wszystko w porządku, naprawdę!

I zatrząskuje drzwiami.

Myślałam, że tylko ja jestem pokręcona, że wszyscy inni są szczęśliwi i wiodą takie życie, jakiego zawsze pragnęli. Chyba się myliłam.

Może po prostu musimy zrozumieć, czego chcemy od życia i w jaki sposób to osiągnąć. I musimy się wspierać. Bo siedzimy w tym wszystkim razem — w tym domu, w tym okresie życia, w tym dziwnym położeniu, gdy jest się już dorosłym, ale nie wie się, co to znaczy.

Nagle to, czego chcę, jest absolutnie jasne. I to nie Zgrabne Oponki. To nie zarabianie kasy. To nie chęć zaimponowania rodzicom.

Chcę być lepszą. Jeśli to w ogóle ma jakiś sens. Chcę, żeby moje życie skupiało się wokół ciężkiej pracy i dobrych przyjaciół. A nie wokół nic nieznaczącego seksu, wiszeniu na garnuszku u rodziców i pijackich imprez wywołanych żalem po zerwaniu z Eddie'm. I nie wokół nieliczenia się z konsekwencjami moich działań i tego, co zażywam. Chcę być najlepszą możliwą wersją siebie. Nową, udoskonaloną Pią.

I jestem jedyną osobą, która może tego dokonać.

Krok pierwszy? Wykasować dziś wieczorem wszystkie zdjęcia z nalotu na mieszkanie Bianci. Głupi żart to jedno. A sabotowanie jej całej firmy to coś zupełnie innego.

Tak czy siak, zmieniłyśmy nazwę ciężarówki Bianci farbą w sprayu i może to wystarczająca zemsta.

Będzie jej trudno sprzedawać jedzenie z ciężarówki, która ma teraz nazwę „Posuń To Ciacho w Dupę”.

Rozdział 15

Naleśniki to niezwykle wynalazek. Koszt produkcji jednego to sześć centów, czas przygotowania: około minuty, a wszyscy je uwielbiają. Więc jako pierwszy (i jedyny) składnik mojego śniadaniowego menu sprawdzają się idealnie. W ciągu zaledwie jednego dnia zarobiłam dwa razy więcej niż do tej pory.

Więc, jak można się domyślić, mam świetny humor, gdy jadę Toto ulicami Manhattanu w ten słoneczny wtorkowy poranek. Śpiewam głośno razem z magicznie zmieniającym stacje radiem Toto, które właśnie znalazło *Let's Get Loud* Jennifer Lopez, piosenkę, do której Angie i ja wymyśliłyśmy absolutnie wariacki taniec, gdy miałyśmy po dziesięć lat. To był prawdopodobnie ostatni raz, gdy Angie nie dbała tak bardzo o swój wizerunek. (Choć, gdy ma się dziesięć lat, wymyślanie kroków do piosenek bardzo dobrze wpływa na wizerunek.)

A wcześniej wysłałam SMS do Liny, tej miłej mamy, by dać jej znać, że Zgrabne Oponki zaparkują dziś przed jej budynkiem. Z jej wizytówki wyczytałam, że jest wicedyrektorem do spraw strategii rozwoju w firmie Carus International, cokolwiek to znaczy.

Nucąc radośnie pod nosem, parkuję, wysyłam na Twittera adres, gdzie jestem i zaczynam nawoływanie.

- Naleśniki! Naleśniki na śniadanie, naleśniki bezglutenowe! - (Tak, wiem, to absolutnie żałosne, ale działa.) Gdy już utworzy się kolejka, mogę przestać krzyczeć. Najlepszą reklamą dla mobilnej restauracji są zadowolony zadowoleniem klienci.

Wczoraj wieczorem Angie pomogła mi w wymyślaniu nowych przepisów na sałatki. W tym tygodniu do menu dodałam pięć nowych o wiele bardziej wyrafinowanych sałatek, wszystkie bardzo chrupiące, pełne smaku, a niektóre z odrobiną węglowodanowych pyszności o bardzo niskiej zawartości glutenu, takie jak kasza quinoa i brązowy ryż, a niektóre z odżywiającymi skórę tłuszczami z kwasami omega zawartymi w migdałach i awokado. Robię się też bardziej twórcza, jeśli chodzi o zioła: koperek, rozmaryn, bazylię, mięta... Potrafią naprawdę podkreślić smak sałatki. I zgadza się, właśnie użyłam określenia „podkreślić smak sałatki”.

Dokładnie tak jak wczoraj, po kilku minutach w kolejce po naleśniki stoi już pięć osób.

- Powinnaś dodawać beztłuszczowej bitej śmietany Cool Whip! - krzyczy jedna strasznie chuda kobieta.

- Z tego co wiem, Cool Whip jest pełna polepszaczy smaku i konserwantów - odpowiadam moim najuprzejmiejszym tonem. - Ta ciężarówka sprzedaje wyłącznie prawdziwe jedzenie.

- Ale jest beztłuszczowa! - wykrzykuje, odchodząc z tupotem patykowatych małych nóg. Anorektyczki rzadko odwiedzają Zgrabne Oponki, pewnie dlatego że nie ufają moim umiejętnościom liczenia kalorii i wolą jeść galaretę bez cukru niż prawdziwe jedzenie. W drugiej szkole z internatem, do której uczęszczałam, było tyle anorektyczek, że anoreksja była praktycznie swego rodzaju modą, tak jak baleriny czy wyszywanie inicjałów na ręcznikach, absolutnie na poważnie.

Nim wybija jedenasta wyprzedają wszystkie naleśniki i zaczynam przygotowania do lunchu. Zamykam okienko do wyda-

wania posiłków i jestem zajęta sprzątaniami, gdy nagle słyszę głośnie pukanie w tył ciężarówki.

Otwieram drzwiczki naczepy i wyglądam na zewnątrz.

- Witam, w czym mogę pomóc?

To jakiś facet w wieku trzydziestu paru lat, wyglądający na Wietnamczyka, ma na głowie czapkę Knicksów i wściekły wyraz twarzy.

- Stoisz na moim miejscu.

- Słucham?

Wskazuje palcem na obwoźny bar stojący tuż obok mojego, Nazywa się Daj mi Banh Mi.

- Stoisz na moim miejscu. Ja tutaj parkuję. W każdy poniedziałek i piątek. Od jedenastej do czwartej. Więc zjeżdżaj.

Próbuję mu coś odpowiedzieć, ale znów nie mogę wydusić słowa. Och nie, nie znowu - po prostu się przesunę, nienawidzę konfrontacji, będzie łatwiej, jak się po prostu wycofam, prawda?

I wtedy przypominam sobie o nowej, udoskonalonej Pii. Poradzę sobie z tym. Ja też mam prawo tu stać.

Biorę głęboki oddech i dzięki Bogu, głos mi wraca.

- Nie widzę, żeby to miejsce było podpisane twoim nazwiskiem.

- Co proszę? Słuchaj, dziewczuszko, parkuję tu w każdy poniedziałek i piątek od trzech lat. Ja symbolizuję ruch obwoźnych barów.

Wysiadam z mojej ciężarówki, staję tuż przed nim i przyjmuję buńczuczną pozę.

- Jaki masz problem? Zwęża oczy.

- Ty jesteś moim problemem. Wsiadaj do swojej żalösnej małej ciężaróweczki i zjeżdżaj stąd księżniczko, bo jak nie, to zadzwonię po policję.

- Proszę bardzo, dzwoń! I co niby mi zrobią? O ile wiem, restauracje mobilne mogą parkować tam, gdzie im się tylko

spodoba. Jeśli chcesz serwować jedzenie codziennie w tym samym miejscu, kup sobie pieprzoną restaurację!

- Nie masz pojęcia, z kim zadzierasz!

- Ty też!

Pokazując mi dwa środkowe palce (poważnie), Daj mi Banh Mi wskakuje do swojej ciężarówki i odjeżdża z piskiem opon.

Poklepuję Toto z czułością. Jak on śmie nazywać ją żalosną?

- Całkiem niezłe - słyszę czyjś głos. Obracam się. To Lina.

- Dzięki - odpowiadam. - Rany, świat restauracji mobilnych jest dość brutalny, co?

- Bardzo - zgadza się Lina. - Spróbuj popracować w świecie hoteli i restauracji. To jak walki gladiatorów.

Śmieję się.

- Jak w pracy?

-Właśnie idę na spotkanie grupy fokusowej prowadzonej przez badaczy rynku, którzy będą starali się uzasadnić, że wszystko, co innowacyjne i nowe, nie ma racji bytu...

- Super - odpowiadam. - Zawsze się zastanawiałam, co tak naprawdę oznacza „badanie rynku”.

- Oznacza to „zabijanie kreatywności”. A zatem prześlę maila z informacją o Zgrabnych Oponkach do wszystkich osób w mojej firmie, dobrze?

- Powiedz im, że na hasło „Lina” dostaną jednego dolara zniżki przy zakupie deserów - odpowiadam.

Lina śmieje się.

- Tak jest, ale może nie używajmy mojego imienia, bo już i tak myślą, że mam wybujałe mniemanie o sobie. Hasło powinno być jakieś inne... Brooklyn!

Lina musi mieć niezłe wpływy w swoim biurze, ponieważ punktualnie o dwunastej przed moją ciężarówką ustawia się kolejka ciągnąca się prawie do końca przecznicy. Jednemu facetowi niskokaloryczne brownie smakują tak bardzo, że wraca

znowu i stoi w kolejce po trzy kolejne, co w sumie mija się z celem jedzenia niskokalorycznych deserów, ale co tam. W ciągu dwóch godzin już prawie brakuje mi jedzenia i właśnie wtedy podchodzi do mnie ładna dziewczyna w mniej więcej moim wieku, a za nią facet z brodą i małą kamerą cyfrową.

- Jestem Becca z Grub Street, bloga „New York Magazine” o jedzeniu i restauracjach. Czy możemy przeprowadzić z tobą wywiad o mobilnych restauracjach, które właśnie wchodzi na rynek?

Nawet nie muszę się nad tym zastanawiać.

- Jasne, że tak.

- Sporo się mówi o twoim barze na Twitterze i na blogach o restauracjach mobilnych. Jak wpadłeś na ten pomysł?

- To wydawało mi się oczywiste. Ludzie chcą jeść jedzenie, które jest dobre i szybko podane, ale po zjedzeniu którego nie będą się czuli śpiący czy znowu głodni. Nowojorczyki nie powinni być zmuszeni do tego, by wybierać między pełnym żołądkiem a szczupłym tyłkiem. Można jeść dobrze i za małe pieniądze, kupując w restauracji mobilnej - oczywiście w mojej restauracji mobilnej.

Becca się uśmiecha.

- Super.

Nagle słyszę okrzyki śmiechu. Becca rozgląda się.

- O... mój... Boże...

Znowu słyhać, jak ktoś wali w drzwi mojej ciężarówki. Tylko nie to! Ten facet od Daj mi Banh Mi to jakiś świr! Zamykam okienko, biegnę na tył ciężarówki.

- Czego znowu chcesz? - krzyczę, otwierając tylne drzwi. Ale to nie on.

To Bianca. Wygląda tak jak zawsze, jak agresywna pankówa z głową ogoloną po jednej stronie, ubrana tak, jakby doradzał jej niewidomy stylistka.

A za nią stoi jej duża czarna ciężarówka, na której teraz widnieje napis: „Posuń to ciacho w dupę”.

Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem.

- Ty to zrobiłaś, prawda? - krzyczy. - Nawet nie zauważyłam, aż do pory lunchu gdy ktoś zapytał mnie ile kosztowałoby popatrzenie na to, jak ktoś posuwa mnie w dupę!

Śmieję się tak bardzo, że muszę się trzymać drzwi.

- Przyznaj się! Przyznaj się! - krzyczy.

- Czy jesteś właścicielką tej ciężarówki? — przerywa jej Becca, ta blogerka z Grub Street.

- Tak - odpowiada Bianca. - A kim ty do cholery jesteś?

- Urocze - mówi Becca, unosząc brew. - Jestem z Grub Street. I niech mi będzie wolno skomentować, że jest to natchniony pomysł marketingowy.

Twarz Bianci jaśniej w jednej sekundzie.

-Ależ proszę, witam! Jestem Bianca, a to moja obwoźna kawiarnia. Moją pasją są ciasta wypiekane według autorskich przepisów, ciasta, które nakarmią cię, ciało i duszę!

Uśmiechając się szeroko, wracam do środka Toto, gratulując samej sobie. Operacja Dorwać Zdzirę zakończyła się sukcesem.

Rozdział 16

Jeśli nieznajomy to po prostu przyjaciel, którego jeszcze nie poznałeś, to nieznajoma z baru karaoke to po prostu diva rocka, której jeszcze nie poprosiłeś o autograf po występie, gdy zaśpiewała *Bohemian Rhapsody*. Dochodzę do tego wniosku podczas imprezy urodzinowej na cześć Julii, która właśnie kończy dwadzieścia trzy lata w szaleńczo hałaśliwym i przytulnym barze karaoke o nazwie Baby Grand na SoHo.

Ale nikt oprócz mnie nie wydaje się mieć nastroju do imprezowania. Wieczór rozpoczęliśmy kilkoma drinkami w domu, potem poszliśmy na kolację do Chinatown. Nie mogłam przestać się śmiać z nazwy restauracji (Nahuj Mitahata, haha!), Angie dużo pije i jest milcząca, Coco wpatruje się obsesyjnie w ekran swojego telefonu (Erie się nie odzywa), Madeleine denerwuje się przed spotkaniem z facetem, którego zaprosiła, by do nas później dołączył (jednego z tych, których poznała przez internet, o czym mamy nie wiedzieć), a Julia jest tak spięta, że aż zgrzyta zębami. Jest tak, jakby każda z nas była zamknięta w swoim własnym świecie zmartwień. „No hej - chce mi się krzyczeć - jest sobota wieczór!” Nigdy wcześniej nie spędzałam aż tylu weekendów w domu. Do czasu aż przeprowadziłam się do Nowego Jorku!

Jeszcze miesiąc temu po prostu bym stąd wyszła, by po-imprezować gdzie indziej, ale nowa ja nie chce dziś tak zrobić. Naprawdę chcę, aby dziewczyny się dobrze bawiły. W szczególności Julia, ponieważ wiem, że w dzień swoich urodzin zawsze wspomina swoją mamę i jest jej smutno. Zasluguje na to, by tak nie było, ona powinna mieć fantastyczne urodziny. Ale w tej chwili wszystkie po prostu bez entuzjazmu oglądamy, jak śpiewają inni. Nawet ze sobą nie rozmawiamy.

- Dość tego! - mówię, gdy kobieta z zachrypłym głosem kończy śpiewać *Carless Whisper* zespołu Wham! Pijemy shoty!

Patrzą na mnie wszystkie. Żadna nie mówi tak, żadna nie mówi nie. Idę do baru.

- Jezu, gdyby ta impreza była pacjentem, zaleciłabym defibrylację - mruczę pod nosem.

- Już się robi - mówi barman. Że co?

Dwie minuty później przynoszę do stolika pięć Defibrylatorów. Ten drink to szklanka wypełniona szampanem, wódką, tequilą i sokiem z cytryny.

- No dobrze, towarzysze - mówię. - Wychylamy po jednym.

Dziewczyny posłusznie biorą swoje drinki i wypijają je. Wszystkie pokrzykują i kaszlą, i robią to, co zawsze po wypiciu mocnego drinka. Poza Angie, która kiwa głową z aprobatą.

- Piąteczki! - krzyczy Julia, przybijając wszystkim piątkę. Decydujemy, że zrobimy łańcuszek karaoke (wybieramy piosenkę dla osoby siedzącej po naszej prawej, ale nie możemy jej zdradzić tytułu), podczas gdy facet o idealnie umalowanych oczach śpiewa *It's in His Kiss* tak, że tłum szaleje.

- Nienawidzę karaoke - mówi Angie.

- Wszyscy nienawidzą karaoke - syczę. — Ale to Julia wybierała. Przebolejesz.

Angie robi głupią minę i saltuje mi, a ja obracam się do pozostałych.

- Gotowe?

Julia wykonuje wykroki, jakby rozgrzewała się przed ważnym meczem.

- Urodziłam się gotowa.

Umalowany facet na scenie kończy swój występ, trzęsąc biodrami.

- Pamiętajcie wszyscy - wykrzykuje. - Posuń To Ciacho w Dupę!

-Co?

- Czy on powiedział... — mówi Coco.

Zatrzymuję pomalowanego, gdy przeciska się przez tłum obok mnie.

- Czy ty powiedziałeś przed chwilą „Posuń to ciacho w dupę”?

- Tak! - mówi. - To ta mobilna kawiarnia! Widziałem ją dziś w programie *The Early Show*! To niesamowite!

- *The Early Show* na CBS?

- Wczoraj była też w *Post*! Sprzedaje ciasta, ale są ponoć całkowicie zdrowe - wyjaśnia jego kumpel, wysoki blondyn ze skórzanym paskiem na szyi.

- A znajomy mojego kumpla Bobby'ego, o imieniu Dodie, który ma bar drag queen, wykupuje miejsce na reklamę na tej ciężarówce!

- Pojawiła się grupa rodziców wyznania chrześcijańskiego, którzy są absolutnie wściekli, i to jest przezabawne - mówi umalowany.

- Słyszałem, że można nawet kupić podkoszulki z napisem „Posuń to ciacho w dupę”! I obsługują imprezy za pięćset dolarów jedna, plus koszt ciast! — mówi Skórzany Pasek. - Zamówię ich sobie na moją barmiewę.

-Aha... Masz trzydzieści dwa lata - mówi umalowany.

- Stul pysk, suko!

Idą w stronę baru, zostawiając nas z otwartymi z zaskoczenia ustami.
- To prawda - mówi Angie, patrząc na swojego iPhone'a. - Właśnie ją zgooglowałam. „Posuń To Ciacho w Dupę” jest we wszystkich wiadomościach.

- Odniesie ogromny sukces - jęczę. - Cholera!

- Czyli nie dorwałyśmy tej suki - Julia beka. - Oj. Pra-szam... Moja kolej!

- Pia, nie myśl o tym dzisiaj - mówi Madeleine. - Nic na to nie poradzisz.

Wzdycham.

- Cóż, jeśli jest choć jedna rzecz, w której jestem dobra, to na pewno jest to ignorowanie własnych problemów.

- Zuch dziewczyna.

I wtedy przez głośniki słyhać, jak prowadzący wywołuje:

- Coco Russotti!

- ja? Pierwsza? O, nie - Coco wygląda na tak przerażoną, że na chwilę przestaję myśleć o „Posuń To Ciacho w Dupę”.

- Nie mogę, nie mogę.

- Dasz radę, Coco - mówię stanowczo. - Wierzę w ciebie. Coco podchodzi niepewnym krokiem do mikrofonu, a my

wszystkie piszczymy z zachwytem. Wygląda tak, jakby miała zaraz stanąć przed plutonem egzekucyjnym, ale nie ma się, o co martwić: Angie wybrała jej piosenkę i jest to *Baby, I Love You* zespołu Ramones. Tłum śpiewa razem z nią i nagradza ją owacją na stojąco.

- Dawaj, Coco! - krzyczy jakiś facet obok mnie. - Brawo! Zajebicie!

Angie i ja patrzymy na siebie porozumiewawczo i wtedy dociera do mnie, że: to musi być Erie. Bo któż inny? Jest przystojny, nie za wysoki, z lekkim trądzikiem, a mimo to pewny siebie.

- Erie! - podbiega Coco. - Nie wiedziałam, że miałeś...

- Byliśmy w Tonic East, dostałem twojego SMS-a i pomyślałem, że wpadniemy!

Coco uśmiecha się do niego z uwielbieniem, a Erie przedstawia swoich przyjaciół, Tada i Wilcoxa. Tad jest przystojnym, ale typowym skoncentrowanym na sobie facetem z wchłaniającą pot frotową opaską do gry w tenisa na głowie i nadgarstkach. A Wilcox jest początkującym japiszonem (koszulka polo, postawiony kołnierz) albo bardzo nieśmiałym, albo bardzo pijanym, ponieważ nie potrafi nawiązać kontaktu wzrokowego.

- Idę do baru - ogłasza Tad.

- Ja dziś stawiam! - mówi Julia i wciska się obok Tada. - Dziś są moje urodziny - mówi, żując słomkę i spoglądając na niego spod rzęs. Dalej, Julia!

- Dzięki, nie trzeba - mówi, odwracając się od niej bez uśmiechu.

Co za palant. Walczę ze sobą, by nie wałnąć go dłonią w czoło.

Próbując ukryć zażenowanie, Julia odwraca się, a jej wzrok pada na Angie.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę masz na sobie te cholerne czarne skórzane szorty.

Angie patrzy na swój strój - skórzane szorty i bardzo obcisłą bluzkę, włosy spięte ciasno do tyłu i dwa razy więcej kontu-rówki niż zwykle - i wzrusza ramionami.

- Nie mogę uwierzyć, że miałaś zamiar założyć klapki z cekinami, zanim dopracowałyśmy z Pią twój pieprzony nowy wizerunek.

- Dobra, dzieci, proszę się ładnie bawić - mówię. Cholera, myślałam, że te dwie już się dogadują po wieczorze tworzenia nowego wizerunku Julii (przy najlepszych piosenkach z lat osiemdziesiątych).

A tak w ogóle, to Julia wygląda świetnie: obcisłe džinsy i wspaniała marynarka, którą Angie kupiła na Brooklyn Flea i dopasowała do swojego stylu, a włosy po raz pierwszy w życiu ma rozpuszczone, idealnie wymodelowane suszarką przez Coco, do tego makijaż mojego autorstwa. Mam nadzieję, że

uda jej się poflirtować dziś wieczorem. Czasem uwaga mężczyzn działa jak lekarstwo.

Robi się coraz bardziej tłoczno, a my stoimy ciasno obok siebie w skomplikowanej konfiguracji, ale rozmowa nadal się nie klei. Obracam się do Wilcoxa.

- A więc, Wilcox, czy ty i Tad też studiujecie z Erickiem w Connecticut?

- Na Yale - mówi głośno, potakując. - Yale. O, Boże.

- Zrobić przejście! Defibrylatory idą! - Tad przepycha się między Julię i Wilcoxa, by stanąć obok mnie i Angie i podaje drinki.

- Jak ty masz na imię? Angie? Słuchaj, może chcesz pójść jutro ze mną kupić dzinsy?

-Nie.

Niespeszony Tad zaczyna wywód na temat swoich doświadczeń z karaoke na studiach (śpiewałem *Don't Stop Believing*, rany! Najlepsze wykonanie jak dotąd!).

Sprawdzam telefon i widzę SMS-a od Mike'a. Uh. Myślałam, że ze mną nie rozmawia.

Rozgrzałaś już struny głosowe?

To bezsensowny SMS, by zwrócić na siebie uwagę, dający mi znać, że wybaczył mi incydent z Zajęczkiem Wielkanocnym. Mam automatyczny odruch, by wykasować wiadomość, ale potem przypominam sobie, że Madeleine prosiła, bym była dla niego miła.

Więc odpisuję coś inteligentnego, ale bez znaczenia: *Urodziłam się rozgrzana.*

Sekundę później Mike odpisuje: *Coś o tym wiem.* Podwójne uh. Wykasuj. Potem wywołują imię Angie.

- Ooo! Angie! - krzyczy Coco, Julia, Madeleine i ja, wszystkie razem szaleńczo kibicujemy. Angie patrzy na nas zaskoczona, a na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Potem

widzi piosenkę, którą dla niej wybrałam, i wybucha zaskoczonym śmiechem. Patrzy na nas.

- Ta piosenka jest dla Pii, Julii, Madeleine i Coco.

To piosenka *You Belong With Me* Taylor Swift. Angie jest ubrana jak domina, a ma zaśpiewać na cały głos kawałek w stylu country jak nastolatka z *American Pie*.

Więc rozwiązuje koka tak, że włosy rozsypują się jej na ramiona w loki, tak jak u Tylor, chwyta za mikrofon i uśmiecha się tak zawadiacko, że wszystkich przechodzi delikatny dreszcz. A potem wydiera się do mikrofonu, z absolutnym entuzjazmem, okropnie fałszując. To wystarcza: tłum zaczyna śpiewać razem z nią i wyje z aprobatą, gdy Angie kończy.

-A teraz wszyscy powinni zaśpiewać *Sto lat* dla mojej przyjaciółki Julii! Jutro ma dwudzieste trzecie urodziny! - krzyczy pod koniec piosenki. - Wiem, że to żałosne, okey? Ale zróbcie to i tak!

- To ja! - krzyczy Julia. — To ja jestem jubilatką!

Wszyscy zgromadzeni obracają się w jej stronę i wyśpiewują *Sto lat*. Julia promienieje i upaja się radością z tej imprezy urodzinowej.

„Dzięki, Angie, myślę sobie. Właśnie nadałaś zupełnie nowy ton całej imprezie”.

- To był mój najlepszy prezent urodzinowy w życiu! - mówi Julia, śmiejąc się i wyciągając dłoń, by przybić piątkę Angie, gdy ta wraca już na miejsce.

Angie przybija jej piątkę, a potem przytula w ramach prezentu urodzinowego. Tak! Julia i Angie! Przyjaciółkami!

W tej chwili wiem już, że ta noc będzie absolutnie wspaniała.

- Ty słodziaku, ty - mówię, gdy Angie siada obok mnie.

- To pewnie przez was taka się zrobiłam — odpowiada Angie. - Nie miałyśmy z Julią najlepszego początku, ale ja naprawdę ją lubię. Lubię was wszystkie, a przede wszystkim lubię

całą naszą piątkę... Ta przygoda z malowaniem ciężarówki to była najlepsza zabawa, jaką przeżyłam od lat. Uśmiecham się.

- Ja też.

- Nigdy nie czułam, że... No nie wiem - Angie urywa w pół zdania. - To tak, jakbyśmy wszystkie do siebie pasowały, wiesz? Cała nasza piątka. Jesteśmy zupełnie inne, ale mimo to pasujemy.

- Nie przeprowadzaj się do L.A. - mówię nagle. - Nie wyjeżdżaj z Rookhaven. Zostań tutaj z nami. Proszę, nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Patrzy na mnie i uśmiecha się.

- Już myślałam, że mnie nigdy o to nie poprosisz.

Potem, Julia śpiewa *It's Gonna Be Me* zespołu N Sync, piosenkę, która wybrała dla niej Coco. Po kilku akordach zaczyna automatycznie wykonywać układ kroków do tego numeru, którego się nauczyła w szkole podstawowej. Jest teraz w tej idealnej fazie po alkoholu: jest pewna siebie, ale jeszcze się nie chwieje i wykonuje wszystko jak w teledysku: ruchy dłoni, nóg, podskoki w półobrocie - to pełen bojsbandowy układ.

Otrzymuje owację na stojąco, a gdy z powrotem idzie do naszego stolika, zatrzymuje ją jakiś super przystojny facet, ale Julia tylko się do niego nieśmiało uśmiecha i wraca do nas.

- Grasz trudną do zdobycia? - pytam, widząc jak ten facet za nią patrzy.

- Nie gram. Ja jestem trudna do zdobycia - odpowiada. - Napijmy się jeszcze!

Kolejnym wykonawcą jest jakiś facet o najgłębszym głosie, jaki kiedykolwiek słyszałam, który śpiewa *Stay Lisy Loeb*, a noc przechodzi w fazę, gdy stery przejmuje alkohol. Julia zmusza wszystkich do przybijania jej piątek i woła:

- Łuhuu!

Coco i Erie zaraz zaczną się całować. Tad i Wilcox wykonują jakiś zmyślony taniec, w którym udają, że biegną w miej-

scu i stepują. Potem pojawiają się jacyś znajomi Angie, Sirvan i Mani: to dwóch przystojnych, uprzejmych i podejrzanie bogatych playboyów z Iranu.

Gdy idą po drinki, wychodzę z Angie na papierosa.

- Skąd ich wytrzasnęłaś? - pytam.

- Z Londynu - wzrusza ramionami. - Są mili. I bogaci. Czego jeszcze trzeba?

- No nieźle - komentuję.

- Rany, jak mi dobrze - dodaje Angie, wydychając kółka dymu.

- To margarity.

- To nie alkohol. To Adderall. Od Wilcoxa.

Brawo, dopiero co go poznała i już dostała leki na receptę. Dość imponujące. Ostatni raz, gdy zażyłam Adderall i popiłam alkoholem, obudziłam się naga obok profesora literatury amerykańskiej. (Nie, nie studiowałam literatury amerykańskiej, ale nie w tym rzecz.)

- Opanuj się trochę, Angie, dobrze? Nie mam nastroju na kolejne występy na moście.

- Dobrze panie policjancie.

Dwa czy trzy drinki później wpadam w toalecie na Madeleine. Ma czerwone i podpuchnięte oczy.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Tak, jest OK. To nic - mamrocze. Nagle dochodzi do mnie, że Madeleine jest nieźle wstawiona. Bełkocze.

- Wiesz, że zaprosiłam tego faceta, którego poznałam, yyy, Andrew? Nie przyjdzie.

- Oj... - odpowiadam. - Cholera. No cóż, znajomi Angie są zaskakująco mili, biorąc pod uwagę fakt, że ich zegarki kosztują więcej niż nasz dom. Możesz też wybrać między Ta-dem i Wilcoxem.

Madeleine spogląda w górę i przewraca oczami.

- Nie jestem zainteresowana, Pia! Jezu! - Madeleine zatacza się lekko.

- Dlaczego zmuszasz wszystkich, by się bawili?

- Niezłe podejście - odparowuję i trzaskam drzwiami do kabiny w chwili, gdy Madeleine wychodzi. Co za bezczelność. Boże, nienawidzę, gdy ludzie się tak po prostu na mnie wyładowują! Ja tylko chciałam, żeby ta impreza się udała! A poza tym, jeśli Madeleine nie będzie z nikim rozmawiała, to jak do cholery ma kogoś poznać? Internet ma swoje ograniczenia, prawda?

Myję ręce, poprawiam makijaż i wychodzę, akurat by usłyszeć pierwsze dźwięki piosenki Niny Simone *Feeling Good*.

- *Birds flying high, you know how I feel...*

Cholera, ta dziewczyna ma przepiękny głos: głęboki, zmysłowy, smutny...

I wtedy patrzę na scenę i otwieram usta ze zdziwienia. To Madeleine.

Jest tak zachwycająca, że po raz pierwszy tego wieczoru cały tłum milknie. Jej głos brzmi smutno i przejmująco, dosadnie i prawdziwie. Nigdy nie słyszałam czegoś takiego.

I aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak piękna jest Madeleine. Ubrana jest w skromną czarną sukienkę z długimi rękawami, co sprawia, że wszyscy inni wyglądają na żałośnie przebranych, ale tak naprawdę tu nie chodzi o sukienkę. Tylko o nią. Madeleine jest olśniewająca.

Gdy kończy, przez kilka sekund cały bar wypełnia cisza. A potem następuje burza, nie, grad oklasków.

- Muumuuu! Nie przypuszczałam, że potrafisz tak śpiewać! - wykrzykuje Julia. - Wybrałam tę piosenkę, bo myślałam, że się wszystkie dołączymy!

- No... - Madeleine uśmiecha się tak szeroko, że prawie nie może mówić. - Brałam lekcje śpiewu w podstawówce, ale potem w szkole średniej wybrałam matematykę, więc... — wzrusza ramionami i czka. - Czy mogę dostać jeszcze jednego drinka?

Słysząc głos prowadzącego karaoke.

- Następna będzie... Pia Keller! Niech to szlag!

Rozdział 17

Nie dam rady. Nie dam rady stanąć przed tymi wszystkim ludźmi. Nie wyduszę z siebie ani jednego dźwięku. Dostanę ataku paniki i/lub spalę się ze wstydu, lub zrobię z siebie idiotkę, lub zamienię się w trzęsącą się, spoconą i wymiotującą masę. Nie dam rady, nie mogę...

- Dawaj, Pia! - krzyczy Julia, pchając mnie do przodu przez tłum.

Jakimś cudem wchodzę na scenę, boleśnie odczuwam, jak mały jest ten bar, jak przeszywające jest padające na mnie światło, jak cichy jest tłum widzów i jak robi mi się nagle gorąco i klaustrofobicznie. W gardle wyczuwam nieznośną kulę, a może zbiera mi się na wymioty? O cholera... Rzucam okiem na ekran z tekstem karaoke i widzę tylko tytuł *99 Red Balloons*, ale słowa rozmywają mi się przed oczami. *You and I in a little toy shop/Buy a bag of balloons with the money I've got...*

Mój wzrok jest zbyt zmacony, by je przeczytać, ale nie mogę zejść ze sceny. Nie mogę się teraz wycofać. Nie mogę, nie poddam się.

Dam radę.

Słyszać muzykę. Nadal nie mogę odczytać słów, ale w jakiś dziwny sposób otwieram usta, przypominam sobie tekst pio-

senki i zaczynam śpiewać. Pierwszych kilka wersów śpiewam piszczącym szeptem, ale stopniowo śpiewam coraz głośniej i głośniej.

Tłum zamiera i w sekundę później dociera do mnie, że śpiewam oryginalny tekst... po niemiecku.

Mój tato uwielbiał *99 Luftballons*. Puszcział ten kawałek przez cały czas z płyty CD ze składanką niemieckich hitów z lat osiemdziesiątych. Nie umiałabym go przetłumaczyć, ale potrafię zaśpiewać. Muszę się tylko trzymać i dotrwać do końca piosenki.

- *Hast du etwas Zeit für mich...*

Czuję się tak, jakby mój głos wydobywał się z jakiejś innej osoby, jakby był to głos kogoś drobnego i roztrzęsionego.

Ale gdy ośmielam się podnieść wzrok, widzę, że ludzie się uśmiechają. Też się do nich uśmiecham i wtedy, pod koniec pierwszego wersu, gdy w piosence słychać gitarę elektryczną, ja zaczynam klaskać, tłum się przyłącza, więc zaczynam śpiewać znowu, tym razem z większą pewnością siebie.

- *99 Luftballons...*

Gdy kończę śpiewać, cała aż się błyszczę od potu, ale już nie czuję żadnego przerażenia. Tylko radość. Czuję się szczęśliwa, niewyciężona, jestem w ekstazie! Karaoke to darmowe pigułki extasy!

Nie mogę przestać się uśmiechać. Mam wrażenie, że wszyscy ludzie ryczą z podziwu, a najwyraźniej słychać Julię. Wykonuję delikatne dygnięcie, a potem zeskakuję ze sceny i podbiegam do dziewczyn.

Ale zanim udaje mi się do nich dotrzeć, ktoś mnie podnosi i kręci w kółko.

To Mike. Co on tu do cholery robi?

- Puść mnie! - mam na sobie krótką złotą sukienkę. Dlaczego faceci zawsze chcą nas podnosić, kiedy nie jesteśmy odpowiednio ubrane?

- Pia! To było takie niesamowite! - Mike wygląda mniej atrakcyjnie niż kiedy go ostatnio widziałam: ma złą fryzurę, a jego niebieska koszula opina się na torsie.

- Dzięki - mówię, odsuwając się od niego. Kątem oka dostrzegam, że Coco i Erie całują się przy barze. Tak! Mam ochotę klasnąć z radości. Brawo Coco!

- Jesteś taka piękna, gdy się uśmiechasz, wiesz? Dostałem twojego SMS-a i pomyślałem sobie, kurczę, to moja dziewczyna.

Marszczę brwi. Moja dziewczyna? -Mike... słuchaj, nie.

- Nie, co? - pyta, podnosząc dłoń, by pogłodzić moją twarz, a ja poznaję, że jest pijany. - Wyglądasz na zmartwioną, kochanie.

Kochanie? - No dobra, musimy porozmawiać - mówię odsuwając głowę od jego dłoni. - Chodź na zewnątrz.

Idzie za mną na ulicę, a ja zapalam papierosa, by zyskać na czasie i zebrać myśli. Jak się zrywa z kimś, z kim się nie chodzi?

- Boże, jak ty pachniesz. Co to?

- Och! Dzięki, to KiehTs Original Musk. Ale czekaj. Słuchaj. Nie wiem, co według ciebie, yyy, dzieje się między nami. Ale ja niczego takiego nie chcę.

- Masz problem z bliskością, rozumiem. Więc jesteśmy tylko przyjaciółmi. Przyjaciółmi od seksu, tak?

- Problem z bliskością? - mimo woli wybucham śmiechem. - Nie, Mike. Żadnego seksu. Nic do ciebie nie czuję. Nie planowałam tego, co się między nami wtedy wydarzyło.

-Nie planowałaś tego, co się między nami wydarzyło? - Mike się śmieje, ale to gorzki śmiech. - Madeleine ma rację, jesteś arogancką suką. Bawisz się ludźmi, a potem odchodzisz...

Rozmawiali o mnie? Myślałam, że Madeleine jest teraz moją przyjaciółką! Nagle nie mam ochoty dłużej z nim rozmawiać. - Czy to już koniec naszej rozmowy?

- Nie! - krzyczy Mike. - To jeszcze nie koniec naszej pieprzonej rozmowy!

- Mike, jesteś pijany. Ta rozmowa jest bez sensu. Nic się między nami nie zaczęło i nigdy nie zacznie. Przyjmij to do wiadomości.

Mike chwytam mnie za ramię, ale ja się wyrywam, rzucam papierosa na chodnik i przechodzę obok niego w stronę baru. Co za dupek!

Czy to on histeryzuje? Czy naprawdę jestem arogancka? Może jestem suką? Już sama nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko zapomnieć o tej całej sprawie. A tak naprawdę muszę zapytać Madeleine, dlaczego, u diabła, obgaduje mnie ze swoim bratem, podczas gdy ja myślałam, że znów się przyjaźnimy. Ale teraz nie mogę, nie dziś wieczór. Nie podczas imprezy urodzinowej Julii.

Przystaję obok Angie i biorę swojego drinka. Chwilę potem zamaszystym krokiem wchodzi Mike, szepcze coś do ucha Madeleine i po sekundzie oboje wychodzą. Przy drzwiach Madeleine odwraca się i rzuca mi najbardziej mrożące krew w żyłach spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziałam.

Cholera.

Opróżniam szklankę jednym haustem, podczas gdy Julia skacze z radości. Jest pijana.

- Tamten facet właśnie poprosił mnie o numer telefonu! Ma na imię Mason! Ale zamówmy pizzę! Umieram z głodu! Bo właśnie się porzygałam. Ale już dobrze, już dobrze. Rzyg w odpowiednim momencie może uratować wieczór, wiesz?

- Gdzieś ty była podczas naszej parapetówki? - mówi Angie. - Tamta Julia wcale nie była fajna.

- Musiałam zachowywać się odpowiedzialnie - głośno oznajmia Julia.

- Ale bycie odpowiedzialnym jest do dupy. Mam rację?

- Amen — mówi Angie.

Julia udaje, że jedzie na koniu.

- Iiiii-haaa!

Angie odwraca się do mnie.

- Serio. Cholernie lubię tę laskę.

- Mam kilku znajomych w Cipriani w centrum - mówi Mani. -
Idziemy?

- Choćby zaraz - mówi Angie, zeskakując ze stołka barowego.

- Nie! Chcę zjeść coś niezdrowego i nowojorskiego! - krzyczy Julia. -
Pizzę! Gdzie moja siostra?

- Idziemy na drinka z dala od centrum - mówi Coco, przysuwając się
niepostrzeżenie do Erica z miną kota, który właśnie najadł się
śmietany.

- Łuuuu! - wykrzykuje Julia. - Zakochani! No dobra, Pi-piii! Ty i ja!

Więc Julia i ja idziemy na Spring Street, Coco i Erie wskakują do
taksówki, a Angie idzie z Manim i Sirvanem. Jeszcze miesiąc temu
poszłabym z nimi: piłabym szampana, tańczyła na stole,
prawdopodobnie nawiązałabym też jakiś niesatysfakcjonujący
krótkotrwały flirt z kimś niewłaściwym.

A teraz ciekawsze wydaje mi się zjedzenie pizzy z Julią oraz powrót
do domu, bym mogła się wyspać, wcześniej wstać i przygotować
Zgrabne Oponki do pracy. Jutro jest dzień spłaty kolejnych odsetek
Cosmo. Mam nadzieję, że z Nickiem pójdzie mi tak samo
bezproblemowo jak w ubiegłą niedzielę. Im krótsza wymiana zdań z
tym człowiekiem górą, tym lepiej.

- Dzięki za tę niesamowitą noc - mówi Julia, delikatnie bełkocząc. -
Świetnie się bawiłam. Jakiś facet poprosił o mój numer i nawet ani razu
nie płakałam, a zawsze płaczę w urodziny.

- Rewelacja. Widzisz? Mówiłam ci, że zmiana wizerunku zadziała.

- Czuję, że mogę na tobie polegać. Nigdy wcześniej tego nie czułam.

- Możesz - mówię, próbując odebrać jej słowa jako komplement. — Zawsze możesz na mnie liczyć, Jules.

Gdy stoimy przed Pomodoro, czekając aż nasza pizza ostygnie, znów spotykamy Tada i Wilcoxa.

- Kolejna impreza, dziewczyny? - mówi Tad gładko, nachylając się, by wziąć ogromnego kęsa pizzy Julii. Julia chichocze i odsuwa się. - Znam tajemny całonocny bar w East Village.

Wszyscy znają jakiś tajemny całonocny bar w East Village.

- Ja pasuję - mówię. — Wracam na Brooklyn.

- Pieprzyć to! Ja idę! - mówi Julia. — Gdzie? Wilcox stoi bardzo blisko mnie i się gapi.

- Łapy przy sobie, chłopie - mówię. Po jego oczach widać, że nieźle zamieszał dragi z alkoholem. Może Klonopin albo Xanax, by się uspokoić po Adderallu.

- Wilcox! Weźże się nie zachowuj jak jakiś natręt, człowieku — mówi Tad.

- Taaa, no już Wilcox - mówi Julia. Tad bierze kolejnego kęsa jej pizzy, a ona piszczy i lekko uderza go w ramię, wyglądając na zachwyconą. Czy tak właśnie się zachowuję, gdy jestem pijana? Pewnie tak.

- Weź moją pizzę, Tad - mówię do niego. - Bawcie się dobrze. Ja biorę taksówkę na Brooklyn. Jules, dasz sobie radę?

- Nie ma problemu!

Idę w stronę Broadwayu, dookoła, jak co sobotę wieczór, tłumy imprezujących. To zabawne: gdybym była teraz na samotnym szlaku górskim, byłabym przerażona. Natura, cisza, cienie... Straszne. Ale w wielkim mieście czuję się bezpieczna.

W końcu w niedużej odległości ode mnie dostrzegam wolną taksówkę. Biegnę w jej kierunku i dokładnie w chwili, kiedy otwieram drzwi, jakiś facet wsiada z drugiej strony.

- To moja! - krzyczę moim najbardziej charakternym głosem typu jestem z Nowego Jorku. - To moja taksówka!

- Pierwszy ją zobaczyłem!
- Wysiadówa! Wypad! — krzyczę.

I wtedy muszę się powstrzymać, by nie krzyknąć z zaskoczenia, ponieważ nagle uderza mnie myśl olśnienia, tak zaskakująca, że aż prawie bolesna, rozpoznaję, że to on.

To Aidan.

Ten facet z tamtej ulicy. Ten facet z Brooklyn Bridge. Ten facet, z którym Nowy Jork najwyraźniej krzyżuje moje ścieżki, jakby chciał mi coś powiedzieć.

Mam wrażenie, że serce przestało mi bić.

Mogę zaraz umrzeć.

Ale nic nie szkodzi.

-To ty!

-To ty!

Aidan uśmiecha się szeroko (idealnie, cudownie, serdecznie, och, i jak nikt na świecie), a ja czuję motyle w brzuchu z ekscytacji i zdenerwowania.

- Ależ to nieprawdopodobne!

- Prawie niemożliwe.

- Jedziesz na Brooklyn?

- Jedyne i wyjątkowe.

- Powiem taksówkarzowi, żeby zatrzymał się na Brooklyn Bridge, żebyś mogła wskoczyć na dach.

- Umowa stoi.

Aidan nachyla się, by pokierować taksówkarza, podczas gdy ja z obłądem w oczach przeszukuję swoją torebkę w poszukiwaniu miętówki. Założę się, że pachnę jak pizza i papierosy. Niech to szlag. Moją klatkę piersiową przebiega uczucie strachu jak wtedy, gdy sobie człowiek przytrząskuje palec szufladą. Aidan! Znowu! O, mój Boże!

Aidan spuszcza szybę i patrzy na mnie z uśmiechem. Długie nogi w ciemnych džinsach i ciemna koszula, bez marynarki, włosy ma w jeszcze większym nieładzie niż pamiętam, ale zmierzwiłone w atrakcyjny sposób, jednak nie wygląda na to, że

używa więcej kosmetyków niż ja, czy ja gadam jak nakręcona? Tak. Przepraszam. Co powinnam była powiedzieć? Mój głupi mózg jest pusty. O Jezusie, nigdy w życiu nie czułam się tak zdenerwowana.

- No tak - mówi. - Najwyraźniej mnie śledzisz.

- Najwyraźniej - mówię. Zastanawiam się, ile ma lat. Jest trochę przed trzydziestką? Szybko zmieniam ustawienie swoich nóg tak, by nie było ryzyka, że pojawi się jakiś cellulit (tak, to zupełnie normalne zachowanie).

- To tylko podkreśla jeszcze moją teorię, że Nowy Jork to mała wioska - mówi Aidan. - Prędzej czy później spotkasz wszystkich.

- To bardzo głęboka myśl.

- Jestem bardzo głęboką osobą. Nieprzeniknioną.

- Tak, widzę. Jesteś takim małym filozofem w koszuli z Au-bin&Wills. A tak przy okazji, jakie to oryginalne w twoim wydaniu. Czy dostaje się je razem z brytyjskim paszportem czy coś w tym stylu?

- Nie podoba ci się ta koszula? To był prezent od mojej siostry. Ta koszula nic złego ci nie zrobiła.

- Niby tak, ale coś planuje. Widzę to wyraźnie.

Nastaje cisza. Ta zalotna i błyskotliwa wymiana zdań jest taka wyczerpująca! Pocę się, prawie nie mogę złapać tchu, a mój mózg przeskakuje z tematu na temat. Zastanawiam się, gdzie jest jego rozkrzyczana dziewczyna, ciekawe, czy o mnie myślał, ciekawe gdzie mieszka, zastanawiam się, czy mój anty-perspirant nadal działa, czy...

Nagle Aidan odwraca się do mnie i się uśmiecha; tę małą bliznę na jego wardze oświetlają światła miasta za oknami, a ja potrafię się jedynie uśmiechnąć.

- No, to opowiedz mi, jak ci minął wieczór.

- Yyy, byłam na imprezie urodzinowej mojej przyjaciółki. W barze karaoke. Śpiewałam *99 Luftballons*.

- *Luftballons*? To znaczy, że śpiewałaś po niemiecku?

- Tak - mówię, śmiejąc się z jego reakcji. - To był przypadek. To ulubiona piosenka mojego taty. Jest z Zurychu, a tam mówią po niemiecku...

- Wiem. Jestem inteligentniejszy niż wyglądam.

- O, ja to mam szczęście - odpowiadam. - Przepraszam. Jestem po prostu przyzwyczajona do tłumaczenia tego jako części odpowiedzi na pytanie, skąd jestem.

- Rozumiem. Moja mama jest Argentynką. Mój tato Irlandczykiem. Mieszkaliśmy w L.A., B.A., D.C., i w końcu, gdy skończyłem szkołę średnią, w Londynie, mieście bez akronimu.

- Założę się, że ludzie sądzą, że to skomplikowane.

- Tak, ale takie nie jest. Nie jeśli jest się tym, który to wszystko robił.

- Dokładnie! - wykrzykuję. O rany, uspokój się, Pia. - Wydaje mi się, że przez całe życie nic tylko wyjaśniam ludziom, że przeprowadzanie się po kolei do sześciu krajów, nim się skończy siedemnaście lat, jest naprawdę nudne.

- Mamy z siostrą takie powiedzenie: wszystko jest normalne, jeśli jest normalne dla ciebie.

To idealny komentarz do całej tej sytuacji, myślę sobie. On to rozumie, naprawdę rozumie.

Spoglądam przez okno i z przerażeniem stwierdzam, że wjechaliśmy już na Brooklyn Bridge. Nasza podróż jest praktycznie zakończona. Zastanawiam się, czy w tej chwili, nim dojedziemy do Rookhaven, mogłabym wskoczyć na niego i zacząć go całować i nie wyjść na stukniętą puszczalską. Prawdopodobnie nie.

Spoglądam na Aidana i napotykam jego wzrok. Przez krótką chwilę wydaje mi się, że znów ma zamiar powiedzieć coś zabawnego, ale zamiast tego po prostu wysyła mi złośliwy uśmiešek i teraz czuję, jak bije mi serce i skręca mnie w żołądku, och, Boże, nie mogę nic powiedzieć, to istna męka...

Gdy zjeżdżamy z mostu, Aidan odchrząkuje.

- Jesteś głodna?

- Prawie zawsze.
 - Dobrze, to robimy krótki postój. Pochyla się i grzecznie mówi do kierowcy. - Przepraszam pana, ale zmieniliśmy plany - proszę nas zawieźć do Park Slope, na Fifth Avenue i Ninth Street.
 - Park Slope? - powtarzam. - Poważnie?
 - Daisy's Diner - mówi Aidan, uśmiechając się do mnie szeroko. Mam ochotę polizać jego zęby.
 - Podają tam frytki disco.
 - Frytki disco?
 - Frytki z serem i sosem. Zawsze je kupuję, a do tego gril-lowaną kanapkę z serem i bananowo-truskawkowego szejka z podwójnym bananem.
 - Podwójnym bananem? — uwielbiam sposób, w jaki wymawia słowo „banan”.
 - Zwyczajny szejk bananowo-truskawkowy nie jest dla mnie wystarczająco bananowy, więc proszę ich, by zrobili go z dwóch bananów. - Milknie na chwilę. - Albo podwoili dawkę sztucznego smaku bananowego. Cokolwiek do niego dodają.
 - Brzmi absolutnie ohydnie. Ja też chcę.
 - Czy jesteś jedną z tych dziewczyn, które jedzą wyłącznie sushi? Proszę powiedz, że tak nie jest.
 - Nie, jestem jedną z tych dziewczyn, która udaje, że je jak facet, by zrobić na nim wrażenie.
 - Ja też jestem jedną z tych dziewczyn!
 - No to chyba zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.
 - Chyba tak - odpowiada i na sekundę nasze oczy spotykają się, a moje serce zaczyna walić bumbubum.
- Właśnie mam otworzyć usta, by powiedzieć, Bóg wie co, gdy dzwoni jego telefon. Spogląda na niego i natychmiast odbiera.
- Em?

Zamieram, a w mój żołądek uderza kula strachu. Dziewczyna! Czy to ta sama dziewczyna, którą widziałam z nim na ulicy? Jego obecna dziewczyna? Była dziewczyna? Zona? Była żona? Sprawdzam szybko. Nie ma obrączki, ale...

- Dobrze, Emma, uspokój się, kochanie. Och Boże, jednak ma dziewczynę...

Słyszę trochę roztrzęsiony głos kobiety, z którą rozmawia.

- W porządku, dobrze, już jadę - mówi. Wygląda za okno. Jesteśmy prawie przy Park Slope. - Tak, tak, już jadę. Już. Będę u ciebie za dziesięć minut. Tak, tak, tak, też cię kocham.

Aidan rozłącza się i nachyla się w stronę kierowcy.

- Czy może się pan zatrzymać? To nagła sprawa... - odwraca się do mnie. — Przepraszam, pewnie uważasz mnie za gbura.

Nie, wcale nie, uważam, że jesteś cudowny i zajęty, i poza moją ligą, i wcale mną niezainteresowany, nigdy nie czułam czegoś takiego do nikogo, i nie wiem, co mam robić, myślę odrętwiała. Ale nie mówię tego. Oczywiście.

Zamiast tego, próbuję zachować spokój i mówię:

- Rozumiem. Ktoś jeszcze potrzebuje pomocy na moście, co? Uśmiecha się, a za chwilę znów wygląda na rozkojarzonego.

- Proszę, niech pan ją zabierze na Union Street - mówi do taksówkarza, wysiadając szybko i zamykając za sobą drzwi. Przesuwam się w kierunku szyby, patrząc na niego, jak pisze SMS-a.

Czy to wszystko? Czy nie poprosi mnie o numer? Czy to ja powinnam go poprosić? Przez ułamek sekundy myślę o tym, że zaraz znów zniknie z mojego życia i czuję ból brzucha ze strachu.

Ale przecież ma dziewczynę. Muszę wziąć się w garść! Aidan pochyła się i podaje kierowcy dwadzieścia dolarów.

- Nie, nie, ja zapłacę! - protestuję. Aidan kręci głową.

- Nie ma mowy, Pia. To mój jedyny sposób, by wynagrodzić ci to, że cię wystawiłem... Ale co robisz w następny czwartek?

-Ja... - Co mam powiedzieć? Właśnie idzie się spotkać z inną dziewczyną i zaprasza mnie na randkę? Właśnie teraz po raz pierwszy wypowiedział moje imię. Brzmi tak uroczo.

- Spotkajmy się w Minibarze o ósmej - mówi Aidan. - Proszę.

-Yyy...

- No, proszę. Jesteś mi teraz dłużna za dwie taksówki!

- Yyy, muszę to przemyśleć, daj mi swój numer.

- Nie. Żadnych numerów, żadnych maili, żadnych SMS-ów, żadnego przedrandkowego googlowania nazwisk czy nieznomych rozmów na Facebooku. Po prostu... Przyjdź. I zobaczymy, co dalej.

Nasze oczy się spotykają. A ja wiem, że istnieje tylko jedna możliwa odpowiedź.

- Z przyjemnością.

Potem taksówka odjeżdża, a on znika. Znowu.

Czy ja się właśnie umówiłam z facetem, który w tej chwili idzie zobaczyć się z inną? Jak stuprocentowa idiotka! No dobrze, może i byłam sparaliżowana ze zdenerwowania i podekscytowania, i nie mogłam trzeźwo myśleć przez dobry staromodny pociąg seksualny. Ale to nie jest żadna wymówka... Czy on jest jakimś dupkiem, który myślał, że uszczęśliwi mnie tanim i bezsensownym wieczorem przy frytkach disco? Nie wyglądało na to.

Ale przecież, założę się, że nigdy na to nie wygląda. Założę się, że każda dziewczyna, która przez przypadek staje się „tą drugą” dla jakiegoś dupka, mówi, że nie wyglądało to na coś taniego i bezsensownego. Powinnam zapytać Angie. Ma największe doświadczenie w tym temacie (nie obrażam jej, ale wiecie przecież, że raczej ma).

Czy spotkam się z nim w przyszły czwartek w Minibarze czy nie? Wizja zobaczenia go znowu w atmosferze prawdziwej

randki sprawia, że jestem nieznośnie zdenerwowana, czuję ucisk w żołądku... Co? Ekscytacja? Strach? Jedno i drugie. To wszystko sprawia, że prawie chcę uciekać.

Ryzyko zranienia.

Eddie.

Ale ja wcale nie jestem taka, jak o mnie myślał Eddie. Potrafię wytrwać w prawdziwym związku. I jestem nową, udoskonaloną Pią, więc do cholery, czy to nie powinno oznaczać, że mam dać szansę Aidanowi dlatego, że czuję coś, czego nigdy wcześniej nie czułam?

Och, Boże, sama nie wiem. Czasami myślę, że jeśli się odpowiednio postaram, to potrafię samą siebie przekonać do wszystkiego.

Wysiadam z taksówki, a potem obracam się i idę w kierunku Rookhaven. Nie mogę się nie uśmiechnąć na widok małej Toto, która stoi sobie wesoło przed budynkiem. Zazwyczaj w soboty wieczór parkuję w hangarze dla restauracji mobilnych, ale jutro rano mam zamiar namalować na jej bokach szczegóły dotyczące Zgrabnych Oponek na Twitterze i Facebooku, więc pomyślałam, że zaparkuję na zewnątrz.

I wtedy coś zauważam: coś jest nie tak.

Już nie jest różowa. Ktoś pomazał ją po bokach krwiście czerwoną farbą, przedziurawił opony, rozbił światła i wybił szyby, urwał wycieraczki tuż u nasady.

Moja biedna kochana Toto została zniszczona tak, że wygląda jak krwista miazga.

Rozdział 18

Kolejny dzień zaczyna się zaskakująco wcześnie, pukaniem Coco do drzwi mojego pokoju.

- Pia? Pia? Pia? Śpisz? -Nie... Tak. Nie.

- Potrzebuję twojej pomocy. Muszę... Wziąć tę pigułkę.

- Advil? Poszukaj u mnie na półce w łazience - mamroczę. O czym to ja śniłam? O Aidanie. O tym, że leżę z nim w łóżku, chichoczę i jest mi tak ciepło, miło i błogo... Ale wczoraj w nocy zdarzyło się coś złego. O Boże, moja ciężarówka. Toto. Ktoś zniszczył Toto. To pewnie Bianca, prawda? Albo ten facet z Daj mi Banh Mi? Albo Madeleine i Mike? Dlaczego mam wrażenie, że jest tyle osób, które chciałyby mnie zranić? I och, Boże, Aidan zaprosił mnie na randkę! Jest taki wspaniały, ale...

I wtedy Coco znów zaczyna mówić.

- Nie... Tę drugą. Tę po seksie. Bez zabezpieczenia. Otwieram oczy.

- Co? Chodź tu.

Coco wchodzi ukradkiem, wciąż ma na sobie wczorajsze ubranie i wyraźne ślady po niezłej randce: spierzchnięte wargi i czerwony otarty podbródek.

- Nie mogłaś poprosić, by się ogolił?

- Przepraszam - mówi Coco piskliwym i rozedrganym głosem. - Nie wiem, do kogo mam się zwrócić o pomoc, Julia nigdy by tego nie zrozumiała, a...

- W porządku, nie ma sprawy! - odpowiadam. O Boże, biedna Coco. - Opowiedz mi wszystko. Jestem całkowicie obudzona, w stu procentach.

Coco uśmiecha się, ale słycać tylko zdławiony szloch.

- Czuję się tak okropnie. Byłam taka pijana, że nawet nie pamiętam, jak to się zaczęło, a potem jakoś bardzo szybko wytrzeźwiałam. Nawet na mnie nie patrzył podczas, yyy, tego. Ani razu. Potem tam leżałam, gdy on zasnął, a potem się ubrałam. W lustrze widziałam, że ma otwarte oczy, ale gdy się obróciłam, udawał, że śpi.

- Co za dupek - mówię, przesuwając się na łóżku tak, by obok mnie leżała pusta poduszka. - Chodź, połóż się tutaj.

Kładzie się obok mnie i wpatruje w sufit. - I musiałam wyjść, a nie wiedziałam, gdzie jestem, i...

- Czyje to było mieszkanie? — pytam. Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, powiedział, że należy do kumpla, który wyjechał z miasta. Nie mogę uwierzyć, że zrobiliśmy to w łóżku kogoś obcego. To znaczy, że nawet nie było świeżej pościeli, a w łazience nie było papieru toaletowego ani mydła, to była taka, taka pieprzona speluna... - po jej policzkach spływają łzy.

Chyba nigdy nie słyszałam, jak Coco przeklina.

- Oj, kochanie, tak mi przykro - nachylam się, biorę pudełko chusteczek i podaję jej jedną. - No dobrze, cóż, a czy przynajmniej było miło? To znaczy, seks? - pytam. Tak. Spróbujmy się skupić na pozytywach.

- Ja nie - zaczyna, potem się poprawia. - Hm, było, do pewnego momentu było bardzo, uh, miło, a potem już nie - bierze długi, urywany oddech. - Nawet nie traktował mnie jak... No nie wiem, myślałam, że się przyjaźnimy. Wiem, że to

głupie. Och, Pia, nigdy w życiu nie było mi tak niedobrze, boli mnie brzuch - milknie, a z jej oczu płyną łzy.

- Wszystko w porządku, takie rzeczy dzieją się ciągle i nie ma się, czym przejmować — mówię, przybierając pokrzepiający ton osoby doświadczonej. — Każdemu zdarza się umówić z niewłaściwą osobą, a potem człowiek żałuje, że to się stało, to okropne uczucie, ale to nie ma znaczenia. Z perspektywy czasu to nie ma znaczenia.

-Ale on... on doszedł we mnie - mówi Coco, wyglądając tak, jakby miała zwymiotować. - Nawet nie spojrzał mi w oczy, a ja wyobrażałam sobie, jak to będzie wspaniale, a zamiast tego po prostu czułam się, o Boże, nie zniósę tego, muszę zwymiotować...

- Ciiiiii - mówię, gładząc ją po włosach. - Nie musisz sobie nic zarzucać. Jest twoim kumplem, podobał ci się przez tyle czasu, nie mogłaś przypuszczać, że nie będzie tak, jak tego chciałaś. Nie zrobiłaś nic złego. To on jest idiotą, Coco.

- A co jeśli będę miała AIDS? Albo jakąś inną chorobę?

- Nie masz AIDS - i raczej wątpię, by miał na tyle sposobności, by zarazić się jakąś chorobą weneryczną i nieświadomie zarażać innych.

Coco za bardzo płacze, by móc odpowiedzieć. Leżę obok niej, głaszcząc ją po włosach, a ona wypłakuje pozostałości swojego makijażu w moją poduszkę.

Erie pojawił się wczoraj wieczorem tylko w jednym celu: żeby zaliczyć.

Co za dupek.

Patrzę na uroczą, ufną Coco, płaczącą cicho obok mnie i nagle czuję taką wściekłość, że mam ochotę znaleźć tego Erica i na niego nawrzeszczeć. Może dać mu kilka razy po twarzy. To po prostu nie do przyjęcia, by wykorzystywać kogoś, kto nie może się bronić.

Ale jedyne, co mogę zrobić, to pomóc Coco.

- I nie miałam żadnych pieniędzy na taksówkę, więc do domu musiałam wracać metrem, a byliśmy na Washington Heights, więc trwało to całe wieki, i wszyscy się na mnie gapili, i była tam też taka kobieta z psami, która mówiła przez cały czas zdzira...

- Już wystarczy - mówię, przerywając jej, zanim znów zacznie płakać.
- Która godzina?

- Około dziewiątej - mówi Coco, patrząc na zegarek. - Nie mogę znieść tego uczucia, Pia. Nie mogę.

- Coco, przestań się zadręczać - mówię. - W tej chwili. Wszystko się ułoży - uprzejmie, ale stanowczo, tylko w taki sposób można zadziałać w tej chwili. - Weź prysznic. Potem nałóż to - podaję jej moją maseczkę Lancome Hydra-Intense. - Wymyślono ją dokładnie na takie otarcia, jakie masz. A potem pójdziemy na śniadanie i o tym porozmawiamy. Wszystko będzie dobrze.

- I kupimy tę tabletkę - dodaje Coco.

- I kupimy tę tabletkę - potakuję. - Pamiętaj, że to uczucie nie będzie trwało zawsze. Każdy się czasem źle ze sobą czuje, ale to mija. Zawsze mija. Po prostu przebolej to, a będziesz dzięki temu mądrzejsza i silniejsza.

- Ale ja naprawdę... myślałam, że go kocham.

- To nie miłość - mówię do niej. - Miłość jest łatwa. Jeśli jest trudna, to znaczy, że robimy coś nie tak.

Czy sama w to wierzę? A co ja u licha o tym wiem? Jedyne mężczyzna, jakiego kochałam, rzucił mnie i powiedział, że powinnam się była tego spodziewać, że to praktycznie była moja wina. Och, Boże, nie myśl teraz o Eddie'm.

- Wiem - Coco w końcu się uspokaja. - Dobrze. Idę pod prysznic.

- I pamiętaj, trzeba pocałować wiele żab, zanim się znajdzie swojego księcia. A wierz mi Coco, w moim życiu było wiele żab.

Chichocząc, Coco wychodzi pospiesznie z mojego pokoju, a ja kładę się na poduszce.

Biedna Coco.

I biedna Toto. Naprawdę muszę dziś naprawić moją zniszczoną ciężarówkę. Kto jej to zrobił? Potrzebuję czasu, by się dowiedzieć.

Ale Coco też mnie potrzebuje.

Dobrze: Toto może poczekać. Gdy już pomogę Coco, zadzwonię do kogoś z tych warsztatów na drugim końcu Union Street i zapytam, czy mogą jakoś naprawić Toto.

Ciekawe, kto to zrobił? Facet od Daj mi Banh Mi nie wie, gdzie mieszkam. Madeleine i Mike nie mieliby czasu, by to zrobić. (Uh, nie mam absolutnej ochoty widzieć Madeleine po wczorajszym swoistym odsłonięciu kart.) Więc zostaje Bianca.

Hmra.

W ciągu godziny idziemy z Coco do apteki CVS na Court Street. Jest nadzwyczaj ciepło, a ja mam na sobie krótką rozkloszowaną koralową spódniczkę, moją ulubioną białą koszulę z podwiniętymi rękawami i brązowe skórzane sandały, które kupiłam w Grecji kilka lat temu. Mówię wam o tym, ponieważ, dla kontrastu, Coco założyła na siebie dzinsy i kilka bluzek z długim rękawem, które wyglądają na niej, jakby chciała się ukryć przed światem.

— Tak się denerwuję. Jak mam o to poprosić? Co oni sobie o mnie pomyślą?

— Wierz mi, skarbie, że dziś rano było tu po to samo już jakieś osiemnaście dziewczyn - odpowiadam jej. - To nic takiego, rozumiesz? To normalne.

Ale gdy zbliżamy się do CVS, Coco dosłownie zaczyna się trząść.

- Nie mogę o to poprosić. Nie mogę.

- Nie ma problemu - odpowiadam. - Ja to zrobię. Zaczekaj tu tylko, a ja wrócę za pięć minut. Dobrze, skarbie?

Mam dziś cholernie matczyne podejście, prawda?

Pamiętam, gdy pierwszy raz kupowałam pigułkę po. Prezerwatywa pękła. Prezerwatywy często pękają, jeśli facet nie wie, co robi. To taka mała wskazówka. A nie dlatego, że jego penis jest za duży, jak to niektórzy lubią myśleć.

Uśmiechając się do aptekarza z udawaną pewnością siebie, pytam:

- Czy mogę poprosić o Plan B?

Aptekarz podaje opakowanie bez mrugnięcia powieki. Dzięki Bogu. Raz Angie kupiła Plan B od farmaceutki z przypiętą do fartucha plakietką z rybą Jezusa, która zaczęła ją pouczać o zachowaniu wstrzemięźliwości seksualnej, więc Angie „niechący” przewróciła słoik z balsamami do ust.

Zapłaciwszy, wychodzę na zewnątrz do Coco, która ukrywa się na klatce schodowej kawałek dalej.

- Proszę bardzo - mówię do niej.

- Jesteś taka odważna! — bierze torebkę, jakby w środku była bomba.

- Założę się, że ciebie nic nigdy nie przeraża.

- Chodźmy na śniadanie. Nie powinnaś brać tego na pusty żołądek.

- Czy po tym zwymiotuję?

Pamiętam, jak zażyłam to po raz pierwszy, ten pienisty sztorm wymiocin. Wychowawczyni z internatu, złośliwa suka zwana panią Ellis, myślała, że mam bulimię albo że wzięłam narkotyki. Dopiero by szalała, gdyby dowiedziała się prawdy.

- Być może.

- O Boże, czujesz? Od lat ich nie próbowałam - mówi Coco tęsknym głosem, gdy mijamy Dunkin' Donuts. - Są takie tuczące.

Biorę ją pod ramię i wchodzimy do środka.

- Dziś możesz robić, co tylko chcesz.

- A czy to nie jest wbrew zasadom Zgrabnych Oponek czy coś w tym stylu?

- Wszystko jest dozwolone, jeśli zachowamy umiar. Ideą Zgrabnych Oponek jest to, by nie przeginać w żadnym kie-

runku — przypominam jej. - Chodzi o dokonywanie wyboru i o równowagę i - Dzień dobry! Poproszę o pięć karmelowych Coolattas i jednego pączka z różową polewą, dla mnie, a dla panienki Coco?

- Pączka z kremem bawarskim - mówi bez zastanowienia. - I weźmiemy też... wiesz co, wezmę dwanaście różnych pączków na wynos i jeszcze pięć piegusków z czekoladą - mówię do Coco. — Mała urodzinowa niespodzianka na kaca dla Julii.

- Uwielbia słodczyce tak samo jak ja - mówi Coco.

- Słodczyce oznaczają miłość, czy nie to zawsze powtarzacie?

- Tak mówiła nasza mama - odpowiada Coco, wzruszając ramionami.

Gdy wychodzimy z Dunkin' Donuts, widać, że Coco coś dręczy. Odchrząkuje, jakby chciała coś powiedzieć, a potem zamiast tego wdycha „hmmm”. W końcu wyrzuca to z siebie:

- Kiedy ty wzięłaś pigułkę po?

- Uh, na studiach, dwa razy. Zaraz po przygodnym seksie... I raz w szkole z internatem.

- Chodziłaś do wielu szkół średnich, prawda?

- Tak - odpowiadam. Nagle, po raz pierwszy w życiu, mam ochotę o tym rozmawiać. Może słuchanie o tym, że inni też mieli problemy z podejmowaniem właściwych decyzji, sprawi, że Coco poczuje się lepiej? - Wyrzucili mnie dwa razy. Pierwszy raz za ściąganie. Tak bardzo się bałam wrócić do domu i pokazać rodzicom złe wyniki z testu. Przyznać, że ściągałam podczas egzaminu końcowego i mnie złapali. A za drugim razem wyrzucili mnie za, urn, za kokainę.

Coco jest zszokowana.

- Byłaś narkomanką? Prawie wybucham śmiechem.

- Nie! Byłam głupia, to wszystko. Zadawałam się z uczniami ze starszych klas, mój chłopak Jack był trochę narwany,

wiesz, i wszyscy brali... Więc zgodziłam się, by ukrywać całą tę kokę w moim pokoju w internacie. Mówił, że skoro jestem młodsza i nowa, to nie będą przeszukiwać mojego pokoju... ale przeszukali. I to wszystko.

- To takie niesprawiedliwe.

- To była moja wina. Nie pomyślałam o konsekwencjach

- milknę pochłonięta wspomnieniami. - Nienawidzę tamtej dziewczyny, która to wszystko zrobiła. Nienawidzę jej.

- Czy to Jack był tym facetem, z którym wzięłaś tą pigułkę po? Czy był twoim pierwszym?

- Moim pierwszym czym? A! Nie, to był Eddie. On chodził do mojej ostatniej szkoły z internatem. Eddie był moim pierwszym - jedynym - poważnym chłopakiem. Jack się ze mną spotykał dla zabawy.

- A co się stało z Eddie'm?

- Rzucił mnie - nie dam rady powiedzieć jej wszystkiego.

- Faceci są takimi dupkami.

- Potrafią być.

Nagle myślę o Mike'u. Spałam z nim, a potem zwyczajnie zignorowałam. Tak jak Erie zrobił to Coco. Kim zatem jestem ja?

- Uważam, że nie powinni byli cię wyrzucać ze szkoły

- mówi Coco, biorąc mnie pod ramię. - Jesteś taką dobrą osobą. Jedną z najlepszych, jakie znam. Zawsze mi lepiej, gdy jestem z tobą. Powinni byli być dumni, że chodziłaś do ich szkół.

Uśmiecham się do niej i wszystko nagle robi się niewyraźne. Cholera, ktoś jest dla mnie miły, a ja znowu płaczę. Mijamy Carroll Park.

- Chodźmy tutaj, usiądziemy sobie.

- Dobrze!

Mam wrażenie, że niezależnie od tego, co bym zaproponowała, Coco odpowiedziałaby „dobrze!” tym swoim wesołym cichym głosikiem.

- O proszę baaaaardzo! - słyszę znajomy głos z teksańskim akcentem. Jonah! Wyciągnięty na ziemi obok swojego roweru i torby Dunkin' Donuts, ubrany w różowe Crocsy.

- Czy nosisz je dla zgrywy? - pytam. - Ponieważ to nie jest wystarczająco oczywiste.

- Dzięki nim moje stopy są szczęśliwe, księżniczko - odpowiada, uśmiechając się do mnie.

- Pamiętasz Coco, prawda? - pytam.

- Oczywiście - mówi Jonah. - Panienko Coco, siadaj proszę tutaj i porozmawiajmy o pączkach.

Coco natychmiast siada na ziemi obok niego. Wszyscy jakoś od razu czują się przy nim na luzie. Ciekawe, czy to przez ten jego teksański akcent.

- Z kremem waniliowym i lukrem? - wyciąga swoją torebkę w stronę Coco.

- Mam swojego z kremem bawarskim - odpowiada wesoło Coco. - Kiedyś też lubiłam te z kremem waniliowym, ale potem...

I tak sobie rozmawiają o nadzieniach i polewach. A ja zamykam oczy i zwracam twarz ku słońcu, by poczuć jego ciepło. Świeci tak jasno, że ma się wrażenie, jakby to było lato, a nie jesień.

Kończę swojego pączka i znów przysłuchuję się rozmowie.

- ... i poszliśmy na karaoke, a potem Pia wróciła do domu i odkryła, że ktoś zniszczył Toto!

- Nie mówisz poważnie - mówi Jonah. - O rany, ale nieciekawa sprawa. Kto mógł ci to zrobić?

- Kto to wie... - odpowiadam. Jestem prawie pewna, że to krwawa odpowiedź zdzirowatej Bianci na moją zemstę, ale nie mam zamiaru o tym mówić, dopóki nie będę pewna.

- Jeden z moich kumpli ma znajomego, który pracuje w warsztacie. Zadzwoń do niego, możemy to naprawić.

- Nie trzeba, ja się tym zajmę - odpowiadam. - Tylko dlatego że mam dwadzieścia dwa lata i jestem dziewczyną nie znaczy, że jestem idiotką.

- Naprawdę? - mówi Jonah, powątpiewając. - Nie jestem tego taki pewien.

Rzucam w niego kawałkiem pączka, a on go łapie ustami.

- Mogę się tym zająć dla ciebie, mała.

- Dzięki, ale ja potrafię się tym zająć sama - odpowiadam.

— Mój interes, mój problem.

- Hej! A ja nadal się totalnie wkręcam w ten pomysł z Zaklinaczem Pszczół. Wiesz, otworzenie firmy, bycie sobie szefem... Kiedy mi pomożesz?

- Kiedy zechcesz - odpowiadam. - A co do tej pory zrobiłeś w tym kierunku?

- Uh... nic - odpowiada Jonah, śmiejąc się. - Znasz mnie skarbie. Jestem typem luzaka.

- Myślę, że aby zacząć swój własny biznes, trzeba być trochę bardziej zdeterminowanym, Jonah - mówię do niego. - Nikt nie spełni twoich marzeń za ciebie.

Wow, ale walnęłam głęboką myśl.

- To brzmi jak ciężka praca - mówi Jonah.

Właśnie tak bym pomyślała kilka miesięcy temu. Ale teraz już od kilku tygodni praca przy Zgrabnych Oponkach mnie pochłania. Gdyby tak nie było, nigdy bym się nie odbiła od ziemi. I cenię sobie każdą minutę spędzoną nad rozwijaniem tej firmy.

- Jeśli coś jest twoją pasją, to nie jest ciężka praca. Nagle, i być może po raz pierwszy odkąd go poznałam,

Jonah wygląda poważnie.

- Cóż, jedyną pasją, jaką mam, jest aktorstwo, mała.

-Więc na tym się powinieneś skupiać. No dobrze, najadłam się jak prosię, mam dość - mówię, wstając i otrzepując okruszki z pączka. - Toto sama się nie naprawi.

Jonah uśmiecha się do mnie i puszcza oko do Coco.

- Siemanko!

Coco chwyta mnie radośnie za ramię, gdy wychodzimy z Carroll Park.

- On jest fajooooowy!

Rozdział 19

- Dzień dobry dzieci - mówi Angie, wchodząc do salonu.
- Jest trzecia po południu - mówi Julia. - A ty masz na nosie okulary przeciwsłoneczne.

-Wiem. Wróciłam do domu dopiero o szóstej rano. Oooch, pączki. Zostało trochę z podwójną czekoladą?

Jest niedzielne popołudnie i Coco, Julia i ja oglądamy *EINews* lub, jak Coco je nazywa, *The News*.

- Spójrzcie na ramiona tej kobiety. Ta to dopiero powinna zjeść cholernego pączka.

- Wygląda jak modliszka - mówi Angie z pełnymi ustami. Julia wybucha głośnym śmiechem.

- Rzeczywiście!

- Ciii, dziewczyny - mówi Coco.

Próbuję nie myśleć o tym, że za kilka godzin przyjdzie tu Nicky, ani o tym, ile będzie kosztowała popołudniowa naprawa Toto w warsztacie, ani o tym, że Bianca zniszczyła mi ciężarówkę, czy że Madeleine znów jest na mnie zła. Ale przynajmniej przygotowałam wszystko do pracy w Zgrabnych Oponkach i uaktualniłam konta na Facebooku i Twitterze.

Zamiast tego, myślę o Aidanie i o naszej wczorajszej przejażdżce taksówką. I o uśmiechu Aidana i jego udach, i jego

ustach, i jego oczach, i jego głosie, i dłoniach, i jego akcencie, i o tym, jak się uśmiechał, gdy flirtowaliśmy, i...

Cicho, Pia. Nieważne, czy mu się spodobałam. On ma dziewczynę. Jest poza zasięgiem. Nigdy nie zakochuj się w facecie, który jest zajęty. Popełniłam w życiu wiele błędów, ale nigdy nie popełniam tego. Dla mnie to jak reguła prawna. To znaczy, przynajmniej ogólna zasada. Wskazówka. Ważna uwaga. I catam jeszcze. To zły pomysł.

Więc dlaczego rozważam możliwość spotkania się z nim na drinka w czwartek? Mój rozum powtarza „głupi krok”, ale moje serce mówi: „Co ci twój rozum kiedykolwiek dał, skarbie?”. W każdym razie, mamy słuchać serca czy rozumu? Nigdy tego nie pamiętam.

Prezenter w telewizji mówi dramatycznym głosem o tym, że jakaś gwiazdka ma problem z narkotykami. - *Czy ona zmierza ku kompletnej katastrofie?*

Coco odwraca się do nas, z oczami otwartymi szeroko z ekscytacji, przejęta powagą sprawy.

- Absolutnie tak!

Wygląda na to, że Coco już zapomniała o sprawie z Planem B i Erickiem z dzisiejszego poranka albo po prostu też jest dobra w ignorowaniu rzeczy, o których nie chce myśleć.

- O cholera, miałam wam powiedzieć. Musicie dziś zapłacić za czynsz - mówi Julia.

- Czynsz? - powtarzam.

- Tak, czynsz - odpowiada Julia. Ma chrypkę: dość długo balowała z Wilcoxem i Tadem. Nie było żadnego tete-a-tete, ale i tak jest w dobrym humorze. Mówiłam wam, że męska uwaga ma uzdrawiającą moc.

- Tato mówi, że ty i Angie nie przelałyście pieniędzy w zeszłym tygodniu. Ale by to ułatwić, zaproponował, że możecie mi dać te osiemset pięćdziesiąt dolarów w gotówce, a ja je mu przekażę dziś wieczorem podczas mojej urodzinowej kolacji.

- Uh... — jak mogłam zapomnieć o czymś tak ważnym jak czynsz?

- Po prostu wypisz czek - mówi Julia, wzruszając ramionami. Dostaję bólu brzucha od tego dobrze mi znanego strachu, że zabraknie mi pieniędzy. Nie mogę wypisać czeku, na moim koncie nie ma wystarczającej sumy.

Nie mogę jednocześnie zapłacić czynszu i oddać odsetek Cosmo.

Wczoraj miałam trzy tysiące dolarów gotówki! Ale potem, po niezliczonej ilości drinków w barze z karaoke, niewielkiej inwestycji we własny wygląd, prezencie dla Julii i bardzo drogiej wizycie w warsztacie samochodowym ze zniszczoną Toto, zostało mi tylko tysiąc trzysta dolarów.

Czynsz to osiemset pięćdziesiąt dolarów.

A rata dla Cosmo to tysiąc.

Jeśli zapłacę za czynsz, zostanie mi tylko czterysta pięćdziesiąt dolarów dla Cosmo. Jeśli zapłacę Cosmo, to zostanie mi tylko trzysta dolarów na czynsz. Muszę wybrać między zapłatą dla Julii, a zapłatą mojemu lichwiarzowi.

Cholera.

Angie wyjmuje dziewięćset dolarów w banknotach z torebki i podaje je Julii.

- Resztę możesz mi oddać przy okazji. Przepraszam, że zapomniałam zapłacić przelewem. Czy zamiast tego mogę co miesiąc płacić gotówką?

- Nosisz przy sobie dziewięćset dolarów w gotówce? Czy ty jesteś jakimś mafijnym bossem? - pyta Julia. - I myślę, że mój tato wolałby, żeby przelewy szły automatycznie, żeby nie musiał się tym zajmować - marszczy czoło, drapiąc się po piersi.

- Cholera, chyba mi lukier wpadł do stanika.

- Myślałam, że Rookhaven należy do was - mówi Angie.

- Jest w naszym majątku powierniczym. Tato zajmuje się kosztami ogólnymi i opłatami za hipotekę - mówi Julia.

- Odziedziczymy Rookhaven po połowie, gdy Coco skończy

dwadzieścia jeden lat. Aj, mówię wam, serio. Moja pierś naprawdę swędzi.

- Czy muszę zapłacić dzisiaj? - pytam.

- Tak - odpowiada Julia z jedną ręką głęboko w staniku.

- Tato zaprosił Coco i mnie na kolację z okazji moich urodzin, więc spotykamy się dziś wieczorem.

- Czy mogę zapłacić trochę później w tygodniu?

- Skarbie, przecież termin minął jakieś dziesięć dni temu. I tak będziesz musiała zapłacić jeszcze raz za kilka tygodni, więc dlaczego nie załatwić tego teraz?

- No tak, Pia, musisz mieć już teraz mnóstwo kasy - mówi Angie. - Widziałam, ile zarabiasz w ciągu jednego dnia.

- Większość tej kwoty idzie na składniki i na benzynę, i opłaty, um, ale tak, oczywiście, mam kasę - mówię szybko.

- Jedną sekundę.

Biegnę na górę, wyciągam spod łóżka pudełko na buty, w którym trzymam gotówkę i wyciągam osiemset pięćdziesiąt dolarów. Cosmo był miły, przypominam sobie. Wie, że nie nawalę. Po prostu zapłacę więcej w kolejnym tygodniu. Nie mogę zawieść Julii.

Przez chwilę wyobrażam sobie nadziane sterydami ramiona Nicka i jego obojętne oczy rekina. Kręci mi się w głowie.

Uspokój się, Pia. A co on mi może zrobić, pobije mnie? No, nie, no, bądźmy poważni. To jest Brooklyn, a nie... Jakieś miejsce, gdzie ludzie, którzy zwlekają ze spłatą pożyczki, dostają po głowie. Prawda?

Idę z powrotem na dół, wręczam Julii pieniądze za czynsz, a potem wracam do oglądania *E!News*, bezmyślnie pozwalając, by fale wyświetlanych obrazów przepływały jak ocean przez mój umysł. Myślę tylko o reakcji Nicka, gdy powiem mu, że w tym tygodniu nie zapłacę pełnej kwoty. Och, Boże, a do tego jeszcze Toto i zemsta Bianci... Wszystko idzie nie tak. A już myślałam, że moje życie zaczyna się układać...

Jest dobrze! Jest dobrze. Będzie dobrze. Prawdopodobnie. Prawda? Mam nadzieję, że dziewczyny wyjdą, zanim przyjdzie Nicky. Naprawdę nie chcę, by tu były, gdy będę z nim rozmawiała, bo musiałabym wyjawić im prawdę, a pożyczanie dziesięciu tysięcy dolarów od lichwiarza to coś, czym nie można się chwalić. Chociaż naprawdę wydawało się to logicznym rozwiązaniem - moim jedynym rozwiązaniem - w tamtej chwili.

-A... O której macie tę kolację z tatą? - pytam mimochodem, odgarniając włosy Coco, by zwrócić jej uwagę.

-Wychodzimy za jakieś dwadzieścia minut - odpowiada Coco.

Odwracam się do Angie.

- A ty co robisz dziś wieczorem, laseczko?

- Idę na jedną z tych imprez śniadaniowych w Meatpacking District. Miałam się spotkać z jakimiś ludźmi w południe, ale wiesz, było mi tu tak dobrze i miło.

- Jesteś spóźniona sześć godzin na imprezę śniadaniową? Angie wzrusza ramionami.

- I tak tam jeszcze będą.

- Lepiej się pospiesz - mówię, patrząc na moją komórkę. Jest prawie dziesięć po szóstej.

Goryl Cosmo będzie tutaj za mniej niż godzinę.

- A od kiedy to jesteś moją sekretarką od spotkań towarzyskich? - pyta Angie. - Dlaczego tak bardzo ci zależy na tym, bym wyszła z domu?

- Nie zależy mi. Ja, um, idę na górę - nienawidzę, kiedy daję się tak łatwo przejrzeć.

Idę na górę, by się położyć, jest mi niedobrze ze zdenerwowania. Próbuję głęboko oddychać, żeby się uspokoić. Ale to nie działa.

Zaraz, zaraz!

Doznaję nagłego olśnienia!

Mogę sprzedać Toto! Za dokładnie tyle, ile za nią zapłaciłam! Jeśli uda mi się to zrobić dzisiaj, będę mogła już dziś oddać im całą sumę, i będę miała Cosmo z głowy, i jedynym moim zmartwieniem będą rodzice!

Przez głowę przebiegają mi tysiące myśli. Al, ten mechanik, który prowadzi warsztat, gdzie właśnie naprawiają Toto, powiedział, że właśnie sprzedał mobilną restaurację za czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Kupuje je taniej, naprawia i sprzedaje drożej.

Biorę komórkę.

- Warsztat Ala.

- Witam, tu Pia, pamiętasz mnie? Byłam dziś w twoim warsztacie. Zastanawiam się... Za ile byś kupił Toto, to znaczy, moją ciężarówkę?

- Jakies trzy tysiące - mówi od razu. - Może.

- Co? - jestem zszokowana. - Ale ja za nią zapłaciłam dziewięć!

- To przepłaciłaś - mówi Al. Słyszę, jak przeżuwa coś galaretowatego. Fuj.

- Silnik wymaga gruntownej naprawy, wszędzie rdza, pęknięte opony... Najwyżej cztery tysiące.

- Dobrze wiedzieć - mówię odrętwiałym głosem. - Dzięki, Al. Rozłączam się, czując się jeszcze gorzej. Francie mnie orznęła. To by było na tyle, jeśli chodzi o miłe starsze panie. Pewnie od razu mnie przejrzała.

Znów się kładę na łóżko i gapię w sufit.

No to pięknie się załatwiłam.

Drzwi wejściowe kilkakrotnie otwierają się i zamykają. An-gie, Julia i Coco wyszły z domu. Dzięki Bogu. Sprawdzam czas na swojej komórce. Jest 18.40. Chcę już mieć to z głowy.

18:42. Nie mogę przestać patrzeć na zegarek.

18:43. To jak uzależnienie.

18:48. Serio.

Dingdongdingdongdingdong.

Biorę te czterysta pięćdziesiąt dolarów, zbiegam na dół po schodach, serce mi wali jak młotem i otwieram drzwi z największym uśmiechem, na jaki mnie stać. Czuję jak drga mi policzek.

- Nicky!

- Hej - mówi on. Patrzy na komórkę, nie na mnie. Spoglądam na jego ogromne cielsko, jego olbrzymie ramiona i małe patykowate nogi i znów odczuwam strach. Dokładnie o to mu chodzi, jestem pewna.

- Proszę - mówię. Próbuję otworzyć usta, by wyjaśnić, że trochę mi brakuje, ale nie mogę nic powiedzieć. Po prostu wręczam mu pieniądze i ze smutkiem patrzę, jak przelicza.

- Trochę brakuje - mówi Nicky.

- Wiem — mówię szybko. — Oddam w następnym tygodniu, z dodatkowymi odsetkami, jeśli będzie trzeba, ale musiałam w tym tygodniu zapłacić za czynsz, więc...

- Musisz mi dać pięćset pięćdziesiąt dolarów teraz - mówi Nicky. Zakłada ręce na piersiach i patrzy na mnie. - Chyba nie chcesz wkurzyć Cosmo, co?

- Cosmo zrozumie... - ach, wrócił mój piskliwy głos małej myszki.

Nicky kręci głową.

- Nie odejdę stąd bez całego tysiąca. Wierz mi. Nie chciałybyś dowiedzieć się, co się stanie, jeśli nie dasz mi tej forsy.

- Ale ja nie... - patrzę w kierunku samochodu Cosmo. Przez szybę samochodu widzę jego ramię. - Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać.

Nicky wzdycha niecierpliwie, rozpina marynarkę, sięga do wewnętrznej kieszeni i wyciąga... Kastet? Wydaję okrzyk zaskoczenia.

- Uderzysz mnie?

- A masz pieniądze?

- Tak - ale w następnym tygodniu - nie mogę...

Nicky wzrusza ramionami i zakłada kastet, naciąga na nią skórzaną rękawicę i wpycha się do środka Rookhaven.

- Nie, nie, nie, proszę - odwracam się i idę za nim. - Nicky, ja nie — proszę nie wchodzić, obiecuję...

Wchodzi prosto do naszej kuchni. Pędzę za nim, błagając desperacko:

- Proszę, proszę, proszę nie, obiecuję, że w następnym tygodniu.

Nicky wygląda tak nie na miejscu, tak bardzo nie pasuje do naszej ślicznej przytulnej kuchni. Zatrzymuje się przed zlewem, patrząc na ogródek ziołowy Coco na parapecie.

- Ładnie tu. Bardzo domowo.

I wtedy wybija szybę. Dźwięk wybijanej szyby jest tak głośny, że aż wykrzykuję ze strachu. Zniszczy Rookhaven, wybijając szybę za szybą, by dać mi nauczkę? A potem co? Przecież jesteśmy tu tylko on i ja, sami!

Nagle jest mi niedobrze ze strachu.

- Czy masz te pięćset pięćdziesiąt dolarów, które nam wisisz?

- Nie mam, ale proszę...

- Ja je mam - słyszę czyjś głos. Odwracam się.

To Coco stoi w drzwiach kuchni, a w wyciągniętej dłoni trzyma gotówkę. Lekko się trzęsie i jest bardzo blada. Ale wytrzymuje jego wzrok.

Nicky patrzy na mnie, potem na nią i wzrusza ramionami.

- W porządku. Wierz mi, tak jest lepiej. Jeśli będziecie miały do czynienia z resztą ludzi Cosmo, takie miłe małe dziewczynki, to będzie wyglądało zupełnie inaczej.

- Wynoś się z mojego domu - Coco wygląda i brzmi bardzo stanowczo. O rany.

Idziemy za nim do drzwi frontowych.

- W przyszłym tygodniu przygotuj cały tysiąc, bo jak nie, to nie spodoba ci się to, co się zdarzy - mówi Nicky przez ramię, przeskakuje po dwa schody naraz, schodząc w dół. Gdy Coco zamyka drzwi wejściowe i rygluje oba zamki, upadam na kolana i pochylam się do przodu.

O Boże, nie widzę wyraźnie, a mój oddech jest znów urywany i płytki i wydaję z siebie dziwny świszczący dźwięk. Nie, proszę, tylko nie kolejny atak paniki...

- Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

Nagle Coco podaje mi brązową papierową torbę, ale za bardzo się trzęsę, więc ją upuszczam, wtedy Coco podtrzymuje ją przy moich ustach. Mam wrażenie, że mijają godziny, gdy wdycham i wydecham powietrze i nie słyszę nic oprócz dźwięku rozkładanego papieru. Czuję się tak, jakbym obserwowała siebie z daleka, widzę drżącą roztrzęsioną osobę, której serce wali bez opamiętania, a umysł na chwilę się wyłączył.

Co ja wprowadziłam do naszego domu?

Mój żołądek się kurczy, a ja zwijam się w kulkę na dywanie w holu, Coco siedzi tuż przy mnie, głaszcząc moje spocone czoło. To takie miłe, jakby była moją matką. Dziś rano to ja się nią opiekowałam, a teraz ona opiekuje się mną. Jak w rodzinie.

- Przepraszam... - mam ochrypli głos. - To moja wina.

- Wszystko w porządku? Mam zadzwonić po lekarza?

- Dlaczego... Jak to się stało, że tu wróciłaś?

- Było mi niedobrze po tym, jak wzięłam Plan B na chwilę przed wyjściem do taty, więc Julia poszła sama. Już jest dobrze, ale czy ty się lepiej czujesz?

- O Boże, tak mi przykro! To też moja wina! Ta historia z Planem B to moja wina! To ja jestem wszystkiemu winna! Czegokolwiek się tknę, wszystko spieprzone!

- Uspokój się. To od tej hiperwentylacji. Nie jesteś wszystkiemu winna.

Godzinę później, gdy okno w kuchni jest już zalepione gazetą i taśmą klejącą, siedzimy przy stole kuchennym. Uspokoiliam się i wszystko jej opowiedziałam. Coco przez cały czas przytakiwała i ani raz nie zrobiła miny typu: „Ale jesteś idiotką”, co bardzo doceniam. Bo czuję się jak absolutna kretynka.

- Bardzo przepraszam, oddam ci, naprawdę.
- Nie martw się tym - mówi Coco. - To były pieniądze na czarną godzinę. A to była zdecydowanie czarna godzina.
- Chodzi o to, że naprawdę myślałam, że mi się uda - mówię ponuro. - W ciągu pierwszych dwóch tygodni wszystko było takie proste. Ale produkty są takie drogie, do tego opłata za postój w hangarze dla barów na kółkach, i benzyna, i czynsz, i rachunki-, i musiałam zapłacić za naprawę Toto, i teraz jeszcze Bianca i jej obwoźny bar jest hitem miesiąca, co niewątpliwie zmniejszy liczbę moich klientów, wiesz?
- Wszystko się teraz posypało.
- Do tego nadal muszę zapłacić dziesięć tysięcy, plus tysiąc dolarów odsetek co niedzielę, a teraz jestem i tobie dłużna. Jak mogłam być tak głupia? Jak mogłam narazić się na tak wielkie ryzyko?
- Mogę sobie wyobrazić, że w tamtej chwili mogło się to wydawać racjonalne... - mówi Coco.
- Kręcę głową.
- Nie było. To było nierozważne i idiotyczne. Tak bardzo się boję. Myślę, że ten facet Nicky czuje ogromny respekt przed Cosmo. A do czego jest zdolny Cosmo, skoro taki osiłek się go boi? Serio, co on mi zrobi, jeśli nie będę mogła mu oddać pieniędzy? Pobije mnie?
- Nie wiem. Ale nie sądzę, byśmy chciały się tego dowiedzieć.
- A do tego jeszcze moi rodzice przyjeżdżają po mnie za trzy tygodnie. Chciałam im udowodnić, że potrafię poradzić sobie sama. A co jeśli mi się nie uda? Będę musiała ich poprosić o to, by za mnie oddali te pieniądze, a oni mnie zmuszą do tego, bym zamieszkała z nimi!
- Zrobię ci gorącej czekolady - mówi Coco. - Moja mama zawsze nam ją robiła, gdy miałyśmy koszmary. Nadal ją sobie robię, gdy nie mogę spać w środku nocy.
- Twoja mama musiała być bardzo miła - odpowiadam.

- Była - mówi Coco. - Była najlepsza.

Ja nigdy bym nie powiedziała o swojej mamie, że jest najlepsza. Ale...
Wiem, że mnie kocha. Po prostu to wiem. Zawsze wygląda tak, jakby
była na mnie zła, ale wiem, że to dlatego że chce dla mnie jak najlepiej.
Po prostu mnie nie rozumie.

Ale biorąc pod uwagę to, że dwukrotnie wyrzucono mnie ze szkoły,
ściągałam, brałam narkotyki, nigdy nie traktowałam niczego poważnie,
bez opamiętania wydawałam wszystkie pieniądze, które mi dawali, i
zawsze robiłam wszystko, co tylko chciałam, to nie jest to zaskakujące.
Gdybym sama była swoim dzieckiem, też bym siebie nie rozumiała.

A teraz mam dług u lichwiarza.

Moi rodzice będą tacy rozczarowani.

A może właśnie czegoś takiego się po mnie spodziewają, ponieważ
ich zawsze zawodziłam. Więc nie będą rozczarowani. Nawet nie będą
zaskoczeni. A to jeszcze gorsze.

Coco stawia przede mną duży kubek gęstej gorącej czekolady i miskę
słodkich pianek.

- Dodawaj pianki powoli, tak by ci wystarczyło do końca. Potem
bierze moje ręce w swoje, jest to tak czuły gest,
że chce mi się płakać. Wzdycham.

- Muszę powiedzieć dziewczynom, prawda? Słyszę kroki w
korytarzu, a potem głos Julii.

- Co musisz nam powiedzieć?

- Za godzinę zwołujemy pilne zebranie.

- Zanim zaczniemy, czas uzupełnić wspólną kasę - mówi Julia,
przewodnicząc podczas spotkania jak jakiś sędzia, ze swojego miejsca
u szczytu stołu. Ja siedzę po jej prawej stronie, Coco po lewej, Angie
siedzi obok mnie, a Madeleine obok Coco. - Trzydzieści dolarów od
każdego.

- Rozpisałaś plan naszego domowego zebrania? - Angie patrzy na nią
z niedowierzaniem. Julia ją ignoruje. - Druga sprawa to plan
sprzątnia. Obecnie sprzątną tylko ja i Coco

i to nie jest fair. Zrobię listę zadań i powieszę na lodówce z rozpisanymi imionami, kto i co sprząta w danym tygodniu. Angie bawi się talią kart, które trzymamy na stole.

- Nie mogę uwierzyć, że po to, by tu siedzieć, spławiłam Maniego. Czy nie możemy zapłacić komuś za sprząkanie?

- Nie. Dobrze, Pia, teraz ty. Super.

- Dlaczego tu siedzimy? - Madeleine nawet na mnie nie spojrziała, odkąd wróciła do domu. - Mam Bikram o dziewiątej.

Biorę głęboki oddech.

- Pożyczyłam dziesięć tysięcy dolarów od lichwiarza, by kupić Toto i założyć Zgrabne Oponki. Myślałam, że to miły człowiek, ale, yyy, zaczyna do mnie docierać, to znaczy, dotarło do mnie, yyy, że nie jest miły. Jest niebezpieczny. I jest mi bardzo przykro, że wprowadziłam go do Rookhaven.

- Lichwiarza? I co masz na myśli, mówiąc „do Rookha-ven”? - warczy Madeleine. I potem spogląda za mnie na załatane okno. - Czy chcesz mi powiedzieć, że on wybił nasze okno?

Coco wstaje energicznie i wstawia czajnik na gaz. Jezu, nienawidzi konfrontacji bardziej niż ja. Kiwam głową.

- Yyy, nie on. Jego, yyy, asystent.

- Jego asystent?

- Opowiedz całą historię - mówi Julia. - Od początku. Opowiedzenie tej całej historii zajmuje jakieś dwadzieścia

minut, dzięki Madeleine, która powtarza z niedowierzaniem połowę tego, co mówię. Tylko po to, by podkreślić, jak bardzo jestem głupia.

- Dowiedziałaś się o tym lichwiarzu od tej stukniętej suki i myślałaś, że to jest dobra rekomendacja?

- Polubiłaś go, bo pił Smart Water?

- Powiedziałaś mu, gdzie mieszkamy?

- Ma goryla, który wykonuje za niego brudną robotę?
- Przyszedł do Rookhaven?
- Masz teraz dwa i pół tygodnia, by zarobić trzynaście tysięcy dolarów?

Gdy kończę, zapada chwila ciszy.

- Próbowałam ułożyć sobie życie, by udowodnić moim rodzicom - i sobie - że mogę coś zrobić, że potrafię pracować... - mówię, nieskładnie układając słowa. - Bardzo mi przykro, że do tego doszło. Rozumiem, dlaczego jesteś zła.

- Rozumiesz, dlaczego jestem zła?

- Już dobrze, Maddy, wystarczy - mówi Julia. - Ja też rozumiem, dlaczego się wściekasz, ale to naprawdę nie pomaga.

-A jak ja mogę pomóc, Julio? - odpowiada Madeleine ostro. - Jakiś lichwiarz wie, gdzie mieszkamy i jeśli nie dostanie swojej kasy, zrobi nie wiadomo co Pii czy którejkolwiek z nas - odwraca się w moją stronę. - Jesteś cholerną idiotką.

Obruszam się na jej słowa. Ale ma rację.

- To prawda, jestem cholerną idiotką. Ale przysięgam, przysięgam, że to naprawię. Zarobię te pieniądze. Będę ciężiej pracowała. Toto będzie naprawiona do jutra rana i będę sprzedawała najlepsze sałatki, jakie kiedykolwiek widziałyście. Nic mnie nie powstrzyma, nic. Nie macie się, o co martwić.

Madeleine unosi jedną brew.

- Wierzę, że ci się uda — mówi Julia ze wsparciem. Niezależnie od tego, czy w to wierzy czy nie, doceniam jej słowa i uśmiecham się do niej z wdzięcznością.

Angie ucierpiała najmniej ze wszystkich przez moje działania. Wiele trzeba, by ją zaszokować. - A jeśli nie, to ci po prostu pomożemy. Mogę poprosić rodziców.

- My też możemy poprosić naszego tatę - mówi Julia.

- Nie ma mowy - mówię szybko. - Nie wiem, jak ani dlaczego do tego doszło, ale ten dług reprezentuje wszystko, co muszę zmienić w sobie i w swoim życiu. I muszę to naprawić sama, bez pomocy moich czy waszych rodziców - mówię

dosadnie, patrząc im wszystkim po kolei w oczy. - To dla mnie naprawdę ważne. Będę pracowała przez cały czas, codziennie, i zarobię te pieniądze. Tylko tak mogę to naprawić.

- Dobrze - mówi Julia natychmiast. - Rozumiem.

- Ale jeśli będziesz potrzebowała pomocy, to jestem tutaj - mówi Angie. — To znaczy — dodaje szybko, patrząc dookoła na wszystkie dziewczyny, uśmiechając się delikatnie - wszystkie tu jesteśmy. Tkwimy w tym wszystkim razem.

- Zawsze - mówi Coco.

- Dokładnie - mówi Julia.

Madeleine nie mówi, że się z tym zgadza, ale też i nie zaprzecza.

Gdy patrzę po twarzach moich najlepszych przyjaciółek, dociera do mnie, że jeszcze nigdy nie czułam się taka bezpieczna. Moi rodzice, chociaż wiem, że mnie kochają, nigdy mi chyba nie wybaczyli moich błędów — nie mówiąc już o tym, że ich nie zapomnieli. A to jest miłość bez żadnych warunków. Zrozumienie bez osądzania. Wiem, że to brzmi melodramatycznie, ale dzięki temu czuję, że mogę sprawić, by moje życie było takie, jakie chcę, żeby było. Jakbym była niewyciężona.

Pewnie tak się czuje ktoś, kto pochodzi z idealnej rodziny.

A Angie ma rację.

Tkwimy w tym razem.

Potem rozglądam się znowu i widzę, że Madeleine właśnie wyszła.

Więc nie jest tak do końca idealnie.

- Ta laska jest tak cholernie spięta - mówi Angie, tasując talię kart jak krupierka z Las Vegas. - Czy któraś z was widziała kiedyś, żeby miała na sobie coś z krótkim rękawkiem? Nawet biega w bluzkach z długim rękawem, przy trzydziestostopniowym upale. Chyba ma jakieś sztuczne ramiona. Są z drewna czy z czegoś podobnego.

- Ona nie ma ramion z drewna - mówi Julia. Angie nie przestaje tasować kart.

- Wiecie, czego jej trzeba? Porządnego rżnięcia.

- Przestań — mówi Julia ostro. - Tasuj te cholerne karty. Pia, musisz iść pogadać z Maddy. Na osobności.

Julia ma rację.

Wstaję i wychodzę na korytarz, gdzie Madeleine właśnie przegląda pocztę. Odchrząkuję.

- Madeleine?

Nie patrzy na mnie, ale i nie odchodzi. Traktuję to jako zachętę.

- Madeleine... Bardzo mi przykro, że Nicky tu był i, yyy, mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz... I przepraszam też bardzo za tę sprawę z twoim bratem, myślałam, że Mike czuje to samo co ja. Ze to tylko... przelotna znajomość.

- On jest o wiele miłszą osobą od ciebie - odpowiada Madeleine. — I o wiele mniej zdzirowatą.

Au.

- No cóż, to prawda. Nie jestem dumna z tego, jak go potraktowałam, ale zadzwonię do niego i go przeproszę.

Przerywam na chwilę, by zebrać myśli.

- Słuchaj, nie zakocham się w nim i nie wyjdę za niego, i nie urodzę mu dzieci. Nic na to nie poradzę. Nie czułam tego... Tego, co powinno się czuć, i nie mogę udawać, że jest inaczej - Madeleine w końcu na mnie patrzy, ma nieprzeniknioną twarz.

- Nie wiem, po co mi to mówisz - odpowiada. - Nic mnie to nie obchodzi.

Nagle czuję się bardzo zmęczona.

- Madeleine, w którymś momencie będziesz musiała zdecydować, czy mnie lubisz, czy nie. A jeśli mnie polubisz, będzie to musiała być przyjaźń bezwarunkowa - mówię zmęczonym głosem. — Ja nigdy nie będę próbowała cię zranić. Nie będę cię oceniać za to, co zrobisz. Ale oczekuję tego samego od ciebie. Jesteśmy po tej samej stronie.

Nie czekając na jej odpowiedź, odwracam się i wychodzę z domu. Chociaż jest ósma trzydzieści i jesienne liście zaczynają spadać z drzew, gdy opieram tyłek o podest schodów, czuję uspokajające ciepło. Patrząc na wszystkie okna, z których pada światło na Union Street, z rodzinami i ludźmi, i życiem, które się za nimi toczy, i wzdycham.

Nieważne, jak głęboki oddech wezmę, i tak czuję ciężar w piersiach, tak jakbym miała tam powietrze, którego nie mogę do końca wypuścić...

W głębi duszy nie jestem nawet w połowie tak pewna tego, że zarobię te pieniądze, jak wtedy gdy o tym mówiłam. Jestem zmęczona. I boję się. I żongluję tyloma problemami, że w mojej głowie toczy się istny karnawał myśli, biegną w kółko jedna za drugą: Cosmo, moi rodzice, Nicky, Madeleine, Coco, Bianca, Eddie, i nie zapomnijmy, że w czwartek wieczorem mam mieć randkę z Aidanem.

Zastanawiam się, czy iść.

Już nawet nie wiem, co jest, a co nie jest dobrym pomysłem.

- Wszystko jest beznadziejne - mamroczę.

- Hej, dziewczyneczko - mówi jakiś głos. Spoglądam w dół podestu i widzę, jak Marie właśnie wychodzi ze swojego mieszkania, trzymając kieliszek jakiegoś gazowanego płynu i zasiada na ławce.

- O, cześć, Marie - odpowiadam. — To ja, Pia...

- A, kierowca ciężarówki — mówi Marie. - Chodź tu na dół, bym cię mogła zobaczyć.

Zeskakuję po schodach, by usiąść obok Marie.

- Chcesz mi powiedzieć, co cię tak dręczy? Jesteś młoda, piękna...

- Nie czuję się młoda ani piękna - mówię. — Czuję się zmęczona.

Marie się śmieje. To zaskakująco młodzieńczy chichot.

- Będiesz mogła spać, gdy będziesz stara i wszyscy, których znasz, już odejdą.

- To taka radosna myśl, Marie, dzięki - odpowiadam. Znów chichocze.
- No dobrze, dobrze. Przepraszam, wszystkie problemy są poważne, jeśli to nasze problemy. Powiedz mi coś więcej. Co się takiego dzieje w twoim życiu?

- Yyy, to skomplikowane... Pieniądze. I moja praca... Wiesz, obwoźny bar. I ludzie nigdy nie są tacy, jak mi się wydawało. I wydaje mi się, że popełniam błędy niezależnie od tego, jak bardzo się staram robić to, co wydaje się dobre.

- Popęlnianie błędów sprawia, że jesteś człowiekiem. I choć może ci się to nie podoba, życie jest skomplikowane. Moja mama zawsze mówiła, że życie jest jak Hydra.

- Co takiego?

- Hydra. Potwór z wieloma głowami, którego zabił Herkules. Za każdym razem, gdy odciął jedną głowę, na jej miejsce wyrastała nowa... Życie właśnie takie jest. Każde wyzwanie, jakie pokonasz, będzie zastąpione kolejnym.

Przerywa zamyślona.

- I tak właśnie powinno być. Jedynym sposobem na to, by odnieść w życiu sukces i znaleźć szczęście, jest podjęcie ryzyka.

- A czy życie kiedykolwiek będzie proste?

- Nie, jeśli będziesz żyła w odpowiedni sposób. Ale będzie interesujące. I zabawne. I pełne radości.

Mam nagłą ochotę położyć głowę na jej ramieniu. Moje obie babcie zmarły, zanim się urodziłam. Zastanawiam się, czy były takie jak ona.

- Spróbuję zrobić wszystko, na co mnie stać. Ale co jeśli pojawią się jeszcze większe problemy? Jak przetrwam?

- Pomoże ci poczucie humoru... i wsparcie osób, które kochasz - mówi Marie delikatnym głosem. - Twoja rodzina. Przyjaciele.

- Uwielbiam moich przyjaciół. Ale z rodzicami nie rozmawiałam od tygodni - mówię, czując kulę w gardle. - Uważają, że jestem dzieckiem.

- Oczywiście, że tak myślą, bo przecież to twoi rodzice. Widzieli, jak płakałaś naga i cała we krwi, minutę po urodzeniu. Nigdy nie będą cię uważali za dorosłą - odpowiada Marie lekko podniesionym głosem. - Ale zawsze będą cię kochali. I chcą dla ciebie tego co najlepsze. Może uważają, że wyjazd z Brooklynu jest najlepszym rozwiązaniem.

Potakuję.

- Na pewno tak sądzą.

- No, więc spróbuj spojrzeć z ich perspektywy. Tyle złego się teraz mówi o rodzicach i dzieciach i - jaką to głupią nazwę wymyślili? - o emocjonalnym zaniedbaniu. Jezu! Kochają cię, ale nie będą twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Nie powinni być. Są twoimi rodzicami. Nie możesz zmienić ich, a oni nie mogą zmienić ciebie. Jedyne, co muszą zrobić, to cię kochać. A ty masz im tylko na to pozwolić i też ich kochać.

Marie mówi tak, że wszystko wydaje się proste.

- Odprowadź mnie do środka, skarbie - mówi do mnie. - Zmarzłam.

Pomagam Marie wstać.

- To przez moje biodra - wyjaśnia, gdy pokonanie każdego schodka w dół zajmuje jej kilkanaście sekund. Wnętrze jej mieszkania jest ciepłe, nadgryzione zębem czasu i przytulne. Uosobienie Marie.

Vic siedzi wygodnie na jednym z foteli firmy La-Z-Boys i ogląda jakiś czarnobiały film, zajadając kukurydzę w cukrze.

- *Filadelfijska opowieść*, Vittorio? Znowu? A od tego cukru popsują ci się zęby.

- Włączyłem telewizor i akurat leciało - odpowiada. -1 mam siedemdziesiąt osiem lat, Marie. Gdyby mi się miały popsuć zęby, to by już to dawno zrobiły - patrzy na mnie. - Cześć, dziewczátko.

- Wygląda na wspaniały film — mówię do niego.

- Bo jest - odpowiada Vic.

W milczeniu patrzymy wszyscy na Katharine Hepburn.

- Jest piękna - mówię.

- I tak bardzo podobna do Eleanor - dodaje Marie. - Miała prawdziwą klasę i ostry język.

Nadstawiam uszu. Eleanor! Zona Vica? Vic odwraca się, by spojrzeć na Marie, i uśmiecha się, ale jego oczy się szklą i są smutne.

- Właśnie myślałem o tym samym.

Chcę ich poprosić, by mi opowiedzieli coś więcej o Eleanor i o tym, co się z nią stało, ale i bez tego czuję się jak intruz. Vic nagle przełącza na inny kanał i podaje pilota Marie.

- Proszę. Wiem, że chcesz oglądać swój program.

- Czyli jaki? - pytam, sądząc, że w odpowiedzi usłyszę teleturniej *Va Banque* albo *Mam talent*.

- Serial *Czysta krew* — odpowiada Marie. — Mój wnuczek kupił mi całą serię. Podoba mi się Eric Northman. Coś w sobie ma.

Vic spogląda na mnie i przewraca oczami, śmiejąc się. Zatrzymuję się przed drzwiami wejściowymi i odwracam się.

- Dziękuję za radę, Marie.

- Do usług, dziewczyneczko. Pamiętaj, że w życiu trzeba podejmować ryzyko.

Wchodząc po schodach do domu, sięgam do kieszeni i wyciągam ćwierćdolarówkę.

Orzeł, idę na randkę z Aidanem. Reszka, zostaję w domu i pracuję nad usprawnieniem Zgrabnych Oponek.

Rzucam monetą, łapię ją, kładę zamasyście na wierzchu dłoni. Biorę głęboki oddech i sprawdzam.

Cholera.

Rozdział 20

— Która mi ukradła moją odżywkę do włosów? — krzyczę. Cisza. Jest czwartek wieczór. Siódma. Stoję w swoim pokoju w samych majtkach i staniku, włosy mam zwinięte w turban z ręcznika i lepię się cała od kremu nawilżającego, którym się właśnie wysmarowałam.

Wróciłam do domu dwadzieścia minut temu po kolejnym niewiarygodnie pracowitym dniu w Zgrabnych Oponkach i teraz mam dokładnie godzinę do spotkania z Aidanem w Minibarze. I widzę, że jeśli mam wykonać wszystkie zabiegi upiększające, które zaplanowałam, to jestem już spóźniona.

— Moje włosy schną same i wkrótce będą poza ludzką kontrolą przez całą noc i będzie to wasza wina! - wydzieram się. Cholera jasna! Dlaczego nie mieszkam z chłopakami? Gdybym mieszkała z facetami, nie miałabym problemu ze znikającym produktem upiększającym.

— Dziewczyno, czy ty naprawdę sądzisz, że Coco, Maddy albo ja wiedziałybyśmy, co u licha się robi z serum do włosów? - Julia stoi w drzwiach mojego pokoju, jedząc banana.

Przystaję.

— Słuszna uwaga.

Maszeruję na górę do pokoju Angie i otwieram drzwi. Jak zwykle: wygląda tak, jakby go właśnie uderzyła fala modowego tsunami, pozostawiając góry ubrań na każdej powierzchni. Dostrzegam moje serum do włosów na stercie zdjęć i rysunków, i by go dosięgnąć, przedzieram się przez płataninę pasków, torebek i staników leżących na podłodze.

- Po co to jej w ogóle było? Przecież ma lśniące jedwabiste włosy! - mamroczę.

- A tobie co się stało? Czemu jesteś taka spięta? - pyta Julia, opierając się o framugę. — Miałaś przecież milion randek.

- Ja... yyy, nie wiem - odpowiadam, przebiegając obok niej i zbiegając z powrotem na dół.

- Czy możesz coś na siebie założyć? — woła za mną. - Naprawdę nie bardzo mam ochotę oglądać cię w bieliźnie.

- Jesteś taką świętoszką!

- A ty taką nudystką! -Ha!

Nanoszę serum na włosy, rozdzielam pasma włosów i upi-nam spinkami, biorę suszarkę i szczotkę i zaczynam je układać. To takie niesprawiedliwe, że mam aż tyle włosów. Takie niesprawiedliwe.

Słyszę nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Może ci pomóc? - ktoś pyta. - Dobrze mi wychodzi układanie włosów suszarką.

Spoglądam w górę i widzę Madeleine.

- Naprawdę? - pytam. - Boże, tak, proszę.

Prawie nie rozmawialiśmy po tym odsłonięciu kart w niedzielę. Czy to znaczy, że znów się przyjaźnimy? Tak naprawdę?

Madeleine siada za mną, ma jak zwykle długie rękawy zaciągnięte na dłonie, w które bierze szczotkę i suszarkę.

- Denerwujesz się?

- Nie - odpowiadam automatycznie, a potem napotykam jej wzrok. — No dobrze, tak. Tak się denerwuję, że aż mnie swędzi w środku brzucha.

- Nie znoszę tego!

Usadowiona na podłodze przed szafą z lustrem, z Madeleine profesjonalnie układającą mi włosy, wykonuję szybki makijaż: naturalna mieszanka podkładu i rozświetlacza, bym miała promienną twarz bez skazy i naturalne, ale nieco bardziej podkreślone rumieńce, oczy i usta. Ręce trzęsą mi się tak bardzo, że na powiece rysuję eyelinerem nierówną kreskę, więc tylko ją rozmazuję w nadziei, że wygląda choć trochę punkowo.

Dociera do mnie, że na liście rzeczy, którymi się obecnie denerwuję, randka z Aidanem powinna się uplasować gdzieś poniżej „zdobycia trzynastu tysięcy dolarów dla lichwiarza” i „znalezienia sposobu, jak nie poddać się naciskowi rodziców, bym wyjechała z Nowego Jorku”. Ale z jakiegoś powodu tak nie jest. Przekonałam samą siebie - po raz kolejny - że zdobędę te pieniądze wyłącznie ciężką pracą: w tym tygodniu pracowałam codziennie od 4:30 rano do 10 wieczorem i zarobiłam ponad cztery i pół tysiąca dolarów. Jeśli uda mi się utrzymać to tempo i znów nie nawalić, nie będę miała problemu, by zwrócić wszystkie pieniądze, a potem zostanie mi w rękach działająca firma, którą będę mogła z dumą pokazać rodzicom. Prawda? Prawda. (Widzicie jaka jestem dobra w przekonywaniu samej siebie? To jest dar, to prawdziwy dar.)

A teraz. Cojamamdocholerynasiebiewłożyć?

Problem z randką pod tytułem „Spotkajmy Się W Barze” polega na tym, że chcę wyglądać najlepiej, jak to możliwe, ale żeby nie było widać, że włożyłam w to zbyt dużo wysiłku. Sukienki są zbyt szykowne, spódniczki zbyt dziewczęce, koszulki na ramiączkach odsłaniają za dużo biustu, koszule są zbyt formalne, a potem trzeba będzie jeszcze wybrać buty. Na koniec, nie zapominajmy, że to Brooklyn, a nie Manhattan, i Brooklyn wymaga, by ubierać się ze świadomą nonszalancją. Nie mogę wyglądać na kogoś, kto poświęcił zbyt wiele uwagi własnej stylizacji. Chociaż teraz moja uwaga jest skupiona tylko na tym.

Zazwyczaj koncentrowanie się na tym, w co się ubiorę, pomaga mi opanować nerwy. Ale nie dziś. Mam się znów spotkać z Aidanem.

- Cholera! - krzyczę.

- Dobrze się czujesz? - pyta Madeleine, odkładając suszarkę.

- W porządku, dobrze, w porządku, w porządku... Wow! Już skończyłaś? Są idealne! Dziękuję!

- Przedrandkowa przekąska! - mówi Coco, wchodząc do pokoju z tacą w rękach. - Kanapki z roztopionym serem. Musisz coś zjeść.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby jeść, ale biorę jedną kanapkę i posyłam Coco uśmiech.

- Dzięki, Coco.

Coco jaśnieje z radości.

- To w co się ubierzesz?

- Zobaczymy! - staję przed otwartą szafą, Madeleine i Coco siedzą na moim łóżku jak publiczność.

- Założmy, że jest wysoki. I zacznijmy od tych butów. Obie potakują z powagą.

- I połączmy je z czymś nieformalnym, ale zaskakującym. Jak ta krótka biała sukienka.

- Ładnie! - mówi Coco.

- Ale... Co jeśli to za dużo? - pytam. - Albo zbyt zwyczajnie. A jeśli coś wyleję? Nawet nie wiem, czy będziemy coś jedli.

- A może szorty? - proponuje Madeleine.

- Dobry pomysł - mówię, potakując szybko. — Na przykład te? Czarne szorty, obcisła czarna bluzka z dzianiny.

- Tak! Jest super, ale nie przesadnie, jest szykownie, ale bez przesady...

- I zwiążę włosy w luźny warkocz po boku — dodaję. - Nie podkreślam nóg i włosów jednocześnie.

- Dobrze - mówi Madeleine. - Przecież nie gramy w *Gotowych na wszystko*.

- Och, mój Boże! Ale byłoby fajnie, gdyby tak było - mówi Coco.

- Boże, czuję się tak, jakbym właśnie skończyła jakiś egzamin. Randki są takie wyczerpujące.

Spryskuję się perfumami, sprawdzam telefon. Zobaczę Aidana za dwadzieścia minut.

Nagle czuję, że się trzęsę i brak mi tchu, prawie jak... O, cholera.

Kładę się na podłodze i leżę na plecach. -Wszystko dobrze? - pyta Coco. - Chcesz torbę papierową?

Gapię się w sufit. O Boże, o Boże, o Boże.

- Nie zwracajcie na nią uwagi, tylko histeryzuje - mówi Angie, wchodząc do mojego pokoju ze szklanką zimnej wody i niebieską kopertówką. Podaje mi obie rzeczy. Siadam, biorę dużego łyka i krztuszę się: to czysta wódka, nie woda.

- Jezu, Angie.

- Dla kurażu. I możesz pożyczyć moją kopertówkę. Mani mi ją dał. To Alexander Wang.

- O rany, naprawdę? Dzięki!

- Pamiętaj, dowiedz się, czy ta laska jest jego dziewczyną - mówi Julia, stojąc przy wejściu do pokoju. - To pytanie numero uno! A jeśli jest, oblej go drinkiem.

- I nie pozwól mu za wszystko płacić — dodaje Madeleine.

- I weź gumę do żucia na wszelki wypadek — mówi Coco.

- A jeśli zdecydujesz, że chcesz nawiać, po prostu udaj, że boli cię brzuch - mówi Angie. - Ze niby masz okres.

- Wystarczy mi tego moralnego wsparcia, dziękuję - mówię, wychodząc z pokoju. Czasami w tym domu jest za dużo estrogenu.

- Powodzenia! - krzyczy Julia, gdy schodzę po schodach. - I pamiętaj, pytanie numero uno!

- O Boże, przecież to tylko jakaś głupia randka - mamroczę, zamykając za sobą drzwi.

Schodzę ze schodów zewnętrznych, zamykam oczy i biorę jeszcze jeden długi głęboki oddech.

- Dasz sobie radę orzeszku - to Angie. Schyla się na sekundę, by zapiąć paski butów na obcasie, potem wyciąga dwa papierosy, zapala je oba i schodzi powoli po schodach, wyciągając jednego w moją stronę. - Odprowadzę cię do Minibaru. Potem jadę na SoHo, by spotkać się z Manim.

- Spędzasz z nim sporo czasu - mówię, biorąc od niej papierosa. - Czuję w powietrzu zakochanie.

- Tak naprawdę to Chanel Bois des lies, ale możesz je nazywać zakochaniem, jeśli chcesz.

Angie zakłada torebkę na ramię i idziemy wzdłuż Union Street. Ma na sobie nową szarą sukienkę i amarantowe szpilki i wygląda, jak zwykle, jakby właśnie zeszła z okładki magazynu o modzie, jednego z tych hipsterskich, gdzie dziewczyna zamiast robić dziubek, wygląda jakby miała kogoś uderzyć. W porównaniu z nią czuję się zupełnie nieubrana, ale jest mi z tym dobrze. I czuję, że jestem sobą.

- Naprawdę? - mówię z powątpiewaniem.

- No dobrze, przyznaję. Jest tak miły, że możemy rozmawiać wieki... Wcale nie jest zarozumiałym bogaczem, który chodzi tylko do restauracji Cipriani's i Per Se. We wtorek jedliśmy kolację w takiej maleńkiej chińskiej budce w East Village. Było rewelacyjnie. I wysłała mi przemiłe SMS-y.

Wzdycha radośnie i chociaż wyczuwam w jej oddechu alkohol, to nagle doznaję olśnienia, że Angie, choć tego nie okazuje, jest romantyczką.

- Tak się cieszę - mówię, uśmiechając się i biorę ją pod ramię. Może dziś wieczorem będzie dobrze. Jeśli Angie znalazła odpowiedniego faceta, to oznacza, że nie jest to niemożliwe.

Dam radę.

Gdy wchodzę, Aidan już siedzi przy barze. Spoglądamy sobie w oczy, a gdy on się uśmiecha, przez moje ciało przebiega gorący dreszcz.

O cholera, to wcale nie będzie łatwe.

Wstaje na powitanie (jest wysoki! bardzo wysoki!), a ja się uśmiecham, nerwowo biegnąc wzrokiem w górę, by znów spojrzeć mu w oczy.

-Pia.

- Aidan — mówię zachrypniętym głosem. Odchrząkuję i mówię raz jeszcze. - Aidan.

Pochyla 'się, by mnie pocałować w policzek, a ja próbuję opanować drżenie. Jego skóra jest ciepła, ale nie za ciepła, i widać, że właśnie się ogolił. Wyczuwam zapach drzewa sandałowego: ciepły i prawdziwy.

- Na co masz ochotę? Może na szampana?

- Wystarczy piwo - mówię, siadając na krześle, które dla mnie wysunął. Moje serce znów bije boleśnie szybko.

- Dziewczyna z ludu - mówi, zamawiając mi Amstela. Spoglądam na niego. Jest prawdziwy. Jest naprawdę prawdziwy. - Jesteś może wegetarianką?

- Nie - szukam w głowie jakiejś zabawnej odpowiedzi i, dzięki Bogu, taka się pojawia. - Jestem bardzo zaangażowana w jedzenie martwych zwierząt.

- To dobrze. Tak jak ja. Zarezerwowałem dla nas stolik w restauracji Frankie's po drugiej stronie ulicy. Tam serwują mięso.

- Wspaniale. Cisza.

A gdzie się podziała ta stara Pia, która miała takie doświadczenie w randkowaniu? Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wiem, co mam robić. Tak naprawdę to w tej chwili nie wiem nic.

Cholera.

Co by zrobiły moje przyjaciółki? Julia rozmawiałaby o pracy. Madeleine milczałaby jak Sfinks. Coco by paplała i chichotała. A Angie usiadłaby wygodnie, uśmiechnęła się zawadiacko, uniosła brew i udawała, że kontroluje sytuację.

To chyba jest najlepsze rozwiązanie, prawda? Więc rozsiadam się wygodnie i biorę łyk piwa, potem podnoszę wzrok, by spojrzeć na niego. On robi dokładnie to samo co ja.

„No dalej, Aidan. Zaczynaj rozmowę, proszę” - myślę najintensywniej jak potrafię.

Zamiast tego tylko patrzy na mnie i delikatnie się uśmiecha. To wyzwanie.

No jak tak, to ja nie zacznę pierwsza.

Biorę kolejny łyk piwa, wciąż na niego patrząc. By się trochę uspokoić, koncentruję się na tej małej bliźnie na jego dolnej wardze. Założę się, że dziewczyny zawsze pytają go o to, skąd ma tę bliznę. Nie zrobię tego co inne. Jeśli jest dupkiem - a jego wyważona pewność siebie sprawia, że zastanawiam się, czy tak nie jest - to nie wpadnę w jego sidła.

I wtedy sobie przypominam: pytanie numero uno.

- Masz dziewczynę?

- Słucham?

- Słyszałeś.

- Nie, nie mam, ale dziękuję, że pytasz - odpowiada. — A czy ty masz chłopaka?

- Nie. Dlaczego mnie o to pytasz?

- A dlaczego ty mnie o to pytasz?

- Bo nawiałeś tamtej nocy, by spotkać się z kobietą — odpowiadam. - Emmą. Czy Emilią. Czy, um, jak jej tam było.

Nie wspominam o tym, że widziałam ich razem na ulicy całe tygodnie temu. Wyglądałoby trochę tak, jakbym ich śledziła.

- Ach, chodzi ci o Emmę. Moją siostrę - mówi Aidan. — Tak bardzo cię za to przepraszam, pewnie pomyślałaś, że jestem bezczelny. Jej chłopak właśnie z nią zerwał, po raz trzeci i ostatni.

Wyciąga telefon.

- Spójrz, tu jest zdjęcie, jak siedzimy razem u naszych rodziców w Boże Narodzenie w zeszłym roku. Widzisz? Brat.

Siostra. Ten sam kształt nosa. Z czego ona nie jest za bardzo zadowolona.

- Wierzę ci - rzucam okiem na telefon tylko po to, by się upewnić: to ta sama elegancka Brytyjka, z którą go widziałam wtedy na chodniku. Jego siostra. Rzeczywiście są podobni. Cholera. Teraz wyszłam na zazdrosną wariatkę. To nawet gorsze od natręta.

- No dobrze. To tylko, uh, takie rutynowe pytanie.

- Hej, absolutnie rozumiem.

- Na świecie jest wielu palantów.

- Palantów?

- Drani... No wiesz, takich, którzy oszukują i kłamią, by dostać to, czego chcą.

-A, masz na myśli łobuzów. Łajdaków. Totalnych łotrów. Mogę cię zapewnić, że nie jestem żadnym z nich. Milknie.

- Jak sobie teraz o tym pomyślę, to jestem naprawdę cholernie nudny. Zaczynam nerwowo chichotać. Boże, uwielbiam jego akcent.

Komórka Aidana wydaje krótki dźwięk.

- O proszę. Nasz stolik jest już gotowy.

Restauracja Frankie's 457 Spuntino wygląda dokładnie tak, jak powinna wyglądać nowoczesna restauracja na Brooklynie: urządzona ekscentrycznie, ale z niewymuszonym smakiem, bezpretensjonalnie. Ale to ogródek robi na mnie największe wrażenie: maleńka bajkowa kraina, usiana kwiatami, pnączami winorośli i zapalonymi świecami. Jest magiczny. Przystaję na schodach wiodących na zewnątrz restauracji tylko po to, by na niego popatrzeć.

- Wiem — mówi Aidan, przystając obok mnie. - To prawdziwa speluna.

Ze zdenerwowania śmieję się z tego odrobinę za głośno. Szybko staram się uspokoić, ale mam atak chronicznego

śmiechu. O, Boże. Gdy dochodzimy do stolika, ja nadal chichoczę.

- Wciąż się śmiejesz, co? Chyba to nie było, aż tak zabawne - mówi Aidan. - To znaczy, serio. Potrafię być o wiele zabawniejszy.

Znów wybucham śmiechem, o Boże. To jak jakiś chichoczący syndrom Touretta. Zdecydowanym ruchem zamykam usta, ale moja klatka piersiowa wciąż podskakuje od stłumionego nerwowego śmiechu.

- Czy chcielibyśmy odrobinę prosecco na początek? - pyta kelnerka.

Aidan zwraca się w moją stronę.

- Chcielibyśmy?

Udaje mi się skinąć głową. Potem znów siedzimy w ciszy. Jak dotąd przesłuchiwałam go na temat nieistniejącej dziewczyny, a potem chichotałam jak Ewok, który się nawdychał gazu rozweselającego. Nieźle.

- Powinniśmy zagrać w dwadzieścia pytań i mieć to z głowy — mówi Aidan.

To mogę zrobić.

- Dobrze. Dawaj.

- Bracia? Siostry?

- Jedynaczka. A ty masz tylko siostrę Emmę?

- Emmę i trzech braci.

- Starszych czy młodszych?

- Wszyscy są starsi ode mnie. Emma jest ode mnie starsza o jedenaście miesięcy. Byłam niespodzianką.

- Rozpieszczonym dzieckiem.

- Raczej bardziej lekceważonym najmłodszym. A ty jakie masz relacje z rodzicami?

- Uh, odległe. Mój tato jest już w dosyć podeszłym wieku, nie mówi za dużo, a moja mama jest niesamowicie ukierunkowana na sukces. Wiesz, typowe hinduskie matki chcą, by ich córki wyszły za mąż, prawda? A moja tylko

chce, bym była dobrym pracownikiem i przestała sprawiać kłopoty.
Aidan się uśmiecha.

- Ty? Kłopoty?

Kelnerka przynosi nasze prosecco.

- Czy jesteśmy gotowi, żeby złożyć zamówienie?

- Ummm... - mówię, spoglądając na menu na moich kolanach. Chyba zapomniałam, jak się czyta.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy zamówili mnóstwo wina i antipasti, i serów, i chleba, i po prostu zjedli siedmiodaniowy posiłek piknikowy? - pyta Aidan.

- Świetny pomysł.

Zamawiamy, a gdy kelnerka odchodzi, stukamy się delikatnie kieliszkami. Napotykam jego wzrok i oboje się uśmiechamy. Nagle czuję, jak każda część mojego ciała się rozluźnia. Już zapomniałam, jak się z nim wcześniej czułam. To ciepłe uczucie pewności, że to on.

- Teraz moja kolej na pytania - mówię. — Dlaczego przeprowadziłeś się z Londynu do Nowego Jorku?

- Chyba dlatego że czuję się tu jak u siebie. Nigdzie indziej nie mam takiego poczucia.

- Ja też nie - mówię. To prawda. Naprawdę czuję się tu jak w domu. Mam to uczucie przynależności. Gdy myślę o Nowym Jorku i Brooklynie, i Union Street, i Rookhaven, myślę sobie, że są moje. - Mam szwajcarsko-hinduskie geny, jak wiesz, ale tak naprawdę nie czuję, że moja narodowość mnie jakoś definiuje. Przecież jej nie wybrałam, nie mogę jej zmienić... Nienawidzę, gdy ktoś mnie osądza poprzez pryzmat tego, nad czym nie mam kontroli.

- Bardzo dobrze to rozumiem - Aidan posyła mi uśmiech. - W Nowym Jorku każdy może znaleźć swoje miejsce. No dobrze, moja kolej. Ulubione lody?

- Truskawkowe - odpowiadam.

- Takie zwyczajne? Myślałem, że powiesz surowy kokos z chilli i kardamonem albo coś zupełnie odlotowego.

- Odlotowego? Ładne słowo. Jesteś takim hipsterem. No cóż, zawsze lubiłam różowe jedzenie. Pewnie dlatego, że jestem dziewczyną. A ty?

- Miętowe z kawałkami czekolady.

- No co ty! To jest dopiero zwyczajne - mówię. - Ile masz lat, sześć?

- Dwadzieścia dziewięć. A ty?

- Dwadzieścia dwa - odpowiadam. - Chłopie, ale jesteś stary.

-A ty... Jesteś o wiele młodsza niż myślałem - mówi Aidan, śmiejąc się z wyraźnym zaskoczeniem. - Jezu! Myślałem, że masz przynajmniej dwadzieścia pięć!

- Czy chcesz powiedzieć, że już czas, bym użyła botoksu? Wypijamy kieliszki prosecco tak szybko, że Aidan zamawia butelkę, i nadal gramy w dwadzieścia pytań.

Opowiadam mu o tym, gdzie się wychowałam, o Rookhaven, o dziewczynach, o Zgrabnych Oponkach i o tym, jak uwielbiam Toto bardziej niż ktokolwiek kiedykolwiek uwielbiał obwoźny bar.

A w zamian on opowiada mi o tym, że pracuje w firmie inwestycyjnej z kapitałem wysokiego ryzyka (cokolwiek to znaczy; wręcza mi swoją wizytówkę, by udowodnić, że tego nie zmyśla: Aidan Carr, Członek Zarządu), że uwielbia swojego psa, o imieniu Ziggy, którego przygarnął po rozwodzie kolegi („Zig bardzo to przeżył, ale już mamy to za sobą”), po skończeniu studiów spędził rok, pracując w Australii, i ma czternaścioro bratanków i bratanic dzięki swoim starszym braciom.

- Czternaścioro! - jestem zszokowana. - To trochę ponad normę, prawda?

- Jesteśmy niepraktykującymi katolikami, ale trudno się wyzbyć starych nawyków - odpowiada Aidan.

Gra w dwadzieścia pytań była genialnym pomysłem. I każdy najmniejszy detal, o którym mi opowiedział,

sprawia, że jestem pewna, że mój pierwotny instynkt, by go polubić i mu zaufać, mnie nie zawiódł, choć od tak dawna w niego wątpiłam.

- Cieszysz się, że tak często zmieniałeś miejsce zamieszkania? To znaczy kiedy dorastałeś?

- Zdecydowanie tak - odpowiada Aidan. - Myślę, że bycie smarkaczem na obczyźnie pozwala nauczyć się, jak łatwo przystosowywać się do nowych sytuacji, jak szybko nawiązywać przyjaźnie i tym podobne.

Uśmiecham się.

- Smarkacz na obczyźnie, ha. Podoba mi się to określenie. Ale większość takich smarkaczy, których poznałam ma, yyy...

- Trochę nie po kolei w głowie? - sugeruje Aidan.

- Tak - odpowiadam. - Chyba tak. A ty wyglądasz na kogoś, kto ma jak najbardziej... po kolei.

- Oto, co myślę - Aidan przycisza głos, jakby miał mi zdradzić jakiś sekret. - Wszyscy mają nie po kolei w głowie. Ludzie myślą, że tak nie jest, ale tak jest. Wszyscy mamy nie po kolei w głowie, ale w inny sposób. Chodzi tylko o to, żeby postarać się to wykorzystać na swoją korzyść.

- Cóż za wspaniała myśl. Powinieneś ją umieścić na jakiejś kartce okolicznościowej.

- Może tak zrobię.

Uśmiechamy się do siebie, gdy na naszym stoliku pojawiają się nasze tosty crostini.

- Podobają mi się twoje brwi - mówię do niego.

- A mnie twoje kciuki — odpowiada Aidan.

- Moje kciuki?

- Są bardzo długie i eleganckie. Spójrz. - Bierze mnie za rękę. Dotyk jego palców na moich przyprawia mnie o drżenie. To takie intymne. I przerażające.

Odsuwam rękę i koncentruję się na swoim crostini.

- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom, które spotykasz w taksówkach.

- No cóż, to prawda, ale zazwyczaj kłamię.

- Och, czarujące.

- Tak jak ja? Prawda?

Patrzemy sobie w oczy i znów oblewa mnie to ciepłe uczucie. Aidan przez chwilę milczy.

- No dobrze, rozważałem to i uważam, że powinniśmy mieć pierwszy pocałunek z głowy.

- Zanim jeszcze skończymy jeść?

Pocałunek? Teraz? Ten pomysł sprawia, że serce podskakuje mi do gardła i bije z ekscytacji.

- Właśnie o to chodzi. Wiesz, ile jest czosnku w niektórych naszych przekąskach? To po prostu rozsądne planowanie. Zaufaj mi.

- Ty to umiesz przekonywać, Aidan. Nieprawdopodobnie. Milknie.

- Nieprawdopodobnie, czyli czarująco i urokliwie, czy nieprawdopodobnie w stylu - jak to nazwałaś? - totalnego dupka?

- Raczej czarująco - odpowiadam, marszcząc brwi, jakbym się nad czymś głęboko zastanawiała. - Urokliwie.

- Wiedziałem, że powinienem być przynieść jakieś referencje na potwierdzenie prawości mojego charakteru - mówi Aidan. - No dobrze. W celu potwierdzenia, że nie jestem dupkiem, nie powinniśmy się dziś całować. Ustalmy, że musimy zachować ten pocałunek aż do naszego kolejnego spotkania.

- Musimy? - pytam z ukłuciem zawodu.

- Tak - odpowiada Aidan. - A teraz jedzmy. Bo to wino uderza mi do głowy jak jakiejs pensjonarce.

Znów chichoczę i zauważam, że jestem trochę pijana.

- Opowiedz mi jeszcze o swoim barze.

- Um, tak naprawdę to zastanawiam się nad zatrudnieniem pomocnika na ten weekend. Znam jednego aktora, który wykonuje różne prace dorywcze w rozmaitych firmach na Brooklynie.

- Dzięki Bogu, że aktorzy się do czegoś przydają. Och, spróbuj tego. Kurza wątróbka z pistacjami. Nie patrz tak na mnie. To jest przepyszne.

Niechętnie biorę małego kęsa wątróbki. Ale on ma rację: jest naprawdę przepyszna.

- Czy to nie jest niesamowite, że wszystkie te rzeczy, które zawsze uważaliśmy za obrzydliwe, są tak naprawdę wspaniałe?

- Niesamowite. Następnym razem powinniśmy iść do Spotted Pig i zamówić pieczone świńskie ucho, jest genialne.

- Jesteś prawdziwym smakoszem, co?

- Nie, jestem po prostu zachłanny. Opowiedz mi coś jeszcze o tej twojej ciężarówce.

- Nie ma już co opowiadać - mówię. To nie do końca prawda, ale to, że „jestem winna tysiące dolarów lichwiarzowi”, nie jest najlepszym tematem do rozmowy na pierwszej randce. - Miałam pomysł, kupiłam ciężarówkę z obwoźnym barem i próbuję ten pomysł realizować.

- Jesteś taka dorosła - mówi Aidan, kręcąc głową z uśmiechem.

- Mój Boże, wcale nie - mówię zaskoczona. - Jestem zupełnie niepozbita, przysięgam.

-Ale już sobie wszystko zaplanowałaś - odpowiada on. - Mnie zajęło to wiele lat, nim odkryłem, czym chcę się w życiu zajmować.

-Lat?

- No tak, najpierw byłem na stażu w banku inwestycyjnym, nienawidziłem tej pracy, potem dostałem pracę w Google i myślałem, że to już będzie praca moich marzeń, ale też mi się nie podobało, potem wróciłem do banku inwestycyjnego i nadal mi się nie podobało. Czuję się jak totalny frajer... Ale w końcu, odkryłem, jaka praca przyniesie mi zadowolenie. I to właśnie teraz robię.

- Obejmujesz kontrolę nad rynkiem kapitału wysokiego ryzyka? — pytam.

Aidan wybuchają śmiechem.

- Coś w tym stylu — spogląda na mnie i uśmiecha się. — To ciekawe i satysfakcjonujące. Jestem zadowolony.

- Ciekawe i satysfakcjonujące - o to właśnie chodzi - odpowiadam.

- Wypiję za to.

Milczymy przez sekundę i wypijamy toast, moje serce znów bije bumbumbum.

- Nie sądzę, bym miała wszystko zaplanowane - tak łatwo jest mi się zwierzać, że to aż dziwne. Wydaje mi się, że moglibyśmy z łatwością przegadać całą noc. — I nie wiem, czy praca w tym biznesie jest mi pisana na zawsze. Czy nawet będzie to praca w biznesie restauracyjnym. Nie jestem specjalnie uzdolniona, jeśli chodzi o kulinaria. - Aidan się uśmiecha. - Tak naprawdę to nie wiem, co jest moim przeznaczeniem, ale robię, co mogę, by się tego dowiedzieć - milknę. - I chyba tak jest dobrze.

- Dobrze? To niewiarygodne - mówi Aidan. - Masz dwadzieścia dwa lata, pracujesz na własny rachunek i dajesz sobie radę.

- Dzięki, ale Boże, wcale nie daję sobie rady - wzdycham, wpatrując się w swój kieliszek. - Chcę po prostu pokazać rodzicom, że nie jestem tylko jakąś księżniczką, że potrafię coś zrobić ze swoim życiem, a nie tylko wydawać ich pieniądze. I że nie jestem taką porażką, za jaką mnie uważają - rumienię się. - Yyy... Nieważne, przepraszam, zanudzam cię.

- Nie, wcale nie - mówi Aidan. Wyciąga dłoń i chwyta mnie za rękę. - Uwielbiam z tobą rozmawiać. Jesteś idealna.

Jak dobrze czuć jego dłoń na mojej, jego skóra jest taka ciepła i gładka i, Boże, to właśnie jest to słowo, idealna, a nasza rozmowa jest tak relaksująca, a mimo to stymulująca i miła, jak żadna inna, tak, że nagle czuję, jak to całe nagromadzone zdenerwowanie i napięcie w końcu ze mnie schodzi. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuję się pewna siebie i spokojna.

Spoglądam na twarz Aidana i czuję... Pewność. Jest dobrze. Tak po prostu.

I właśnie wtedy zauważam coś kątem oka, zarys tak znajomej sylwetki, że natychmiast odwracam głowę i patrzę z szeroko otwartymi oczyma: bardzo wysoki mężczyzna o ciemnych włosach, w dobrze dopasowanym garniturze, bez krawata...

Biorę ostry wdech i wyrywam dłoń z ręki Aidana.

- Co się stało? - pyta.

Odwracam się do niego, ale nie mogę wydusić słowa.

Ponieważ sześć metrów od nas stoi pierwszy chłopak, w którym się zakochałam. Mój chłopak z czasów szkoły średniej, który się o mnie starał, uwiódł mnie, rzucił i powiedział, że na to zasłużyłam i powinnam się była tego spodziewać.

To Eddie.

Rozdział 21

Chwytam szybko mój kieliszek z prosecco i opróżniam go jednym haustem.

Potem nalewam sobie jeszcze jeden i też wypijam wszystko od razu.

- Gdzie jest kelnerka? Czy mają tu wódkę?

- Wszystko w porządku? - pyta Aidan, marszcząc brwi.

- Tak. Mogę dostać jeszcze jednego drinka?

- Oczywiście, miałem zamówić jeszcze trochę wina... Czy na pewno wszystko dobrze? Nie wyglądasz.

- Wszystko w porządku! - przerywam mu. - Po prostu napijmy się jeszcze!

Przez kolejnych dwadzieścia minut skupiam się na tym, jak Aidan porusza ustami, przytakuje, gdy milknie i śmieję się, gdy on się uśmiecha. Ale Aidan powoli przestaje się uśmiechać.

- Słuchaj, czy chcesz mi coś powiedzieć? - pyta. - Czy powiedziałem coś albo...

Wypijam trzeci kieliszek wina.

-Ależ nie! Spokojnie, haha... Nie, nie, wszystko w porządku - wstaję szybko i przy pierwszym kroku potrącam stolik. Wszystko na stoliku lekko się chybotze, ale nic się nie przewraca.

- Uff! - mówię. - A teraz przepraszam cię na momencik, idę do... tego.

Aidan też wstaje - jakie ma dobre maniery — a ja nie mogę tego nawet skomentować.

Mam w głowie tylko jedną myśl: Eddie. Och, mój Boże, Eddie.

Chociaż minęły wieki, odkąd widziałam go po raz ostatni, w chwili gdy zauważyłam jego profil w głębi sali restauracyjnej, wiedziałam, że to on. Jak można tak dobrze kogoś pamiętać - czyjś chód, głos, sposób poruszania się, czy to jak przesuwa krzesło, wszystko - po tak długiej rozłące? I dlaczego, dlaczego, dlaczego tak bardzo świruję? Już nic do niego nie czuję! Już zupełnie nic do niego nie czuję!

Przemykam przez ogródek restauracyjny, próbując nie potrącić po drodze żadnego stolika. Stolik Eddiego jest tuż obok ściany restauracji. Gdy wchodzę po zewnętrznych schodach spoglądam w dół w ich kierunku. Siedzi tyłem do mnie, ale to Eddie, to na pewno Eddie. Jest tu z jakąś szczupłą dziewczyną o idealnych włosach w kolorze miodowym, a naprzeciwko nich siedzi elegancka starsza para. To zapewne jej rodzice. Zatrzymuję się u szczytu schodów dokładnie w chwili, gdy Eddie coś mówi i wszyscy wybuchają głośnym śmiechem.

Wchodzę na oślep do restauracji, po drodze prawie przewracam jakąś kelnerkę.

- Toaleta? Proszę, gdzie, powie mi pani? - mówię. Najwyraźniej nie jestem w stanie poprawnie wymówić nawet jednego zdania.

Kieruje mnie ku drzwiom naprzeciwko kuchni, a ja pędzę w ich kierunku. Gdy już jestem w środku, zatraskuję stopą deskę klozetową i siadam na niej, oddycham ciężko i niespokojnie.

Eddie.

Byliśmy razem przez prawie dwa lata. Pamięta go nie tylko mój umysł, ale przede wszystkim moje ciało. Pamiętam dokładnie, co czułam, gdy mnie całował, gdy splataliśmy dłonie.

Wiem, jak brzmi jego głos, gdy mruczał „Keller” zaraz po przebudzeniu. Wiem, że nadal się boi postaci hrabiego z *Ulicy Sezamkowej* i potrafi wyrecytować cały tekst z filmu *Toy Story* od początku do końca. Wiem, że chociaż był jednym z najbardziej lubianych chłopaków w szkole z internatem, to nienawidził tego do momentu aż poznał mnie. Wiem to wszystko.

Wiem też, że gdy mówił mi, że jestem idealna, i że mnie kocha, kłamał.

I że najwyraźniej powinnam się była tego spodziewać.

Spoglądam w dół na swoje dłonie. Trzęsą się.

Nie wzięłam do łazienki swojej kopertówki, więc nie mam komórki. Nawet nie mogę do nikogo napisać SMS-a. Angie wiedziałyby, co robić... Albo może nawet Julia. A Coco by mnie wsparła moralnie. Madelenie... Ach, kto wie, co ona by u diabła zrobiła.

Myję ręce w umywalce i patrzę na swoje odbicie w lustrze, próbując spokojnie oddychać. Nie dostanę ataku paniki. Nie pozwolę na to.

„Weź się w garść, Pia”, próbuję przybrać najbardziej surowy ton, na jaki mnie stać. „Przestań się zachowywać jak jakaś pieprzona frajerka”.

Niezła pogadanka.

Wychodzę z łazienki i idę z powrotem przez restaurację w stronę ogrodu.

I wtedy, gdy skręcam, by zejść po schodach, zauważam go. To Eddie. Stoi tuż przede mną.

Próbuję coś powiedzieć, ale mi się nie udaje. Nie mogę wykrztusić słowa.

Eddie otwiera usta ze zdziwienia.

-Pia!

Opieram się o poręcz schodów, próbując wyglądać na opanowaną i spokojną, choć jest zupełnie inaczej, i przybieram radosną, zaskoczoną minę. Ale moje serce właśnie przystało na sekundę, ręce trzęsą mi się tak bardzo, że muszę je ukryć

za plecami i czuję się tak, jakbym się dusiła. Och, Boże, zaraz dostanę ataku paniki.

- Co ty tutaj robisz? - pyta Eddie. - Ty? Na Brooklynie? -Jestem... na kolacji - udaje mi się odpowiedzieć,

w uszach słyszę głośny szum. - A ty?

- Uh, kolacja z Josephiną, moją... i jej rodzicami.

- S-s-ssuper — odpowiadam. Uśmiecham się i czuję, jak mi się rusza policzek, tak, że drga mi warga. Widzę, jak jego twarz nagle przybiera inny wyraz, znika jego amerykańska pewność siebie.

-Boże, Keller... - mówi, wchodząc po schodach w moją stronę i wyciągając dłoń, by dotknąć mojego ramienia.

Instynktownie wzdrygam się i odsuwam, zanim zdążymy się dotknąć, i przepycham się obok niego w dół schodów.

Gdy schodzę z ostatniego schodka, odwracam się i patrzę w górę. Eddie stoi sparaliżowany, patrzy na mnie, ale nie mogę odczytać niczego z jego twarzy. Wygląda na zmartwionego? Zdezorientowanego ?

-Miło było cię zobaczyć... spotkać - mamroczę, kiwając nerwowo głową, by pomóc sobie wydusić te słowa.

Nim zdąży coś odpowiedzieć, odwracam się i szybkim krokiem wracam do Aidana.

Zanim usiądę, podnoszę kieliszek z winem i zaczynam pić szybkimi łykami. Ja pierdolę, to był jakiś koszmar.

Aidan spogląda na mnie z rozbawieniem, ale i ze zmartwieniem w oczach.

- Powiesz mi, o co chodzi?

- Nie - odpowiadam. - Upijmy się.

- Lepiej nie - odpowiada Aidan. — Po prostu wróćmy do naszej miłej rozmowy.

Rozmowa się nie klei. Piję tak szybko, jak mogę, i nie wiem, co mogłabym powiedzieć. To zbyt trudne, dociera do mnie, gdy patrzę na twarz Aidana. Nie dam rady. Nie chcę próbować. Nie chcę podejmować kolejnego ryzyka.

- Pia, co się dzieje? - mówi Aidan kilka minut później. — Miałem wrażenie, że dobrze się bawimy.

- Tak? No cóż, ja też, ale ja zawsze się mylę - mówię, machając kieliszkiem. - Wyglądasz na miłego faceta, a pewnie taki nie jesteś. Jesteś tu, ponieważ ci się nudzi albo myślisz, że jestem kimś, kim nie jestem, albo może chcesz mnie zaliczyć, a ja wyglądam na kogoś, kto by tego chciał.

- To absurdalne, co mówisz - odpowiada ostrym tonem Aidan, a jego twarz pochmurnieje.

- Naprawdę? - pytam. - Taka jest prawda. Tak ludzie robią. Takie jest życie.

- Takie jest życie? Ja sądzę...

- Nie obchodzi mnie, co ty sądzisz. Ta randka już się zakończyła - mówię podniesionym głosem.

- Nie ma sprawy - odpowiada stanowczym tonem Aidan. Aidan prosi o rachunek i czekamy na niego w ciszy, gdy ja

wypijam resztkę wina. Gdy kelnerka w końcu przynosi rachunek, Aidan nie pozwala mi zapłacić, więc po prostu rzucam połowę kwoty za rachunek na stół i wybiegam z restauracji, nie zwracając uwagi na stół Eddiego, nie zwracając uwagi na nic.

Wychodzę na ulicę i biorę głęboki oddech świeżego powietrza. Nie rozkleiłam się. Nadal się trzymam.

- Czyli to koniec? — słyszę czyjś krzyk. Obracam się, Aidan wybiegł za mną. - Spotykam cię na Court Street i myślę o tobie dzień i noc.

Pamięta, że mnie wtedy spotkał? Nie przypuszczałam, że będzie pamiętał...

- Potem los znów nas ze sobą styka na tylnym siedzeniu taksówki - dwukrotnie! Spędzamy ze sobą połowę idealnego wieczoru, a potem ty decydujesz, że jednak to wszystko nie jest warte twojego cholernego czasu, nie chcesz się dowiedzieć, co będzie dalej? Nieźle, Pia.

- Nie krzycz na mnie!

- Dlaczego? Ty na mnie krzyczysz!

- Nie znasz mnie! Nie możesz mi mówić takich rzeczy!

-Znam cię - mówi Aidan z gniewnym wyrazem twarzy. - Wszędzie się czujesz nie na miejscu, ale łatwo nawiązujesz przyjaźnie. Uwielbiasz podróże, ale nigdzie nie czujesz się jak u siebie. Uwielbiasz czuć się częścią grupy, ale chcesz być niezależna.

- Przestań-mnie analizować! - krzyczę.

-Znam cię, bo jesteś dokładnie taka jak ja, ty wariatko! - odkrzykuje Aidan.

Na szczęście, gdy dochodzimy do chodnika, podjeżdża taksówka, więc nie czekając, krzyczę - Taxi! I kierowca hamuje z piskiem opon. Wsiadam i zatrząskuję za sobą drzwi, nim Aidan zdąży mnie powstrzymać.

- Dokąd jedziemy? - pyta taksówkarz.

- Na Manhattan - odpowiadam, nie rozglądając się, by spojrzeć na Aidana, który, mam wrażenie, wciąż stoi na chodniku i patrzy na mnie.

- W jakieś konkretne miejsce?

- Powiem panu po drodze. Proszę mnie po prostu wywieźć z Brooklynu.

Drżącymi rękami piszę SMS-a do Angie: *Pomocy, pomocy, pomocy, EDDIE.*

Angie natychmiast oddzwania.

- Co się do cholery stało?

- Był w restauracji, ześwirowałam - odpowiadam.

- A gdzie Brytyjczyk?

- Uciekłam.

- Przyjedź do nas - mówi Angie. - Zamówię dla ciebie wódkę wielkości Maine.

- Gdzie?

- Jesteśmy na West Village. Dojedź do Grove i Bleecker, a potem do mnie zadzwoń.

- Dobra.

Nawet nie dojechaliśmy jeszcze do Brooklyn Bridge. Zamykam oczy, marząc o tym, by kierowca przyspieszył. Chcę szampana, wódki, tequillę, papierosa, chcę zapalić, i tak naprawdę, po raz pierwszy odkąd wyrzucili mnie ze szkoły z internatem, chcę wziąć działkę... cokolwiek, co sprawi, że poczuję się lepiej.

Mam dość pracy. Mam dość zmartwień. Mam dość podejmowania ryzyka. Nic mi nigdy nie wyjdzie. Już nawet nie mam dłużej ochoty być sobą, zapomnieć to jedyne, czego teraz chcę.

Rozdział 22

Zanim się obejrzałam, zrobiła się trzecia nad ranem.

- Pia! My wychodzimy! - Angie przekrzykuje muzykę.

- Nudna jesteś! - odkrzykuję.

Facet, który siedzi obok mnie - Stef? Stan? Mniej więcej coś w tym stylu - odchyła głowę do tyłu i wybucha śmiechem, a potem przybija mi piątkę. Jest atrakcyjny, ma długie włosy, bogatych rodziców i mam przecucie, że będziemy się później nieźle bawić. Jakąś godzinę lub dwie temu całowałam się z jakimś facetem przy barze. Ciekawe, gdzie on jest. Nieważne. Teraz chcę się tylko upić!

- Czy ty czasem nie musisz wsiąść do ciężarówki za jakieś trzy godziny? — mówi Angie. Przez cały wieczór ścisnęła się z Manim, także prawie nic nie piła. - No chodź już, zabiorę cię do domu.

- Pierdolę tę ciężarówkę! — mówię do niej z bezczelnością i mocą, której dodaje pół grama kokainy i wiaderko szampana. - Pierdolę ją!

- Pia, mówię poważnie - Angie patrzy na mnie stanowczym wzrokiem.

- Angie, mówię poważnie - naśladuję ją. Nie chcę nikogo słuchać. Czuję się świetnie!

- A co będzie jutro ze Zgrabnymi Oponkami?

- Pierdolę jutro!

Wkrótce potem Angie i Mani wychodzą. Nie wiem, gdzie idą, ani gdzie jesteśmy. Od jedenastej chodzimy od baru do baru. Teraz jesteśmy w jakiejś knajpie, która jest zawsze otwarta i wypełniona głośną muzyką. Została tylko nasza czwórka: ja, Stan albo Stef i para, która od dwóch godzin obłapuje się jak winorośl, Véronique i Charles.

- Gdzie idziemy teraz, Stef? - mówi Charles. Ach, dobrze. Przynajmniej teraz wiem, że Stef ma na imię Stef.

- Na imprezę do mnie — odpowiada Stef.

Charles patrzy na mnie, a potem puszcza oko do Stefa. Czy on myśli, że jestem ślepa czy głupia?

- No to chodźmy. Jesteście gotowe, by ruszać dalej, kwiatuszki?

- Idziesz ze mną - mówi Stef, splatając swoje palce z moimi. Jego zimne palce nie pasują do moich. Ale wymazuję tę myśl, wychylając kolejny kieliszek szampana.

- Masz wybitny talent do szybkiego pochłaniania szampana.

- Nie mam odruchu wymiotnego - mówię, wywracając oczami w jego stronę.

- O rany! - mówi on, śmiejąc się z zaskoczenia. - Mała, jesteś rewelacyjna!

Ani się obejrzałam, a już jesteśmy u Stefa, w przestronnym pomalowanym na biało mieszkaniu na Columbus Circle, w którym jest tylko zajmujący całą ścianę telewizor plazmowy i lodowate w dotyku, skórzane białe kanapy.

- Kiedy się wprowadziłeś? - pytam, zwracając się w jego stronę. Siedzimy na jednej kanapie, a Charles i Véronique na drugiej.

- Dwa lata temu - mówi Stef.

- Nie stać cię na dekoratora wnętrz? - pytam. - Rany, ale ciężkie czasy.

- Byłem zbyt zajęty.

- Pracujesz?

- No co ty, skarbie, po prostu dobrze się bawię - Stef pochyla się i mnie całuje. Kładzie mnie na sofie, a ja odpływam, oddając się całowaniu. Po chwili zauważam, że zostaliśmy sami.

- Wciągnijmy jeszcze jedną kreskę i rozbierzmy się - proponuje Stef, całując mnie tuż za małżowiną uszną tak, że cała drzę.

- Uhm... - światła w pokoju są wyłączone i prawie nie widzę twarzy Stela w słabym świetle lampy z korytarza. Nagle nie mogę sobie przypomnieć, jak on wygląda. A on całuje mnie jeszcze przez chwilę, potem przekręca się na bok tak, że znajduję się pod nim i przyciska mnie mocno.

- Au - mówię. - Pasek.

- Ściągnę go - odpowiada.

Cichutki głos w mojej głowie szepcze: „nie powinnaś tu być”.

Zamykam oczy i ignoruję ten głos. Po prostu całuj się z nim, zapomnij o Eddie'm, Aidanie, Zgrabnych Oponkach i o wszystkim innym...

- Sprawiasz, że jestem taki twardy - szepcze Stef i łapie mnie za rękę, by mi pokazać.

Nie.

Wyrывam rękę i siadam na sofie.

- Nie chcę.

- Jasne, że chcesz — mówi Stef.

Chwyta mnie za ręce i szybko schodzi z kanapy, zaczyna całować i lizać wewnętrzną stronę moich ud, przesuwając językiem od dołu do góry wzdłuż środkowego szwu moich szortów. Coco pomogła mi je wybrać. Czy to było zaledwie kilka godzin temu? Mam wrażenie, że minęły lata. Co ja u diabła robię w jakimś pustym mieszkaniu, z jakimś obcym facetem, który liże mnie po udach? Bóg jeden wie, gdzie był jego język.

- Nie - mówię, odpychając go od siebie i podciągając nogi pod brodę, by stworzyć między nami barierę. - Nie chcę... Nie chcę tu być.

Stef siada i szybko poprawia włosy. Najwyraźniej zawsze musi wyglądać super.

- Nie ma problemu. A gdzie chcesz być, skarbie? W piątek lecę na Bahamy, może polecisz ze mną?

- Nie - odpowiadam i schodzę z kanapy, lekko się zataczając. Gdzie są moje buty? - Chcę wracać do domu.

- W porządku - odpowiada Stef, w jednej chwili zmieniając ton głosu z czułego na chłodny. Zauważyłam, że rozpieszczeni faceci tak robią, gdy im się powie, że z seksu nici. Myślą, że przez to będzie ci głupio i natychmiast znów poprosisz o aprobatę i czułe słówka, ściągając majtki. Akurat, nieszczęśliwie dla Stefa, tak się składa, że grałam w tę grę zbyt wiele razy. Stef schodzi z kanapy.

- Idę się odlać, a potem o tym porozmawiamy.

Gdy Stef jest w łazience, ja wychodzę z jego mieszkania. Jest po piątej nad ranem. Wczoraj o tej porze już byłam na nogach i pracowałam. Boże, wszystko jest nie tak. Powinnam być teraz w pracy. Powinnam teraz odbierać Toto z hangaru, przygotowywać sałatki, jechać na Manhattan.

Naprawdę spieprzyłam sprawę.

Ulice Manhattanu są szare, wietrzne i mroźne, a zanim udaje mi się znaleźć taksówkę i dotrzeć z powrotem do Rookhaven, wschodzi słońce. O Boże, miałam dziś pracować. Muszę pracować przez cały czas, jeśli mam kiedyś oddać Cosmo całą pożyczkę. Jak to się stało, że przez całą noc ani razu o tym nie pomyślałam?

Trzęsąc się z zimna, wchodzę po cichu do Rookhaven.

Cholera. Słyszę głosy w kuchni. To chyba Madeleine i Julia. Próbuję przemknąć po schodach tak, by mnie nie zauważyły, ale nagle...

- Pia? O rany, wygląda na to, że randka się udała!

Obracam się. Madeleine i Julia są ubrane w stroje do joggingu, gotowe, by wybiec na ulicę na swój idealny i niezawodny trening, a potem na pójście do pracy, w której staną się ide-

alne i kompetentne, a potem na powrót do domu do ich idealnego i niezawodnego życia.

- Nie - odpowiadam. — Wcale nie. Spieprzyłam tę randkę i on się już nigdy do mnie nie odezwie. Potem poszłam się napić, sprawy wymknęły się spod kontroli, wzięłam narkotyki i poszłam do mieszkania jakiegoś przypadkowego koleśia, a teraz jestem w pracy jeden dzień do tyłu, więc Cosmo prawdopodobnie po prostu odetnie mi palce u stóp, jeden po drugim, albo coś w tym rodzaju. Jak już niszczyć sobie życie, to w dobrym stylu, prawda?

Patrzę na mnie z otwartymi z zaskoczenia ustami. Mogę sobie wyobrazić, co sobie teraz o mnie myślą.

- Tak. Jestem pieprzonym nieudacznikiem, prawda?

Nim zdążą odpowiedzieć, odwracam się i maszeruję na górę do swojego pokoju. Jakoś znajduję energię, by wziąć prysznic i zmyć z siebie lepkość minionej nocy, a potem w końcu położyć się do łóżka.

Uczucie pewności siebie, które miałam po zażyciu koki, już dawno minęło, jestem teraz wyczerpana, ale mój mózg nadal gna w ten rozedrgany, nerwowy kokainowy sposób, nie mogąc skupić się na żadnej myśli dłużej niż chwilę, tylko wiruje spiralnie coraz niżej. Aidan, Eddie, Toto, Mike, Jonah, Bianca, Julia, Angie, Madeleine, Coco, Cosmo, Nicky, moi rodzice... Nie mogę znaleźć nawet jednej myśli, która mogłaby mnie pocieszyć. Wszystko jest zbyt skomplikowane, zbyt trudne.

Mój umysł nieustannie przeskakuje z jednej smutnej myśli na drugą, aż w końcu, około siódmej rano, zapadam w sen bez snów.

Rozdział 23

Jest wczesny wieczór, a ja jeszcze nie wstałam z łóżka. Nie śpię od jakiejś godziny. Może od dwóch czy trzech. Nie wiem. Wiem tylko, że gdy się obudziłam, za oknem było jasno, a teraz już nie jest. Nie mogę się ruszyć.

Ktoś puka do drzwi mojego pokoju.

- Pia? - to Julia. - Pilne spotkanie domowników. Do kuchni. Już.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nic się z nich nie wydobywa.

- Pia? Spisz?

- Nie! - w końcu z siebie wydobywam. - Właśnie się ubieram. Czyli to potwierdzenie. Zebranie domowników z mojego powodu. Spieprzyłam sprawę. Znowu.

Przez ostatnich kilka tygodni nie było różowo, często było mi źle. Prawie wszystko to wywołałam sama i można było tego uniknąć. Ale nie da się tego porównać z tym, jak się czuję teraz. To mieszanka użalania się nad sobą, rozpaczy, samobiczo-wania i dobrego starego smutku, z odrobiną kaca dla dodania smaczku.

Niewiele myśląc, biorę książkę *The Best of Everything* z mojego stolika nocnego i otwieram ją.

Za każdym razem kiedy nam smutno - powiedział Sidney — wydaje nam się, że od zawsze jesteśmy nieszczęśliwi i przypominamy sobie te wszystkie złe i rozczarowujące rzeczy, które nas spotkały. A gdy wszystko układa się wspaniale, to nagle wygląda na to, że życie wcale nie było takie złe.

Cholera. Ta książka przez cały czas czyta w moich myślach.

Wstaję, zakładam dzinsy i postrzępioną koszulę Prądy, którą Angie uktfadła chyba swojemu byłemu. O Boże, co za noc.

O Boże, co za dzień. O Boże, moja przeszłość i przyszłość są w rozsypce.

Jestem na krawędzi przepaści, spoglądam w dół, zaraz wpadnę w jej czeluść i nigdy więcej nie znajdę drogi powrotnej.

Julia prawdopodobnie chce mnie wyrzucić. Założę się, że właśnie po to zwołują zebranie domowników. Nie dziwię się jej.

Wzdychając, schodzę na dół. Wszyscy siedzą trzeźwo wokół kuchennego stołu, patrzą na mnie.

- Pia... - zaczyna Julia.

- Czy to interwencja? Przysięgam, że jej nie potrzebuję - mówię. Ale nikt się nie śmieje.

- Po prostu chciałyśmy... z tobą porozmawiać - mówi Julia delikatnie.

- Przepraszam, że dziś rano byłam niemiła. Nie byłam, yyy, sobą.

- Martwimy się o ciebie. Myślimy, że przechodzisz... — Julia zagryza wargę.

- Załamanie - mówi Madeleine. Zamykam oczy i wzdycham.

- To nie załamanie. Chodzi po prostu o to... że wszystko spieprzyłam. Znowu.

Coco podaje mi pieguska z czekoladą, jeszcze ciepłego, prosto z piekarnika. Słodycz oznacza miłość, myślę sobie

1 uśmiecham się do niej. Ona odwzajemnia uśmiech.

- Dziękuję. Myślałam, że jestem nową, doskonalszą Pią, ale nie jestem. Wszystko, za co się zabiorę, zamienia się w kupę

gówna - wzdycham. - Po prostu zadzwonię do rodziców. Nie dam rady. Nie zarobię tych pieniędzy.

- Dlaczego teraz tak myślisz? Przez cały tydzień miałaś takie pozytywne nastawienie! - mówi Coco.

- Nie wiem - patrzę w przestrzeń, zastanawiając się nad tym. - Może spotkanie z Eddie'm przypomniało mi, jak się czułam, gdy mnie rzucił...

- Kim u diabła jest Eddie? - pyta Julia.

- To tylko jakiś facet. Facet, z którym dawno temu chodziłam. Pomyłka. Tak jak pomyłką była randka z Aidanem, i pomyłką była pożyczka, i Zgrabne Oponki były olbrzymią, niewiarygodną, pieprzoną pomyłką - odpowiadam. - Chcecie usłyszeć coś zabawnego? Eddie rzucił mnie dwudziestego szóstego sierpnia i to dlatego zawsze wtedy się upijam najbardziej, jak tylko mogę, dlatego też tańczyłam na stole z butelką Captain Morgan, przez co mnie zwolnili, przez co dostałam pracę w Bartolo's, przez co trafiłam na Brooklyn Flea, i dlatego kupiłam Toto i zadłużyłam się u lichwiarza. To jak jakaś piekielna reakcja łańcuchowa. Opłakiwanie Eddiego dwudziestego szóstego sierpnia jest powodem, dla którego jestem teraz w tym całym gównie.

- Myślę, że się mylisz - mówi Angie cicho. -Co?

- Mylisz się. To, co robisz dwudziestego szóstego sierpnia, to nie żadne opłakiwanie. To świętowanie. Po prostu sobie tego nie uświadamiasz, bo na swój popieprzony sposób wolisz udawać, że Eddie był tym idealnym facetem, który zajrzał ci w duszę, czy gdzie tam do diabła uważasz, i zobaczył, że nie zasługujesz na miłość. Ale to nieprawda.

Angie milknie.

- Był sztywnym kontrolującym świrem, Pia.

- Co? Wcale nie!

- Zamienił cię w rozkład zajęć i rozpisywał go na nowo co wieczór.

- Pomagał mi w nauce!
- Trzymał cię z dala ode mnie przez całe zimowe ferie.
- Nie lubił alkoholu!
- Wybierał ci ubrania, sprawił, że każdą decyzję konsultowałeś najpierw z nim, próbował kontrolować wszystko, co robiłaś! Osobiście uważam, że jedynym powodem, dla którego z tobą zerwał, było to, że byłoby mu zbyt trudno kontrolować cię, kiedy okazało się, że on będzie studiować w Berkeley, a ty w Brown. Był cholernie upierdliwy, Pia. I wcale cię nie znał. Bo każdy, kto cię naprawdę poznał, kocha cię taką, jaka jesteś.

Cisza. I nagle, nie wiem, co powiedzieć. Ponieważ ona ma rację. Naprawdę robił to wszystko. A mimo to...

- Byłam w rozsypce - mój głos brzmi tak samo niepewnie, jak się czuję. - Byłam w totalnej rozsypce i on mnie pozbierał, byłam niepokładana, byłam...

- Byłaś normalną dziewczyną, Pia. Nastolatką, która robiła co mogła, by przetrwać w swojej rzeczywistości, to wszystko - głos Angie jest roztrzęsiony z emocji. Nigdy jej takiej nie widziałam. — Wiesz, co według mnie sprawia, że się tak zachowujesz? Twoje wewnętrzne przekonanie, że nie zasługujesz na szczęście. Musisz sobie wybaczyć to, że brałaś narkotyki, i że ściągałaś, i to całe gówno, Pia. Ukryłaś to w sobie tak głęboko, że założyłaś, że już nawet nie dajesz sobie prawa, by o tym myśleć, a mimo to poczucie winy wpływa na wszystko, co robisz. Nikogo nie obchodzi, co robiłaś, kiedy miałaś czternaście lat.

- Oprócz moich rodziców - mówię nieśmiało. Angie wzdycha.

- Ich obchodzi bardziej to, co zrobisz z resztą swojego życia.

Julia odchrząkuje.

- Ekhem... Przepraszam? Jakie narkotyki?

- Jakie ściągnięcie? - pyta Madeleine.

- I co dokładnie wydarzyło się z Eddie'm? — pyta Coco.

Dwie godziny później wiedzą o mnie wszystko. I po raz pierwszy od wielu lat jest mi lekko na duszy.

- To już się więcej nie zdarzy - mówię. - Żadnych narkotyków. Nigdy. Obiecuję.

Nagle boleśnie uświadamiam sobie, co zrobiłam. - Ale nie mogę uwierzyć, że straciłam kolejny dzień pracy. Mam tylko dwa i pół tygodnia, by zarobić trzysta tysięcy dolarów - wybucham histerycznym śmiechem. - Powiedzmy sobie uczciwie. To się nie uda. Nie dam rady.

- Oczywiście, że dasz! - mówi Coco. Kręcę głową.

- Zadzwoń do rodziców. Poproszę ich o te pieniądze. Spłacę pożyczkę. Pójdę pracować jako sekretarka czy co tam zechcą. Ten pomysł z obwoźnym barem był naprawdę beznadziejny.

- Dość tego! Mam już po uszy twojego cholernego nastawienia! - krzyczy Angie, wstając tak energicznie, że aż przewraca krzesło.

-Co?

- Znam cię przez całe moje cholerne życie, Pia, i nigdy jeszcze nie widziałam, byś była tak szczęśliwa, jak przez ostatnie tygodnie. Więc wybaczone, że nie chcę tu siedzieć i wysłuchiwać twoich żalonych wymówek i tego, jak tłumaczysz sobie, że porażka jest nieunikniona tylko dlatego, że nie chce ci się spróbować. Jesteś panią swojego własnego upadku, Pia, zawsze byłaś i znowu jesteś.

Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę. Tylko się na nią patrzę, bezradnie.

Angie podchodzi do drzwi, odwraca się i patrzy na mnie.

- Zadzwoń do mnie, gdy przestaniesz się nad sobą użalać. Z przyjemnością ci pomogę. A tymczasem spadam stąd.

Znika i kilka sekund później słyszę trzask zamykanych drzwi frontowych.

Julia, Coco i Madeleine wyglądają na tak samo zszokowane jak ja.

- Ma rację - mówię w końcu. - Ma absolutną rację. Julia spogląda na mnie.

- Powinnaś... Kiwam głową.

- Tak. Wiem.

Gdy dobiegam do drzwi wejściowych, Angie już jest na dole schodów, zapala papierosa.

- Angiel - krzyczę, zbiegając po schodach. - Angie, masz rację. Wiem, że masz. Spróbuję. Obiecuję.

Angie zaciąga się papierosem, nie patrząc na mnie.

- Przepraszam za ten wybuch. Nie byłam sobą.

- Nie, dobrze zrobiłaś. Angie uśmiecha się cierpko.

- Dlatego mówię, że nie byłam sobą.

- Dziękuję - mówię.

- Czy teraz musimy się uściskać albo zrobić coś równie głupiego?

- Tak - odpowiadam. - Musimy.

Angie przewraca oczami, ale podchodzimy do siebie i ściskamy się mocno. Angie jest o wiele drobniejsza ode mnie. Przez jej osobowość zawsze mi się wydaje, że jest wyższa i większa, ale jest taka szczupła, że wyczuwam jej żebra i łopatki. Nagle nachodzi mnie wobec niej wręcz matczyna troska.

- Czy możemy teraz porozmawiać o tobie? I powiesz mi, co się z tobą działo?

- Do diabła, nie - odpowiada. - Już i tak wszystko w porządku. Za pół godziny mam spotkanie z Manim. Do zobaczenia później - zarzuca torebkę na ramię i idzie wzdłuż Union Street.

Wchodzę z powrotem po schodach podestu i słyszę czyjś głos za mną.
-Pia!

Odwracam się szybko. To... zdzirowata Bianca? Czego ode mnie chce?

- Jesteś... - mówi z ulgą. - Gdy na koncie na Twitterze nie dawałaś dziś oznak życia, pomyślałam, że może...

Nagle zauważam, że coś jest z nią nie tak: jest blada, wystraszona i ma rozmazane oczy.

Spoglądając przez ramię za siebie, wbiega po schodach i wpycha mnie do środka, zamykając za nami drzwi.

- Cosmo - mówi. - Cosmo powiedział mi, że też od niego pożyczyłaś pieniądze, przepraszam, że to przeze mnie się o nim dowiedziałaś, Pia, przepraszam.

-Co?

- Wyjeżdżam - mówi Bianca drżącym głosem. — Pożyczyłam od niego ponad osiemdziesiąt tysięcy, by rozpocząć biznes Wsuń To Ciacho. Na początku miałam zamiar sprzedawać tylko ciasta robione według autorskich przepisów, przysięgam, ale potem usłyszałam o twoim niskokalorycznym pomysle i wiedziałam, że się sprzeda, więc skopiowałam też twój pomysł. W każdym razie, już raz nie zapłaciłam jednej raty i nie mogę... Nie mogę się z nim spotkać znowu. Nie zarabiam tyle pieniędzy, ile się spodziewałam, już powiększył ostateczną kwotę, którą mu jestem dłużna i potem on... Ja nigdy...

Przełyka nerwowo ślinę, nie mogąc nic powiedzieć.

- Zrobił ci krzywdę? - pytam w końcu. - Nicky? Czy to był Nicky?

- Nicky? Nicky to ten dobry — mówi Bianca drżącymi dłońmi, wyciągając z plecaka paczkę papierosów.

Bianca nie jest po prostu zdenerwowana, jest przerażona.

- Dokąd jedziesz? - pytam. Kręci głową.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, byś uważała. Nie przegap płatności, nie pozwól, by miał na ciebie haka i przede wszystkim, nie wpuszczaj go do swojego domu. Dobrze?

- Dobrze - odpowiadam.

- Obiecuj mi! - mówi. - On nie jest taki, jak się wydaje. Po prostu zapłać Nicky'emu, skończ z tym i omijaj go z daleka.

- Obiecuję! — mówię. — Wybacz, ale dlaczego mi to wszystko mówisz? Gdy ostatni raz cię widziałam, nie byłaś moją naj -większą fanką - milknę. - I jestem prawie pewna, że to ty zniszczyłaś moją ciężarówkę.

Bianca wzdycha.

- Nie mam wielu przyjaciółek. Tak już jest. I zgadza się, ta czerwona farba to moja sprawka. Nie będę przeproszać. To była zemsta za Posuń To Ciacho w Dupę. Ale dlatego że jestem odpowiedzialna za wprowadzenie tego do twojego życia... — wzdryga się. — Musiałam cię ostrzec.

I mówiąc to, otwiera drzwi wejściowe, zbiega po schodach, przeskakując po dwa na raz i wskakuje do czekającej na nią taksówki.

Teraz wiem, co muszę zrobić.

Muszę pracować ciężiej niż ktokolwiek inny.

Rozdział 24

Nareszcie.

To mój ostatni dzień pracy w cieniu istniejącego długu.

Ostatnie dwie niedzielne spłaty przebiegły bezbłędnie: otworzyłam drzwi, mając za sobą wszystkie dziewczyny, podałam Nicky'emu kopertę, patrzyłam jak przelicza, a potem jak odchodzi. Bez słowa.

Pracowałam dwanaście godzin na dobę, codziennie, z Jonah (moim nowym pracownikiem) u boku.

Pomagają mi też dziewczyny. Julia pomaga mi co wieczór przy sprzątanii Toto, Madeleine codziennie rano w przygotowaniach, Coco przez cały czas wymyśla niesamowite nowe ni-skokaloryczne wypieki, a Angie w tajemnicy korzysta z konI aktów swojej szefowej, proponując oferty specjalne wszystkim czasopismom i stronom internetowym w Nowym Ior ku zajmującym się jedzeniem. To zaowocowało wizytami ważnych krytyków kulinarnych z Manhattanu, wzmianką w *The New York Times* w ubiegłą niedzielę i na *Page Six* w środę. I kasa napływa!

A dziś jest właśnie ostatni piątek przed ostateczną spłatą dla Cosmo i mam te dziesięć tysięcy dolarów.

Całość.

Co do grosza.

Z obawy, że ktoś mógłby się włamać do Rookhaven, co oznaczałoby, że musiałabym jeszcze raz odpracować te dziesięć tysięcy, śpię z tymi pieniędzmi pod poduszką i noszę ze sobą wszędzie. W tej chwili są bezpieczne pod dywanikiem Toto po stronie pasażera. Nawet nie widać, że tam są.

Wszystko inne też idzie świetnie, to znaczy tak mi się wydaje. Wygląda na to, że Coco już się pozbierała po traumie z Erickienri'poranną pigułką po. Julia poszła na randkę z facetem, którego poznała w barze karaoke, Masonem, i jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek od czasu studiów. Angie jest nadal z Manim, ale też przesiadzała zaskakującą ilość wieczorów w Rookhaven, po prostu spędzając czas z nami. Nawet Madeleine wydaje się szczęśliwa. No wiecie, jak na Madeleine.

Teraz gdy jadę z Toto w stronę Manhattanu, w chwili gdy wjeżdżam na sam środek Brooklyn Bridge, słońce odbija się po kolei od każdego wieżowca w centrum, sprawiając, że całe miasto wygląda, jakby migotało. To teraz mój Manhattan, mój Brooklyn, mój Nowy Jork. Po raz pierwszy w życiu, czuję się u siebie... Czuję, że może, jeśli będę miała szczęście, będę miała takie życie, jakiego pragnę.

Nagle przypominam sobie fragment z *The Best of Everything*:

To wszystko było jak jakiś sen, w którym można było dostać to, czego się pragnie, jeśli się jest bardzo, bardzo ostrożnym. Tak się właśnie czuję.

Po raz pierwszy od ponad siedmiu tygodni - a może nawet po raz pierwszy w ogóle - czuję się niezwyciężona. Jakby nic nie mogło mnie powstrzymać.

Dwa tygodnie temu rozmawiałam z moimi rodzicami i zapewniłam ich, że ciężko pracuję w „przemysle restauracyjnym” i że dobrze zarabiam. Najwyraźniej mi nie uwierzyli, ale przylatują do Nowego Jorku we wtorek, więc będę mogła im pokazać, jak ciężko pracuję, i że w końcu robię ze swoim życiem coś dobrego. Mam nadzieję, że będą ze mnie dumni.

Ponownie parkuję przed biurowcem Liny, ponieważ napisała do mnie wczoraj SMS-a o tym, że jej koledzy z pracy błagają ją, by mnie przekonała do powrotu. Przygotowuję naleśniki, zawsze mam zawczasu kilka gotowych, tak bym mogła je podawać szybko, ale wciąż ciepłe prosto z blachy do smażenia.

- Naleśniki! Naleśniki na śniadanie, niskokaloryczne, bezglutenowe naleśniki!

Kolejka śniadaniowa w szybkim tempie rozciąga się wzdłuż chodnika, a na jej czele stoi Lina, trzymając za rękę swojego małego synka, Gabe'a.

- Gabe! - mówię, wychylając się przez okienko tak, by mógł mnie zobaczyć. - Już pracujesz? To dobrze, mały ludziku. Musisz na siebie zarabiać.

Gabe zaczyna chichotać.

- Nie pracuję. Mam przecież tylko cztery lata!

- Nasza niania zachorowała, więc mam Gabe'a aż do lunchu - mówi Lina. - Naprawdę za tobą tęskniliśmy. Jesteś zdecydowanie najbardziej lubianą restauracją mobilną.

- Naleśniki! - Gabe piszczy z radości.

- Czyli pracownicy twojej firmy muszą mieć bardzo dobry gust i dobrą linię - odpowiadam. Daję im dodatkowego naleśnika do każdej porcji i dorzucam trzy dodatkowe opakowania z syropem z agawy i beztłuszczowym jogurtem greckim.

- Dziękuję dorosła Pio! - krzyczy Gabe. Śmiejemy się z tego z Liną.

- Tak cię nazywamy w domu, tak żeby cię odróżnić od małej Pii - wyjaśnia Lina.

- Jeszcze nikt nigdy nie nazwał mnie dorosłą - mówię do niej. - Podoba mi się.

Dziś rano jestem tak zajęta, że prawie nie podnoszę wzroku, chociaż mogłabym przysiąc - to znaczy tak naprawdę przysiąc — że w pewnym momencie widzę jak obok przechodzi Aidan. Serce mi wskakuje do gardła i wykazuję się książkowym spóźnionym refleksem, ale on - jeśli to nawet był on - natych-

miast znika. Zdarza się to po raz pięćdziesiąty od momentu, gdy zupełnie mi odbiło i uciekłam z naszej randki.

Potrząsam głową, by przestać myśleć o Aidanie, i obsługuję kolejną osobę, dziewczynę, która jest mniej więcej w moim wieku i krzyczy przez telefon.

- Absolutnie wykluczone, nie oddzwonię do niego! To była najgorsza randka w moim życiu! Moje życie jest teraz trudne i bez tego, rozumiesz? Dobrze, skarbie, zadzwoń później, pa.

Rozłącza się i patrzy na mnie.

- Facet, z którym się wczoraj umówiłam, zadzwonił do swojej matki o dziesiątej wieczorem, by przesłać jej całusa na dobranoc. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Zapytałam, czy może zmienić mu pieluszkę. Odpowiedział: - Nie, teraz sam sobie podcieram tyłek. L był z tego dumny.

Śmieję się tak bardzo, że prawie nie mogę jej podać zamówienia. Boże, jak ja uwielbiam ludzi. Tak, wiem, że to brzmi, jakbym była totalną frajerką. Ale oni są po prostu tacy zabawni i mili. Nie znosiłabym pracy, w której przez cały dzień nie mogłabym mieć kontaktu z ludźmi. Praca w boksie biurowym? I kontaktowanie się ze światem zewnętrznym tylko za pośrednictwem maili? Nie ma mowy. festem stworzona do tej pracy!

- Wpuść mnie! — krzyczy jakiś głos. To Jonah. Wskakuje do środka i od razu, jak to ma w zwyczaju, rozłącza swoją wy-luzowaną aurę typu: jestem do usług, którą klienci uwielbiają.

- Czy można go zamówić do deseru? - pyta dziewczyna od fatalnej randki.

- Jasne - odpowiada Jonah, posyłając jej swój najlepszy uśmiech miłego dobrego chłopca. - Ale ostrzegam, że jestem bardzo słodki.

- Och, nic nie szkodzi - dziewczyna jest nim zachwycona. Niechętnie odbiera swoje zamówienie i odchodzi.

- Niezły tekst, Jonah — mówię do niego. — No dobrze, więcej pracy, mniej flirtowania.

— Tak jest szefie - odpowiada Jonah. - Witam, pana! Czym mogę służyć? — zwraca się do kolejnego klienta w kolejce.

— Miałem nadzieję, że to ona mnie obsłuży — mówi ten facet, jeden z moich stałych klientów: pulchny księgowy w tanim garniturze, lekko spocony.

— Jest zajęta, ale przesyła pozdrowienia - mówi bez zająknięcia Jonah.

Księgowy ignoruje go.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że odkąd zacząłem jeść lunch u ciebie trzy tygodnie temu, zrzuciłem cztery i pół kilo! - mówi z dumą w głosie. Pochyliam się i przybijam mu piątkę.

— Człowieku! To niesamowite, brawo! Dzięki, że mi o tym mówisz!

— Nie, to ja dziękuję! Próbowałem już każdej diety! Uśmiechając się, zwracam się do następnej klientki, stojącej za nim. To ta video blogerka z Grub Street, Becca.

— Witam! - mówi. - Czy mogę nagrać kawałek o tym, jak się czujesz, będąc nominowaną do Nagrody Vendy?

— O rany! A jestem? Kto mnie nominował? To znaczy - naprawdę? Becca uśmiecha się.

— To dość poważna rzecz, wiesz. W świecie tych, którzy sprzedają jedzenie prosto z ulicy, to jak Oscary. No dobrze, zacznę teraz filmować... Mów głośno, ruch uliczny zagłusza. Tak naprawdę to krzycz, jeśli możesz.

— Och, kurcze, przemawianie bez przygotowania nie jest moją najmocniejszą stroną - mówię, ale zanim nawet mam czas, by spanikować, dostać bólu brzucha na myśl o wystąpieniu publicznym i niewątpliwie stracić głos z powodu paniki, zapala się czerwone światełko nagrywania.

Więc otwieram usta i co dziwne, zaczynam po prostu mówić.

— Jestem Pia ze Zgrabnych Oponek i jestem zaszczycona i zachwycona tym, że jestem nominowana do Nagrody Vendy.

Ta nominacja pokazuje, że nowojorczyacy chcą mieć mobilną restaurację, która dba o ich rozmiary tak samo jak o ich kubki smakowe!
Dalej Zgrabne Oponki!

Musiałam pewnie krzyczeć o wiele głośniej niż mi się wydaje, ponieważ cała kolejka wybucha radosnym okrzykiem i gwizdami dopingu. Rumienię się. O kurczę. O rany.

W życiu nie byłam do niczego nominowana. Nawet jeśli nie wygram, to- to jest znak. Wszystko będzie dobrze.

Około dziesiątej trzydzięci wyprzedajemy wszystkie naleśniki, jak zwykle, zamykamy okienko i wystawiamy informację o tym, że jest: „ZAMKNIĘTE, BYŚMY MOGLI PRYZRZĄDZIĆ DLA WAS ZGRABNY LUNCH!”, którą zrobił Jonah. (Jak dla mnie napis jest trochę zbyt radosny, może powinnam usunąć wykrzyknik). Sprzątamy po śniadaniu i przygotowujemy się do lunchu. Boże, we dwójkę jest o wiele łatwiej.

- A wiesz co? A Meal Grows In Brooklyn już nie istnieje. Zbankrutowali.

- Żartujesz - mówię. - Biedny Phil i Lara! Jak się trzymają?

- Dobrze, są dość wyluzowani, jeśli chodzi o takie sprawy, wiesz?

- No tak - odpowiadam. - Chyba tak.

Ale myślę sobie tylko, że to wielka szkoda. A Meal Grows In Brooklyn to był taki świetny pomysł. Ale i tak upadł. Dobry pomysł nie wystarczy. Trzeba też pracować najciężej jak się da. Trzeba się w to absolutnie zaangażować. Na sto procent.

-A, Jonah... Może chciałbyś pracować dla mnie w pełnym wymiarze godzin, gdy już będę mogła płacić ci więcej? - pytam. Pracuje teraz za zatrudniającą niską stawkę.

-A czy będę mógł brać wolne, by chodzić na castingi? - pyta Jonah.

- Oczywiście! A od kiedy to masz castingi?

- Od kiedy w zeszłym tygodniu zatrudniłem agenta - mówi skromnie.

- Chłopie! To niesamowite, gratuluję! - mówię do niego.

- Pia, to wszystko dzięki tobie. Pamiętasz tę niedzielę w Carrol Gardens, gdy powiedziałaś, że jedyną osobą, która może sprawić, by moje życie wyglądało tak, jak chcę, jestem ja sam? - pyta Jonah. - To naprawdę mną potrasnęło. Przez wszystkie te lata siedziałem na tyłku, czekając aż coś spadnie mi z nieba... Do diabła z tym!

- Dobrze powiedziane! Człowieku, tak się cieszę, super sprawa! A jeśli będziesz miał jakiś casting, po prostu na niego idź.

- Super - mówi Jonah. - Więc mogę wyjść trochę wcześniej dziś po południu? Ogłosili casting na ten serial o prawnikach, to znaczy, to absolutnie nic pewnego.

- Tak! A który? Ten z tą aktorką, która grała w tym filmie z tamtym aktorem? Ma niesamowite brwi.

Rozmawiamy i przygotowujemy jedzenie, mamy nadzwyczaj dużo klientów w porze lunchu, potem Jonah idzie na swój casting, a ja nadal obsługuję.

Kilkadziesiąt minut po piętnastej kolejka się przerzedza.

I właśnie wtedy to się dzieje, dokładnie w chwili, gdy podaję sałatkę jednemu z moich stałych klientów, informatykowi w koszuli zapinanej na guziki.

Słyszę straszny huk.

Toto trzęsie się i chybocze pod moimi stopami, a w środku słyhać echo miażdżonego metalu i tłuczonego szkła.

Informatyk i ja zamieramy w bezruchu i patrzymy na siebie.

- Słyszałeś to? - pytam.

Jego oczy są szerokie ze strachu.

- To brzmiało, jakby Godzilla uderzyła w twoją ciężarówkę! Pędem otwieram tylne drzwi: to jakiś szczupły łysy facet,

którego nigdy w życiu nie widziałam. Ma na sobie bluzę z kapturem, spodenki do gry w koszykówkę i szalony, niesamowicie skoncentrowany wyraz twarzy... I wali w moją ciężarówkę kijem do baseballa. Zdążył już rozbić jedno tylne światło hamowania, a w chwili, gdy wychodzę z ciężarówki, wali w drugie.

- Czy ty jesteś jakimś cholernym świrem? - krzyczę. - Odepierz się od mojej ciężarówki!

- Na twoim miejscu bym tak nie gadał - mówi śpiewnym głosem, wymachując kijem jak zawodowy gracz w baseball. Nagle zauważam, że się poci, a jedna z jego brwi porusza się rytmicznie. Cholera, on naprawdę jest świrem.

- Proszę przestań walić tym kijem w moją ciężarówkę - mówię, próbując brzmieć spokojnie.

Ignoruje moje słowa, nadal macha kijem nad swoją głową.

- To tylko przedsmak.

- Przedsmak czego?

Robi kolejny wymach kijem i uderza nim w drzwi, powodując wgniecenie w mojej ciężarówce, mojej drogiej Toto. I nagle sama czuję, że trochę mi odbija.

- Dość tego! Dzwonię po policję! Ty pieprzony świrze! Odbiło ci! Nie możesz niszczyć czyjejś własności!

Wtedy on sięga do kieszeni, wyciąga dzwoniącą komórkę i podaje mi ją.

- To do ciebie, Pia. Wie jak mam na imię? Biorę telefon.

- Halo?

- Halo, Pia moja droga - mówi znajomy głos. - Tu Cosmo. Moje ciało przebiega dreszcz.

- Cosmo.

- Chciałem byś poznała Nolana. Gdy Nicky nie może czegoś zrobić, Nolan może.

- Och... - mówię, obserwując Nolana. Coś wacha i przeżuwa i porusza głową w dół i w górę, jakby słuchał nieistniejącej muzyki. Nie jest świrem, dociera do mnie nagle. Wziął me-taamfetaminę albo kokainę. Jest ćpunem. I kolejnym sługusem Cosmo.

Cosmo brzmi tak, jakby się uśmiechał.

- Jak się masz skarbie? Jak tam interesy?

- Dlaczego to zrobiłeś? Mam dla ciebie całą kasę, nie zamierzałam... Nie mogę za bardzo pozbierać myśli, mając przed sobą narkomana na haju.

- Dlaczego niszczysz moją ciężarówkę?

- Pomyślałem, że będzie miło przypomnieć ci, że jestem poważnym biznesmenem. Na wypadek, gdyby ta mała panko-wata suka powiedziała ci coś innego. Kapujesz?

Bianca. Wie o tym, że Bianca przyszła do mnie, by mnie ostrzec. A teraz jest wkurzony. Skąd o tym wie?

- Kapuję - odpowiadam cicho.

- Będę u ciebie osobiście w niedzielę wieczorem o siódmej.

- Będę czekała - mój głos brzmi jak cichy szept.

- Dobrze. A, podobał mi się ten twój strój, który miałaś na sobie z tamtym facetem. Czy ubierzesz go dla mnie w niedzielę?

Wydaję z siebie okrzyk przerażenia. Moja randka z Aida-nem. Obserwuje mnie. Mam nagły odruch wymiotny.

- Muszę lecieć, Pia! Uważaj na Nolana. Jest trochę narwany. Cosmo rozłącza się, a ja oddaję telefon Nolanowi, który

wciąż wymachuje kijem nad swoją głową, tworząc wielkie koła.

- Proszę odejść od mojej ciężarówki - mówię, mając nadzieję, że mój głos jest opanowany i stanowczy.

- Zadzwoń na policję! — ktoś krzyczy.

- Lepiej sobie idź - mówię do Nolana, próbując zbić go z tropu wzrokiem. - Jeśli policja cię tu znajdzie, będziesz miał przechlapane.

Nolan uśmiecha się szyderczo.

- Głupi ruch, suko. Miałem powybyjać szyby w twojej ciężarówce i na tym skończyć, ale zamiast tego pojedę do twojej pieprzonej cacanej kamieniczki i powybijam wszystkie szyby, jedną po drugiej. Tylko po to, by dać ci nauczkę.

Wciągam szybko powietrze z przerażenia.

- Nie zrobisz tego.

- Mam nadzieję, że ta mała blondyneczka z dużymi cyckami jest w domu. Podoba mi się.

Jasna cholera! Coco?

- Spróbuj ją tylko tknąć, ty naćpany...

Nolan wydaje z siebie przeszywający krzyk Tarzana, potrząsając kijem baseballowym przed moją twarzą i podskakując. Potem biega wokół Toto, waląc w nią na oślep, cała ciężarówka trzęsie się od dźwięku uderzanego metalu. Klienci i przechodnie, którzy obserwowali naszą kłótnię z bezpiecznej odległości, rozbiegają się. Słyszę jeszcze więcej odgłosów rozbijanego szkła, ale nie mogę się ruszyć. Jestem sparaliżowana ze strachu, szoku czy czegoś innego. Jak w jednym z tych snów, kiedy człowiek próbuje krzyczeć, ale nie może nawet pisnąć.

Potem biegnie w górę ulicy w stronę małego czerwonego samochodu, wskakuje na siedzenie kierowcy i szybko odjeżdża.

O, mój Boże.

Jedzie do Rookhaven. Wybije wszystkie okna i zrobi Bóg wie co Coco, która ma wrócić z pracy lada moment. Vic i Marie też pewnie są w domu, a co jeśli coś usłyszą i wyjdą? Co im zrobi?

Nie mam czasu, by myśleć, nie mam czasu, by robić cokolwiek. Po prostu muszę dotrzeć do domu i powstrzymać go przed zniszczeniem mojego domu i skrzywdzeniem moich przyjaciół. Więc zatraskuję tylne drzwi Toto i krzyczę:

- Przepraszam! Następnym razem! - do kilku czekających potencjalnych klientów, którzy przyglądają się z bezpiecznej odległości, potem pędzę w stronę siedzenia kierowcy i siadam.

Przez sekundę Toto nie chce zastartować.

- No dalej, Toto, ruszaj... - mamroczę. Toto rzezi i charczy, ale potem flegma ustępuje i silnik startuje. Wyjeżdżam na ulicę, zawracam całkowicie nielegalnie, zakładam słoneczne okulary i jadę w stronę Brooklyn Bridge. Nie zdążyłam wszystkiego schować. Z tyłu będzie niezła sałatkowa masakra, ale mam to w nosie.

Od Midtown przez całą drogę przez East Village pędzę przez wszystkie znane mi skróty, boczne szlaki i tajemne alejki, skręcając na dwóch kołach, wpychając się przed innych i klnąc na taksówkarzy, którzy wjeżdżają przede mną.

Czuję się jak w jakimś filmie. Gdyby nie okropne uczucie strachu w żołądku, prawie by mi się to podobało.

I wtedy, właśnie gdy mam przejechać przez Houston, pojawia się czerwone światło.

Zazwyczaj jestem ostrożna, ale wiem z doświadczenia, że te światła są jednymi z najwolniejszych na Lower Manhattan, a to jest przecież bardzo pilna sprawa, do cholery.

Więc przejeżdżam na czerwonym świetle sto kilometrów na godzinę.

Po chwili słyszę, jak jakiś samochód ma wypadek, to nie ja, ja jadę dalej, ale...

Potem słyszę wycie syreny policyjnej, cholera, tuż za mną jedzie radiowóz! Muszę się zatrzymać, wiem, że muszę się zatrzymać, ale jestem na jakimś autopilocie o nazwie „walcz lub uciekaj” i zamiast się zatrzymać, znowu dodaję gazu. Policja jest tuż za mną, oczywiście, dlaczego się nie zatrzymałam, jasna cholera, czy to się dzieje naprawdę? W jakiś sposób opanowuję się i zatrzymuję ciężarówkę, serce mi wali tak, że czuję ból.

Oszołomiona do cna, zaciągam hamulec ręczny, ściągam okulary i próbuję się uśmiechnąć, widząc policjanta podchodzącego do mojego okna.

Spokojnie, Pia. Spokojnie.

- Co się stało panie oficerze?

Rozdział 25

Brak świateł stopu. Przejazd na czerwonym świetle. Nieostrożna jazda. Ucieczka z miejsca wypadku. Nielegalna sprzedaż.

- Bardzo pana przepraszam, pozwolenie na sprzedaż należy do byłej właścicielki, a ja teraz załatwiam dokumenty, a światło stopu zostało zniszczone dopiero co, jakieś pięć minut temu, yyy, i właśnie chodzi o to, że jest taki facet, to wariat, chyba brał jakieś narkotyki, prowadzi czerwony samochód i jedzie do mnie do domu na Union Street, na Brooklynie - trajkoczę, ale nic na to nie poradzę. — Zamierza wybić wszystkie szyby i może też zaatakować moją współlokatorkę.

Policjant wydaje się być bardzo z siebie zadowolony. To chyba był dla niego szczęśliwy zbieg okoliczności: jechał za innym samochodem, kobieta, która go prowadziła, była pijana czy coś, więc kiedy ja przejechałam na czerwonym świetle i spowodowałam kolizję, zatrzymał nas obie. Pijana kobieta ma się dobrze, trochę się potłukła, ale nic jej nie jest, dzięki Bogu.

- Być może, proszę pani, ale będziemy musieli skonfiskować pani pojazd - mówi on.

- Co? Czy pan zwariował? W żadnym wypadku! Muszę jechać do domu!

- Proszę pani, proszę się uspokoić.

- Ale nie możecie tego zrobić! Nie możecie - ja nie mogę... Patrzę na Toto, śliczną różową Toto z wybitymi reflektorami.

- Proszę mi tylko pozwolić wrócić do domu, a obiecuję, że przyjdę później na posterunek i wszystko wyjaśnimy. Obiecuję.

- Proszę pani, proszę się uspokoić.

- Jestem spokojna! - mówię, a mój głos z każdym wypowiedzianym słowem brzmi coraz bardziej histerycznie. - Proszę mnie puścić! I to już!

- Proszę pani, proszę nie krzyczeć i oddać mi kluczyki do ciężarówki.

Oddać Toto? Oddać kluczyki do jedynej rzeczy, która chroni mnie przed lichwiarzem i moimi rodzicami? Gdzie w kopercie pod siedzeniem leży schowanych dziesięć tysięcy dolarów? Nie. Nigdy.

I wtedy popełniam największy błąd w moim — bądźmy szczerzy - wypełnionym błędami życiu.

Podnoszę ręce i odpycham go delikatnie ode mnie.

Dwadzieścia minut później, siedzę w kajdankach na tylnym siedzeniu radiowozu pędzącego przez Manhattan.

Okazuje się, że kłócenie się z policjantem, odpychanie go i próba ucieczki, to mniej więcej to samo, co stawianie oporu podczas aresztowania.

To znaczy, dokładnie to samo.

Kilka kolejnych godzin mija niepostrzeżenie. Zostaję przeszukana, konfiskują mi wszystkie rzeczy osobiste, a potem czytają mi wszystkie postawione mi zarzuty, robią zdjęcie twarzy, ktoś mnie pyta, czy jestem chora lub czy zażywałam narkotyki. Większości rzeczy prawie nie słyszę, od czasu do czasu trafiają do mnie pojedyncze słowa, niektóre z nich coś znaczą, inne nie. Najczęściej powtarzane to „Areszt Tymczasowy” i „postawienie w stan oskarżenia jutro rano”.

I w taki oto sposób doszło do tego, że spędziłam noc w zbiorowej celi Aresztu Tymczasowego w centrum Manhattanu.

Tak bardzo się martwię tym, co Nolan i Cosmo mogą zrobić dziewczynom, że z początku prawie nie myślę o tym, że schowałam moje dziesięć tysięcy dolarów pod dywanikiem Toto. Potem znów sobie o tym przypominam i mój mózg przeskakuje z jednego zmartwienia na drugie jak piłeczka pingpongowa. Nie mogę nic powiedzieć policji o żadnym z tych zmartwień, bo wyglądałoby to zbyt podejrzanie. Ze groził mi ćpun wynajęty przez lichwiarza? To znaczy, nie wiem nawet czy pożyczanie od takiego człowieka jest w ogóle legalne. A jakby zareagowali na wieść o tym, że pod dywanikiem mojej ciężarówki jest dziesięć tysięcy dolarów? Pomyśleliby, że jestem jakąś dilerką narkotyków albo coś.

Jaka idiotka pakuje się w takie kłopoty? Nie musicie odpowiadać.

Ale parking policyjny to prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce dla dziesięciu tysięcy dolarów, prawda? Kto by okradał policję? Nikt. Dokładnie. Więc, gdy w końcu trafiam do celi bez okien, gdzie najwyraźniej mam spędzić noc, decyduję, że moim jedynym zmartwieniem jest Nolan. A to i tak za dużo.

Wbrew moim wyobrażeniom cela aresztu nie wygląda jak ciemne zatłoczone lochy. Jest przestronna, ciepła i nazbyt oświetlona białymi jarzeniówkami wywołującymi migrenę, które odsłaniają zieloną pleśń na ścianach, pokrytą brudem toaletę stojącą w kącie i płatny aparat telefoniczny bez słuchawki. A, i cuchnie tu niemytymi ciałami, alkoholem, moczem i kałem, i starym jak świat zapachem potu.

W celi znajduje się już sześć kobiet. Połowa z nich jest wyraźnie pijana lub na haju. Pozostałe siedzą cicho na metalowej ławce ustawionej przy wszystkich ścianach tego pomieszcze-

nia, mają zamknięte oczy, by choć w taki sposób móc się odseparować od reszty. Wystarczy zamknąć oczy, by znaleźć odrobinę prywatnej przestrzeni, bez względu na to, gdzie się znajdujemy.

- Witamy w The Tombs, Bollywood! - woła któraś z nich. Bollywood. To chyba o mnie. Jak oryginalnie.

Nie zwracam na nią uwagi, nie zwracam uwagi na ukłucie strachu, które mnie przeszywa. Jestem sama. W więzieniu. Natychmiast odkrywam, że płatny telefon jest zepsuty, więc, chociaż naprawdę nie chcę przeszkadzać innym kobietom w celi, próbuję przywołać pilnującą nas policjantkę.

- Przepraszam bardzo, proszę pani? - wołam uprzejmie. — Czy mogę skorzystać z telefonu? Proszę! Muszę do kogoś zadzwonić!

Zero reakcji. Próbuję raz jeszcze.

- Przepraszam bardzo! Proszę pani! Pani policjantko! Muszę zadzwonić! Muszę kogoś przed kimś ostrzec!

Nic.

Odchrząkuję i mówię głośnym szeptem najwyraźniej jak potrafię.

- Halo...o.

- Zamknij się!

Odwracam się. Tuż za mną stoi kobieta. Ma wysuszoną poślódką twarz i tatuaż na szyi brzmiący: Maryha.

- Przepraszam - mówię cicho. Maryha mruży oczy, patrząc się na mnie.

- A ty kurwa, jaki masz do kurwy nędzy problem? Zaczynam się jękać.

- Chciałam tylko kogoś ostrzec... bo... jest taki świr i...

- Zawsze jest jakiś świr! - krzyczy kobieta siedząca w kącie. - Wszystkie mamy swoich świrów!

Kobiety w celi wybuchają śmiechem, a ja zaczynam odczuwać mdłości wywołane paniką.

- Ale on... on jest niebezpieczny - szepczę. Maryha patrzy na mnie z góry. Czuję zapach gumy o smaku cynamonowym i burbon.

- Niebezpieczny? - powtarza Maryha. - Aaa, niech ją ktoś stąd wypuści!

Znów wybucha ryk śmiechu.

- Po prostu muszę zadzwonić, dobrze? - mówię. - Muszę zadzwonić.

- Dlaczego? Co jest tak ważne, że nie może poczekać? I skąd ty w ogóle jesteś, Bollywood?

Dość tego.

Patrzę jej prosto w oczy.

- Jestem z Brooklynu. Wiszę dziesięć tysięcy dolarów szurniętemu lichwiarzowi, który nasłał swoich zbirów, by zniszczyli moją ciężarówkę, moją firmę i grozili moim przyjaciółkom, a jeśli nie pozwolą mi zadzwonić, będę krzyczała przez całą noc. Kapujesz?

Maryha odwraca się w stronę krat.

- Kobieto! Potrzebny lekarz! Musimy zadzwonić! Wygląda na to, że Maryha wie, jak zwrócić uwagę policjantki. Gdy wychodzę, przybija mi piątkę.

- Powodzenia, Bollywood!

Ale w chwili, gdy stoję już przed pokrytym brudem automatem telefonicznym, do którego przyprowadziła mnie policjantka, nie mogę sobie przypomnieć numerów moich przyjaciół. Żadnego. Czy ktoś dziś pamięta numery telefonów? Bardzo często zapominam nawet swój własny! Jak to możliwe, że świat jest dziś pełen różnych możliwości, by połączyć się z innymi, ale też tak łatwo się w nim zgubić? Tak naprawdę, jedyny numer telefonu, jaki pamiętam, to numer do moich rodziców.

Podnoszę słuchawkę i wybieram numer.

- Centrala.

- Czy może mnie pani połączyć z Julią Russotti z Union Street na Brooklynie?

Chwila ciszy.

- Pod tym adresem nie ma takiej osoby, proszę pani. Cholera. Telefon nie jest zarejestrowany na Julię. Rachunki

są przekazywane do rąk ojca Julii, są wliczone w czynsz. Ale w dniu, w którym się przeprowadziłyśmy, pod drzwiami leżała stara poczta zaadresowana na ciotkę Julii, Jo... to była Jo... Jo...

- Proszę spróbować Jo Lucalli.

W chwilę później telefon dzwoni, a łapiąca oddech Julia natychmiast akceptuje opłatę za połączenie.

- Pia! Och, dzięki Bogu, gdzie ty jesteś do diabła? Tak się martwiłyśmy!

- Czy z domem wszystko w porządku? Nic wam nie jest?

- Tak, w porządku, nic nam nie jest. A ty gdzie jesteś?

- Jestem... jestem w więzieniu. Czy wszyscy są bezpieczni? Nic się nie stało Coco, Vicowi i Marie?

- Nie, nic, wszyscy mają się dobrze... Przepraszam, nie dosłyszałam, gdzie jesteś?

- Jestem w więzieniu, Julio.

Ułamek sekundy później dociera do mnie, jak niedorzecznie to brzmi i wybucham niepohamowanym śmiechem. Pia Keller: bękart, księżniczka, imprezowiczka, absolwentka Uniwersytetu Browna, niedoszła agentka PR, klientka lichwiarza, właścicielka mobilnej restauracji, a teraz... krymi-nalistka.

To przezabawne.

Ale Julia się nie śmieje i powtarza: -Co?

W końcu uspokajam się na tyle, by móc normalnie rozmawiać.

- Julio, czy możesz, proszę, przyjść tu jutro rano z książeczką czekową? Będę musiała zapłacić grzywnę, czy kaucję, czy co tam będzie trzeba, bardzo cię przepraszam, oddam wszystko, obiecuję.

Dzięki Bogu moje dziesięć tysięcy dolarów są bezpieczne pod dywanikiem przedniego siedzenia Toto, która stoi pod kluczem gdzieś na policyjnym parkingu.

- Tak, oczywiście. Ale czy musisz tam być całą noc? Czy nie możemy zrobić czegoś teraz? Czy możemy przyjść i cię odwiedzić?

- No cóż, nie, nie można tu sobie tak po prostu przyjść i się przywitać, rio wiesz... jestem w więzieniu.

- Mówię i znów zaczynam się śmiać. Chyba wpadłam w lekką histerię.

- Pia, co się do licha stało?

Opowiadam Julii wszystko tak szybko, jak potrafię. Nie jest tam sama, co jakiś czas streszcza Coco, Angie i Madeleine to, co mówię. W tle słyszę ich głosy: „O Boże”, „Ja nie mogę” i „Powiedz jej, by umyła ręce po użyciu telefonu”.

- Słuchaj, nie było go w Rookhaven - mówi Julia, gdy już skończyłam. - W ogóle go nie widziałyśmy.

- Na pewno?

- Na pewno.

- I wszyscy są cali i zdrowi? - znowu pytam. Nolan nie pojechał do Rookhaven? Co mogło się z nim stać?

- Wszyscy mają się dobrze - mówi Julia. - Wszystkie tu jesteście. Cieszymy się tylko, że tobie nic się nie stało.

- Tęsknię za wami.

Nagle zdaję sobie sprawę, że już wszystko powiedziałam. I teraz muszę siedzieć do rana w celi więziennej z grupą przerażających kobiet.

- O, Boże, lepiej już pójdę.

- Dasz sobie radę? - pyta Julia.

- Tak! - ale mój głos jest cienki i stłumiony. Do oczu napływają mi łzy i płyną po policzkach, nie mogę się opanować.

- Dziękuję kochana. Jesteście wspaniałe. Wszystkie razem... Nie wiem, co bym bez was zrobiła. Jesteście najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała.

Julia brzmi tak, jakby miała się zaraz rozpłakać.

— Uważaj na siebie, dobrze? Kochamy cię, będziemy tam z samego rana.

— Dobrze - odpowiadam. W moim gardle pojawia się boleśnie duża kula. - Też was kocham.

Odkładam słuchawkę i przez sekundę trwa absolutna cisza. Cichy korytarz na cichym posterunku policji, w najgłośniejszym mieście świata. Potem policjantka odprowadza mnie do celi, a ja desperacko ocieram oczy, idąc za nią.

— Co tam, Bollywood? Z twoim świrem wszystko w porządku? - woła Maryha.

— Zniknął - odpowiadam. - Nie wiem, gdzie teraz jest.

— Wróci - mówi ona. — Zawsze wracają.

Siadam sama w kącie celi. Nie chcę z nikim rozmawiać. Nie rozpłaczę się. To mnie nie złamie.

I potem zamykam oczy i myślę o Rookhaven.

Przypominam sobie odklejającą się tapetę w pąki róż i skrzypiącą podłogę pod dywanem. Przypominam sobie widok na Union Street z mojego pokoju i jak kładę policzek na sofie, gdy wszystkie razem oglądamy telewizję. Myślę o Vicu i Marie, którzy mieszkają pod nami i się nami opiekują. Myślę o naszej kuchni i o tym, jak siedzimy razem wokół kuchennego stołu.

I nagle czuję spokój.

Przetrwam i to.

Rozdział 26

Postawienie w stan oskarżenia zajmuje około dziewięć sekund, a ja mam to dziwne niewyraźne uczucie zmęczenia, które pojawia się po nieprzespanej nocy, kiedy jeszcze nie umyło się zębów, i gdy w końcu wychodzę i widzę Madeleine, i płacę wszystkie grzywny, dopiero po chwili orientuję się, że jest sama. Ale zaczynamy rozmawiać dopiero po wyjściu z budynku.

Gdy już jesteśmy na zewnątrz, odwracamy się do siebie i przytulamy mocno przez około minutę.

- Tak dobrze cię widzieć! Spałaś choć trochę? Wszystko w porządku?
- mówi w tej samej chwili co ja:

- Jak dobrze cię widzieć! Bardzo przepraszam, oddam ci, jak tylko będę mogła, obiecuję... Gdzie są dziewczyny?

- Marie zmarła dziś w nocy - mówi Madeleine. Wzdycham zszokowana.

- Więc są z Vickiem do czasu, aż przyjedzie jego rodzina. Jej dzieci zajmują się wszystkimi szczegółami, a my po prostu... Nie chcieliśmy, by był sam.

- Och, oczywiście... - ogarnia mnie uczucie gorąca i otumanienia. Marie zmarła? - Jak, yyy, jak...

-We śnie. Dziś wczesnym rankiem. Odeszła w spokoju. Pia, jesteś blada, czy...

Osuwam się, siadając na ziemię, dokładnie w miejscu, w którym stałam, na zimnym betonowym chodniku. O, Boże, biedna Marie. Biedny Vic. Biedna Coco i Julia...

Madeleine kuca obok mnie, trzymając butelkę wody przy moich ustach.

- Pia? Po prostu oddychaj, dobrze, napij się...

Biorę kilka łyków, potem opieram ręce o kolana i wpatruję się niewidzącym wzrokiem w lodowatą płytę chodnikową między moimi stopami. Po raz pierwszy od kilku miesięcy jest dziś deszczowo, powietrze jest już bardzo chłodne, prawdziwie październikowe, a ja czuję, że chłód przeszywa mnie na wskroś. O, Boże, Marie i Vic...

Marie ściąga swoją kurtkę i sweter.

- Załóż to - ciągnie mnie za ręce pomagając mi wstać. - Nie chcę, by cię aresztowano za podejrzaną zachowanie.

- Nie czuję się za dobrze - mój głos jest cienki i cichy.

- Po prostu musisz coś zjeść - Madeleine podtrzymuje mnie i prowadzi do straganu na rogu, gdzie kupuje colę i bajgla z masłem orzechowym na wynos.

Stoję odrętwiała obok niej, mój mózg działa na najwyższych obrotach. Biedny Vic. Biedny, kochany Vic. Zmarła jego żona Eleonora, zmarła mama i ciotka Julii, zmarła mu siostra... Musi się czuć taki opuszczony.

Jakie to musi być straszne, być jedyną osobą, która pamięta, jak wyglądało życie, gdy było się młodym. Być jedyną osobą, która to wszystko pamięta.

W ciszy wsiadamy do metra jadącego z powrotem do Brooklynu. Siedzimy w ciszy, bez słowa, w prawie pustym wagonie, obie jesteśmy pogrążone we własnych myślach, a ja jem bajgla z colą, nawet nie czując ich smaku. Zmuszam się, żeby zjeść wszystko.

I wtedy spoglądam na nią. Bez kurtki i swetra Madeleine ma na sobie tylko koszulkę na ramiączkach i z roztargnieniem pociera wewnętrzną część nadgarstków, które są pokryte

maleńkimi białymi bliznami. Nigdy wcześniej nie widziałam jej odkrytych ramion.

- Czy ty się tniesz?

- Nie - odpowiada, szybko składając ramiona. Patrzymy na siebie przez kilka długich sekund.

- No dobrze, kiedyś się cięłam. Dawno temu. Ale potem przeszłam terapię i już tego nie robię.

-Czy ty..!.

- Nie. Nie chcę o tym rozmawiać. -Maddy...

- Pia, powiedziałaś nie - zawiesza głos, a potem patrzy mi prosto w oczy. - Mi też wolno mieć tajemnice.

- Może poczujesz się lepiej, jeśli o nich porozmawiasz

- mówię do niej. - Ja się poczułam lepiej.

- Tak, wiem, ale ja wolę tak, jak jest - patrzy w górę.

- Chodź. To nasz przystanek. Nie martw się o mnie, dobrze? Mam się nieźle.

Nie rozmawiamy już na ten temat, ale dalej mam w pamięci obraz jej pociętych rąk. Gdy wchodzimy do domu, jest prawie jedenasta rano. Julia i Coco siedzą na przeciwległych brzegach jednej sofy, Angie siedzi z podkulonymi nogami na drugiej, wszystkie w ciszy oglądają kreskówkę Babar.

Siadam pomiędzy Julią i Coco i przyciągam je do siebie, by je przytulić. Coco natychmiast przytula się do mnie jak małe dziecko, głośno płacząc, ale Julia tylko wyłącza dźwięk telewizora i mruga wściekle powiekami.

-Już dłużej nie mogę płakać - mówi. - Nie mogę... bo bym nie przestała.

- Jak to się stało? - mówię łagodnie.

- Vic zadzwonił do drzwi bardzo wcześnie rano - Julia bawi się szwem na jednej z poduszek. - Otworzyłam i pomyślałam, że ma atak serca, miał tak zszarzałą twarz, wyglądał strasznie, ale nie mógł nic powiedzieć, po prostu wziął mnie za rękę i zaprowadził na dół.

- O, Boże, nie. — Julia musiała potwierdzić zgon Marie? To niesprawiedliwe, nie po tym, co przeszła ze śmiercią swojej mamy, tak mi przykro, że musiała przez to przechodzić.

- A potem Angie zeszła na dół.

- Usłyszałam dzwonek - mówi Angie. Bez żadnego makijażu, nawet bez tych co zazwyczaj śladów po wczorajszym makijażu, wygląda jakby miała pięć lat.

- Angie zadzwoniła po karetkę i przyjechali, i... W każdym razie Coco i ja zostałyśmy z Vickiem i próbowałyśmy zmusić go, żeby coś zjadł, ale po prostu patrzył się przez okno i nie zwracał na nas uwagi. Córki Marie przyszły pół godziny temu i wyszedł z nimi.

- To było takie straszne — Coco płacze w moje ramię.

Madeleine przynosi koce i otula nas nimi, potem siada cicho na drugiej sofie obok Angie. Głaszczę włosy Coco. Wydaje się taka delikatna i młoda. Kto się nią zaopiekuje? Kto się zajmie Vickiem? Kto się zaopiekuje nami wszystkimi?

- Chcesz porozmawiać o Marie? - pytam, ale Julia kręci przecząco głową. - Czy twój tato przyjedzie?

- Ma zlecenie w Kalifornii. Oglądamy, jak Babar biega po ekranie.

- Wiecie co? Nie wiem, dlaczego tak się przejmuję swoją pracą — mówi Julia. - Powinnam to po prostu rzucić. Przecież mogę w każdej chwili umrzeć. Powinnam podróżować po świecie i spać z wieloma facetami, i brać narkotyki, i szaleć.

- Co? - Coco siada prosto zszokowana. - Nie rób tego!

- Chyba że to jest to, czego chcesz - mówię ja.

- Nie chcę tego - mówi Julia, wzdychając. - Ale chcę być szczęśliwa.

Siedzimy wszystkie w milczeniu przez kilka minut. Przecież każda z nas tego chce.

- No. W każdym razie. Jak było w więzieniu? - pyta Julia. Patrzymy na siebie przez chwilę. W salonie panuje absolutna cisza.

W chwilę później Julia chichocze i powtarza „więzienie!” niedowierzającym tonem.

I wtedy wszystkie wybuchamy śmiechem.

Śmieję się tak głośno, że mam wrażenie, że zaraz pęknę. Śmiejemy się tym histerycznym śmiechem, który się pojawia, gdy człowiek nie może już dłużej płakać, bo inaczej umrze z rozpacz, gdy życie wydaje się takie straszne, że jedynym rozwiązaniem pozostaje chichot. Julia śmieje się tak bardzo, że dostaje czkawki, a Coco biega po pokoju, wołając:

- Posikałam się!

- Masz telefony do siostrzenic Vica? - pytam Julię, gdy już ochłonęłyśmy. - Może powinnyśmy coś z nimi ustalić, by, no nie wiem, opiekować się Vickiem, albo posprzątać mieszkanie, upewnić się, że ma co jeść czy coś?

- Myślałam o tym samym - mówi Julia. - Będzie u nich chyba przez cały następny tydzień, ale zaproponowałam, że zrobię dla niego zakupy przed jego powrotem i zmienię pościel Marie...

Przełyka ślinę, zamykając oczy.

- Nie musisz tego robić - mówię.

- Nie chcę, by jej córki musiały to robić - mówi cicho.

- To ja pomogę - proponuję. - Ty zajmiesz się zakupami, a ja łóżkiem.

Kiedy jest pogrzeb?

Julia wzrusza ramionami.

- Jeszcze nie wiedzą. Pewnie pod koniec tygodnia.

Wiem, że powinnam wziąć prysznic, przespać się trochę albo pomyśleć o tym, jak do diabła mam się dostać na parking w Queens, by odebrać biedną Toto i moje dziesięć tysięcy dolarów, zanim jutro wieczorem przyjdzie Cosmo. Ale nie mogę zostać sama i nie mogę też zostawić dziewczyn.

I wiecie co jeszcze? Całe te pieniądze i dług i wszystko inne nie wydaje się już tak ważne w porównaniu z tym, co się stało.

Wszystko, na czym mi teraz zależy, to bycie tutaj.

Więc włączamy z powrotem Babara, oglądamy go do końca, a potem Coco przyrządza popcorn z tradycyjnymi dodatkami, takimi jak sól i kawałeczki gorzkiej czekolady i włączamy *The Mighty Ducks*, ulubiony film Julii z dzieciństwa.

W połowie filmu Angie podchodzi do nas i wciska się pomiędzy Coco i mnie. Kładzie się pod moim ramieniem, a Coco przytula się do niej. Potem Madeleine bierze poduszkę i siada na podłodze przed Julią i mną, kładąc głowę na naszych kolanach. Siedzimy tak przez kolejną godzinę, przytulone do siebie nawzajem jak małe kotki z jednego miotu, wszystkie wpatrujemy się bezmyślnie w ekran, na którym *Mighty Ducks* przeżywają rozmaite przygody.

Każda z nas jest zagłębiona w swoich własnych myślach, ale jeszcze nigdy nie czułam się bardziej częścią jakiejś grupy niż teraz. Nasza piątka, razem, bez względu na wszystko. Jesteśmy w tym wszystkim razem.

Biorąc pod uwagę istniejącą sytuację, to prawdopodobnie dziwne, że czuję się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Ale tak jest. Jestem wyciszona i spokojna, i szczęśliwa.

Film się kończy, a my nadal siedzimy, całe w okruszkach po popcornie.

- Złapał mnie skurcz w nodze - mówi Julia.
- Tak, mnie też - mówi Madeleine, kładąc się na podłodze i podciągając kolana do góry, by się rozciągnąć.
- Muszę umyć zęby - mówi Coco.
- Muszę odebrać Toto - mówię ja. - A potem muszę się przygotować na spotkanie z Cosmo jutro wieczorem.
- Powiedz nam, co możemy zrobić, by ci pomóc - mówi Angie. - Jesteśmy w tym wszystkim razem, pamiętasz?
- Pojedziesz ze mną do Queens, żeby odebrać moją ciężarówkę?
- Cholera. Wiedziałam, że nie powinnam była się oferować. Żeby odebrać Toto, musimy przejść przez piekło, którego można się było spodziewać, czyli pójść pieszo na stację metra,

szukać adresu w iPhone, czekać i błagać, ale przed czwartą po południu wracamy ciężarówką do domu.

Angie jest ze mną, ale nie jest zbyt dobrym kompanem: prawie nic nie mówi.

Kiedy dojeżdżamy do Brooklyn Heights, zapala papierosa. Nie znoszę, gdy ktoś pali w Toto.

- Stara, słuchaj...

- Mani ze mną zerwał - odpowiada.

Palenie staje się nagle nie tylko zrozumiałe, ale i konieczne.

- Cholera. Przykro mi. Daj macha.

- Widziałam się z nim wczoraj wieczorem. Powiedział, że najlepiej będzie, jeśli przestaniemy się widywać - mówi to, nie wyrażając prawie żadnych emocji.

- Co za gnojek - odpowiadam.

- Jest pieprzonym gnojkiem! W zeszłym tygodniu spaliśmy ze sobą po raz pierwszy! Jeden orgazm! Nawet nie przywitał się z moją waginą twarzą w twarz!

-Zaczekaj... Dochodzisz podczas seksu? To znaczy podczas seksu właściwego?

- Oczywiście. A ty nie?

- Nie, tylko oralnie.

- Ja się nie mogę skoncentrować podczas oralnego. Faceci nigdy nie wiedzą, co mają robić, a ja zaczynam się zastanawiać, o czym myślą, gdy tak się z tym męczą, a potem zaczynam myśleć o tym, w co się jutro ubiorę, a potem... Czekaj... Ale nie o to chodzi, Pia. Co ze mną nie tak? Dlaczego przyciągam tylko beznadziejnych gnojków?

-Wszystko z tobą w porządku! Najwyraźniej Mani jest po prostu kolejnym gnojkiem - sugeruję. — Ot co.

- Gnojek! - krzyczy Angie. Wychyla się przez okno i krzyczy tak z całych sił przez całą powrotną drogę do Rookhaven. A co mi tam, myślę sobie i dołączam do niej. Wszyscy faceci są dupkami. I co z tego, że to ja zachowałam się jak *ostatnia* świruska podczas randki z Aidanem? Pewnie on też jest tylko ko-

lejnym gnojkiem. Oszczędziłam sobie sporo czasu, energii i pieniędzy na niepotrzebną bieliznę.

Przeklinanie na całe gardło podczas kierowania pojazdem ma zaskakujące właściwości terapeutyczne. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były szalone, ale jutro raz na zawsze spłacam moją pożyczkę i szurnięty Cosmo zostawi mnie w spokoju, i już nigdy nie zobaczę Nicky'ego ani Nolana. Będę wolna.

- Gnojki!

Gdy tylko parkujemy na Union Street, sięgam pod dywanik pod siedzeniem dla pasażera, by wyciągnąć kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów dla Cosmo.

Nie ma jej.

Całe moje ciało doznaje szoku.

- Nie!

- Co? - pyta Angie.

- Nie! - krzyczę, wyciągając cały dywanik.

- To nie może... To nie może być...

Przeskakuję na swoją stronę ciężarówki i sprawdzam pod dywanikiem. Nic. Następnie sprawdzam schowek na rękawiczki, pod siedzeniami, pod dywanikiem z tyłu. Nic!

- Nie ma ich. Nie ma ich! - krzyczę.

- Co? Czego nie ma? - pyta Angie. - Kurwa, ale dramatyzujesz!

Uspokój się!

- Moich pieniędzy, tych pieniędzy, tych dziesięciu tysięcy dolarów, ukradli je ludzie z policji!

Upadam na chodnik i krzyczę.

Rozdział 27

— Przeszyna krzyżeć, przerażasz mnie! Przeszyna mnie śmiertelna ciska i spokój.

— To koniec, Angie, wszystko się skończyło. Zadzwońię do rodziców i opowiem im o wszystkim, poproszę, żeby dali mi pieniądze, by je oddać Cosmo, gdy po nie przyjdzie jutro. A potem pojedę z nimi do Zurychu i już nigdy tu nie wrócę. Inaczej nie oddam tej forsy nigdy. To koniec.

- Musi być jakieś inne wyjście - mówi Angie.

— Nie ma — moje usta są suche z przerażenia. - To koniec. Ślepy zaułek. Koniec.

Dwie godziny później siedzę przy kuchennym stole z dziewczynami i mówię jeszcze raz:

- To koniec. Zarobiłam te pieniądze. I są teraz w kieszeni jakiegoś faceta z parkingu policyjnego w Queens. Nie mam ich.

— To niemożliwe — mówi Coco po raz szesnasty.

- Musi być jakieś inne rozwiązanie - mówi Julia.

- Nie ma - odpowiadam. - Nie mogę sprzedać ciężarówki, nie jest warta tyle, ile za nią zapłaciłam. Nie mam żadnych innych pieniędzy. I choć wiem, że bardzo chcecie pomóc, to jestem pewna, że nie macie dziesięciu tysięcy dolarów i nie możecie poprosić rodziców. Po prostu nie możecie.

Rozglądam się. Nikt mi nie zaprzecza.

- To koniec. Chcę, byście jutro po południu wyszły z Rookhaven dla własnego bezpieczeństwa. Ja to załatwię z Cosmo.

- Nie ma mowy - mówi Coco.

- Będziemy tu z tobą, bez względu na wszystko - zgadza się Madeleine.

- W grupie siła - Angie wykonuje energiczny wymach pięścią, jakby pompowała pompką. - To było dla zgrywu.

Uśmiecham się do nich wszystkich. Też bym to zrobiła, gdybym była na ich miejscu.

- Nie sprzedawaj ciężarówki - mówi powoli Julia.

- Powiedziałam tylko, że nie mogę. Ten facet o imieniu Al powiedział, że jest warta tyle co nic.

-Nie, chodzi mi o to, byś nie sprzedawała ciężarówki... Sprzedaj swój biznes - mówi Julia.

Patrzę na nią ze zdziwieniem w oczach. Mam sprzedać biznes?

- Ale prowadzę go dopiero sześć tygodni.

- Jest dochodowy - mówi Julia. - To wyjątkowy pomysł, znalazłaś absolutną niszę. Przynosi niesamowite zyski, był szeroko reklamowany, ma wielu fanów na Twitter ze i Facebooku. Stworzyłaś małą, dochodową firmę, Pia. Mogłabyś sprzedać to wszystko za dziesięć, dwadzieścia, a może pięćdziesiąt razy więcej niż warta jest ciężarówka.

Julia milknie.

- To znaczy, nie mam pojęcia, za ile sprzedałby się ten pomysł. Ale jest bardziej niż pewne, że byłaby to większa kasa niż za ciężarówkę.

Patrzę się w przestrzeń, rozmyślając. Ona ma rację. Ma absolutną rację. Mogłabym sprzedać ten biznes. Tak jak Vic powiedział kilka tygodni temu. Wymyśl biznes, rozkręć go i sprzedaj...

- Ale jak... Jak to się robi? - pytam. - Kto miałby go kupić?

- Nie wiem - odpowiada Julia. - Do tego jeszcze nie doszłam. A może anioł biznesu?

- A kim u diabła jest anioł biznesu? - pyta Angie.

- Ktoś, kto inwestuje w młode firmy w zamian za udział w generowanym kapitale - odpowiada Julia.

- A co to u diabła znaczy? - pyta Angie dokładnie tym samym tonem. Mimowolnie wybucham śmiechem.

- Dziewczyny, bądźcie poważne - mówi Julia.

- Jesteśmy poważne! - mówię z Angie jednocześnie.

- Inwestor daje ci pieniądze, byś prowadziła swoją firmę, w zamian za udziały w zyskach - mówi Madeleine. - Szukają oryginalnych pomysłów, no wiecie, rzeczy, których nikt inny nie robi.

- Aidan się tym zajmuje - mówię. Wypowiadam jego imię po raz pierwszy od wielu dni. — Mam jego wizytówkę.

- Zadzwoń do niego! - mówi Coco.

- Nie - odpowiadam, zamykając mocno oczy, by przestać o nim myśleć. - To też wykluczone.

- Wiem, że o nim myślisz - mówi Julia. - Masz wtedy taki rozmarzony wyraz twarzy.

Uh, nie znoszę, gdy tak łatwo mnie przejrzeć.

- Tak masz - zgadza się Angie. - Ja też uważam, że powinnaś zadzwonić do Aidana. Randka była udana, dopóki nie zobaczyłaś Eddiego, prawda?

Staram się sobie przypomnieć, jak to było. Tak, była udana. Tak naprawdę, była bardziej niż udana. Była idealna.

- To nie ma znaczenia — powtarzam.

- Czy ty nadal coś czujesz do Eddiego? - pyta Coco. - Czy to o to chodzi?

- Nie! — mówię natychmiast. Nawet wcale nie myślałam o Eddie'm, tylko o Aidanie. Spotkanie z Eddie'm w restauracji tamtego wieczoru to po prostu przeszłość, która przyszła mnie uderzyć w twarz. I tam właśnie jest miejsce Eddiego. W przeszłości. Powinnam była uporać się z tym już lata temu, a nie pozwalać, by jego komentarz o tym, jaka jestem nieprzewidywalna, dręczył mnie w ten sposób. Nie był idealny. Nie znał mnie. Ale to już nie ma znaczenia. Mam to już za sobą.

I tak samo będzie z Aidanem.

- Do cholery, nie poproszę jakiegoś faceta, by naprawiał moje problemy - mówię. - A poza tym, prawdopodobnie by mi nie pomógł. Myśli, że jestem totalną wariatką.

Ponieważ tak się zachowałam. Ale teraz to też nie jest ważne.

- Czyli co mam teraz zrobić? Wygooglować anioła biznesu?

- Raczej nie - przyznaje Julia. - Potrzebujesz rekomendacji... kontaktów. Aidan by je miał.

- Nie zadzwonię do Aidana... I nie mam żadnych kontaktów. Musiałabym przygotować listę. Podzwonić do nich i sama się przedstawić. Ale i tak żadna z tych osób nie będzie osiągalna do poniedziałku, a Cosmo przychodzi jutro wieczorem.

Na samą myśl jest mi niedobrze.

- Może mogłabyś podzwonić do ludzi, którzy powinni sobie kupić ciężarówkę z restauracją mobilną, która sprzedaje niskokaloryczne, wysokobiałkowe jedzenie o niskim indeksie glikemicznym.

- Czy możemy takie jedzenie zamówić z Bartolo's? - pyta Coco. - Musimy coś zjeść.

Czekając na dostawę naszej pizzy, robimy burzę mózgów, kto mógłby chcieć kupić Zgrabne Oponki.

- Jenny Craig?

- No co ty...

- Jakaś sieć siłowni? Equinox?

- Tracy Anderson? Trenerka Gwyneth?

- Soul Cycle, tam gdzie trenują na rowerach? Mówię wam, wszyscy, którzy tam chodzą, mają genialne sylwetki.

- Conde Nast? Żeby mogli nakarmić wszystkie wychudzone laski, które pracują dla „Vogue”?

- Agencja modelek? Założę się, że agencja modelek kupiłaby je z chęcią.

- Może jeden z tych programów telewizyjnych o zrzucaniu wagi?

- *The Today Show*?

- Po co u diabła *The Today Show* miałoby chcieć kupić Zgrabne Oponki?

- Oprah? Oprah by na pewno kupiła.

- Ta laska z bloga Hungry Girl?

- Nie ma mowy - odpowiadam. - Nawet jeśli ci ludzie powinni używać restauracji mobilnej do promocji swoich firm, to nie znaczy, że tak zrobią. Ja ich nie przekonam. Mają ludzi od strategii, którzy decydują za nich, co powinni robić, a zanim to nastąpi, organizują grupy fokusowe i badanie rynku.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - pyta Angie.

- Lina mi powiedziała — mówię, nalewając sobie kolejny kieliszek wina. Potem milknę na chwilę i myślę głośno. - Lina... która jest wicedyrektorem strategii w jakiejś dużej firmie hotelarsko-restauracyjnej. Carus International! Może mi coś poradzi! Albo z kimś skontaktuje! Może będzie mogła mi pomóc!

Patrzę na zegar w kuchni.

- Jest sobota, ósma wieczorem. Chyba nie mogę już do niej dzwonić?

- Możesz wysłać do niej e-maila — mówi Julia. — Albo napisać SMS-a. Mieszka gdzieś w pobliżu, prawda?

Potakuję.

- Tak myślę. To znaczy, musi gdzieś tu mieszkać, bo spotkałam ją w Bartolo's i widziałam ją na ulicy z dziećmi.

- Więc napisz do niej SMS-a. Zaproponuj, że ją jutro przekupisz kawą w zamian za kilka porad biznesowych. To pochlebiające. Ludzie uwielbiają doradzać. W ciągu ostatnich kilku lat wysłałam maile do setek osób, prosząc ich o poradę, potem się spotykaliśmy i słuchałam, jak mówią o sobie.

- Naprawdę? Dobrze! Tak zrobię! - biorę swoją komórkę. Potem dowożą nam pizzę i gdy wszystkie pałaszujemy, ja piszę SMS:

Cześć Lina. Tu Pia. Zastanawiam się, czy istnieje szansa, bym mogła skraść jutro trzydzieści minut Twojego czasu na ka-

wę i rozmowę? Potrzebuję porady odnośnie pracy... Przepraszam, że tak nagle pytam, ale to (trochę) pilne.

Dobrze, prawda? Podkreślam, że jest to ważne, ale nie brzmię melodramatycznie.

Dziesięć minut później otrzymuję odpowiedź: *Oczywiście! Chestnut, 11 rano?*

Kolejnego ranka, nim wybija jedenasta trzydzieści, udaje mi się opowiedzieć Linie o wszystkim. O tym jak mnie zwolnili za incydent z Captain Morgan na Facebooku, o dziesięcioty-sięcznej pożyczce od Cosmo, o wszystkim, co zrobiłam, by zbudować Zgrabne Oponki, aż po spędzenie nocy w więzieniu. Staram się streszczać, jak tylko mogę, i nie wchodzić w szczegóły o tym, że Cosmo jest szalonym świrem, a mimo to cała opowieść zajmuje dwadzieścia minut.

- Nie jestem szczególnie dumna z tego fragmentu o lichwiarzu - kręcę łyżką małe kółka w moim jogurcie z musli. Potem dociera do mnie, że wygląda to ohydnie, więc przestaję. - Albo z więzienia.

- To się zdarza. Mnie aresztowali za to, że paliłam skręta na Washington Square, gdy miałam osiemnaście lat. Więc wygląda na to, że nigdy nie będę kandydatką na prezydenta. Ale historia z lichwiarzem to coś innego. Na takich ludzi trzeba bardzo uważać, omijać ich z daleka. To mnie trochę martwi, uważam, że powinniśmy wezwać policję.

- Nie, nie, nie trzeba, nie martw się o to - kłamię szybko. - Mam te pieniądze. Moi rodzice mi je przelali na konto. Ale teraz, yyy, muszę im je zwrócić. Dość pilnie. - Uh, nie potrafię kłamać.

Lina bierze kęs naleśnika, przeżuwa go i marszczy brwi.

- Nie jest taki dobry jak twoje.

- Ha! Dzięki, ale jestem pewna, że to nieprawda... W każdym razie moja przyjaciółka Julia zasugerowała, bym sprzedała Zgrabne Oponki. Całą firmę, wiesz, nie tylko ciężarówkę. Wiem, że to się nie stanie już jutro, ale miałam nadzieję, dużą

nadzieję, że to może być jakaś opcja - mówię. - I miałam nadzieję, że będziesz miała dla mnie jakieś wskazówki. Lina potakuje.

- Dobrze, no cóż, ja nie mogę...

Potem milknie i wpatruje się w ścianę za mną pogrążona w myślach. Po jakiejś minucie mruga powiekami i znów patrzy na mnie, a potem zasypuje mnie lawiną pytań.

- Zaczęłaś niedawno, ile? Jakieś sześć tygodni temu, prawda? Jak do tego wszystkiego doszłaś? Skąd wiedziałaś, gdzie pójść, co zrobić, co zamieścisz na Twitterze i Facebooku, skąd wiedziałaś, co ludzie będą chcieli kupować?

Myślę przez kilka sekund.

- To chyba był instynkt? Zgrabne Oponki to był tylko pomysł, ponieważ wydawało mi się to takie oczywiste. Dlatego nie jestem pewna, czy to jest pomysł na biznes, który się sprzeda. Każdy mógł to zrobić. To nic wyjątkowego.

Lina patrzy na mnie intensywnie, a potem potakuje zamyślona.

Gdy sekundy zmieniają się w minuty, dociera do mnie, że chce znaleźć sposób, jak mi powiedzieć, żebym zeszła na ziemię. O Boże, jakie to krępujące, jestem taką kretynką. Przepraszę za to, że zmarnowałam jej czas i powiem, że to nic takiego.

Potem patrzy mi prosto w oczy i znów zaczyna mówić.

- W ciągu ostatnich czterech czy pięciu lat ruch restauracji mobilnych zyskał bardzo wielu zwolenników. Ludzie je po prostu uwielbiają. Przyciągają szczególnym połączeniem pasji do konkretnego rodzaju jedzenia, osobistego podejścia do klienta, którego obsługuje sam kucharz lub właściciel ciężarówki oraz wyglądem samego pojazdu, który przypomina dziecięcą zabawkę. A do tego to nowy biznes rodzinny. Jest tak osobisty; właściciel jest mobilną restauracją: on nią kieruje, przyrządza jedzenie, podaje i sprzedaje. W obecnych czasach kontakt z czymś tak namacalnie prawdziwym jest atrakcją samą w sobie.

Przytakuję niepewnie. Czuję się tak, jakby wygłaszała prezentację, ale nie jestem pewna dlaczego. Mówi dalej.

- W restauracji mobilnej wiesz, co dostajesz. Jedzenie jest podawane szybko, ale nie jest niezdrowe tak jak w większości sieci restauracji fastfoodowych. Ceny są niskie, to świetna jakość za rozsądną cenę. Można o nich czytać w internecie, śledzić na portalach społecznościowych, a to daje poczucie satysfakcji, gdy się na nie trafi... To jak jakaś gra.

Potakuję. Wszystko, co mówi, jest dla mnie jasne.

- Myślę, że ludzie się też przywiązują emocjonalnie do tych ciężarówek - mówię nieśmiało. - Okazują to. Gdy widzisz taką ciężarówkę, czujesz się, jakbyś spotkał kumpla gdzieś na mieście. Jakby to była twoja ciężarówka. Ludzie normalnie do mnie machają, gdy widzą, że jadę!

- To niesamowite! - mówi Lina. - A teraz pojawiają się bary mobilne, które łączą się z innymi markami. Kilka lat temu byłam w San Francisco i kupiłam lody w ciężarówce, która reklamowała jakiś ośrodek narciarski. To fantastyczny pomysł, prawda? Więc różne marki mogą używać obwoźne bary jak reklamę. Albo taki bar może reprezentować jakąś markę podczas różnych wydarzeń promocyjnych. Pojawiają się, sprzedają jedzenie i jest to o wiele ciekawsze niż ci wszechobecni katerin-gowcy z cholernymi ciastkami z kremem. Na przykład jak ten bar na kółkach o nazwie Treatery - oni naprawdę strzelili w dziesiątkę ze swoim pomysłem. Są partnerem dla wielu marek, ale zachowują swoją własną nazwę. Za każdym razem, gdy jakaś marka płaci im, by się gdzieś pojawili, ich nazwa zyskuje jeszcze większy prestiż.

- Dokładnie - mówię. Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówi.

- Może ci się wydawać, że każdy mógł wpaść na ten pomysł, Pia, ale to nieprawda. Niektórzy ludzie są kreatywni i mają oryginalne pomysły, a inni nie. Ludzie, którzy są, zazwyczaj

uważają, że cokolwiek tworzą, jest najoczywistszą rzeczą pod słońcem, tak jak ty. Ja jestem strategiem i nie jestem szczególnie kreatywna, ale potrafię rozpoznać świetny pomysł, gdy go zobaczę. A co ważniejsze, potrafię wyjaśnić, dlaczego ten pomysł działa. - Patrzy na mnie, potakując energicznie. Nie wiem, co robić, więc też potakuję.

- Opowiedz mi jeszcze, jak doszłaś do tego pomysłu. - Yyy, moje współlokatorki ciągle powtarzały, że w pracy

po zjedzeniu niezdrowego lunchu czują się senne. Widziałam te wszystkie mobilne bary, które sprzedają tłuste, kaloryczne posiłki, a ja jestem dziewczyną, która lubi jeść, ale lubi się też zmieścić w obcisłe dzinsy, no wiesz. Jak tak sobie o tym myślę, to wychodzi na to, że Zgrabne Oponki powstały z czystej próżności... - uśmiecham się, próbując zażartować, ale Lina się nie śmieje.

- Próżność to ogromna część sukcesu każdej większej nowej firmy założonej w minionym stuleciu - mówi Lina poważnie. - Taka jest ludzka natura. Gdy świetnie wyglądasz, czujesz się szczęśliwa. Nie powinno się za to przepraszać. Dlatego rynek związany z fitnessem stał się wielomiliardowym przemysłem w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nie wspominając o modzie, kosmetykach...

Nastaje kolejna chwila ciszy. Biorę łyka kawy, potakując. Nie wiem nic o rynku związanym z fitnessem, czy o modzie, czy o kosmetykach. Mam wrażenie, że z trudem mogę nadążyć za szybkim tokiem myśli Liny.

I wtedy Lina uśmiecha się do mnie.

- Uważam, że restauracje mobilne są bardzo interesujące, Pia. A w szczególności twoje podejście do tego, co powinny sprzedawać, jest naprawdę interesujące.

- Dzięki - odpowiadam.

- Masz jeszcze jakieś inne pomysły? To znaczy pomysły na mobilne bary?

- Tak... mam mnóstwo pomysłów. Jeżdżenie mobilnym barem daje wiele okazji do przemyśleń.

- Olsnij mnie - mówi, przewracając nieco oczami przy słowie „olsnij”.
- Uh, uważam, że powinien być mobilny bar, który przez cały dzień serwuje zdrowe śniadania. Ludzie chcą jeść bezglutenowe naleśniki przez cały dzień, o trzeciej po południu dostają zamówienia, których nie mogę zrealizować, bo zawsze brakuje mi ciasta naleśnikowego. Taka ciężarówka powinna też sprzedawać gofry i sałatkę z owoców sezonowych z beztłuszczowym jogurtem... I powinna być też ciężarówka, której bar specjalizowałby się w potrawach jajecznych: omletach, omletach z białka, jajeczniczy... Ciągle mnie ktoś o to pyta, ale ja nie mam takich możliwości.

- Mów dalej - mówi Lina, a jej oczy błyszczą z zainteresowaniem.

-A moi znajomi mieli ciężarówkę, o nazwie A Meal Grows In Brooklyn. Wszystkie składniki pochodziły z okolic Brooklynu. Nienaruszające równowagi ekologicznej, regionalne, ekologiczne, hodowane bez użycia maszyn i tak dalej. Wspaniały pomysł i taki brooklyński. Ale im się nie powiodło i musieli zamknąć interes. Ktoś powinien od nich kupić ten pomysł albo udziały w kapitale spółki - mówię szybko, próbując nie ujawnić, że nadal nie wiem do końca, co to znaczy. - Można by utworzyć sieć ciężarówek w całym kraju, tak by różne regiony miały swoje własne produkty w menu. A Meal Grows In Santa Barbara, A Meal Grows In Seattle, A Meal Grows In Dallas...

- A Meal Grows In Detroit — mówi Lina ze złośliwym uśmiechem.

- Dokładnie - mówię. - I powinna być też ciężarówka z pakowanym lunchem sprzedawanym rano dla ludzi takich jak moja przyjaciółka Julia, która prawie nie odchodzi od biurka. Więc można by sobie było kupić dobry, zapakowany lunch w drodze z metra do biura, z przekąską na drugie śniadanie i podwieczorek. Trochę jak pudełko śniadaniowe do szkoły!

Z sałatką, może z kawałkami selera naciowego z masłem migdałowym, bezcukrowym herbatnikiem...

- Super!

-1 powinna być ciężarówka serwująca dania dla dwojga, by ludzie wracający z pracy mogli po prostu wrzucić to do piekarnika i zjeść z chłopakiem czy mężem czy kimkolwiek - zaczynam trajkotać. - Ludzie zawsze kupują u mnie dwie sałatki pod koniec dnia, by zabrać do domu i zjeść na kolację, ale w zimie nie będą chcieli jeść sałatek, prawda? Będą potrzebowali czegoś, co będą mogli sobie podgrzać w domu. Jak potrawka z kurczaka w marynacie imbirowo-miodowej z warzywami ugotowanymi na parze albo stek z tuńczyka, który się marynował w ziołach tak, że pozostaje go tylko lekko podpiec z dwóch stron. To znaczy wiem, że można coś takiego kupić w Whole Foods, ale zrobmy tak, żeby ludzie mogli to po prostu kupić zaraz przed swoim biurem bez potrzeby chodzenia do sklepu czy wydawania fortuny. I powinna być włoska ekologiczna restauracja mobilna, która by sprzedawała gotowe na wynos ekologiczne paczki z bezglutenową lasagne i makaronem.

- To fantastyczne! Mów dalej!

- I powinien być bar mobilny serwujący zupy, ale takie naprawdę niskokaloryczne, naładowane zdrowiem zupy o niskiej zawartości soli i bezglutenowe bułeczki. Połowa miejsc sprzedających zupy w tym mieście wrzuca do nich więcej tłuszczu i soli niż zawiera Big Mac...

- Pia, to są świetne pomysły. Naprawdę świetne - Lina marszczy czoło, patrząc na mnie w skupieniu.

Promienieję. Dlaczego czuję się tak, jakbym właśnie zdała egzamin? Lina odchrząkuje.

- Słuchaj, pracuję z kimś, z kim powinnaś porozmawiać, a ja pracuję nad pewnym projektem, który może... Hmm. Nie powinnam ci więcej mówić, zanim nie dowiem się, czy i jak to

zadziała. Czy możesz przyjść do mojego biura jutro o dziesiątej rano? Pewnie będziesz musiała trochę poczekać, bo on ma bardzo wypełniony grafik, ale jeśli znam się choć trochę na tym, co robię, to on znajdzie czas, by się z tobą zobaczyć.

— Dobrze... - odpowiadam. Jestem zdezorientowana. Kim jest „on”? Co taka olbrzymia i wspaniała sieć hotelarsko-restauracyjna miałaby chcieć od takiej nędznej małej ciężarówki z mobilnym barem jak moja? Ale po prostu potakuję. Jest coś w jej entuzjazmie i uwadze, jaką mi poświęca, co sprawia, że bardzo chcę jej zaimponować.

— Dziękuję Lina, dziękuję bardzo. Dzwoni telefon Liny.

— Cześć skarbie... Dobrze, nie ma sprawy, już wracam - rozłącza się.

— Muszę lecieć, Pia. Po południu mamy spotkanie ze znajomymi, którzy mają dzieci w tym samym wieku co Pia i Gabe.

— No, to będzie niezła zabawa - odpowiadam.

— O tak, zawsze jest - mówi Lina, zakładając marynarkę. - To jak randka, ale z większym prawdopodobieństwem walk w piaskownicy i placzu. Więc widzimy się o dziesiątej jutro rano?

— Tak! — wykrzykuję. Jezu, Pia, opanuj się. - To znaczy, tak. I dziękuję raz jeszcze za to spotkanie, bardzo to doceniam. Możesz spokojnie iść, ja tu zostanę na jeszcze jedną kawę. A, yyy, czy mam coś przygotować na jutro?

— Czy możesz przynieść trochę zdjęć swoich sałatek i ciężarówki? Poza tym, nic. Jesteś idealna.

Wyciąga pieniądze z torebki i próbuje mi je wręczyć, by zapłacić za rachunek.

— Nie, nie! - mówię. - Ja zapłacę. Dziękuję jeszcze raz za to spotkanie.

Gdy się żegnamy, a ona pędzi z powrotem do swojego idealnego dorosłego życia w roli mamy, w mojej głowie pojawia się natłok myśli.

Co ona zamierza? Czy powinnam była otworzyć usta i pytać ją o wszystko, zamiast udawać, że rozumiem? Spotkałam się z nią, by uzyskać poradę, ale teraz jestem jeszcze bardziej zdezorientowana!

Dobrze, dobrze, jest dobrze. Po prostu przygotuję się na cokolwiek, co ma się wydarzyć na jutrzejszym spotkaniu, tak jak powiedziała.

I postaram się nie myśleć o tym, że za kilka godzin przychodzi Cosmo.

Rozdział 28

Zatem pierwszą rzeczą, jaką robię, jest telefon do Angie i jedziemy Toto do jej miejsca pracy w Chelsea, ze świeżo przyrządzonymi sałatkami Zgrabnych Oponek.

- Czy to na pewno w porządku? - pytam po raz enty.

- Suka spędza ten weekend w Miami. A tp przecież studio fotografii żywności na wyciągnięcie ręki! A teraz posłuchaj, wjedziemy tą całą ciężarówką do podziemnego garażu, mamy tam specjalne miejsce do robienia dużych ujęć.

Dwie godziny później mam tysiące niesamowitych zdjęć Toto i moich sałatek.

- Jesteś taka utalentowana! - wykrzykuję, patrząc na zdjęcia na moim laptopie. Angie operuje najnowszym aparatem z najwyższej półki jak zawodowiec i nawet sama ustawia światła, wszystko robi samodzielnie. Ja tylko ją obserwuję z podziwem.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo nie jestem utalentowana - mówi. - Na widok tych zdjęć Suka zawyłaby z bólu.

Angie uśmiecha się i zapala papierosa.

- Mówiłaby tak: Angélique? Angélique? - Angie mówi wysokim tonem z udawanym holenderskim akcentem. - Źle, Angélique! Dlaczego moja latte jest taka zimna? Angélique? Znów mnie zawodzisz, Angélique! Dlaczego mojego kierowcy jeszcze

tu nie ma? Angélique? Dlaczego jestem dla ciebie taką pieprzoną suką każdego cholernego dnia?

Wskakuje na stół i zaczyna się poruszać tak, jakby uprawiała z kimś seks.

- Angélique! Dlaczego nikt nie chce mnie zerznąć? Angélique!

- Angélique?

To głos kogoś innego. Kogoś, kto stoi w drzwiach. Obie odwracamy się w szoku. To Suka. Wysoka. Opalona. I wściekła.

- Dlaczego palisz? W moim studiu? I używasz mojego aparatu? I mojego oświetlenia?

Angie milknie, wciąż stojąc na stole, w niewybrednej pozie. -Yyy...

- Zwalniam cię.

- Nie możesz mnie zwolnić! Sama odchodzę!

Angie zeskakuje ze stołu, odkłada ostrożnie aparat na stół, a potem odwraca się, by pokazać Suce środkowe palce obu rąk.

- Widzisz to? To taki duży transparent z napisem: Odchodzę!

- Dobrze, Angie, chodźmy już - szybko zamykam laptopa i zaczynam ciągnąć ją w stronę Toto.

- I wiesz co jeszcze? Wszystkie te latte, które ci kupowałam, były pełnotłuste!

Nawet na ulicy słyszeć jeszcze krzyk Suki.

Angie śmieje się przez całą drogę powrotną i nie przyjmuje moich przeprosin.

- To moja wina, przepraszam...

- Co ty, żartujesz? Nie mogę uwierzyć, że wytrzymałam tam dwa miesiące! Nie martw się o mnie. Nowy Jork to duże miasto. Znajdę inną pracę - przerywa. - Albo może otworzę mobilną restaurację.

- Haha!

Potem, gdy przejeżdżamy przez Brooklyn Bridge, ta dręcząca myśl, którą przez ostatnich kilka godzin starałam się od-

rzucać, wraca z hukiem. Dziś wieczorem przyjdzie do nas Cosmo ze swoimi gorylami, Nickiem i Nolanem, by odebrać swoje dziesięć tysięcy dolarów. A ja ich nie mam.

Co ja sobie wyobrażałam? Ze Lina tak po prostu wręczy mi dziesięć tysięcy dolarów? Czy że może znajdzie kogoś, kto kupi ten cały interes w niedzielne popołudnie? Jestem kretynką.

Po prostu poproszę Cosmo - no dobrze, będę go błagała - by dał mi jeszcze czterdzieści osiem godzin. Wyjaśnię mu, że skradziono mi pieniądze - przez szurniętego Nolana! I że potrzebuję trochę więcej czasu, by je zdobyć.

I potem, jeśli to, co planuje Lina, wypali, to to zrobię.

A jeśli nie, to kiedy we wtorek przylecą moi rodzice, wyjaśnię im osobiście, dlaczego potrzebuję tych pieniędzy. Może jeśli zobaczą Toto i to, jak ciężko pracuję, zmienią o mnie zdanie. Może nie będą aż tak rozczarowani.

Wrócę z nimi do Zurychu, zdobędę jakąś nudną pracę za biurkiem i oddam im wszystko co do grosza. Potem wrócę do Nowego Jorku i zacznę od nowa.

I tak po prostu musi być.

Rozdział 29

Gdy wchodzimy do mieszkania Vica, czujemy, że zakłócamy naturalny porządek rzeczy. Jakbyśmy się tu nielegalnie wkładały, chociaż mamy klucz.

Otwierając drzwi, Julia bierze szybki głęboki oddech, jakby chciała się uzbroić przed nieuniknioną rozpaczą.

- Jeszcze dwa dni temu o tej porze Marie tu siedziała - szepcze Julia. - Rozmawiała, jadła, oddychała... Jak to możliwe, że ktoś żył, a potem tak szybko odszedł?

Nie wiem, co powiedzieć. Moje życie jeszcze nie zostało naznaczone niczyją śmiercią, przynajmniej nie kogoś bardzo bliskiego, w przeciwieństwie do Julii. Wyobraźcie sobie, że umiera wasza mama... Ja nie potrafię. Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać. Nie wiem, jak w ogóle można się po czymś takim pozbierać.

Chcę tylko ułatwić Julii ten dzień. To, że Cosmo przychodzi za trzy godziny, naprawdę nie jest żadnym problemem w porównaniu z tym, przez co przechodzi ona. To niesprawiedliwe, by jedna osoba musiała żegnać się z tak wieloma osobami, które kocha.

Więc wyciągam ręce i przytulam Julię jeszcze raz. Julia przez chwilę się trzęsie, a ja mam wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem. Ale zamiast tego, Julia mamrocze:

- Au, mój cycek... - i odpycha mnie od siebie. - Miejmy to już za sobą.
- Ja zajmę się łóżkiem Marie - mówię. - A ty idź upewnij się, czy w kuchni jest wszystko w porządku.

Marie spała w pojedynczym łóżku w różowej pościeli w róże, na widok których w moim gardle natychmiast pojawia się kula, chociaż wcale nie wiem dlaczego. Wszystkie jej drobiazgi są nadal na jej komodzie i stoliku nocnym: mnóstwo zdjęć, jej maleńki zegarek na rękę i maleńki budzik, który wygląda jak rekwizyt z serialu *Mad Men*, a obok niego leży otwarty podniszczony egzemplarz *Mariany Monici Dickens*.

Szybko ściągam pościel i rzucam ją zwiniętą w ką. Potem składam kołdrę i kładę na niej poduszki. Bez pościeli, materac wygląda na maleńki i słaby.

Następnie wchodzę do pokoju Vica, ściągam starą pościel i zakładam świeżą. Potem rozsuwam zasłony. Jego pokój jest nieskazitelnie czysty: nigdzie nie widać ani grama kurzu. Stoi w nim tylko jedno zdjęcie: czarnobiała fotografia dziewczyny, która uśmiecha się radośnie, osłaniając oczy przed słońcem. Wygląda jak Katherine Hepburn, tylko ma większe oczy i szpiczasty mały podbródek. To pewnie zdjęcie Eleanor. Jego żony.

Teraz czuję się jak jeszcze większy intruz.

- Julia? - krzyczę. — Wszystko w porządku? Julia nie odpowiada.

Zbieram pościel i pędzę do kuchni. Julia zagląda do lodówki i układa produkty.

- Musimy kupić świeże mleko, masło i chleb - mówi pod nosem. - I chciałabym kupić jakąś zupę albo potrawkę, by na niego czekała, gdy jutro wróci.

- Pójdę do Esposito's. Vie lubi lasagne... Idę uprać tę pościel na górę, dobrze? Idziesz ze mną? Jest tu bardzo czysto, nie musisz sprzątać, nie musisz tu być.

Julia potakuje. Prawie mnie nie słucha.

Biorę ją za rękę i wracamy na górę. Liście spadają z drzew, a Union Street wydaje się niezwykle cicha. Jest niedziela wieczorem, pogoda jest depresyjna, tak typowo październikowa, gdy nie chce się wracać do szkoły.

Wkładam pościel do pralki, idę do swojego pokoju i kładę się na łóżku.

Jeszcze tylko kilka godzin do przyjścia Cosmo.

A wiecie, co w tym wszystkim jest najgorsze? To, że znowu będę musiała prosić rodziców o pomoc. Są teraz w Zurychu. To miasto, które przesypia całą niedzielę: nie ma tam, co robić, ani gdzie pójść. Mój tato prawdopodobnie przygotowuje wszystko przed przylotem do Nowego Jorku albo czyta „Zürcher Zeitung” i mruczy do siebie z dezaprobatą. Moja mama zapewne rozmawia teraz przez telefon, wywraca oczami i opowiada swoim siostrze, jaką jestem rozpieszczoną, głupiotką i beznadziejną córką.

Mam dwadzieścia dwa lata i nigdy nie zrobiłam im niespodzianki... To znaczy pozytywnej niespodzianki. A oni nigdy, przenigdy nie powiedzieli mi, że są ze mnie dumni. Ani razu.

Tak jakby sądzili, że gdyby to powiedzieli, stałabym się zbyt zadufana. Ale to odwróciło się przeciwko nim: zamiast tego stałam się obojętna.

Teraz, gdy nie rozmawialiśmy ze sobą już od tak dawna, widzę, jakie naprawdę są nasze relacje. Dostrzegam, że cały czas byłam pozornie posłuszna, ale zawsze znajdowałam sposób, by dostać to, czego chciałam, pomimo ich zakazów, czy to było wydawanie większej ilości pieniędzy, czy wakacje bez rodziców z Angie. A teraz zamierzam zrobić to znowu, prosząc ich, by wyciągnęli mnie z dziesięcioletniego długu.

Gdybym była nimi, też pewnie nie byłabym z siebie dumna.

Ale się zmieniłam. Naprawdę czuję, że przez ostatnich sześć tygodni mam cel: Zgrabne Oponki. Po raz pierwszy od wielu lat czuję się pewna, że wiem, czego chcę, i że jeśli będę ciężko pracowała, to przy odrobinie szczęścia osiągnę swój

cel. Pierwszy raz w życiu czuję, że jestem tu gdzie moje miejsce. Ze to mój dom.

Zaczynam sprzątać swój pokój i układać ubrania. Mam mnóstwo par butów na obcasie, a mimo to przez ostatnich kilka tygodni codziennie nosiłam conversy. To ciekawe.

O, Boże, uwielbiam ten pokój, uwielbiam ten dom, uwielbiam w nim wszystko. Od odklejającej się tapety po skrzypiącą podłogę. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Chcę tu zostać i sprawić, by to był mój dom na dobre. Chcę pomóc moim przyjaciółkom odnaleźć się w życiu. I chcę porozmawiać z Aidanem i przeprosić za wszystko.

Chcę tego wszystkiego. Ale nie mogę tego mieć.

Idę na dół do pralni, by włożyć pościel do suszarki i wychodzę na zewnątrz na podest. Jest zimno i wietrznie. Lato się skończyło, definitywnie.

Leżąc na drewnianym stole, udaję, że robię anioła na śniegu, tyle że bez śniegu, patrzę w górę na ponure szare niebo nad moją głową. Zamykając oczy, zaczynam mówić.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi dość aż tutaj.

Mój głos brzmi wyraźnie i dobitnie w chłodnym popołudniowym powietrzu.

-W ciągu ostatnich sześciu tygodni byłam zwolniona, splukana, grożono mi, upiłam się, upaliłam i zostałam aresztowana. Moje pomysły zostały skopiowane, moja własność została skradziona i zniszczona, a moje życie uczuciowe nie istnieje. Ale nadal tu jestem. Poradzę sobie bez względu na okoliczności. Jestem silniejsza niż ktokolwiek przypuszcza i obiecuję, że dowiem się, co dalej robić ze swoim życiem i zrobię to. Dam sobie radę.

I gdy to mówię, dociera do mnie, że to prawda. Naprawdę dam sobie radę.

-Ale potrzebuję twojej pomocy, byś chronił dziś wieczorem moje przyjaciółki. To moja wina, że Cosmo tu przyjdzie, i to moja wina, że nie mam tych dziesięciu tysięcy dola-

rów. I bardzo, z całego serca przepraszam, że wydawało mi się, że to był dobry pomysł. Dostałam nauczkę. Obiecuję. Obiecuję, że nie popełnię znowu tych samych błędów. Tylko nie pozwól, by komukolwiek coś się stało. Proszę daj mi znak, jeśli mnie słyszysz.

Otwieram oczy i biorę głęboki wdech.

- Jeden znak. Nic więcej.

Dokładnie w tej chwili zaczyna padać deszcz.

Ale nie jest to deszcz typu kap kap kap, który rozwija się stopniowo, ale nagły rześisty strumień jak w filmie, gdzie ludzie od efektów specjalnych wciskają przycisk „ulewa” i maszyny produkujące deszcz posłusznie reagują.

Zamykam oczy jeszcze raz i śmieję się do nieba, czując jak krople deszczu spadają na moją twarz i ciało. Mam na sobie stary sweter i jakieś poszarpane stare dżinsy, więc mam chwilę, nim deszcz przemoczy mnie do suchej nitki, potem wezmę prysznic. Ale teraz chcę tu tylko leżeć i cieszyć się tym, pozwalając, aby chłodny deszcz spływał po mojej twarzy, po włosach i karku.

Za dwie godziny będzie tu Cosmo.

Rozdział 30

Na godzinę przed przybyciem Cosmo, wszyscy są w domu i siedzą w salonie. Wielokrotnie prosiłam dziewczyny, by zostawiły mnie samą, żeby mogła to z nim samodzielnie załatwić. Cały czas odmawiały.

- Jesteśmy w tym wszystkim razem - powiedziała Julia. Co sprawiło, że chciałam się jednocześnie rozplakać i ją przytulić.

Pozornie oglądamy jakiś program reality o pannach młodych, którym odbiło, jednak wszystkie niecierpliwie oczekujemy na to, co ma nastąpić. Angie nerwowo tasuje karty, Julia tupie nogą, Coco raz po raz czyta tę samą stronę z *Małych kobietek*, a Madeleine gryzie kosmyk swoich włosów. A ja? Ja wyobrażam sobie wszystkie najczarniejsze scenariusze.

Dzwoni dzwonek.

- Ja otworzę! - mówi Coco, zeskakując z kanapy. Słyszę, jak otwierają się drzwi, a sekundę potem Coco woła:

- Piiiiiiiiiaaaaa?

Wymieniamy z Julią spojrzenie i obie wybiegamy z salonu.

To Cosmo.

Wcześniej.

A za nim stoi Nolan i Nicky.

- Pia! Skarbie! - mówi Cosmo, uśmiechając się tak szeroko, że wydaje się, jakby jego twarz miała za chwilę eksplodować.

Nie widziałam się z nim twarzą w twarz od dnia, w którym się poznaliśmy. Ma na sobie dzinsy i kolejną idealnie wyprasowaną koszulę, jest świeżo ogolony i szeroko uśmiechnięty. Ale nie wygląda elegancko, nagle to do mnie dociera. Wygląda przerażająco. Obok niego stoi Nolan, ma rękę na temblaku, wygląda na jeszcze bardziej rozkojarzonego i niebezpiecznego niż w piątek. A po drugiej stronie stoi Nicky, człowiek góra.

- Jesteś wcześniej - mówię, trochę niepotrzebnie.

- Umówiłem się na kolację - mówi Cosmo, patrząc na mnie zimno i ostro. - I poza tym, stęskniłem się za tobą, Pia. Chciałem pogadać.

- Nie zaprosisz nas do środka? - pyta Nolan.

- Nie - mówi Julia stojąca obok mnie. - To mój dom. Nie jesteście tu mile widziani.

Cosmo prawie na nią nie patrzy. Jego wzrok skupia się wyłącznie na mnie.

- Więc oddaj mi moje dziesięć tysięcy, mała Pio. Odchrząkuję.

- Miałam nadzieję, yyy, że może dasz mi trochę czasu. Tylko czterdzieści osiem godzin, nie dłużej.

- Jesteś niegrzeczną dziewczynką - Cosmo przechyla głowę na bok i patrzy na mnie, potem robi kilka kroków do przodu i wchodzi do domu. Automatycznie, Julia, Coco i ja cofamy się. - Tak myślałem, że może się tak stać.

- Zdobędę te pieniądze, tak naprawdę to już je miałam, ale z powodu, uh, tego incydentu z Nolanem, spowodowałam kolizję i potem mnie aresztowali, a pieniądze zostały skradzione.

- To brzmi nieprawdopodobnie. Ale może uda nam się wymyślić coś innego - mówi Cosmo, robiąc kolejny krok do przodu. Ponownie, Julia, Coco i ja, robimy krok w tył.

Ogarnięta paniką zaczynam planować strategię ucieczki. Mogłybyśmy pobiec do kuchni, a potem na taras, ale wszystkim

naraz to się nie uda. Mogłybyśmy pobiec na górę do jednego z pokoi, ale żaden z nich nie ma zamka w drzwiach.

- Proszę, proszę, wyjdźcie i wróćcie po pieniądze za dwa dni - mówię do Cosmo, mój głos jest o wiele mocniejszy niż się spodziewałam.

- Nikt nigdzie nie idzie - mówi Cosmo.

- Co ci się stało w rękę, Nolan? - pytam, próbując odwrócić uwagę.

- Wypadek samochodowy. W piątek.

A więc dlatego nie przyjechał tu, by wybić wszystkie szyby, czy aby zrobić komuś krzywdę. Był na takim hajcu, że rozbił samochód.

- Ach, jest tu cała gromadka — mówi Cosmo. Patrzę za siebie i widzę, że Angie i Madeleine stoją teraz w korytarzu. - No to do dzieła chłopaki.

W tym momencie Nolan chwyta Coco za kark, popychając ją w stronę salonu. Coco wydaje z siebie przerażony krzyk i wyrywa mu się, wijąc się w panice.

- Puść ją! - Julia natychmiast próbuje oderwać jedną z rąk Nolana od Coco, ale wkracza Nicky i jedną ze swoich muskularnych dłoni unosi jej oba nadgarstki nad jej głową.

Po chwili rozpętuje się piekło: Angie i Madeleine dobiegają do nas, a ja próbuję odciągnąć Nicky'ego od Julii. Wszyscy krzyczą i wrzeszczą jednocześnie, a myślę tylko: „nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie”.

W tej właśnie chwili słyszę trzask.

Cosmo trzyma w ręku broń i celuje nią.

We mnie.

Słyszę, jak wszystkie na raz krzyczymy z przerażenia. Nienawidzę broni. Nienawidzę. W dłoni Cosmo leży mała, przygnębiająca, srebrzysta śmierć... O, mój Boże, co ja zrobiłam?

- Czy teraz już wszyscy słuchamy? Dobrze - mówi Cosmo. - Teraz, wszyscy mają iść do salonu i rozwiążemy to polubownie.

Cosmo łapie mnie za ramię i ciągnie przez korytarz, za nim Nołan z Coco, a potem Nicky, który jakimś cudem jedną ręką unieruchamia Angie i Madeleine, a Julię drugą.

- Co on nam robi? - szepcze Madeleine, gdy wchodzimy do salonu, a ja słyszę, jak Coco zaczyna płakać. „O Boże, o Boże, o Boże...”.

Potem słyszę za sobą kolejny, o wiele głośniejszy trzask. Rozglądam się. To Vic. Ze strzelbą.

- A kim ty jesteś do cholery? - pyta Cosmo.

- To ten sąsiad, stary dziadek - syczy Nolan. Oczywiście: przecież nas śledził, wie dokładnie, kto jest kim.

- Powiem to tylko raz. Puśćcie dziewczyny i wyście się stąd. - Vic nawet na nas nie spojrzał, patrzy tylko na Cosmo.

- Wypieprzaj stąd, dziadu! - mówi ostro Cosmo.

- Nie masz szacunku dla starszych - mówi Vic, wzdychając. - Nigdy nie miałeś.

- Masz Lapurę? - pyta Nicky z trwogą. Patrzy na strzelbę. Vic nigdy jeszcze nie wyglądał na tak silnego i zdecydowanego.

- Odłóż broń, Antony Cosmolli.

- Skąd do cholery znasz moje imię, staruszku? - mamrocze Cosmo, ale opuszcza pistolet tak, że celuje nim w podłogę.

- Do diabła z tym - mówi Nolan. Patrzę na niego akurat w chwili, gdy wyciąga nóż i zmierza w kierunku Coco, ale ułamek sekundy później słychać ogłuszający hałas ze strzelby Vica i nóż wypada z dłoni Nolana. Nolan krzyczy i zwija się z bólu, wymachując krwawiącą dłonią.

Nicky wypuszcza dziewczyny, szybko wyciąga drugie ramię Nolana z jego temblaka i używa go do owinięcia dłoni Nołana. Nolan wydaje z siebie przeraźliwy krzyk. A my zamieramy w bezruchu zszokowane.

- Stul ten cholerny pysk, Nolan - warczy Cosmo. Przez cały czas nie spuszcza wzroku z Vica.

- Tu są twoje pieniądze - mówi Vic, wyciągając kopertę z tylnej kieszeni. - Bierz je i wyń się stąd.

Cosmo bierze kopertę i otwiera usta, by coś powiedzieć, ale potem się wycofuje i idzie w stronę drzwi frontowych. Nicky i Nolan natychmiast idą za nim, złamana ręka Nolana zwisa bezładnie w dół bez temblaka, a on podtrzymuje tę krwawiącą przy klatce piersiowej.

Vic idzie za nimi, ze strzelbą w dłoni, a ja podążam za nim. Zatrzymujemy się przy drzwiach wejściowych i patrzymy, jak pospiesznie schodzą po schodach.

- I nie wracajcie tu. Nigdy - mówi Vic. - Słyszycie mnie?

- Nigdy - powtarzam.

Cosmo nie zwraca na nas uwagi, otwiera drzwi do samochodu, wszyscy wsiadają i chwilę później odjeżdżają z Union Street.

- Myślę, że już go nie zobaczysz - mówi Vic. Odwracam się w jego stronę.

- Dziękuję, Vic, dziękuję! Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Skąd wiedziałeś?

- Dziewczyneczko, gdy zaczynasz rozmawiać z niebiosami, siedząc na podeście, najpierw sprawdź, czy twoi sąsiedzi nie podsłuchują - odpowiada Vic. Ma w oczach błysk gniewu, ale wygląda na zmęczonego i wyczerpanego i nagle sobie przypominam.

- Och... Vic. Tak mi przykro z powodu Marie - mówię.

- Mi też - mówi Vic szorstko. - Ale to jej pieniędzmi właśnie spłaciliśmy tego małego idiotę. Gdy wróciłem do domu, zobaczyłem rozebrane łóżko i postanowiłem przewietrzyć materac. Upchała pod nim sporo gotówki. Tak naprawdę to około dziesięć tysięcy dolarów. Uparta była. Nigdy nie ufała bankom.

Wracamy do salonu, gdzie wciąż w szoku siedzą sparaliżowane dziewczyny. Czuję się jak na haju, ciągle czuję przyływ adrenaliny. Strach, uniesienie, ulga, przerażenie... Wszystko na raz.

- Przepraszam, tak bardzo was przepraszam - mówię, podbiegając do Julii i Coco, które są wciąż blade ze strachu - Czy nic wam się nie stało? Czy nic wam nie jest?

- Nic nikomu nie jest - mówi Vic spokojnie. - Żadna z was nie ma się czego obawiać. On nie wróci.

- Skąd wiesz? - mówi Madeleine. - A co jeśli właśnie rozpętałyśmy wojnę z tymi rzezimieszkami?

- Nie rozpętałyście - mówi Vic. - On tu już nie wróci.

- Skąd wiesz? - pyta Coco.

- Przyjaźnię się z jego wujem, zadzwonię do niego dzisiaj - odpowiada Vic. - I znam ten typ.

I w ten sposób temat Cosmo zostaje zamknięty.

- Skąd masz strzelbę? - pyta Julia cichutkim szeptem.

- Przechowuję ją dla przyjaciół od 1972 roku - odpowiada Vic. - Szczerze mówiąc, to dziwię się, że jeszcze działa.

- Jesteś jak Clint Eastwood w *Gran Torino* - mówi Angie z podziwem.

- Czy nic nikomu nie jest? - pytam. - Przepraszam, nie mogę uwierzyć, że to się stało, tak bardzo przepraszam.

Wszyscy mówią jednocześnie:

- Mi nic nie jest, nic mi nie jest...

- Chyba zwymiotuję, nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Czy to wydarzyło się naprawdę?

- Przyrzekam na Boga, Pia, jeśli zrobisz coś takiego jeszcze raz... - to Madeleine.

- Przepraszam - mówię ponownie. Mam wrażenie, że już zawsze będę mówiła „przepraszam”. - Nie mogę uwierzyć, że was wszystkich w to wplątałam i już nigdy więcej nie zrobię czegoś tak głupiego, obiecuję.

- W porządku - mówi Angie spokojnie. - To była sytuacja, która wymknęła ci się spod kontroli. Rozumiemy to.

Julia, Madeleine i Coco powoli potakują, a mnie ogarnia uczucie ulgi. Nie znienawidziły mnie.

- O mój Boże, patrzcie, tam jest jego palec - mówi Coco, zaglądając za poplamioną krwią sofę. Przygląda się bliżej.

- Brudny paznokieć. Fuj. Powinnyśmy obłożyć go lodem.

- Chyba nie mówisz poważnie - mówi Angie. - Powinnyśmy go spuścić w toalecie!

- Odstrzeliłem mu cały palec? - pyta Vic z dumą w głosie. Julia podchodzi do sofy, rzuca okiem na odstrzelony palec

Nolana i mdleje.

W chaosie, który się wywiązuje, Coco udaje się jakimś cudem wyciągnąć wszystkich na podest schodów na powietrze świeże po deszczu, gdzie pijemy bardzo mocną posłodzoną herbatę i zajadamy ciasteczka owsiane, które Coco upiekła dziś rano.

- O rany, to było dziwne - mówi Julia. - Nigdy wcześniej nie mdlałam.

- Poproszę jeszcze jedno ciasteczko - mówi Madeleine. Jestem zaskoczona, że nie są na mnie bardzo złe. Powinny

być wściekłe. W końcu prawdopodobnie naraziłam je na największe niebezpieczeństwo w życiu. Ale zrozumiały wszystko i przebaczyły mi, od razu. Chce mi się płakać z ulgi.

- Oddam ci te pieniądze najszybciej jak się da, Vic - mówię. - Poproszę moich rodziców, gdy tylko będę z nimi rozmawiała.

- Nie ma pośpiechu. Uznajmy to za pożyczkę.

- Nie, nie mogę - mówię i szybko idę do kuchni po kartkę i długopis. Siadam i zaczynam pisać.

- Jestem dłużna Vittorio Bartolo 10 000 dolarów - piszę.

- Podpisano, Pia Keller.

Składam kartkę i podaję mu ją, a on wkłada ją do kieszeni koszuli.

- Obiecuję, że oddam - odpowiadam.

- Spokojna głowa - mówi Vic, uśmiechając się do mnie.

- Wiem, gdzie mieszkasz.

Rozdział 31

- Traktuj to jak wojnę — mówi Julia. - Zrobiłaś rozpoznanie terenu, masz plan bitwy, teraz załóż jakąś cholerną zbroję i idź walcz o swoje. Jeszcze nie wszystko stracone.

Potakuję posłusznie. Jest 6:15 rano, a Jules stoi w moich drzwiach, ubrana, z torbą na fitness zarzuconą na ramię i wygłasza motywującą mowę jak trener piłki nożnej w szkole średniej.

Zaczęła ją wygłaszać już wczoraj wieczorem, po tym jak zjadłyśmy z Vickiem kolację, i od tamtego czasu nie przestaje mówić, poza małą przerwą, kiedy udało mi się ją ubłagać, by pozwoliła mi się trochę przespać. To chyba jej sposób na odzyskanie przewagi w grupie po tym, jak wczoraj zemdląca.

Siedzę na skraju swojego łóżka w pidżamie.

- To jest twój moment, Pia. To wszystko, na co pracowałaś. A tak przy okazji, to wyglądasz koszmarnie.

- Dzięki - mówię. - Czuję się koszmarnie.

Nie spałam. Przez cały czas tylko przypominałam sobie tę całą aferę z Cosmo. Potem myślałam o dzisiejszym spotkaniu z Liną i o moich rodzicach, a potem znowu o aferze z Cosmo.

- Zrób przegrupowanie. Wydaj rozkaz żołnierzom, by się...

- Ale nawet nie wiem, co Lina zamierza - przerywam Julii zdenerwowana.

- Ja myślę, że ona chce, aby jej szef kupił twoją firmę. I tyle.

- Nie - mówię. - Są właścicielami olbrzymiej sieci luksusowych hoteli i restauracji. Kupno takiej nędznej ciężaróweczki z barem mobilnym przez Carus International to jak kupno straganu na Brooklyn Flea przez sklep Bergdorf Goodman. Jedno do drugiego po prostu nie pasuje.

Julia wzdycha.

- Pamiętaj o pozytywnej wizualizacji, Pipi. To będzie coś dobrego. Czuję to w trzewiach.

- Gdy ostatni raz czułaś coś trzewiach, okazało się, że to cysta - mówi Madeleine, zaglądając do mojego pokoju. Idzie na swój poranny jogging. - Kupić ci kawę, jak będę wracała, Pia? Będę z powrotem za pół godziny.

- Tak, proszę - odpowiadam. - Kup mi taką jak sobie, tylko mocniejszą. Właściwie to dwa razy mocniejszą.

-A, yyy, czy mogę pożyczyć twoją niebieską sukienkę na jutro? Tę z golfem?

- Tak, oczywiście - mówię. - Do pracy?

- Nie... Idę jutro wieczorem, yyy, na takie przesłuchanie dla wokalistek - odpowiada Madeleine, rumieniąc się. - Widziałam ogłoszenie na Gumtree. Szukają wokalistki do zespołu w Williamsburgu. Zdecydowałam wczoraj wieczorem... że życie jest za krótkie, żeby nie robić tego, czego się pragnie. - Milknie na chwilę. - Oczywiście w ramach rozsądku.

- Maddy - mówię. - To rewelacyjne wieści. Oczywiście, że możesz. Musimy też dobrać jakieś buty.

Julia spogląda na zegarek.

- Muszę lecieć. Czyli już wiesz, co masz robić?

- Powiedz mi tylko jedno - mówię.

- Wal - mówi Julia.

- Czy przechowasz dla mnie Toto w swoim domu w Rochester, gdy będę w Zurychu? Nie mogę jej sprzedać. Pewnego dnia wrócę po nią.

- Oczywiście - odpowiada Jules. - Ale nie będę musiała. Odniesiesz ogromny sukces.

Gdy znów jestem sama, wykorzystuję chwilę, by zamieścić informację o Zgrabnych Oponkach na Twitterze:

Przepraszam Was. Dziś nie będzie Zgrabnych Oponek. Wyjątkowe okoliczności... Wynagrodzę Wam to jutro 20% zniżką.

Wczoraj wieczorem wysłałam SMS do Jonah, że nie będzie dziś pracował. Odpowiedział mi, że dostał telefon w sprawie kolejnych zdjęć próbnych. Super. Nareszcie bierze życie w swoje ręce.

W tej chwili dzwoni moja komórka. To numer mojego taty.

Patrzę przez chwilę na ekran i włączam tryb wyciszony, nie odbieram. Jeszcze nie. Jestem pewna, że dzisiejsze spotkanie będzie stratą czasu, i że jutro będę musiała pożyczyć dziesięć tysięcy, by oddać Vicowi, ale nie mogę tego zrobić przez telefon.

Biorę bardzo długi, gorący prysznic i ubieram się, rozkoszując się znajomymi odgłosami podłogi Rookhaven i dziewcząt wokół mnie. Na strychu Coco śpiewa do wtóru z jakąś straszną starą piosenką Nicka Lacheya, Angie chodzi po swoim pokoju, stukając drewnianymi obcasami, które muszą mieć ze dwadzieścia centymetrów, a Madeleine wróciła z joggingu z moją kawą i teraz bierze swój, jak zawsze, bardzo długi prysznic. Nigdy z nią nie rozmawiałam o tym napisie na lustrze w łazience. Jeśli w ogóle to ona go napisała. Myślę, że to był ktoś, kto po prostu miał zły dzień.

W co się ubrać na bitwę?

Ubieram się tak jak Lina: czarne spodnie, jedwabna bluzka, czarna marynarka, czarne szpilki. Idealnie. Profesjonalnie elegancko i stylowo. Włosy eleganckie i bez dodatków, ledwie widoczny makijaż.

Przed wyjściem z domu ostatni raz spoglądam w lustro. To jest to, myślę sobie. To twoja szansa, by coś się wydarzyło.

Czymkolwiek to „coś” jest.

Jestem na Forty-seven i Lexington o pół godziny za wcześnie. Tak jak wczoraj niebo jest zachmurzone i niepokojąco szare. O Boże, mam nadzieję, że to nie jest jakiś znak.

Natychmiast zaczynam się nerwowo przechadzać po pobliskich uliczkach. Idę na zachód wzdłuż Forty-seven, a potem skręcam w Fifth Avenue, dla zabicia czasu oglądając wystawy sklepowe, a w mojej głowie aż huczy ze zdenerwowania.

Gdy jestem na rogu Fifth Avenue i Forty-ninth Street i czekam na zielone światło, spoglądam na tłumy ludzi w garniturach i turystów stojących po drugiej stronie ulicy.

I wtedy ich dostrzegam.

Moich rodziców.

Tutaj.

W Nowym Jorku.

Stoją na rogu przed Saks zwróceniu w stronę centrum. Nie widziałam się z nimi od początku lata, od czasu gdy pojawiłam się na obowiązkowym rodzinnym spotkaniu, jeszcze przed tym, jak pojechałam spotkać się z Angie. Wyglądają tak samo jak zawsze. Moja mama szuka czegoś w torebce i trajkocze. A mój tato pali cygaro, spogląda ze zmarszczonym czołem przed siebie i ignoruje ją. Mieli tu być dopiero jutro!

Robię obrót o 180 stopni i biegnę do sklepu znajdującego się za mną. Przez kilka minut udaję zainteresowanie jakąś wysoce nieinteresującą parą butów. Gdy ponownie wyglądam ze sklepu, moich rodziców już nie ma.

Dlaczego do diabła są tu tak wcześnie? No cóż, to chyba jasne, prawda? Chcieli mnie zaskoczyć, tak by mieć dodatkowy dzień na zmuszenie mnie do wyjazdu z Nowego Jorku. To dzieje się naprawdę. Będę musiała pożegnać się z Brooklynem, z dziewczynami i życiem, które w końcu być może zaczyna wyglądać tak jak chcę.

No dobrze, oddychaj, Pia. Oddychaj. Nie wiedzą, gdzie mieszkam, nie wiedzą, jak się skontaktować z rodzicami moich przyjaciółek. Nie znają moich przyjaciół ani nie wie-

dzą nic o moim życiu, tak naprawdę to zawsze tak było. Dzięki Bogu. Co zrobić, by dziś się na nich nie natknąć? Zobaczmy: zazwyczaj zatrzymują się w hotelu Carlyle, a teraz pewnie poszli na obowiązkowy pośniadaniowy spacer poprawiający trawienie (gdy byłam nastolatką, zmuszali mnie do tego co sobotę i niedzielę, i codziennie na wakacjach, nawet pomimo tego, że sami szli obok siebie, ja musiałam iść za nimi i nigdy nawet ze mną nie rozmawiali). Moja mama lubi robić zakupy w Bergdorfie, a tato lubi pójść na drinka do King Cole Bar w hotelu St. Regis, oboje lubią spacerować w Central Parku, spoglądając z dezaprobatą na ludzi wyprowadzających psy.

Jutro do mnie zadzwonią. Ale zajmę się tym dopiero wtedy.

O Boże, teraz jest mi jeszcze bardziej niedobrze. A do tego czuję, że mocna kawa wzmogła mój niepokój.

Po prostu przestanę o nich myśleć. To nie powinno być trudne, robię to, odkąd skończyłam jakieś sześć lat. Muszę się skupić na tym spotkaniu. Muszę jak najlepiej wykorzystać to, co planuje Lina, cokolwiek to jest.

W delikatesach kupuję banana i bajgla z twarożkiem i jem, spacerując wzdłuż ulicy, co jakiś czas rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy nie idą za mną moi rodzice.

Potem, dokładnie o 9:45 idę w stronę biura Liny. Przedstawienie czas zacząć.

Rozdział 32

Ponad cztery godziny później nadal siedzę w holu Carus International i czekam.

Lina zeszła do mnie od razu rano i powiedziała dość tajemniczo:

- Mamy idealny moment. Ale niczego nie mogę zagwarantować. Czy możesz tu przez chwilę poczekać?

Potem, około jedenastej wysłała mi SMS: *Bardzo cię przepraszam, jeszcze nie uciekaj!*

A potem kolejnego o trzynastej: *Zjedz lunch, nadal rozmawiamy.*

Teraz jest czternasta. A ja wciąż tu siedzę. To ładne miejsce, przestronny jasny hol z wygodnymi sofami, dookoła wszędzie kwiaty. Ale bez przesady. Cztery godziny w jednym miejscu? To istna tortura.

Jestem dziwnie wyczerpana tymi godzinami bezowocnego oczekiwania. Czuję w ustach tak kwaśny smak, że mój oddech zapewne przypomina oddech kota. Boli mnie głowa, mam zeszywniałe plecy, już dwa razy przeczytałam każdą gazetę i czasopismo leżące w holu, i dałabym wiele za wódkę z lodem.

Co gorsza, moja komórka, która jest teraz wyciszona, przez cały czas pokazuje nieodebrane połączenia od mojego taty. Gdzieś w Nowym Jorku szukają mnie moi rodzice.

Dlaczego Lina każe mi tu tak długo siedzieć? Pewnie powinnam już sobie pójść. Jest po prostu zbyt uprzejma, by mi powiedzieć, że marnuję swój czas. Sprzedaż Zgrabnych Oponek było marzeniem ściętej głowy. Nie mogę tu tak czekać przez cały dzień. Muszę pogadać z rodzicami, pożyczyć pieniądze, oddać pożyczone pieniądze Vickowi i złapać samolot do zamarzniętego europejskiego miasta. Już mam zamiar wychodzić, kiedy...

- Pia! Wybacz! - Lina wybiega z windy z szerokim uśmiechem na twarzy. - Chodź ze mną, wyjaśnię ci wszystko po drodze.

- To był szalony poranek - mówi Lina, gdy stoimy w windzie. - Miałam jedno spotkanie za drugim. Bardzo cię przepraszam, że musiałaś tak długo czekać. Umierałaś z nudów?

- Nie, nie, było dobrze! Świetnie! - mówię najradośniej, jak mogę. - Yym, pozytywne spotkania?

- Przygotowywałam dla ciebie grunt - mówi Lina.

- Taak?

- Za chwilę ci wszystko wyjaśnię - mówi Lina, uśmiechając się do mnie.

Jest spokojna, a mimo to podekscytowana i nagle czuję się tak samo. Jest naturalną liderką. Może i idę na bitwę, ale nie jestem sama.

Idę za Liną wzdłuż korytarza otoczonego z obu stron biurami o przeszklonych ścianach z widokiem na miasto. To jest najładniejsze miejsce pracy, jakie kiedykolwiek widziałam. Ściany są w łagodnym gołębiu kolorze, biurka ciemne i błyszczące, a oświetlenie ciepłe i delikatne. Są bardzo odmienne od taniej elegancji agencji PR pełnej mebli z Ikei i światła fluorescencyjnych lamp zalewającego wszystkie te firmy, w których przechodziłam rekrutację. O rany, mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

Siadamy w pustej salce konferencyjnej. Bardzo się staram zachowywać spokojnie.

- A zatem Pia - mówi Lina. - Zanim opowiem ci o tym, co planuję, chcę ci zadać kilka pytań. Większość z tych rzeczy omawialiśmy wczoraj przy kawie, ale chcę się upewnić, że niczego nie przeoczyłam i gdy będziesz rozmawiała z szefem, wszystko będzie jasne.

- Proszę bardzo - mówię. Z szefem?

Lina podnosi swój segregator i notatnik i zaczyna. Kiedy wpadłam na pomysł Zgrabnych Oponek? Jak to wszystko zaczęłam? Dlaczego uważałam, że to wypali? Jaki był mój pierwszy krok? Ile zainwestowałam na początku? Jaki jest mój dzienny utarg? Jak rozwijałam ten pomysł? Jak bym rozszerzyła tę działalność, gdybym miała takie możliwości? Skąd mam przepisy? Jak rozwinęłam strategię marketingową w mediach społecznościowych („Co takiego? Aaa, Twitter i tym podobne?"), jak porównałabym swoje ceny z cenami innych mobilnych barów? Co według mnie przyczynia się do sukcesu lub porażki mobilnego baru?

Po godzinie odpowiadania na pytania znów odczuwam napływ energii. Mówienie o Zgrabnych Oponkach i o tym jak rozwinęłam swoją firmę, jest naprawdę ekscytujące i przypominam sobie, jak bardzo kocham swoją pracę. Tak naprawdę to jestem z siebie trochę dumna. Pokazuję Linie zdjęcia, które zrobiła An-gie, a ona jest zachwycona.

- Wiem, że ta firma ma tylko sześć tygodni - mówię. — I że ta krzywa wzrostu - to sformułowanie, którego wcześniej użyła Lina, i od tamtej chwili ja go nadużywam i powinnam już przestać — nie jest trwała - to znaczy... To zrozumiałe, że zyski wzrosły po tym, jak wprowadziłam sprzedaż śniadań: to cały dodatkowy posiłek, a przyrządzanie naleśników jest naprawdę tanie. Ale w tej chwili mogę się już tylko rozwijać, z czasem zaoferować dania obiadowe, co będzie o wiele bardziej skomplikowane do przyrządzenia w tak starej ciężarówce jak moja, głównie dlatego że nie mam w lodówkach za dużo miejsca do przechowywania produktów. Mogłabym zaoferować usługi

dostarczania posiłków do biur i siłowni. I ludzie ubrani w staromodne stroje chłopców i dziewcząt sprzedających papierosy chodziliby po Union Square Farmers Market albo po Brooklyn Flea, albo po Central Parku i sprzedawali moje sałatki z tych małych tac zawieszonych na szyi.

- Do licha, zwolnij! - mówi Lina ze śmiechem.

-I mam też pomysły na różne rodzaje restauracji mobilnych - mówię.
— Ekologiczna włoska, śniadaniowa...

-Zapisałam to wszystko wczoraj - potakuje Lina. - To wspaniałe pomysły.

Uśmiecham się tak bardzo, że aż mnie trochę bolą policzki.

- To, co naprawdę sprawia, że jesteś wyjątkowa - mówi Lina, spoglądając na swoje notatki, to to, że nie jesteś jakąś zblazowaną restauratorką, która podejmuje się tego jako ostateczności, i że nie działasz wyłącznie sezonowo. Jesteś prawdziwym przedsiębiorcą z całą tą energią, entuzjazmem i ślełą odwagą, którą daje młodość. Zauważyłaś okazję i ją dogłębnie wykorzystałaś. Uważam, że masz doskonałe wyczucie, jesteś niesamowicie pracowita, a gdyby za tobą stało odpowiednie wsparcie w kwestii zarządzania i dobrze dobrany zespół, mogłabyś naprawdę...

Lina milknie, przerywając swój monolog. Prawie nie mogę oddychać, jestem tak wzruszona. Czy ona naprawdę myśli w ten sposób... o mnie? Ale zaraz, co ona właśnie powiedziała? Ze naprawdę mogłabym... że naprawdę mogłabym co?

-A co najważniejsze, nie jesteś efekciarska - mówi Lina. - Obserwowałam też tę dziewczynę od Posuń To Ciacho w Dupe, ale jedzenie, które sprzedawała, otrzymało fatalne recenzje, to była tylko pozerka... Tacy ludzie jak ona mogliby zniszczyć przemysł restauracji mobilnych. Jeśli ludzie przestaną ufać produktom sprzedawanym w barach mobilnych, to przestaną je kupować.

- To prawda - mówię, potakując. Zastanawiam się, gdzie jest Bianca. Mam nadzieję, że jest bezpieczna, gdziekolwiek by była.

- Czas, bym teraz ja wszystko wyjaśniła - mówi Lina. - Od miesięcy szukam nowych kierunków rozwoju. Koncentrowałam się na młodych firmach z branży hotelarsko-restauracyjnej z prawdziwie indywidualnym podejściem do obsługi, na przenośnych lub sezonowych restauracjach i barach, usługach stworzonych dla konkretnej grupy ludzi, którzy będą wiedzieli, że to doświadczenie przeznaczone wyłącznie dla nich i je pokochają. Niektórzy klienci zawsze będą wybierali olbrzymie hotele i ośrodki dla tysiąca gości, i gigantyczne restauracje, i kluby, ale wielu ludzi już tego nie chce. Wielu chce czegoś, co wydaje się autentyczne. Czegoś, co mogą pokochać.

- Czegoś, co wydaje się bardziej prawdziwe, czegoś, co jest bardziej jakby przyjacielem niż firmą - mówię, dokańczając jej myśl prawie nieświadomie.

- Dokładnie! To idealne określenie - mówi Lina wzruszona. - Więc spotkałam się dziś rano z zarządem, by omówić pozostałe projekty. Mówiłam o możliwościach zainwestowania w mniejsze firmy i zapytałam czy pod koniec dnia będą chcieli się zapoznać z nowym pomysłem. Teraz właśnie kończą i mamy się z nimi spotkać o czwartej. Przedstawisz im prezentację odnośnie możliwości zainwestowania w restauracje mobilne, skupiając się na niszowych pomysłach skierowanych do konkretnego odbiorcy odpowiadających potrzebom rynkowym, takich jak Zgrabne Oponki, jak twoja ekologiczna włoska restauracja, jak mobilny bar z całodobowymi śniadaniem...

- Chyba raczej mam ci pomóc w prezentacji przed zarządem... o mobilnych barach? - mówię, czując, jak nagle zasycha mi w gardle. - Tak by oni zgodzili się zasponsorować Zgrabne Oponki czy coś w tym stylu?

- Coś w tym stylu - mówi Lina, otwierając laptopa. - Słuchaj, wczoraj wieczorem przygotowałam kilka wstępnych slajdów w Power Poincie, więc umieścimy w nich teraz te zachwycające zdjęcia, które zrobiła twoja przyjaciółka. Jest bardzo utalentowana.

- Tak, to prawda, ale... ja... ja mam zrobić prezentację? Przed ważnymi ludźmi?

- Jest ich tylko ośmioro - mówi Lina. - I są mili.

- Kim... kim są?

- Będzie tam prezes, dyrektor operacyjny, pani dyrektor rozwoju do spraw inwestycji i to ona jest twoim głównym celem, więc musisz na niej zrobić dobre wrażenie, dyrektor finansowy, wicedyrektor do spraw zakupów i rozwoju, wiceprezes koncepcyjny do spraw branży restauracyjnej i wicedyrektorzy naszych hoteli i restauracji.

Nawet nie wiem, co oznaczają niektóre stanowiska.

- No dobrze, idę po kawę, chcesz latte? Świetnie.

Gdy Lina wybiega z salki, ja patrzę przed siebie w osłupieniu. Wszyscy ci ważni ludzie. Z całą ich wiedzą i doświadczeniem. I ja.

Mam tak sucho w gardle, że nie mogę przełknąć śliny, czuję ucisk w klatce piersiowej, jakby mi ją ktoś miażdżył, o Boże, dlaczego nikt nie nazywa tego atakiem bólu zamiast atakiem paniki, skoro to tak bardzo boli.

Zaraz zwymiotuję.

Jakimś sposobem udaje mi się w ostatniej chwili przejść przez salkę i zaczynam wymiotować do kubła na śmieci. Kawa nie smakuje tak dobrze, gdy się ją zwraca. Potem wyrzucam z siebie kilka niezbyt dobrze pogryzionych kawałków bajgla do środka plastikowego worka wyściełającego kosz na śmieci. Faj.

Siadam, próbując zmusić się do tego, by głęboko oddychać. Nie upadnę. Nie pozwolę, by Lina myślała, że się pomyliła, obdarzając mnie zaufaniem. Nie poddam się.

Dam radę.

Wyciągam butelkę wody z torebki, przepłukuję nią usta i wypluwam do kosza, przepraszając w myślach biedną sprzątaczkę, która będzie musiała się z tym uporać, a potem szybko wpycham do buzi sześć gum do żucia.

Chwilę później, właśnie gdy siadam na swoim krześle, próbując zachowywać się naturalnie, wraca Lina z kawą.

— No dobrze - mówi. - Ułożymy dla ciebie prosty scenariusz, a ja pomogę ci z pytaniami i odpowiedziami, które pojawią się po prezentacji. To proste. Zrobisz to z palcem w nosie. Zgoda?

- Zgoda - odpowiadam. - No to do roboty.

Rozdział 33

Mniej niż godzinę później czuję się tak, jakbym ukończyła intensywny kurs Idealnych Prezentacji Biznesowych. Nie wierć się. Odłóż długopis.

Stój prosto. Nie kołysz się i nie podskakuj jak pijany żeglarz.

Patrz w oczy wszystkim po kolei, powoli i spokojnie.

Nie bój się robić pauz. Nie musisz się spieszyć: wszyscy są zainteresowani każdym twoim słowem.

Mów głośniej... Nie, nie krzycz tak.

Nie baw się swoimi włosami. To rozkojarza.

Miej więcej entuzjazmu... Ale nie za dużo, bo teraz wyglądasz, jakbyś była cheerleaderką.

Uśmiechaj się. Masz wyglądać na kogoś, kto się dobrze bawi... Nie tak. To nie konkurs piękności.

Na początku Lina jest wobec mnie tak ostra, że prawie chce mi się płakać. Ale oczywiście tego nie robię. Mówię dalej. Nawet gdy szukam słów, a ze strachu boli mnie brzuch i kończę swoje zdania cichym beznadziejnym szeptem, mówię dalej.

O piętnastej trzydzieści Lina zapoznaje mnie z imionami uczestników spotkania i krótko ich opisuje. Ken. Charlie. Judy. Louis. George. Cassandra. Gilbert. Jennifer. Nigdy ich nie zapamiętam. Potem zarzuca mnie rozmaitymi niezwykle trudny-

mi pytaniami, które wypowiada ostrym tonem. Jej agresywna taktyka szkoleniowa działa: jestem twardsza i bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek wcześniej. Zdaje się, że to sporo wysiłku jak dla takiej maleńkiej ciężarówki z mobilnym barem, o której sponsorowanie Lina poprosi swoją firmę. Ale ja nie zamierzam narzekać.

Potem wstajemy i idziemy na górę, na czterdzieste czwarte piętro, do dużej sali konferencyjnej, gdzie najwyraźniej wszyscy już czekają.

Lina wchodzi do sali pierwsza, za nią wchodzi ja. Mówię „sala”. Choć „amfiteatr” byłoby bardziej trafnym określeniem.

Jest czterokrotnie większy od przytulnej salki konferencyjnej, w której ćwiczyłyśmy, a po środku stoi stół dla pięćdziesięciu osób. Po jednej stronie stoją szafki wypełnione nagrodami. Druga strona jest całkowicie przeszklona, od podłogi po sufit z widokiem na Manhattan. Staram się nie gapić na ten widok i skupiam się na tym, by wyglądać na pewną siebie.

Na przeciwległym krańcu stołu siedzi ośmioro mężczyzn i kobiet, którym w tej chwili podano kawę i ciasteczka. Wszyscy są ubrani w garsonki i garnitury i są w wieku pomiędzy czterdziestką i tą niedookreśloną wielkowiejską sześćdziesiątką, choć tak naprawdę mogliby mieć i osiemdziesiąt lat, ale nigdy się do tego nie przyznają, a i też nikt nie ośmieli się ich spytać.

- Witam wszystkich! - woła Lina radośnie.

Podnoszą wzrok, uśmiechają się do nas i wracając do pogawędki między sobą, podczas gdy Lina przygotowuje laptopa. Nachyliłam się nad laptopem, próbując wyglądać na pomocną.

- Chodź ze mną - mówi Lina. Idę za nią na drugi koniec sali i Lina przedstawia mnie zespołowi.

Próbuję powtarzać ich imiona, gdy podaję dłoń każdemu z nich, po kolei. Skupiam się na tym, by nawiązać kontakt wzrokowy i szczerze się uśmiechnąć, ściskając ich dłonie tak,

jak uczył mnie tato, więc nieuchronnie ich imiona wchodzą mi jednym uchem, a drugim wychodzą. Jedyne dwa imiona, które pamiętam, to Gilbert, prezes, który wygląda na zniecierpliwionego i rozdrażnionego, ale ma bardzo przyjazne brązowe oczy i Judy, dyrektor od inwestycji, która ma bardzo zimne dłonie.

- Może już zacznę, dobrze? - pyta Lina.

- Proszę - mówi Gilbert. - To był długi dzień. Gilbert spogląda na mnie.

- Rzecz jasna nie znaczy to, że nie jesteśmy zainteresowani tematem.

Rzecz jasna, chcę odpowiedzieć, uśmiechając się najpro-mienniej, jak potrafię, ale straciłam zdolność mówienia. Mój głos gdzieś sobie poszedł, pierzchnął, zanikł. O Jezus. Nie teraz.

- Dziękuję wam wszystkim, że znaleźliście siły na to spotkanie, wiem, że jesteście w pracy od ósmej rano, ale myślę, że to będzie interesująca godzina - mówi Lina, podchodząc do drugiego końca stołu. Patrzy na mnie i wskazuje ręką na krzesło tuż przed sobą.

Podbiegam tam i siadam. Moje krzesło z hukiem uderza

O stół, a ja próbuję powiedzieć „przepraszam”, ale nadal nie potrafię. Potem czuję, jak mi kołacze serce, o Boże, tylko nie kolejny atak paniki.

- Bary mobilne to coś więcej niż moda. Są przyszłością sprzedaży detalicznej. Z roku na rok rynek obwoźnych barów odnotowuje dwucyfrowy wzrost... - Podczas gdy Lina przemawia, ja próbuję uspokoić nerwy.

„Proszę, och proszę, niech mój głos wróci, proszę, żebym tylko nie wymiotowała, proszę nie pozwól, bym zawiodła Linę

1 dziewczyny...”.

Lina jest w połowie swojej przemowy.

- Inwestując w przybliżeniu około dziesięciu tysięcy dolarów, Pii udało się zamienić blad różową ciężarówkę w fenomen restauracyjny w ciągu zaledwie sześciu tygodni. Obsługuje do tysiąca dwustu klientów dziennie, a to tylko dlatego że ta

ciężarówka nie może zmieścić więcej jedzenia bez pomocy helikoptera, który podrzucałby zapasy na jej dach...

Wszyscy się śmieją i ja też otwieram usta do śmiechu, ale mój głos nadal nie chce się ze mnie wydobyć. „No dalej głosie, wróć...”.

-A teraz chciałabym, aby Pia opowiedziała o tym trochę swoimi słowami. Pia?

Uśmiecham się i wstaję tak szybko, że przewracam swoje krzeselko.

- Ja podniosę - mówi Lina szybko. - Idź, idź. Uśmiecham się i robię to, co mówi, zajmuję miejsce

u szczytu stołu konferencyjnego. Rozciąga się przede mną jak boisko do piłki nożnej, jest niewyobrażalnie wielki. Nie mogę krzyczeć aż tak daleko. Nie dam rady.

- Dawaj, Pia - mówi Lina zachęcająco. Spoglądam na nią z udręką w oczach. Zaryzykowała i postawiła na mnie, a ja ją zawiodę.

- Ja... - Mój głos brzmi jak cichutki szept.

W sali panuje cisza. Absolutna, przerażająca, obezwładniająca cisza.

- Głośniej! - woła Gilbert.

Och proszę, proszę, proszę, niech mój głos wróci. Nie zaszłam tak daleko, żeby teraz się poddać. I jeśli Lina we mnie wierzy, i wszystkie moje przyjaciółki we mnie wierzą, już czas, bym i ja w siebie uwierzyła. Dam radę. Naprawdę dam.

- Mam na imię Pia Keller i mam dwadzieścia dwa lata.

Widzę, że Gilbert pochyla się do przodu, by mnie lepiej słyszeć, a ja uśmiecham się i zaczynam mówić mocniejszym głosem, wydobywając go z samego centrum mojego ja, tak jak radziła mi Lina.

- Kilka miesięcy temu ukończyłam Uniwersytet Browna i od razu dotarła do mnie bolesna prawda, tak jak i do wszystkich wokół mnie, że nikt nie będzie chciał mnie zatrudnić.

Po drugiej stronie stołu słyhać chichot.

- Nikt nie chce dać ci pracy, jeśli nie masz żadnego doświadczenia, a nie możesz zdobyć doświadczenia, nie mając pracy. To zakłęte koło każdego absolwenta, a gdy myślisz, że całe dotychczasowe życie robiłeś wszystko, by traktowano cię jak dorosłego, trudno przyjąć do wiadomości, że świat wcale cię tak nie odbiera.

Milknę. Wszyscy słuchają mnie uważnie. Mój głos jest mocny, czuję się zupełnie spokojna.

- Ale potrzebowałam pracy. Musiałam zarabiać pieniądze. Musiałam zapłacić za czynsz, kupować jedzenie, chciałam czuć się ze sobą dobrze, mieć cel i starać się go osiągnąć. To jest właśnie sedno całej walki z rzeczywistością po ukończeniu studiów: odkryć, czego się tak naprawdę w życiu chce i do tego dążyć.

Judy potakuje. To dobry znak i przez sekundę tracę wątek. Odchrząkuję.

- A ja chciałam, to znaczy, miałam nadzieję, że uda mi się to osiągnąć w pracy, którą będę naprawdę lubiła, i z którą będę mogła się utożsamiać. Zauważyłam, że rynek mobilnych barów w Nowym Jorku wydaje się dosyć prostym sposobem na zarobienie gotówki. Wszystko, czego tak naprawdę trzeba, to ciężarówka z obwoźnym barem i jakiś pomysł. Więc kupiłam ciężarówkę. I miałam pomysł.

Znowu przerywam. Wszyscy wciąż na mnie patrzą, nikt nie bazgrze w notesie, nikt nie sprawdza wiadomości na iPhone.

- Zgrabne Oponki są dla każdego zajętego nowojorczyka, który chce mieć szeroki wybór szybkich, pożywnych i fantastycznych dań na lunch, które nie wejdą mu prosto - w biodra. - Dzięki Bogu nie powiedziałam „w dupę”. Odchrząkuję i uśmiecham się. - Wszystkie moje przyjaciółki dostały swoją pierwszą pracę, znajdują się na dole drabiny kariery. Nie mogą sobie pozwolić na to, by wydać czterdzieści dolarów na posiłek lub wyjść na godzinę, by zjeść w restauracji i nie chcą jeść kanapki pełnej węglowodanów, po której będzie im się chciało

spać czy też dań z Mc Donald's. Chcą zjeść coś pysznego i pożywnego, co je nasyci i doda energii, tak by nie ogarniała je popołudniowa senność lub by nie sięgały po jedno czy sześć ciastek.

Gilbert kiwa głową. Judy właśnie upuściła ciastko, które miała zamiar zjeść. Ups.

- Oczywiście, nie myślę tu tylko o tych, którzy dbają o swoją wagę: ludzie nie muszą być na diecie, by chcieć jeść zdrowo. Zdrowe jedzenie to sposób na życie... Albo powinno nim być.

Lina wyświetla zdjęcia, które wczoraj zrobiła Angie. Rany, wyglądają świetnie. Biorę długi oddech i mówię dalej.

- Więc kupiłam bardzo stary bar mobilny. Ciężarówka nazywa się Toto, jest prawie cała zardzewiała i jest cudowna.

- Przypomina mi moje stare Kombi, którym jeździłem na studiach - mówi Louis czy George, nie pamiętam.

- Zaczynałam od sprzedaży dwóch sałatek pełnych białka, bez węglowodanów i cukru, o niskim indeksie glikemicznym. Sałatki pełne smaku i chrupkości, zdrowych tłuszczów, takich jak awokado i migdały. Przygotowywałam też niskokaloryczne desery o niskiej zawartości cukru i w ciągu dwóch tygodni poszerzyłam swoją ofertę o śniadania z bezglutenowymi niskokalorycznymi naleśnikami. I założyłam konta na Twitterze i Facebooku... - mówię dalej, ale widzę, że moi słuchacze zaczynają błędzić myślami gdzie indziej, więc dochodzę do najważniejszego faktu, przynajmniej według Liny.

- Najbardziej niesamowitym odkryciem ostatnich sześciu tygodni jest to - przerywam, upewniając się, czy słuchają mnie uważnie - że mobilna restauracja jest swoją najlepszą reklamą. Jeżdżąc nią codziennie tam i z powrotem w konkretne miejsca, ludzie widzą ją i zapamiętują. Zamieszczam post na Twitterze albo uaktualniam status odnośnie miejsca pobytu, a ludzie to czytają i odpowiadają. Sprzedaję jedzenie, ludzie mówią o nim swoim znajomym albo dzielą się nim w porze lunchu... Wszystko, co robię, zwiększa liczbę potencjalnych klientów, każdy

klient mnie wspiera za każdym razem, gdziekolwiek jadę, czyli zasadniczo promuję swoją działalność. Nie miałam czasu, pieniędzy ani wiedzy, by zainwestować w reklamę, ale to nie miało znaczenia. Restauracje mobilne to niska inwestycja z wysokim zwrotem, jeśli jest się gotowym zrobić wszystko, co się tylko da, by oferować najlepszy produkt z możliwych... I to naprawdę jest takie proste.

Spoglądam na koniec stołu i widzę, jak Judy zapisuje coś na kartce i podaje ją facetowi po jej prawej. To chyba był dyrektor finansowy, ledwie pamiętam, o Boże, pewnie są znudzeni. Moja pewność siebie drastycznie maleje. Co to ja miałam jeszcze powiedzieć? Nie pamiętam.

- A teraz, Pia, opowiedz nam o twoich pozostałych pomysłach na restauracje mobilne - mówi Lina z uśmiechem.

- Uh, ach tak - mówię i zaczynam opowiadać o ekologicznej restauracji włoskiej, o Meal Grows In Brooklyn, o lunchu na wynos i o moim pomysle na całodobowe śniadania. To przyciąga uwagę Gilberta: potakuje i uśmiecha się. - Jest mnóstwo barów z daniami różnych grup etnicznych czy mobilnych kawiarni z wykwintnymi deserami - mówię. - Ale to, czego nie ma - przynajmniej na razie - to mobilne restauracje, które wypełnią lukę pomiędzy dobrym samopoczuciem, dobrym wyglądem i dobrą ceną.

Siadam, prawie dysząc z ulgą, serce mi wali jak opętane. Zrobiłam to! Przemawiałam publicznie i nie dostałam ataku paniki! Udało mi się!

Lina przejmuje dalszy ciąg prezentacji.

- Tworząc Zgrabne Oponki, Pia stworzyła markę, która jest tak prosta i prawdziwa, że ludzie natychmiast ją polubili. Nasze życie jest skomplikowane i nawet każdorazowy wybór tego, co będziemy jedli, wydaje się być pełen żywieniowych, finansowych, etycznych czy nawet moralnych konsekwencji. Ale bary mobilne są proste. Bary mobilne sprawiają, że życie jest odrobinę łatwiejsze, trochę bardziej prawdziwe. Przyrzę-

dzają jedzenie, które można pokochać. A jeśli to jedzenie odwdzięcza się nam tym samym, no cóż... To chyba wniosek nasuwa się sam.

— Mam nadzieję, że nie będziesz działała przeciwko restauracjom, Lina - mówi jeden z mężczyzn, to chyba Christopher, a wszyscy pozostali chichoczą.

— Oczywiście, że nie - o rany, Lina potrafi się uśmiechnąć w groźny sposób, gdy tylko zechce. - Aktywnie badam nowe profitodajne ścieżki, które mogą promować naszą markę w niepowtarzalny i innowacyjny sposób.

Gilbert kiwa głową, a Lina milknie na kilka sekund, co robi odpowiednie wrażenie.

— Każdy świetny pomysł potrzebuje odrobiny magii. W Zgrabnych Oponkach Pii to się udało. I wierzymy, że ma inteligencję i talent, by ten sukces powtórzyć.

Patrzę się w stół z wytężonym wzrokiem i próbuję nie pokazać po sobie, że jestem tym niezwykle poruszona i zawstydzona. Ale nie mogę się powstrzymać i spoglądam na Linę, gdy to mówi. Uśmiecha się do mnie szeroko.

Lina odchrząkuje.

— Pokróćce przedstawię wam stronę finansową całego przedsięwzięcia...

Zaczyna omawiać ROI (w końcu się dowiedziałam, co to znaczy: stopa zwrotu z inwestycji) i USP (wyjątkowa oferta sprzedaży, czyli co odróżnia Zgrabne Oponki od pozostałych barów mobilnych), ile udało mi się dzięki nim zarobić, ile jeszcze mogłyby zarobić, gdyby były częścią bardziej imponującej i sprawniejszej sieci produkcyjnej, i tym podobne.

— Nie będziemy już was dłużej zatrzymywały - mówi Lina. Na drugim końcu stołu Gilbert przeciąga się nerwowo. Wygląda, jakby był trochę nie w sosie. Założę się, że zjadł za dużo węglowodanów na lunch i teraz odczuwa spadek cukru.

Lina odchrząkuje. - To, co sprawia, że dobry mobilny bar staje się świetny, to osobowość, która za nim stoi. Każda więk-

sza restauracja mogłaby sprzedawać jedzenie z ciężarówki. Ale klienci nawiązują osobistą relację z tym, kto ten bar tworzy. Klienci reagują pozytywnie na Pię, nie tylko na samo jedzenie. Pasja i wyobraźnia Pii to klucz do jej sukcesu.

Czerwienię się. Naprawdę?

Lina mówi dalej:

- Proponuję, byśmy wsparli Pię, by mogła rozwinąć Zgrabne Oponki z trzema barami mobilnymi w Nowym Jorku, a gdy już zaczną przynosić zyski, wprowadzimy mobilną restaurację włoską z ekologicznych produktów i z całodobowymi śniadaniem, a potem rozszerzymy tę markę na teren Chicago, Bostonu, San Francisco i Los Angeles.

Co?

- Rozumiem - mówi Gilbert. - W jakim zakresie czasu?

- Z takimi inicjatywami problemem jest zawsze znalezienie odpowiednich osób i tu mamy niesamowite szczęście. Z Piją na czele, pracując z niewielkim zespołem zaufanych ludzi, którzy będą jeździć tymi barami i w nich sprzedawać, oczywiście ze wsparciem pracowników naszej firmy, możemy zacząć od razu. Proponujemy, by zainwestować w Zgrabne Oponki i natychmiast rozszerzyć ich działalność. Zbudujemy sieć barów mobilnych w ciągu dwunastu miesięcy. To idealna inicjatywa dla firmy Carus: modna, przyszłościowa, skoncentrowana na człowieku i z duszą.

Dzięki Bogu siedzę. Bo inaczej bym się przewróciła z wrażenia. Ja, na czele? Skąd u licha wziął się ten pomysł?

- Będziemy musieli to przedyskutować - mówi Gilbert, wymieniając spojrzenia z Judy.

- Powinam dodać, że Pia otrzymała już kolejną ofertę i obiecała im odpowiedź już jutro - dodaje Lina bez zająknięcia. - Stąd ten pośpiech. Nie chciałam przegapić tej wyjątkowej okazji do osiągnięcia sukcesu w tym nowym przedsięwzięciu, o którym wiemy, że przyniesie nam ogromne zyski i naprawdę wzbogaci naszą markę o dodatkową wartość.

- No dobrze - mówi Gilbert gwałtownie. Najwyraźniej nie lubi, gdy daje mu się ultimatum. — Dziękuję.

Wszyscy wstajemy, a ja idę za Liną na koniec stołu konferencyjnego, by znów uściskać dłonie przybyłych. Staram się wszystkim patrzeć w oczy i uśmiechać z taką pewnością siebie i tak prawdziwie, jak to tylko możliwe.

- Dziękuję za spotkanie - mówi Gilbert. Nie jestem w stanie go rozszyfrować - czy jest pod wrażeniem? A może nie jest? Jego oczy są nadal przyjazne, ale jego twarz jest nieprzenikniona. Pewnie dlatego jest prezesem. Cholera.

- Dobra robota - mówi Judy o lodowatych dłoniach. - To było bardzo interesujące.

Wychodzę z sali konferencyjnej, przybijam sobie małą piątkę, tak aby nikt inny nie mógł tego zobaczyć, a potem obracam się, by spojrzeć na Linę. Wygląda na tak rozradowaną jak ja.

- Jeszcze nie świętujemy! Do mojego biura! — szepcze Lina, a ja posłusznie idę za nią do windy i dalej do jej biura. Jest małe, ale ma wspaniały widok na Manhattan, a jej biurko jest uporządkowane i nie ma na nim zbędnych rzeczy i gdy zamyka drzwi, obie uśmiechamy się szaleńczo. Prawie chce mi się skakać.

- Świetna robota - mówi Lina.

- Było dobrze? Naprawdę? - wiem, że było dobrze, ale chcę usłyszeć więcej komplementów.

- Było znakomicie - mówi Lina. - Gilbert potrafi wyjść ze spotkania, jeśli jest znudzony. Po prostu udaje, że ma ważną rozmowę telefoniczną i już nie wraca.

- Dziękuję! O mój Boże - nie miałam pojęcia, że właśnie to planowałam.

- Nie chciałam, byś się za bardzo zestresowała - mówi Lina ze śmiechem. - Zdenerwowanie może zrujnować nawet najpewniejsze prezentacje.

- No co ty - mówię. Nagle zdaję sobie sprawę, że mój ból brzucha minął. Właśnie wygłosiłam prezentację przed tłumem

poważnych ludzi na wysokich stanowiskach. Nie straciłam głosu i nie wygadywałam głupot. Zrobiłam to.

Jestem taka szczęśliwa, czuję się tak, jakbym promieniała.

- Słuchaj, powinnaś wracać już do domu - mówi Lina. - Ja poczekam tutaj, muszę wykonać kilka telefonów w sprawie innych projektów. Mam przeczucie, że Gilbert zadzwoni do mnie wcześniej niż później.

- Dobrze - mówię. Nagłe czuję, jak uchodzi ze mnie powietrze. To już koniec?

- Nie martw się - mówi Lina, patrząc mi prosto w oczy.

- Mam bardzo dobre przeczucie co do tego projektu. Po prostu miej włączony telefon. Na pewno do ciebie zadzwonię.

Gdy wychodzę na ulicę, patrzę na tych wszystkich ludzi dookoła mnie, którzy gdzieś spieszą i nie mogą się przestać uśmiechać. Jestem teraz jedną z was. Miałam ważne spotkanie. Należę do tego miasta. A Nowy Jork należy do mnie.

Mój telefon dzwoni: to Julia. Uśmiecham się do siebie. Nie mogę się doczekać, kiedy jej powiem, co się wydarzyło.

- Jumanji!

- Pia! - mówi Julia radosnym głosem.

- We własnej osobie! - mówię równie radośnie. - Nie uwierzysz, jaki miałam wspaniały dzień!

- Są tu twoi rodzice!

O mój cholerny Boże, jak mnie znaleźli? Jak znaleźli Rookhaven?

- Niespodzianka! - Julia milknie, tak jakby mnie słuchała.

- Dobrze, dobrze, super. Jesteśmy tutaj teraz wszyscy razem w Rookhaven, więc po prostu wracaj do domu, a oni będą tu na ciebie czekali. Pa pa!

Rozłącza się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

Zatrzymuję się. Moje myśli mkną jak szalone. Są tu moi rodzice. Moi rodzice, którzy przyjechali zmusić mnie, bym wyjechała z Brooklynu. I teraz muszę wracać do domu i się z nimi skonfrontować.

Rozdział 34

Kiedy wchodzę do Rookhaven, Madeleine, Julia, Coco i Angie siedzą zakłopotane w salonie. Razem z moimi równie zakłopotanymi rodzicami.

To dziwne, a nawet trochę nie na miejscu, widzieć ich w tym domu. To moje miejsce. Nie pasują tu. Moja matka siedzi na jednej sofie i bawi się swoimi pierścionkami, a mój ojciec siedzi na drugiej i rozmawia z Angie, która z pewnością nie czuje się najlepiej podczas tej rozmowy. Ojciec prawdopodobnie wypytuje ją o planowane kroki na ścieżce kariery.

- Skąd wiedzieliście, gdzie mieszkam? - mój głos jest taki cichy, jakby ukrywał się gdzieś głęboko we mnie.

- Pia - mówi mój ojciec głębokim, strofującym tonem, który niegdyś tak mnie przerażał. - Próbowałem się z tobą skontaktować przez cały dzień.

- Byłam zajęta - szepczę. - Pracowałam.

- Słucham? Mów głośniej.

- Pracowałam! - Jezu, jak to możliwe, że nadal tak mnie stresują? - Pracowałam.

Słyszając to, mój tato uśmiecha się cierpko sam do siebie, och, to sarkastyczne niedowierzanie w wyrazie twarzy! - Masz teraz prawdziwą pracę. W Zurychu. Możesz pracować jako

osobista asystentka naszego sąsiada, bankiera z UBS. Więc idź i się spakuj.

- Nie - odpowiadam automatycznie.

- Dość tego. Nie możesz tu zostać.

Kręcę głową, próbując mówić najspokojniej jak to możliwe.

- Tu jest moje życie.

Mój głos brzmi żałośnie dziecięco, nawet ja sama to słyszę. Kątem oka zauważam, że dziewczyny przysłuchują się tej rozmowie, jakby oglądały mecz w tenisa.

- Jakie życie? Całonocne imprezy? Spanie przez cały dzień?

- wtrąca się moja matka.

- Mam pracę - mówię, nie zwracając na nią uwagi. - Zarabiam pieniądze.

- Tak, słyszeliśmy - mówi mój ojciec. - Gloryfikowany wózek z lemoniadą. To nie jest prawdziwa praca.

- To mobilny bar - mówię. - I to dochodowy. Nie wiesz, o czym mówisz.

Moja matka lekko blednie, a twarz mojego ojca marszczy się od gniewu. Ale zanim zdąży odpowiedzieć, dzwoni mój telefon: to Lina.

- Muszę odebrać - mówię. Och, proszę, proszę niech ma dla mnie dobre wiadomości.

- Jak śmiesz - warczy mój ojciec, ale już jest za późno, już mnie nie ma w salonie.

- Witam cię, Lino! - mówię, próbując przyjąć tak pewny siebie i profesjonalny ton, na jaki mnie stać.

- Witaj, Pio - mówi Lina.

Ma bardzo poważny głos. O Boże, to katastrofa, to już koniec, Zgrabne Oponki wcale nie odniosą żadnego sukcesu, Lina się pomyliła, będę musiała poprosić moich rodziców o pieniądze dla Vica.

I wtedy Lina odchrząkuje.

- Pia, chcielibyśmy ci zaoferować pracę w Carus International w nowym dziale, który nazywamy Objazdowe Bary. Ofi-

cyjna nazwa twojego stanowiska to manager nowych projektów, będziesz podlegać pode mnie, a twoje wstępne wynagrodzenie wynosiłoby siedemdziesiąt pięć tysięcy. Chcemy ci też zaproponować czterdzieści tysięcy w gotówce za pięćdziesiąt procent udziałów w Zgrabnych Oponkach, a w zamian gwarantujemy ci wsparcie w kwocie pięciuset tysięcy na pierwszy rok na rozwój działalności.

Wydaję z siebie okrzyk zaskoczenia.

- Suma ta musi pokryć koszt dodatkowych ciężarówek i pozwoleń, wyposażenia i wynagrodzenia dla obsługi barów mobilnych, więc budżet będzie napięty. Bardzo napięty. Oczywiście, będziemy cię wspierać w każdy możliwy sposób w kwestiach takich jak - wynajem kuchni, przygotowanie posiłków, przechowywanie, strategia zarządzania...

Skaczę z radości, ale nie mogę z siebie wydusić ani jednego słowa.

Lina przerywa.

- Mam nadzieję, że jest to coś, czym jesteś zainteresowana, Pia. Uważamy, że to właściwy moment, by zainwestować w coś małego i prawdziwego, mającego perspektywę rozwoju. I sądzimy, że jesteś odpowiednią osobą, która pomoże nam to zrealizować. Judy i Gilbert byli pod dużym wrażeniem twojego zaangażowania i pasji.

-Ja... dziękuję... — mam mętlik w głowie. Trudno mi to wszystko ogarnąć. - Lina, dziękuję.

- Potem, za sześć miesięcy, chcielibyśmy, abyś wprowadziła nowy typ baru obwoźnego albo całodobowe śniadania, albo ekologiczną włoską restaurację, w zależności od wyników naszej grupy fokusowej — mówi Lina. - Będziemy pracowały przy tym razem. Do tego czasu... To twoje dziecko.

Lina milknie, ale zanim zdąży coś powiedzieć, ścisza głos:

- Zrozumiem, jeśli będziesz chciała dalej prowadzić ten biznes sama, Pio, to fantastyczny pomysł i ja to rozumiem. Wiem, że świat korporacji może zniszczyć małe idealistyczne pomysły,

choć naprawdę uważam, że w tym przypadku byłoby inaczej. Ale jeśli chcesz sprawdzić, jak daleko możesz zajść, Carus International to odpowiednie miejsce. Nie będziesz musiała spędzać całego dnia za biurkiem, chociaż oczywiście będziesz tu je miała i nadal będziesz miała codzienną autonomię.

- Zgadza się! - mówię w końcu. - Tak! Oczywiście! Lina, dziękuję, tak! Tak!

- O, to świetnie! - mówi Lina i słyszę uśmiech w jej głosie. - Tak się cieszę, że to mówisz! Czy możesz przyjść jutro rano o dziewiątej, byśmy omówiły wszystkie szczegóły?

- Tak - odpowiadam. - Oczywiście. Będę. Dziękuję. Dziękuję bardzo! Rozłączam się i oszołomiona wracam do salonu.

Natychmiast uderza mnie ściana tłumionego napięcia. Nie wiem, dlaczego dziewczyny wciąż tu siedzą - to znaczy, do diabła, to przecież nie są ich rodzice - taki widać jest wpływ mojego kontrolującego każdą sytuację ojca.

- Nie możesz sobie tak po prostu wychodzić, młoda damo - mówi mój ojciec.

- Właśnie zaproponowano mi czterdzieści tysięcy dolarów za połowę udziałów w mojej firmie, którą otworzyłam sześć tygodni temu - mówię cicho.

- Co? Mów głośniej - warczy.

- Zaproponowano mi czterdzieści tysięcy dolarów za pięćdziesiąt procent udziałów w mojej firmie, którą założyłam sześć tygodni temu - mój głos jest nareszcie głośny i pewny siebie, czuję się całkowicie zrelaksowana. Tak naprawdę, nie jestem ani zdenerwowana, ani zmartwiona, ani w żadnym stopniu nie-zastraszona. Po prostu jestem sobą.

- I zaproponowano mi umowę o pracę w Carus International. Zamierzają wesprzeć mnie, bym rozwijała swoje pomysły na sieć barów mobilnych.

- Rewelacja! - krzyczy Julia i wszystkie dziewczyny podskakują z radości. Moi rodzice ani drgną.

Mówię do nich:

- Słuchajcie, naprawdę was przepraszam, że nadużyłam waszego zaufania, i że zawiodłam was tak wiele razy. Ale teraz jestem dorosła. Nie musicie się już o mnie martwić.

- Zarezerwowaliśmy dla ciebie pokój w hotelu Carlyle - mówi mój ojciec już nieco mniej pewnym tonem. - I wyjeżdżasz z nami jutro wieczorem.

- Nie - mówię najdobitniej jak potrafię. - Nie wyjeżdżam, zostaję tutaj. Mam pracę. Mam swoje życie. To mój dom.

Mój ojciec wstaje i odwraca się do mojej matki, która nadal patrzy na mnie zdezorientowana. - Jedziesz z nami - powtarza uparczywie.

- Nie, naprawdę nie - odpowiadam. - A teraz, wybaczcie, ale muszę coś uczcić.

Moi rodzice wstają niepyszni i idą w kierunku drzwi wejściowych. Idę ich odprowadzić, ale bardziej z chęci upewnienia się, czy już naprawdę wyszli niż z uprzejmości. W chwili gdy otwierają drzwi, mój ojciec odwraca się.

- Jeśli to wszystko prawda, to... Dobra robota.

Po chwili już ich nie ma, a wkoło rozlegają się radosne okrzyki dziewcząt.

- Nie mogę uwierzyć, że ci się udało!

- Zawsze wiedziałam, że ci się uda!

- Jestem z ciebie taka dumna!

- Tak się cieszę!

- Dajcie mi butelkę wina - mówię. - Musimy to uczcić. Chwilę później wino jest otwarte i siedzimy razem wokół kuchennego stołu.

- Zdrowie Pii! - krzyczy Julia, unosząc kieliszek.

- Moje zdrowie! - powtarzam za nią. - I wasze zdrowie za to, że uświadomiłyście mi, że naprawdę mogę coś zdziałać ze Zgrabnymi Oponkami, i za to, że pomogłyście mi to osiągnąć!

- Zdrowie! - wykrzykujemy wszystkie razem.

- Nasze zdrowie! - woła Coco.

- Nie wiem, co bym bez was zrobiła, bez każdej z osobna - mówię. - A tak przy okazji, bardzo przepraszam, że moi rodzice tak się tu znieścacka pojawili. Ciekawa jestem, jak mnie znaleźli.

- Dostali adres od Benny'ego, twojego byłego szefa z agencji PR - mówi Angie, sięgając po talię kart leżącą na środku stołu. - Musiał mieć twój adres, by móc ci wysłać czek z wynagrodzeniem.

- Oczywiście - mówię. - Wcześniej czy później i tak musiałam z nimi porozmawiać... - przerywam pogrążona w myślach. Szkoda że nasze spotkanie nie zakończyło się inaczej. Szkoda że nie udało mi się zasłużyć na ich szacunek i zamiast tego musiałam o niego walczyć. Ale może takie relacje nie mogą zostać naprawione w ciągu jednego dnia.

- Menedżerze nowych projektów - mówi Julia. - Jakie jest twoje pierwsze zadanie?

- Wypić to. A potem zapalić papierosa.

Julia i Madeleine mruczą z dezaprobatą, a Angie krzyczy:

- Łuchuuu!

- Zadzwoń też do Jonah i przekażę mu dobre wieści. Potem przedstawię Linie Phila i Larę, by mogli porozmawiać o ich barze z potrawami z lokalnych produktów i przemyśleć sposób jego sprzedaży, tak byśmy mogli go odpowiednio wprowadzić na rynek pod egidą Carus International, ponieważ mieli rewelacyjny pomysł, który zasługuje na jeszcze jedną szansę na sukces - mówię. - A potem zbuduję najlepsze imperium małych obwoźnych barów w całym Nowym Jorku.

- Wypiję za to - mówi Julia. - Za tworzenie imperiów.

- Za tworzenie imperiów! - wołamy razem i stukamy się kieliszkami.

Angie rzuca we mnie korkiem. - Hej, mówiłam ci już, że jestem z ciebie bardzo dumna?

- Wiesz, że nie wszystko poszło tak, jak tego oczekiwałam, ale mimo tego... Jest prawie idealnie. Sprawy z Bartolo's, Jonah, Biancą, Cosmo, Vickiem, Liną, nawet incydent z więzieniem... To wszystko wydarzyło się z jakiegoś powodu.

- Podjęłaś cholernie duże ryzyko - mówi Angie, tasując z namysłem talię kart. - Może to jest sekret twojego sukcesu.

- Marie mi powiedziała, bym tak właśnie robiła - mówię. - Bym podejmowała ryzyko.

- Za Marie - mówi Julia. Wznosimy kieliszki.

- Za Marie!

Biorę kolejny łyk wina. - Powiedziała też, że przetrwam dzięki moim przyjaciółom i rodzinie... dzięki wam dziewczyny. Jesteście moimi przyjaciółkami, ale też moją rodziną. Możemy zawsze na sobie polegać. — Przerывam. — Brzmie naprawdę idiotycznie.

- Czyli, że co, zadzwonisz teraz do Aidana, tak? - proponuje Julia.

- Czy ktoś chce więcej wina? - odpowiadam.

- Dlaczego zmieniasz temat? - pyta Julia.

- Dlaczego nie odpowiesz na pytanie? - mówi zaraz za Julią Maddy.

Milczymy. Wszystkie patrzą się na mnie, a ja siedzę ze złożonymi ramionami. Wyciągam z torebki jego wizytówkę. *Aidan Carr*.

Patrzę na nią przez chwilę i wzdycham.

- Wiem, że o nim myślisz - mówi Julia. - Masz wtedy taki rozanielony wyraz twarzy.

- Rozanielony?

- To prawda - mówi Angie. - Wyglądasz trochę jak kretyńka.

Rzucam w nią korkiem od wina.

- Zadzwoń do niego! - mówi Coco. - Co masz do stracenia?

- Szacunek do samej siebie?
 - Straciłaś go już dawno temu - mówi Angie.
 - Powiedz szczerze - mówi Madeleine. - Chcesz do niego zadzwonić?
 - Tak, chcę, ale...
- Nie ma żadnego ale! - krzyczy Coco i odchrząkuje z zakłopotaniem. -
O przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć aż tak głośno.
- To by nie wyszło i w końcu by mnie rzucił.
 - Skąd ci to przyszło do głowy? - pyta Madeleine. - Żaden facet będący przy zdrowych zmysłach nigdy by cię nie rzucił.
 - Nie mogę siebie, no wiecie, narażać. Nie mogę podjąć takiego ryzyka.
 - Czy to nie dokładnie o tym właśnie mówiłaś? - mówi Julia. - O podejmowaniu ryzyka?
 - Co się może stać w najgorszym przypadku? — dodaje Coco.
 - Zobaczysz odstrzelony palec za sofą?
 - Proszę, nie wspominajcie już o tym palcu - mówi Julia ze wstrętem.
 - Zagłosujmy - mówi Coco. - Kto jest za tym, by Pia do niego zadzwoniła?
- Madeleine i Julia podnoszą dłonie. -My!
- No tak, weź się w garść i zadzwoń do niego - mówi Angie.
 - Jeśli do niego nie zadzwonisz, to się rozplaczę - grozi Julia.
 - Więc przygotuj sobie chusteczki, skarbie, bo nie mam zamiaru do niego dzwonić.
 - Mam pomysł - mówi Angie. - Rzućmy monetą.
 - Ha - mówię. - Zrobiłam tak przed poprzednią randką. Julia wyciąga z kieszeni monetę, podrzuca i łapie ją, przykrywając dłonią.

- Obstawiaj, Pia.

Zastanawiam się chwilę. — Reszka. Julia odsuwa dłoń i sprawdza.

- Zobacz sama. Dzwonisz.

Rozdział 35

Godzinę później wciąż jeszcze nie zadzwoniłam do Aidana.

Zamiast tego wyciągam się na swoim łóżku, ciągle w tym samym ubraniu od rana i rozmyślam o wszystkim, co się wydarzyło.

Udało mi się.

Zbudowałam dochodowy interes od zera, sprzedałam go, zarobiłam, dostałam pracę, którą bez wątpienia pokocham i uratowałam swój dom.

A to dopiero początek. Czuję, że mogłabym zrobić wszystko. Wiem, jak walczyć o to, w co wierzę, ufam swoim przeczuciom i wiem, co jest dla mnie naprawdę ważne.

Nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale... uwielbiam swoje życie.

I wtedy dzwoni mój telefon. Numer zastrzeżony.

- Słucham?

- Pia, tu mama. Sztywniej. Czego ona chce?

Odchrząkuje. - Dzwonię szybko, póki nie ma ojca, żeby ci powiedzieć... Ze jestem z ciebie bardzo dumna.

- Dziękuję - jąkam się. Nigdy mi tego nie mówiła.

- Nie mów ojcu, że dzwoniłam. Wiesz, jaki jest.

- Dobrze.

- Kocham cię - mówi i rozłącza się.

Od lat nie mówiła mi, że mnie kocha, ostatni raz, gdy byłam dzieckiem, tęskniłam i płakałam, rozmawiając z nią przez telefon, gdy byłam w mojej pierwszej szkole z internatem. I nigdy, przenigdy nie powiedziała mi, że jest ze mnie dumna.

O rany, jak ja za nią tęsknię.

Przez chwilę chciałabym mieć znów sześć lat i móc się wspiąć na jej kolana, poprosić, by mi poczytała, by otuliła mnie ramionami i sprawiła, że czułabym się bezpieczna.

Obiecuję sobie, że zadzwonię do niej w przyszłym tygodniu, po prostu żeby pogadać. Jeśli chcę mieć z nią dobry kontakt w przyszłości, muszę nad tym popracować.

Potem mój telefon dzwoni po raz drugi. Kolejny zastrzeżony numer. Znowu mama?

- Halo?

- Pia, to ja - odzywa się ojciec. Serce zaczyna mi walić jak młotem. Czego on chce?

- Cześć.

- Twoja matka nie wie, że dzwonię, więc muszę się streszczać. — Odchrząkuje. - Pia, jestem pod dużym wrażeniem wszystkiego, co osiągnęłaś w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Właśnie czytałem o Carus International i sprawdziłem twój obwoźny bar w sieci internetowej... Dobra robota.

- Dziękuję — mówię po chwili milczenia. Czy to się dzieje naprawdę? I czy on powiedział właśnie „w sieci internetowej”?

- Naprawdę dużo osiągnęłaś - mówi. Jego głos jest miłszy i mniej spięty niż ten, który słyszałam od lat. - Chciałem tylko powiedzieć, że mam nadzieję, że robisz to wszystko z przyjemnością. Budujesz coś, realizujesz postawione sobie cele... Wiem, jaką to przynosi satysfakcję i zadowolenie.

- Tak będę robiła, to znaczy robię - jąkam się zaskoczona.

- Ciesz się każdą chwilą, schatzi.

- Dobrze tatusiu. Będę... cieszę się.

Nie nazywał mnie tak, odkąd miałam dziesięć lat. To znaczy „kochanie”. Czuję kulę w gardle.

- No to do usłyszenia. Zadzwońmy do ciebie w następną niedzielę.
I rozłącza się.

Wpatruję się w telefon zeszywniała z zaskoczenia. Potem, prawie bezmyślnie, wyciągam wizytówkę Aidana i kładę ją na swojej poduszce. Patrzę na nią przez kilka minut. *Aidan Carr*.

Czy powinnam do niego zadzwonić?

Tak: ponieważ on mi się podoba, naprawdę, tak jak nikt od lat. A może nawet w ogóle jak nikt nigdy dotąd.

Nie: ponieważ spieprzyłam naszą randkę. Ponieważ nie jestem tak pewna miłości, jak jestem pewna Zgrabnych Oponek. Ponieważ to nie wyjdzie. Bo to nigdy nie wychodzi. Ponieważ prawdopodobnie bardziej podoba mi się wizja, jaką sobie o nim stworzyłam niż to, jaki jest w rzeczywistości. Ponieważ nawet nie wiem, czy jestem zdolna do utrzymania prawdziwego związku. Ponieważ nie chcę, by mnie znowu odrzucono. Bo to jest za trudne. Bo boję się podjąć ryzyko.

Drżącymi rękoma - ależ to wyświechtany zwrot - zaczynam wybierać jego numer.

Słyszę sygnał łączenia. Czuję jak mi serce wali w przetyku. Boże! Jak coś tak prostego do wykonania, jak telefon do mężczyzny, może być bardziej stresujące niż wygłoszenie prezentacji przed salą pełną poważnych dyrektorów?

- Halo?

- Witaj, halo, yyy, Aidan? Tu, yyy, tu Pia - mówię starając się, aby mój głos był głęboki i spokojny.

- Hmm... Pia... Pia? - mam wrażenie, że Aidan się uśmiecha.

- Ta dziewczyna, która wcisnęła jeden guzik i zamieniła pewien wieczór w katastrofę, choć zapowiadał się idealnie? Jakies dwa tygodnie temu?

- Aaa, ta Pia - mówi Aidan. - No proszę, jak się masz?

- Mam się bardzo dobrze, dziękuję - odpowiadam. - Właściwie, to dzwonię, yyy, żeby cię przeprosić za to, że zachowałam się tak niedorzecznie podczas naszej kolacji. Nie byłam do końca sobą. Wpadłam na kogoś, kogo kiedyś znałam i to mną wstrząsnęło.

- Nie musisz przeproszać - mówi szybko. - To ja przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Nie miałem żadnego prawa... Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Żałuję, że tak się stało.

Oboje milkniemy.

- Zastanawiam się, czy może moglibyśmy nadrobić tę drugą część naszej kolacji? - mówię, a głos grzęźnie mi w gardle.

- Wolałbym nie - odpowiada Aidan. Na chwilę zamiera mi serce. Natychmiast zalewa mnie fala palącego zakłopotania. Wiedziałam. Wiedziałam, że znów zostanę odrzucona.

I wtedy on odchrząkuje.

- Wolałbym cię po prostu znowu zobaczyć. Bez niepotrzebnego tłumaczenia, bez drugiego podejścia do pierwszej randki. Po prostu... więcej.

Zeskakuję z łóżka i wykonuję energiczny wymach pięścią. Tak!

- A to dopiero miła wiadomość - mówię, próbując zachować spokój.

- Co teraz robisz?

- Ja... szukam odpowiednich słów, by powiedzieć coś zabawnego.

Mam pustkę w głowie i nie mogę przestać się uśmiechać.

- Mieszkasz na Union Street, prawda? Idąc w górę od Smith Street? Zabieram mojego psa Ziggy na wieczorny spacer. Mógłbym po ciebie wpaść za powiedzmy... siedem minut.

- Będę na ciebie czekała na podeście - odpowiadam. Rozłączamy się.

Po sekundzie krzyczę z całych sił, wiedząc, że to zwróci uwagę wszystkich. W ciągu kilku sekund wszystkie dziewczyny stoją w drzwiach mojego pokoju.

- Co się dzieje do cholery?

- Aidan. Zadzwoiłam do niego. Idzie. Tu. Mam siedem minut. Pomocy.

Dzięki Bogu, że są moje dziewczyny: w ciągu kilku chwil Coco wraca z moją szczoteczką z odrobiną pasty do zębów, Angie stoi przed moją szafą rozrzucając ubrania i buty po całym moim pokoju, a Madeleine układa mi włosy.

- Nie jestem dobra w upiększaniu - Julia siedzi spokojnie na łóżku, nadal trzymając kieliszek z winem. - Wesprę cię moralnie.

- Obserwuj ulicę! Wypatruj mężczyzny z psem.

- Mężczyzna z psem, już się robi - mówi Julia, przeskakując po moim łóżku w kierunku okna.

Nakładam bronzer i antyperspirant, myjąc jednocześnie zęby, ostrożnie wypłukuję i wypluwam do szklanki z wodą, którą również przyniosła Coco i zrzucam ubranie, które miałam na sobie podczas spotkania w Carus International i zakładam moje ulubione seksowne, ale codzienne džinsy i koszulkę, kurtkę i szeroką apaszkę.

- Gdzie mój Kiehl's Original Musk?

- W moim pokoju! - krzyczy Coco. - Przyniosłaś go na górę w ubiegły weekend, pamiętasz?

Pędzę po schodach na strych, wbiegam do pokoju Coco i rozglądam się za perfumami. Znajduję je na jej nocnej szafce i podnoszę, potem rzucam okiem do kosza na śmieci i widzę puste opakowanie po teście ciążowym. Co? To przecież nie ma sensu. Po co Coco test ciążowy? Przecież kupiłyśmy pigułkę po... Ale gdyby nie miała okresu, to by nam coś powiedziała, prawda? Pewnie po prostu świruje.

Zapamiętuję sobie, by z nią o tym jutro porozmawiać, zbiegam po schodach, przeskakując po dwa schody na raz.

- Dobrze wyglądam? - mówię, łapiąc oddech.

- Idealnie - mówi Angie.

- Mężczyzna z psem! Mężczyzna z psem! - krzyczy Julia spod okna. -
To nie ćwiczenia! Wychodzimy!

Biorę krótki oddech, szybko rzucam okiem na swoje odbicie w lustrze, podczas gdy dziewczyny muskają mi usta błyszczakiem i zupełnie niepotrzebnie poprawiają mi włosy, i wybiegam z pokoju. Mam do pokonania schody, ale zanim robię pierwszy krok, odwracam się i krzyczę:

- Kocham was! - wołam, zbiegając po schodach.

- My ciebie też! - krzyczy Madeleine.

Łąduję z hukiem w korytarzu na dole i daję sobie chwilę, by się uspokoić i złapać oddech.

Potem otwieram drzwi wejściowe i spokojnie wychodzę w chwili, gdy Aidan i jego pies - prześliczny seter irlandzki, niosący w pysku tę ogromną gumową kość - przechodzą obok podestu.

- Hej - mówię swobodnie.

Aidan spogląda w górę i uśmiecha się, a jego twarz się rozpromienia.

- No proszę, witaj.

Ulica jest zupełnie pusta, żadnych przechodniów, żadnych samochodów, ale w każdym oknie, widać zapalone światło, co nadaje tej ulicy przytulnego, spokojnego, wręcz domowego charakteru.

Uśmiecham się do niego i nagle wypełnia mnie ciepłe poczucie... Nie wiem, jak dokładnie to opisać. Pewności. Czuję, że go znam, tak jak kogoś, kogo się znało w dzieciństwie i dlatego po latach jego twarz jest całkiem znajoma.

Schodzę po schodach powoli, uśmiechając się coraz szerzej po każdym kolejnym schodku.

Aidan też się uśmiecha, nie przerywamy kontaktu wzrokowego nawet na sekundę.

I zanim docieram na sam dół, wiem już, co zrobię.

Stoję dokładnie naprzeciwko niego, unoszę twarz ku jego twarzy. On się nadal uśmiecha i nachyla w moim kierunku... I wtedy się całujemy.

- Łuchuuu! - słyszę radosne okrzyki dobiegające z domu. Spoglądam w górę i widzę Julię, Coco, Madeleine i Angie, jak nam dopingują, stojąc przy otwartym oknie w moim pokoju.

- Tak jest! Łuchuu!

Patrzę z powrotem na Aidana i uśmiecham się szeroko.

- To moje współlokatorki.

- Domyśliłem się - odpowiada z uśmiechem. - A to jest Ziggy.

Patrzę w dół na Ziggy'ego, który siedzi cierpliwie i uśmiecha się do nas na swój radosny psi sposób. Wysuwam rękę, by mógł mnie obwąchać, a on natychmiast zaczyna ją lizać.

- Lubi cię - mówi Aidan.

- A ja ciebie - mówię bez zastanowienia.

- Ja też cię lubię - mówi. - Czy miałabyś może ochotę pospacerować tego wieczoru wokół Brooklynu?

- Z przyjemnością.

Idziemy w górę Union Street, automatycznie zrównując nasz krok. Mam ręce w kieszeniach, ale po kilku krokach Aidan szturcha mnie w ramię i bierze moją dłoń w swoją.

I tu pojawia się ta najdziwniejsza rzecz, tak dziwna, że z trudem się do niej przyznaję: trzymanie Aidana za rękę jest... idealne.

Wreszcie znalazłam swoją przystań.

Podziękowania

Po pierwsze, dziękuję, że przeczytaliście tę książkę. Mam nadzieję, że się wam podobała.

Dziękuję Jill Grinberg za to, że spodobał jej się pomysł, i że doprowadziła do wydania tej książki. Jesteś moją dobrą wróżką. Dziękuję Laurze Longrigg za to, że wierzyła we mnie od samego początku. Też jesteś moją dobrą wróżką. (Jeśli chodzi o dobre wróżki, to naprawdę wygrałam na loterii.)

Ogromne dzięki dla Dana Weissa za to, że zaryzykował i zainwestował we mnie, gdy powiedziałam, że „chcę napisać serię książek o dwudziestolatkach, która będzie czymś pomiędzy *The Group*, *The Best of Everything* i *The Baby-Sitters Club*, yyy, szczególnie później”, i za jego stałą zachętę i inspirację do pracy.

Dziękuję Vicki Lame, niezwyklej redaktorce, za jej błyskotliwość, humor, entuzjazm i przyjaźń, i za to, że dzięki niej książka ta stała się wyraźniejsza, inteligentniejsza i pod każdym względem lepsza, i Sarze Jae-Jones za jej pomoc i wsparcie.

Dziękuję Lucy Stille za to, że tak bardzo spodobała jej się pierwsza wersja tej książki, co sprawiło, że i ja ponownie spojrzałam na swoje dzieło z uczuciem.

Dziękuję Katelyn Detweiler, Kat Maher i Fionie Barrows za to, że były tak emocjonalnie wnikliwymi, szczerymi i błysko-

tliwymi czytelniczkami. (I przyszłymi liderkami przemysłu wydawniczego w Nowym Jorku i Londynie, gdyby ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości.)

Podziękowania dla Kirsty Richardson za to, że była jedyną osobą, która uratowała mnie od chaosu po narodzinach Errola; dla Rikki Pirjala za jej niesamowite wsparcie i przyjaźń po naszej przeprowadzce do Nowego Jorku; i dla Steve'a Clarka, najlepszego prawnika na świecie.

Dziękuję również Jimowi i Timowi, pszczelarzom, właścicielom barów mobilnych, którzy z większą lub mniejszą dozą cierpliwości odpowiadali na moje pytania i prosili o anonimowość (są tacy tajemniczy!); i Valowi za to, że pomógł mi opracować plan aresztowania Pii.

Dziękuję Sashy Wagstaff za przyjaźń, porady i motywację. Jesteś moją internetową bratnią duszą.

Dziękuję moim mądrym, kochającym i zabawnym rodzicom za to, że naprawdę wierzą, że jestem kolejnym wcieleniem Jane Austen.

Dziękuję wszystkim czytelnikom, którzy piszą do mnie maile, w których twierdzą, że są tacy jak ja. Mam nadzieję, że tak jest. Jesteście wspaniali.

Dziękuję moim przyjaciółkom, które mnie inspirują, szczególnie tym, które pomogły mi przetrwać ten potworny okres, gdy miałam dwadzieścia dwa lata, a są to: Bec, Sarah, Alex, Amy, Caroline, Vicky, Ali, Penny, Sass, Kate, Catherine, Devi, Bennery, Lorraine, Laura, Lydia, Victoria, Susan, Jen, Daisy, Mariana, Tanya, Andrea i moja siostra Anika. Wszystkie należycie do mojego gangu. Oraz Conorowi, Mattowi, Mike'owi, Maxowi, Chrisowi, Hawkawi i Timowi. Też należycie do mojego gangu.

I przede wszystkim dziękuję Foxowi, mojemu ukochanemu i Errolowi, naszemu dziecku. Tak śpiewa Bryan Adams: *Wszystko, co robię, robię dla was.*